Potworna zbrodnia. Namiętność sprzed lat.
I przeszłość, która nie daje o sobie zapomnieć.

BEZ WYBORU

AGNIESZKA PŁOSZAJ

znak

BEZ WYBORU

AGNIESZKA PŁOSZAJ

Wydawnictwo Znak
KRAKÓW 2023

Miasto eksplodowało feerią barw. W jednej chwili w kilkunastu punktach Łodzi ożyły wielowymiarowe instalacje świetlne. Zabrzmiała muzyka. Żądni atrakcji ludzie ciągnęli tłumnie na Stare Miasto, pod Teatr Wielki i ku sławnej już w całej Europie Manufakturze. Śródmieście stało się jednym wielkim deptakiem, po którym łodzianie przemieszczali się z jednego pokazu na drugi. Wszędzie roiło się od kramów ze słodyczami, balonów i połyskujących ozdób na głowach roześmianych dzieci. Najbardziej oblegany był plac Wolności, na którym do pokazu trójwymiarowej animacji wykorzystano fasadę kościoła Świętego Ducha, sąsiadujące z nim muzeum oraz ratusz. Podobnie wyglądało to przy Piotrkowskiej, gdzie zanurzone w barwnej poświacie kamienice ekscytowały i przyciągały jak magnes.

Festiwal Światła po raz kolejny miał przejść do historii jako atrakcja turystyczna i kulturalna miasta. I pewnie powtórzyłby sukces poprzednich, gdyby nie pewien incydent.

Na jednym z placów należącym do Nowego Centrum Łodzi stanęła instalacja świetlna autorstwa nieznanego artysty. Spojone ze sobą metalowe rurki, wzdłuż których biegło różowe światło, tworzyły coś na kształt graniastosłupów rozrzuconych na skwerze. Figura była wielkości rosłego mężczyzny, a w jej wewnętrznej przestrzeni wisiał rodzaj kokonu. Tworzyły go nawinięte na siebie warstwy grubej tkaniny, które przywodziły na myśl olbrzymi oprzęd jedwabnika. I choć festiwal trwał od dwóch godzin, a obok instalacji przewinęło się kilkaset osób, nikt nie spostrzegł niczego niepokojącego.

Dopiero pewien student bawiący się na wydarzeniu z grupą kolegów, zaintrygowany kokonami pokusił się, by przekroczyć odgradzającą dzieło foliową taśmę. Jego podchmieleni towarzysze z radosnymi okrzykami zachęcali go, by zapozował, uczepił się tkaniny i zawisł na kokonie. Chłopak chwiejnym krokiem zbliżył się do instalacji i spojrzał na swoje buty. Pokrywała je błotnista maź. Zaklął

głośno i początkowo próbował strząsnąć ją z powierzchni obuwia. Zachwiał się jednak, zbyt mocno odchylając się w tył, i upadł w sam środek grząskiego błota. Przyjaciele wybuchnęli śmiechem, podczas gdy on próbował zachować resztki godności i pozbierać się z ziemi. Po kilku nieudanych próbach wreszcie stanął na nogach. Wściekły na siebie i kolegów, postanowił rozładować emocje i z całej siły uderzył w najbliższy kokon. Zamiast zbitego splotu pięść trafiła na miękką, mokrą i oślizgłą powierzchnię. W różowym świetle trudno było ustalić jednoznacznie, jakiego koloru była maź, która została mu na kłykciach, jednak gdy podświetlił rękę latarką telefonu, oprzytomniał. Momentalnie zrozumiał, że nie powinien był przekraczać wytyczonego ogrodzenia.

Jego przerażenie musiało być na tyle widoczne, że jeden z towarzyszących mu mężczyzn do niego dołączył. Uruchomił funkcję latarki w telefonie i skierował zimny strumień światła najpierw na dłonie przyjaciela, potem na ziemię, by ostatecznie zatrzymać je na kokonie. W miejscu, w które z impetem uderzyła pięść kolegi, pozostało wgłębienie, a warstwy tkaniny rozeszły się nieco. Chłopak drżącymi palcami chwycił za odstający fragment materiału i odskoczył z krzykiem.

W świetle latarki ukazało się ludzkie oko. Okalała je krwawa ciecz.

Łza?

*

Miarowo wyrzucała ramiona ponad gładką taflą. W ciągu kilku setnych sekundy, kiedy jej naprężone ciało się unosiło, rozchylone usta zachłannie wciągały życiodajną mieszankę tlenu i azotu. Sekwencja powtórzyła się kilkanaście razy. Wreszcie rytmiczny, idealnie skoordynowany ruch został przerwany przez gwizd. Ciało posłusznie wyhamowało i łagodnie, siłą rozpędu, dobiło do brzegu. Kobieta wynurzyła głowę i jednym ruchem zsunęła z oczu okulary do pływania. Popatrzyła na elektroniczny wyświetlacz, a potem położyła się na plecach na wodzie. Światło zawieszonych wysoko lamp raziło, dlatego zamknęła na chwilę powieki. Gdy je otworzyła, dostrzegła znajomego mężczyznę w czerwonym T-shircie.

– Dobra, na dzisiaj koniec – oświadczył.

Kobieta ponownie zniknęła pod powierzchnią wody. Tym razem zanurzyła się dużo głębiej. Płynnym ruchem przemknęła na drugą stronę basenu i wspięła się po drabince. Z trzaskiem zsunęła z głowy czepek i roztrzepała dłonią mokre włosy.

– Nie forsuj się tak – usłyszała za sobą.

Ratownik obszedł basen i zbliżył się.

– Czasem to silniejsze ode mnie. Ale dzięki – rzuciła z kwaśnym uśmiechem.

– Nie wiem, czy się nie mylę, ale miałem wrażenie, że ktoś ci się przyglądał. – Mężczyzna wskazał głową w kierunku szklanej ściany, oddzielającej basen od reszty budynku.

Odruchowo podążyła za jego wzrokiem. Nie dostrzegła jednak nikogo poza sprzątaczką ciągnącą za sobą wózek.

– A może tylko się przechadzał i przystanął popatrzeć. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, jak tu jest.

– Może – powiedziała bez przekonania. Chwyciła ręcznik i pociągnęła nosem. – Do jutra – pożegnała się.

Przez kilka długich minut stała pod prysznicem, pozwalając, by gorąca woda spływająca z górnej dyszy oblewała jej nagie ciało. Uwielbiała, gdy roztrzęsione mięśnie ramion okrywało ciepło wodnego płaszcza. Uwielbiała wodę.

Gdy była dzieckiem, wyobrażała sobie, że jej nogi zmieniają się w syreni ogon zaraz po tym, jak zanurza się w akwenie. A ponieważ wychowała się w miejscu, gdzie wody miała pod dostatkiem, pływała tak, jakby rzeczywiście była stworzeniem morskim. Być może gdyby nie jej wzrost, podjęłaby wyzwanie i spróbowała swoich sił w profesjonalnym sporcie. Jednak już jako trzynastolatka uznała, że jej metr czterdzieści, podczas gdy niektórzy pływający rówieśnicy plasowali się już w okolicach metra siedemdziesięciu, zwyczajnie dyskwalifikuje ją z roli zwycięzcy. Wierna zasadzie, którą wpoił jej ojciec: „Albo jesteś mistrzem, albo jesteś nikim”, pozostała przy rekreacji. Bardzo wymagającej rekreacji,

w której wzrost wynoszący sto sześćdziesiąt dwa centymetry, jakim mogła się pochwalić w wieku dwudziestu ośmiu lat, nie przeszkadzał.

Owinięta ręcznikiem weszła do szatni. Rzędy szafek zajmowały prawie całą powierzchnię pomieszczenia, o tak wczesnej porze pustego i cichego. A jednak gdy stanęła na wprost jasnych drzwiczek, wiedziała, że nie jest tam sama. Wciągnęła nosem powietrze, tak jak robi to drapieżnik, gdy chce zwietrzyć ofiarę, i nasłuchiwała. Gdzieś z tyłu ktoś oddychał ciężej niż ona. Mężczyzna. Zerknęła na czerwoną lampkę blokady drzwiczek. Od momentu, gdy szczęknie zwolniony zamek, będzie miała kilka sekund, by sięgnąć po to, co spoczywa na dnie jej torby. Odliczyła w myślach do trzech i przyłożyła pasek do czujnika. Rozległ się dźwięk, który jakby przywołał czyjeś kroki. Szybkie i zdecydowane.

A jednak była szybsza. Odwracając się, pewnie dzierżyła w dłoni glocka 19, którego otwór wylotowy w ciągu sekundy znalazł się na szyi czającego się mężczyzny. Popatrzyła mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się. Cofnęła broń, rozbawiona. Jej błękitne tęczówki zmieniły wyraz ze wściekłego na przyjazny.

– Kardas? – Poprawiła lewą dłonią ręcznik.

– Popieprzyło cię?! – rzucił mężczyzna i zaczął pocierać szyję.

– Po cholerę się skradasz? – Rozłożyła ręce na boki, nie przestając się uśmiechać. Odłożyła broń na ławkę, obok otwartej sportowej torby. – I to jeszcze w szatni, na basenie. Jak jakiś zbok.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę. – Zabujał się na miękkich podeszwach adidasów. Popatrzył na jej uśmiech i sam się rozchmurzył. – Wariatka.

W odpowiedzi zmierzyła go litościwym wzrokiem. Odrzuciła w tył ciemne włosy, z których skapywała woda, i zaczęła wyjmować z szafki ubranie.

– Czemu zawdzięczam tę niespodziankę?

– Nie odzywałaś się. Nie wiedzieliśmy, czy wróciłaś…

– Nie wiedzieliśmy – powtórzyła kpiąco.

Włożyła przez głowę luźną koszulkę, odsłaniając przy tym kształtny biust.

– To skąd wiedziałeś, że tu będę? – Patrzyła na znajomego z wyczekującą miną, dając mu do zrozumienia, żeby się odwrócił.

– Dobrze znam twoje miejscówki. – Roześmiał się, ale widząc jej stanowczy wzrok, wbił oczy w sufit.

– Nie pochlebiaj sobie. – Włożyła majtki i cisnęła w Kardasa mokrym ręcznikiem.

– Miałem na myśli to, że jeśli pojawiłaś się w Łodzi, to prędzej czy później znajdę cię tu, w Zatoce Sportu. Wiem, że nie potrafisz wytrzymać bez pływania – powiedział z zadowoleniem i usiadł na ławce. Ręcznik położył obok torby.

– Gratuluję niewiarygodnej przebiegłości – zadrwiła.

Wsunęła na rękę kilka plecionych bransoletek i wciągnęła spodnie.

– W dalszym ciągu nie wiem, co cię tu sprowadza – stwierdziła, zapinając pasek. Zawinęła mokre rzeczy w ręcznik.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale wielokrotnie zastanawiałem się, czy u ciebie wszystko okej.

– Zaraz się okaże, że tęskniłeś – zakpiła.

– Bez przesady. Zapomniałaś o zabawce. – Wziął glocka i zważył go w ręku. – Fajny. Skąd masz?

– Tata mi kupił. – Zabrała mu broń i schowała do torby. – Nadal nie powiedziałeś, co tu robisz.

– Zabieram cię na śniadanie. Tak jak najbardziej lubisz. Na Off. – Uśmiechnął się.

Pokręciła głową.

– Nie wrócę do was.

Odwróciła się i nie czekając na znajomego, ruszyła do wyjścia.

– Zojka, zaczekaj. Wypij ze mną kawę i pogadajmy. Jeśli cię nie przekonam… – Przerwał, gdy przystanęła i popatrzyła mu w oczy.

– Nie przekonasz! – odparła stanowczo.

– Ale?

– Ale za kawę możesz zapłacić. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Dobrze cię widzieć. – Poklepała go po ramieniu.

Wyszli i znaleźli się w obszernym holu, z którego widać było pokaźnych rozmiarów ściankę do wspinaczki. Dziewczyna przystanęła na wprost niej i z uśmiechem przyglądała się grupce dzieciaków zmagających się z kolejnymi chwytami.

– Zobacz tę małą z lokami. – Wskazała na najmniejszą z dziewczynek, która jako jedyna dotarła do najwyższej partii ściany.

Mała wyciągnęła rękę i sięgnęła do zawieszonego przy ostatnim kamieniu woreczka z cukierkami. Z radosnym uśmiechem rzuciła na dół garść słodyczy.

Dzieciaki zapiszczały zadowolone.

– Skubana. – Kardas aż klasnął. – Dobra jest.

– Czuję, że wyrośnie na fajną babkę. – Zoja pokiwała głową. – Gdzie zaparkowałeś?

– Obok twojego piekielnego kociaka – prychnął. – Swoją drogą, nie masz wrażenia, że to lekka hipokryzja z twojej strony?

– Co masz na myśli?

– Jeździć takim autem, jeśli nie chce się być zauważonym?

– Ja się nie ukrywam. – Wsunęła na oczy lustrzanki.

– To czemu przez ostatni rok nie została zrealizowana żadna transakcja płatnicza kartami należącymi do Zoi Sterlak? – zapytał ściszonym głosem. – Nie używasz ani kart, ani telefonu. Tak się zachowują ludzie, którzy się ukrywają.

Przygryzła usta.

– Albo mający znajomych, którzy węszą. – Wycelowała w niego palcem. – Nie chcę, żebyście wiedzieli, co robię.

– Czyli się ukrywasz… – Kiwnął głową.

– Szanuję prezenty i ludzi, którzy mi je dają – skwitowała. Poprawiła torbę i ruszyła do wyjścia.

– Niech zgadnę. Tata ci kupił? – spytał z sarkazmem. – Ciekawi mnie, czym się kierował przy wyborze koloru.

– Poczuciem humoru. – Odwróciła się nagle. – I glockiem. Był przypięty do kluczyków. Taki brelok.

*

Usiedli przy stoliku w głębi industrialnego bistro, należącego do kompleksu Off Piotrkowska. Podwórze dawnej fabryki bawełny Franciszka Ramischa od kilku lat wypełniały modne klubokawiarnie i butiki. Pofabryczne lokale tkalni i przędzalni zajmowali architekci i najróżniejszej maści artyści. Mówiąc krótko, Off stało się miejscem, gdzie alternatywna Łódź, opakowana w czerwoną cegłę, przyciągała barwną bohemę.

Zoja potarła dłonie i oplotła je wokół filiżanki z gorąca kawą. Upiła łyk i popatrzyła na policjanta.

– O czym chciałeś gadać? – spytała cicho.

W odpowiedzi położył przed nią gazetę.

Z pierwszej strony krzyczał czerwony tytuł: „Festiwal Grozy!”. Nieco niżej kolorowe zdjęcie przedstawiało widok Piotrkowskiej podczas Festiwalu Światła. Kadr uchwycono z drona, by dobitniej pokazywał rozmach imprezy, zarówno pod względem liczby uczestników, jak i iluminacji. Pod tym zamieszczono zdjęcie dwóch studentów, którzy odkryli zwłoki w instalacji przy dworcu fabrycznym. Kolejna fotografia ukazywała różowe graniastosłupy na tle ciemnych drzew i policyjnego radiowozu.

Dziewczyna przeniosła wzrok na lead zachęcający do lektury obszernego materiału wewnątrz dziennika i odłożyła gazetę.

– I to wszystko? – Dopiła kawę i odstawiła filiżankę.

– Mało? – zapytał zaskoczony.

– Trup na zabawie to nie powód, żebyś mnie szukał. Przyznaj się, dlaczego tak ci zależy? – drążyła dalej.

– Ta impreza to flagowy koncept miasta… Miała potrwać trzy dni, a przerwano ją po dwóch godzinach. Wizerunek Łodzi i prestiż imprezy są, powiedzmy, lekko nadszarpnięte. A ludzie przestraszeni.

– A ty nagle stałeś się obrońcą naszego Gotham? – Uniosła brwi. – Nie pieprz bzdur.

– Nie o to chodzi – obruszył się. – Władze cisną górę, góra ciśnie nas. Norma. Media mają mięso, więc nie odpuszczają. A urząd chce szybko postawić przed kamerą któregoś ze swoich krawaciarzy i ogłosić całemu krajowi, że zabójca znajduje się w rękach policji, miasto jest bezpieczne, a my bohaterscy – zakpił. – Do tego dobrze by było, gdyby ten świr okazał się przyjezdny. Wtedy nasze kochane miasto umyje ręce i odetnie się od smrodu.

– Mają w tym doświadczenie. Przypomnij sobie sprawę Gruzina Mamuka. Zwłoki dziewczyny porzucone przy Stawach Jana martwiły i szokowały, ale gdy się okazało, że do zabójstwa doszło w hotelu pracowniczym, pełnym pracowników ze Wschodu, nagle jakby kamień spadł wszystkim z serca. To był teren obcych. Niczym ambasada.

– Dokładnie. Mieszkańcy Łodzi kryształowi. Zło przyszło z obczyzny. – Napił się kawy. – Ale jak już przy tym jesteśmy. Obie te sprawy są nieco zbliżone. – Zastukał palcem w gazetę.

– Hm – mruknęła.

– Po pierwsze, ofiara to kobieta, po drugie, przyczyna zgonu, po trzecie… W tle majaczy cień widzewskiej chuliganki.

– Czyli rozumiem, że panna była chłopczycą. – Zoja przechyliła głowę. – A teraz jej niegrzeczni koledzy rzucili się w wir poszukiwań zabójcy?

– No nie do końca, ale…

– W tej sytuacji tym bardziej nie rozumiem, po co o tym rozmawiamy. Chłopcy sami sobie poradzą, kiedy go znajdą.

– Będę obstawał przy stwierdzeniu, że lepiej będzie, jeśli ich uprzedzimy. Tym bardziej, że trzeba im przyznać, że jak się skrzykną, potrafią być solidarni

i skuteczni.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Trzymasz ich stronę, kibolu?

– Poza tym bardzo się myślisz, jeśli chodzi o ofiarę. Ta kobieta była znaną osobą… – mówił dalej.

– Nooo. – Bawiła się filiżanką. – Można powiedzieć, że została gwiazdą wieczoru.

– Zojka, przestań. – Pokręcił głową. – Miała czterdzieści dwa lata i dwadzieścia cztery rany cięte. Sądząc po tym, co… – Zawahał się. – Obawiam się, że on zaatakuje ponownie.

– On, czyli zakładasz, że to koleś. Dwadzieścia cztery ciosy, musiał się namachać. – Zagwizdała cicho. – Ciekawe, czy następny atak będzie równie spektakularny.

– Raczej nie. To rzemieślnik. – Skrzyżował ręce na piersi. – Jeśli chciałabyś się w to zagłębić, chętnie pokażę ci zdjęcia. Myślę, że cię zainteresują, przynajmniej powinny, bo…

– Daruj sobie! – Pokręciła głową. – Nie namówisz mnie. Sorry.

– A jeśli poprosiłby cię o to ktoś, komu ufasz?

– Kardas, przyjechałam tylko po to, żeby sfinalizować sprzedaż mieszkania.

– Co? – Przysunął się bliżej. – Zoja… Dlaczego?

– Kto jak kto, ale ty powinieneś znać odpowiedź na to pytanie najlepiej.

– Rozumiem, że po tym wszystkim chciałaś stąd uciec. I zrobiłaś to, ale miałem nadzieję, że to tylko na chwilę, wiesz, rok, dwa…

– Miałeś nadzieję? – zakpiła. – Ty? Kardas, litości.

– Nie możesz teraz tego zrobić! – wyrwało mu się.

Przyjrzała mu się z uwagą. Ewidentnie miał problem. Odkąd usiedli, nie przestawał potrząsać kolanem, jego podkrążone oczy zdradzały gigantyczne zmęczenie, a wyskubane skórki przy paznokciach stres. Nie pierwszy raz go takiego widziała. Jednak po raz pierwszy wyczuła u niego strach.

Wskazała na gazetę.

– Znałeś ją?

– Ściemniasz? Czy naprawdę nic nie wiesz? – zapytał zdumiony. – Media nie trąbią o niczym innym. O nikim innym – poprawił się. – Po tym, co się stało, wszyscy kojarzą jej nazwisko. Anka znała ją osobiście… – przerwał zakłopotany. – Przepraszam. – Zacisnął usta i potarł czoło.

– A więc to ze względu na nią miałabym wrócić? Wybacz, ale to wybitnie kiepski powód.

– Nie, Zoja… – Chwycił ją za dłoń. – Przepraszam cię. To nie tak. Powód jest taki, że… – Zacisnął usta. – Bardzo mi zależy, żebyś mi w tym pomogła. Bez względu, jaką okazałem się świnią. Nie zostawiaj mnie z tym gównem samego.

– Sorry, skończyłam z tym ponad rok temu!

Cofnęła rękę, robiąc miejsce na talerz, który wreszcie przyniosła do ich stolika kelnerka. Dwie jeszcze gorące bułeczki maślane nęciły zapachem i rumianą skórką. Dziewczyna chwyciła nóż i wbiła go w ciepłe ciasto. Przecięła bułkę na pół i nałożyła na nią masło. Zerknęła na znajomego, po czym urwała kawałek bułki i zanurzyła go w konfiturze z malin.

– Cholernie smaczne – stwierdziła. – Spróbuj. – Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

– Zoja…

– No bierz, nie marudź!

Mężczyzna westchnął, ale dał się skusić. Przeżuwając słodkie ciasto, kiwnął kilka razy głową na znak, że w kwestii smaku przyznaje dziewczynie rację. Uśmiechnął się ciepło. Przez chwilę w milczeniu obserwował dziewczynę.

Taką ją zapamiętał. Spontaniczną, wesołą i nieco dziecinną. W jego jasnej koszuli, w jeszcze jaśniejszym słońcu wpadającym o poranku do jej kuchni. Siedziała na blacie, machała bosymi nogami i wyjadała krem czekoladowy ze słoika. Cmokała przy tym, oblizując palce w taki sposób, by dać mu do zrozumienia, jak zamierza spędzić z nim najbliższe pół godziny. A takich chwil

mieli wtedy pod dostatkiem. Potem wszystko się skomplikowało. Potem on spieprzył temat.

Zamrugał powiekami, jakby chciał pozbyć się wspomnienia. Dopił kawę i odstawił kubek.

– Zoja, ta babka była dziennikarką…

– Nie czytam gazet – odparła.

– Akurat ona pracowała głównie dla telewizji.

– Sprawdziłeś rodzinę?

– Mieszkała sama, nie licząc kota. Dorosła córka przeniosła się do Krakowa. Studiuje na ASP – zrelacjonował bez entuzjazmu.

– ASP. – Pokiwała głową. – Ładnie. Córka artystka powinna lubić koty. Zajmie się nim?

– Zoja…

– No co? Mam ci powiedzieć, co powinieneś zrobić? Zacznij od faceta, długów, laptopa… – mówiła nieprzerwanie. – Jeśli była dziennikarką, to może dotknęła jakiegoś niewygodnego tematu? – Upiła łyk kawy. – Wybory niedługo…

– Zojka, nie rób ze mnie idioty! – żachnął się.

– Posłuchaj, Kardas… Nie unoś się! Twoim zadaniem jest umilić mi czas przy śniadaniu. Nie muszę się wczuwać w twoje problemy. – Uniosła brwi. – Chcesz się wygadać, to gadaj. A jak pytam, to odpowiedz jak człowiek. – Spojrzała na kawałek bułki. – Jesz?

– Jest twoja. – Odsunął od siebie spodek. – Muszę zapalić. – Sięgnął do kieszeni w kurtce.

– Palisz? Nadal? – Zrobiła wielkie oczy. – Ale chyba nie przy dziecku? Tato – uniosła teatralnie głos i wyprostowała się – gdzie twoja odpowiedzialność? Gdzie troska o zdrowie dziecka i jego matki? O przyszłość narodu? – grzmiała kpiąco.

– Ostatnie ostrzeżenie.

– Spoko. To nie moja sprawa… Na szczęście!

– Teraz to już przeginasz. – Popatrzył z niezadowoleniem. Chciał się podnieść, ale zablokowała nogą jego krzesło.

– Dobra, siedź. Będę grzeczna. Jak ma na imię twój syn? – zapytała już poważnie, wgryzając się w bułkę.

– Córka – poprawił ją. – Alicja… – Sięgnął po telefon.

– Nie trzeba! – Uniosła dłoń, szybko przełykając. – Żadnych zdjęć. Na pewno jest ładną dziewczynką, słodką i uroczo się ślini. Wierzę na słowo. – Zamachała palcami nad komórką, którą trzymał.

– Nie miałem zamiaru ci jej pokazywać. Chcę odebrać. – Kliknął w jasny wyświetlacz. – Halo. Poczekaj – mruknął, po czym odsunął aparat za siebie. – Zaraz wracam… – Mrugnął do Zoi. Wstając od stolika, potargał jej włosy.

Machnęła ręką, jakby odganiała muchę, i odprowadziła go wzrokiem. Patrzyła, jak wychodzi przed lokal, jak rozmawia i jednocześnie zapala papierosa. Musiała przyznać, że wciąż dobrze wygląda. Nie należał jednak do teraźniejszości. Nie należał do niej.

Sięgnęła po gazetę i tym razem otworzyła jej środkowe strony. Dziennikarka rzeczywiście była osobą rozpoznawalną, ale raczej nie ze statusem celebrytki. Określano ją jako doświadczoną reporterkę sportową. Jak wynikało z tekstu, w środowisku dziennikarskim uchodziła za rzetelnego eksperta, zwłaszcza od piłki nożnej. Współpracowała z lokalną stacją telewizyjną, ale dostarczała również informacji rozgłośni radiowej i prasie. Jej koledzy po fachu wspominali ją jako ostrą, zdecydowaną w działaniu babkę. Wymagała głównie od siebie. „Mówiliśmy na nią Raca. Bo to był wulkan energii. Dynamiczna i charakterna. I ciągle na stadionie. Pracowała tak, że zdawało się, jakby była w dwóch miejscach naraz. I kochała piłkę. Boże, jak ona kochała futbol”, mówił w artykule jeden z jej redakcyjnych kolegów. Gazeta zapraszała na swoją stronę internetową, gdzie można złożyć kondolencje pod nekrologiem oraz zdjęciem krótkowłosej, uśmiechniętej brunetki. Łodzianie zamieszczali tam chwytające za serce wpisy. Kilka z nich przytoczono na łamach prasy. Zoja przeczytała dwa. Mruknęła coś do

siebie i przyjrzała się czarno-białemu zdjęciu zamordowanej dziennikarki. Kojarzyła jej twarz, ale nie na tyle, by połączyć ją z nazwiskiem w nekrologu. Wioletta Fabiś.

Zoja wykrzywiła usta i chwyciła filiżankę. Nie odrywając wzroku od tekstu, dopiła swoją kawę. Gdy odstawiała naczynie, odruchowo spojrzała w kierunku szklanych drzwi, za którymi jej znajomy kończył palić. Towarzyszył mu mężczyzna w płaszczu. Zoja zamarła na jego widok.

– *Tko rano rani, dvije srece grabi*[1] – powiedziała półgłosem.

Chwyciła za kurtkę i zerwała się z krzesła. Nagle miejsce zdziwienia, jakie wywołała obecność mężczyzny, zmąciła nieprzyjemna myśl. Jedno słowo: zasadzka.

*

Przewinął stronę w internecie i uśmiechnął się do siebie. Sięgnął po leżący obok laptopa telefon, wybrał numer i czekając na połączenie, rozluźnił kołnierzyk koszuli.

– Dobre wieści, kochana – odezwał się, gdy w słuchawce pojawił się znajomy głos kobiety. – Znalazłem ją. Mamy trochę szczęścia i sprzyjającą sytuację. Dlatego trzeba to zrobić z głową. Mam nawet pomysł, jak się do niej zbliżyć, by nie wzbudzać podejrzeń i jej nie przestraszyć. – Podciągnął mankiety, ujawniając fragment tatuażu. – Zaaranżuję wszystko, a w odpowiednim momencie… – Uśmiechnął się znów. – Oczywiście nie wykonam żadnego ruchu bez twojej zgody. Chciałbym jednak zacząć jak najszybciej. Co powiesz na kawę?

– Za pół godziny. Tam gdzie zawsze? – odpowiedziała kobieta. Zerknął w leżący kalendarz.

– Doskonale – przytaknął i się rozłączył.

Zanim wstał od biurka, sięgnął do szuflady po kartkę i nakreślił kilka zdań. Schował list do koperty, a tę do wewnętrznej kieszeni karmelowego płaszcza. Rozejrzał się po swoim gabinecie, przeczesał palcami włosy i wyszedł, zamykając

za sobą drzwi. Przechodząc obok recepcji, poczuł zapach świeżych kwiatów. Intensywny i wyrazisty.

*

Zwyczajowo rozłożył ramiona, by uściskać ją na powitanie. Jego szczupłe długie ręce z łatwością ją objęły. A ona jak zwykle musiała wspiąć się na palce, by zminimalizować wyraźną różnicę wzrostu.

– Wincent. – Zoja uśmiechnęła się serdecznie.

Nie musiała mówić nic więcej. Po jednym jego westchnieniu, które pojawiło się gdzieś między uśmiechem a jej imieniem, zrozumiała, że coś zaprząta mu głowę. Coś ciąży mu na sercu. Od razu zgadła, że to ona jest źródłem tego zmartwienia. I bardzo się jej to nie podobało.

Usiadła z powrotem na swoim miejscu i patrzyła. Kelnerka zapytała go o rodzaj kawy, a on najpierw pytająco zerknął na Kardasa. Później rozejrzał się po sali.

– Z mlekiem. Bez cukru – odpowiedział głośno.

Kaszkiet, który jeszcze przed chwilą miał na głowie, trzymał teraz w dłoni i wiedziała, że zanim usiądzie, położy go na wolnym krześle. Wiedziała również, że czapkę przykryje płaszcz, ale dopiero po tym, jak palce Wincenta przemkną po połach i zatrzymają się na kieszeniach, by ten upewnił się, że w jednej z nich jest paczka papierosów i okulary do czytania. Uśmiechnęła się do siebie, gdy wszystko przebiegło tak, jak przewidziała.

Poprosiła o herbatę i czekała na to, co miała za chwilę usłyszeć. Wincent usiadł obok niej i przez dłuższą chwilę opowiadał o czymś nieistotnym. Wiedziała, że do sedna przejdzie dopiero, gdy na stoliku pojawi się jego kawa.

– Na ile przyjechałeś? – zapytała.

– Za dwie godziny mam powrotny do Warszawy. – Uśmiechnął się.

– Aha, czyli jak zwykle pojedziesz ostatnim.

– Czas pokaże. – Przejechał dłonią po przyciętych krótko, siwych włosach.

Kilka lat temu zupełnym przypadkiem Zoi wpadło w ręce zdjęcie Wincenta z czasów młodości. Stał z wojskowym plecakiem, a jego czarna czupryna kontrastowała ze skałami w tle.

– A ty? Kiedy wróciłaś? – Przyłożył filiżankę do ust.

– Nie wróciłam. Przyjechałam podlać kwiaty. – Wzruszyła ramionami. – Dobrze wiesz, kiedy.

Napił się kawy i pogroził Zoi palcem.

– Wincent, Kardas się przyznał, że śledził mnie od jakiegoś czasu… – Wskazała głową na milczącego policjanta.

– Oczywiście. Na moje polecenie – przytaknął Wincent. – Gdyby sprawa nie była poważna, nie zaprzątalibyśmy sobie głowy Zoją Sterlak. – Posłał dziewczynie wymowne spojrzenie.

– O! Milutko – prychnęła. – A ja się łudziłam, że to z tęsknoty. Hm… Wincent, wiesz, że cię szanuję, ale pozwól, że zanim zaczniesz, wtrącę swoje zdanie… Skończyłam zabawę w śledczego! Kategorycznie i definitywnie. Było to rok temu. Odeszłam z policji w atmosferze skandalu i niesławy zaraz po tym, jak…

– Widzisz! Mówiłem ci! – Kardas obruszył się, machając z rezygnacją ręką. – Gada się z nią jak z dzieckiem!

– Spokój! – warknął w odpowiedzi Wincent i nachylił się do dziewczyny. – Posłuchaj, Zoja. Nie zawracałbym ci głowy, nie marnował swojego czasu, gdyby sprawa nie była istotna. Ale jest!

– A co, jeśli ja tego nie potrzebuję?

– Wiele mi zawdzięczasz, więc wysłuchasz mnie do końca! – powiedział stanowczo. – Zabójca tej kobiety zostawił śledczym pewną informację. A dokładniej: wiadomość. – Skinął na Kardasa i na blacie stolika pojawiła się złożona na pół kartka. – Zanim jednak ci ją pokażę, musisz poznać kilka faktów. Po pierwsze, widziało ją jedynie wąskie grono. Wszyscy bardzo dbają, by nic nie przeniknęło do mediów. A po drugie…

– Wi, widziałam tyle, że nic mnie nie wzruszy!

Chwyciła za kartkę. Szybkim ruchem wysunęła ją spod jego palców i otworzyła. Zerknęła na zdjęcie i spojrzała pytająco najpierw na Wincenta, a zaraz potem na Kardasa. Obaj milczeli.

– To jakiś żart?

– Nie, Zoju Sterlak. Nikomu tu nie jest do śmiechu – powiedział spokojnym głosem Wincent. – To zdjęcie zwłok wykonane w czasie oględzin.

– Widzę – prychnęła. – Chodzi mi o to, co na nich jest!

– O! I to jest pierwsze sensowne pytanie, jakie zadałaś. – Przechylił głowę. – Otóż… To jest właśnie wiadomość od zabójcy.

– Nie rozumiem! – Pokręciła głową. – Nie znałam tej kobiety. Od roku nie przekroczyłam polskiej granicy…

– A jednak zabójca o tobie wie. I to jest to, co tak cholernie mnie niepokoi. Pytanie zasadnicze brzmi: czy zabójca życzy sobie twojego zaangażowania w jego projekt? Czy może wskazał kolejną ofiarę? Dlatego właśnie postanowiłem natychmiast ustalić, co się z tobą dzieje i gdzie jesteś. A ty nagle ułatwiasz nam sprawę i wracasz. Musieliśmy od razu się z tobą spotkać. Tak, by ten ktoś… – wziął w palce kartkę z wydrukowanym zdjęciem i uniósł ją na wysokość oczu Zoi – …nie zrobił tego pierwszy.

– Doceniam starania.

Ponownie wzięła z ręki Wincenta zdjęcie. Tym razem wnikliwie wpatrywała się w kadr przedstawiający bladą skórę pleców. Pokrywały je krwawe rany, układające się rzędem koślawych liter w nazwisko. Z. STERLAK. Dziewczyna odchyliła w tył głowę, oparła ją o ścianę i przymknęła oczy. Trwała tak przez dłuższą chwilę. Gdy się wyprostowała, Wincent uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Jakieś życzenia?

– Po pierwsze – wystawiła kciuk – pracuję na własną rękę! I sama dobieram sobie ludzi. Chcę mieć ciebie i Kardasa. – Kiwnęła głową w kierunku kolegi, który poruszył się, jakby chciał zaprotestować. Wincent zatrzymał go ruchem dłoni. – Po

drugie – ciągnęła, niewzruszona ich zachowaniem – to ostatnia taka akcja! Zaraz po tym, jak dorwiemy tego dupka, wyjeżdżam! Po trzecie…

– Po pierwsze… – wszedł jej w słowo Wincent. – Kardas w przeciwieństwie do ciebie nadal służy w policji. To jemu przydzielono sprawę Fabiś i to on odpowiada za przebieg czynności. Gwoli ścisłości i przypomnienia, rozlicza go z tego przełożony, a nadzoruje prokurator, więc jak wiadomo, obowiązują go przepisy. Ale! – Wincent uniósł palec wskazujący. – Fakt, że Mariusz przewodzi robocie, daje nam, a właściwie wam, duże możliwości. Swobodny dostęp do dokumentów, wiedzę o zakresie działań policji i o ich strategii. Kardas dużo ryzykuje działaniem na dwa fronty, bo jak wiesz, jest to spore naruszenie regulaminu i nie muszę ci tłumaczyć, co za to grozi…

– Po co mi to mówisz? Przecież wiem…

– A ja wiem, że wiesz, ale wiem też, że masz czasem problemy z subordynacją. Dlatego powinnaś mieć świadomość, jakie konsekwencje Mariusz może ponieść. Poza tym doceń jego gest. – Wskazał na milczącego policjanta. – Mógł się nie zgodzić. Miał wybór.

Zoja zmierzyła Kardasa spojrzeniem.

– W porządku, zrozumiałam, doceniam.

– To świetnie – przytaknął Wincent. – Kwestia numer dwa. Ja będę nadzorował waszą współpracę i w razie potrzeby pomagał na wszelkie możliwe sposoby.

– Od kiedy ABW leży na sercu dobro byłej policjantki? – spytała z rozbawieniem.

– Nie ABW, tylko naczelnikowi jednego z ważniejszych jej departamentów. – Uśmiechnął się.

– Czyli mam odwalić robotę i się was słuchać? – prychnęła. – W zamian za to uratuję swój tyłek.

– Wydaje mi się, że to uczciwa propozycja. – Wincent skinął głową. – Powtórzę pytanie: jakieś życzenia?

– Któryś z was musi mi dać fajkę! – rzuciła.

– Służę – odezwał się Wincent, sięgając do kieszeni płaszcza. – Treasurer Black. Na wyjątkowe sytuacje. – Uśmiechnął się, kładąc na stoliku nierozpakowane pudełko.

Popatrzyła na niego i przygryzła dolną wargę. Za dobrze się znają.

*

Łódź, koniec września 1939 roku

Zaznaczyła ołówkiem miejsce, w którym centymetr krawiecki wskazał równo dwa metry, i sięgnęła po ciężkie nożyce. Sprawnym ruchem odcięła wyznaczony fragment kwiecistego jedwabiu i złożyła na cztery. Położyła go na kontuarze obok kilku szpulek nici i się uśmiechnęła. Klientka, zanim zapłaciła, ujęła róg tkaniny w palce i pochwaliła jej jakość. Wychodząc, zapytała o termin rozwiązania oraz życzyła zdrowia. Jej jasny płaszcz mignął za witryną sklepu.

Gdyby nie świeżo założony szyld z napisem JUDE i gwiazdą Dawida, dziewczyna zza kontuaru mogłaby dłużej podziwiać idealnie dopasowany krój jasnego wdzianka. Z pewnością mogłaby też w porę dostrzec nadchodzących zza rogu ulicy trzech mężczyzn uzbrojonych w drewniane pałki. Mogłaby też usłyszeć ich podniesione głosy, gdyby nie zagłuszał ich turkot maszyn do szycia dochodzący z zaplecza, gdzie pracowali jej mąż i siostra. Ale nie zdołała zrobić nic, poza pojedynczym krzykiem, gdy wystawowa szyba wpadła z hukiem do środka i pokryła posadzkę setką szklanych odłamków. Zazgrzytały pod ciężkimi, męskimi butami.

– Ej, ty! Żydowska dziwko! Opróżniaj kasę! – zawołał jeden z mężczyzn, wymachując pałką, która ostatecznie z hukiem uderzyła o kontuar. Dziewczyna jak oparzona odskoczyła do tyłu i odruchowo położyła dłoń na swoim zaokrąglonym brzuchu. Z przerażeniem patrzyła, jak mężczyźni zabierają wszystko, co znajdowało się w zasięgu ich rąk. Począwszy od pieniędzy, po gotowe sukienki, garnitury, szpule jedwabnych nici, na pozłacanych guzikach skończywszy. Przerwali, gdy z zaplecza wyskoczył mąż kobiety i krzycząc, próbował przegonić złodziei. Mężczyźni popatrzyli na niego z rozbawieniem. Jeden z nich szybkim ruchem chwycił krawieckie nożyce, wciąż leżące obok rozwiniętej beli kwiecistego

materiału, i dopadł do krawca. Złapał jego długą, czarną brodę i mocno pociągnął. Krawiec padł na kolana, a uderzony od tyłu pałką, gruchnął na ziemię. Kobieta zza kontuaru zaczęła płaczliwie krzyczeć. Jej siostra chwyciła ją za rękę i bezskutecznie próbowała zaciągnąć na zaplecze. Udało się jej to dopiero, gdy w ich stronę poleciał korpus manekina do przymiarek. Kukła uderzyła w dębowy regał z towarem. Niezliczona ilość cekinów, guzików i kolorowych koralików rozsypała się po podłodze. Duży niebieski koral potoczył się pod samo wejście i zatrzymał przy podeszwie wojskowych oficerek. Dopiero wtedy pastwiący się nad nieprzytomnym krawcem mężczyźni zauważyli, że w drzwiach sklepu stoi trzech niemieckich żołnierzy. Najwyższy rangą sięgnął po koralik i przyjrzał mu się pod światło. Zapadła grobowa cisza. Przerwały ją trzaski pękających pod ciężarem oficerek, ozdób i fragmentów szyby, zmierzającego w głąb sklepu Niemca. Niewzruszony, minął leżącego w bezruchu krawca, jego wystraszonych oprawców i ich parciane worki z łupem. Przeszedł nad kałużą krwi, w której leżał czarny pęk włosów odciętej brody, i przystanął przy kontuarze.

– Jest tu kto? – zapytał, pukając w drewniany blat. Z zaplecza wyszły dwie zapłakane kobiety.

– Ty. – Wskazał na jedną z nich. – Jak ci na imię?

– Sara – odpowiedziała z opuszczoną głową.

– Dobrze – przytaknął żołnierz. – Popatrz na mnie, Saro! – rozkazał. Gdy podniosła wzrok na jego jasną twarz, lekko się uśmiechnął. – Który to miesiąc? – Wskazał palcem na jej brzuch.

– Siódmy – wyszeptała.

– Siódmy. – Pokiwał z zadowoleniem głową. – Czy możesz podejść tu bliżej? – Pokazał ręką, by stanęła obok niego. Dziewczyna po chwili wahania wykonała polecenie. W ciszy, jakiej nikt nie ważył się zmącić, słychać było jej przyspieszony, płytki oddech. Niemiec tymczasem obszedł ją dookoła i przyglądając się jej od stóp do głów, przystanął znów na wprost niej. – Sara – zaczął. – Chcę, żeby uszyła pani zimowe palto dla mojej żony. Takie jak to, które wczoraj wisiało na wystawie. – Wskazał palcem na zniszczoną witrynę. – To

z lisem. Ma być ciepłe i piękne i co najważniejsze... Ona też za dwa miesiące spodziewa się dziecka. Uszyj tak, jakbyś szyła dla siebie. Chcę, żeby było gotowe za dwa dni – rozkazał.

– Ale... – Kobieta chciała coś powiedzieć, jednak przerażona zakryła ręką usta.

– Zniszczyli wam maszyny? – zapytał, wskazując głową na oprychów.

– Nie – zaprzeczyła i ponownie zalała się łzami. – Ale to Jakub, mój mąż szył tamto... – Wskazała ręką na nieistniejącą wystawę. – Nie wiem, czy sobie poradzę.

Niemiec popatrzył na swoich żołnierzy, a później przeniósł wzrok na mężczyzn, którzy chwilę wcześniej kopali i bili krawca. Teraz stali nieruchomo pod ścianą. Niemiec zbliżył się do nich powolnym krokiem. – Ty! – skinął na jednego z nich. – Jak się nazywasz? – zapytał głośno.

– Barański – odpowiedział szybko.

– Barański – powtórzył Niemiec. – Sprawdź, czy Żyd żyje. – Wskazał palcem na leżącego krawca. Mężczyzna posłusznie przykucnął, dotknął palcami szyi nieprzytomnego i kiwnął potakująco głową.

– Słyszałaś? Żyje. – Niemiec wrócił do kobiety i popatrzył w jej ciemne oczy. – Za dwa dni przyjdę odebrać zamówienie. – Położył na blacie niebieski koralik i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się na chwilę przed trwającymi w bezruchu trzema mężczyznami i raz jeszcze przyjrzał się im z uwagą.

– Zachłanne, głupie Polaczki. – Pokiwał głową i wyszedł, a wraz z nim jego ludzie.

Gdy kwadrans później Sara i jej siostra klęczały przy Jakubie i opatrywały jego rany, przecznicę dalej rozległy się trzy pojedyncze strzały.

*

Musnęła palcami włącznik i sufit sypialni rozjaśniła lampa Artemide Skydro. Kobieta zrobiła skwaszoną minę i rozglądając się po wnętrzu, podeszła do dużego łóżka. Przysiadła na jego brzegu, dotknęła czarnej poduszki i przesunęła dłonią po drewnie loftowej szafki nocnej Gravity. Jej długie czerwone paznokcie kontrastowały z monochromatycznymi barwami wyposażenia.

Zojka oparta o ścianę obserwowała kobietę w milczeniu.

– Ogólnie nie jest źle, pampuszku. – Kobieta wstała i znów się rozejrzała. – Trochę zimno i obco, ale ja się tym zajmę. Jeszcze będzie tu gorąco. – Mrugnęła do Zojki i podbiegła do stojącego w progu, młodszego od siebie mężczyzny. Wbiła się w jego usta, zostawiając na nich ślad swojej krzykliwej pomadki.

Chłopak, lekko onieśmielony, zerknął na Zojkę i uśmiechnął się przepraszająco.

– Z sypialni można przejść bezpośrednio do garderoby i jednej z łazienek – odezwała się Zojka, uchylając drzwi obok. – Chusteczki stoją przy lustrze – rzuciła do chłopaka, widząc, że próbuje zetrzeć wierzchem dłoni resztki czerwonej szminki.

– Ach, tak, dziękuję. – Ruszył we wskazanym kierunku.

Tymczasem jego partnerka przyglądała się tapecie.

– Odstaje tutaj. – Podniosła wzrok na Zojkę, stukając paznokciem w zadziorek na ścianie. – Czy to przez wilgoć?

Zoja poczuła przypływ irytacji. Wilgoć w apartamencie za ponad milion złotych, pod tapetą Inkiostro Bianco. Ta kobieta to kompletna idiotka. Najpierw pytała, czy kanapy w salonie są ze skaju, a krzesła Starcka w kuchni z Ikei. Teraz skubie pazurem przy włoskiej tapecie. Litości. I do tego ta nadęta mina.

Zoja miała dość.

Pochyliła się, jakby chciała bliżej przyjrzeć się zadartej flizelinie, po czym udając zakłopotanie, popatrzyła w pytające oczy kobiety.

– Ojej. Obawiam się, że to nie wilgoć. To raczej robota szczura.

– Słucham?!

– Szczur. Takie zwierzę – mówiła z głupim uśmiechem. – Każdy wie, że w pierwszej kolejności pchają się do luksusowych apartamentowców. Przyciąga je włoski marmur, taki jak ten, którym wyłożona jest klatka schodowa. No i taras z widokiem na pół śródmieścia. W końcu to ósme piętro. Szczury po prostu kochają prestiż! Ale spokojnie. Jak im pani poda drinka z tequili, śpią jak zabite. Wtedy można zadzwonić po tego gościa z recepcji na dole, by wyniósł zwierzątko na złotej szufelce…

– Nie skacz tak wysoko, kochanie, bo rozbijesz sobie główkę – wysyczała kobieta. Zamilkła jednak, czując za plecami obecność swojego chłopaka.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przeskakując wzrokiem po twarzach obu pań.

– Pytałam panią o ten zadziorek. – Tym razem kobieta specjalnie podważyła fragment tapety, robiąc większe rozcięcie. – Oj, przepraszam – powiedziała do Zoi z wrednym uśmiechem. Ale to i tak bez znaczenia. – Machnęła dłonią. – Jeśli się zdecydujemy, to będę chciała tu nieco pozmieniać. – Omiotła wzrokiem sufit. – Różnica gustów, rozumie pani. A pani tu tak sama mieszkała? Tu jest ze sto metrów. – Popatrzyła badawczo na Zojkę. – Kupić to jedno, ale utrzymać taką powierzchnię… W tak młodym wieku? – Ściągnęła usta.

– Ja pani o wiek i zawód nie pytam – wycedziła Zojka i znów skrzyżowała ramiona.

– I słusznie – syknęła. – Pampuszku? – Odwróciła się do chłopaka. – Pokaż mi wannę. – Podeszła do uchylonych drzwi łazienki. – Muszę sprawdzić, czy rzeczywiście jest taka duża jak na zdjęciu.

Zoja zniecierpliwiona zerknęła na zegarek. Nagły dźwięk domofonu uznała za dar z niebios. Piskliwy głos dochodzący z łazienki momentalnie ucichł. Para w ciągu kilku chwil znalazła się w holu. Gdy Kardas wysiadał z windy, Zoja pożegnała potencjalnych kupców mieszkania. I choć nie ociągali się z wyjściem, nie mogła pozbyć się wrażenia, że palce „pampuszka” nieco za długo przytrzymały jej dłoń w pożegnalnym geście. Ale nie dociekała. Cieszyła, że to oglądanie ma za sobą. Zostały jej jeszcze dwa. Tyle że z agencji. Istnieje więc prawdopodobieństwo, że przyprowadzą tu ludzi, którzy poza pieniędzmi mają odrobinę wiedzy i smaku. Kogoś, kto rozumie styl miejskiego szyku i wie, co oznacza „less is more”. A przede wszystkim kogoś, kto chce należeć do tętniącego życiem miasta. Być jego tkanką. Bo apartament przy jednej z ruchliwszych ulic śródmieścia to nie domek z ogródkiem. To zobowiązanie.

*

Kardas rzucił teczkę z dokumentami na olbrzymi biały stół będący łącznikiem pomiędzy półotwartą kuchnią a częścią salonu w mieszkaniu Zoi.

– Masz, czytaj – polecił, po czym podszedł do lodówki marki Smeg, otworzył ją i przez chwilę lustrował zawartość. Zoja obserwowała, jak szybkimi ruchami otwiera kolejno szafki jej kuchni.

Kardas doskonale wiedział, w które miejsce należy przyłożyć dłoń, by gładka płyta meblowa odskoczyła, ujawniając zawartość poszczególnych półek. Znał to mieszkanie doskonale. Tak samo jak Zoję, której początkowo nie przeszkadzały jego poczynania, ale gdy ruszył w kierunku salonu, zaczęła protestować.

– Spokojnie. – Kardas podniósł dłoń, by ją zatrzymać. – Sprawdzam cię tylko. Masz co robić, więc nie trać czasu! – Wskazał na nietknięte papiery.

– Słucham? – Zrobiła wielkie oczy.

– Dobrze wiesz, o co chodzi! Skoro mam z tobą pracować, nie życzę sobie żadnych niespodzianek. Za dużo ryzykuję.

– Nie ty ze mną, tylko ja z tobą! To po pierwsze! – powiedziała podniesionym głosem i szybkim krokiem zbliżyła się do znajomego. – Poza tym nie wiem, o czym mówisz!

– Dobra, dobra. – Pogroził jej palcem i ruszył korytarzem łączącym przestronny salon z sypialnią i pokojami gościnnymi. Zoja pognała za nim. – Kardas, do cholery! – krzyknęła. Wyminęła go i zasłoniła sobą wejście do sypialni.

– Zojka, mam mało czasu, idź zapoznać się z aktami. Nie dostałem ich na własność. – Bez trudu odsunął dziewczynę na bok i wszedł do pokoju. Większą część powierzchni zajmowało duże łóżko. Zoja wskoczyła na nie, próbując zagrodzić Kardasowi dostęp do nocnych szafek przy wezgłowiu łóżka.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Poza tym nie masz prawa… – Przerwała, gdy chwycił za jej ręce. Przybliżył twarz do jej twarzy i popatrzył głęboko w oczy.

– Nie zgrywaj niewiniątka. Dobrze pamiętam twoje zabawy z dragami. Może jednak Wincent powinien o nich wiedzieć. – Przechylił głowę. – Może wtedy

inaczej by to wszystko zorganizował?

– Nic nie mam. Przysięgam – szepnęła.

– Zoja…

Kardas przez chwilę przyglądał się jej, po czym uwolnił jej ręce i przysiadł na brzegu łóżka.

– Swoją drogą, za kogo ty się uważasz?! – krzyknęła, rozmasowując nadgarstki. – Zapomniałeś już chyba, co sam porabiałeś kilka lat temu.

– Nie kojarzę.

– Pieprzenie! – burknęła. – Przypomnij sobie Sopot i swoje nocne popisy.

Kardas odwrócił wzrok. Dłuższy moment walczył sam ze sobą, ale ostatecznie przegrał i wybuchnął donośnym śmiechem. Przysiadł na brzegu łóżka i rwanymi słowami próbował powiedzieć coś na swoją obronę. Nie był jednak w stanie. Dodatkowo rzucane przez Zojkę pojedyncze zdania napędzały lawinę wspomnień.

– Powiem ci, że miło wspominam tamten wyjazd. – Popatrzył na uśmiechniętą Zoję. – Ale teraz jest teraz. Chodź. Robota czeka, a ja nie mam czasu.

– Nie będę cię trzymać. Zostaw mi to. Rano ci podrzucę.

– Aha… Zapomniałbym. – Wsunął rękę do kieszeni. – To od Wincenta – powiedział, kładąc na pościeli telefon.

– Samsung? – Zoja wzięła komórkę do ręki i przyjrzała się jej.

– Najważniejsze, że czysty. Masz wbite dwa numery. Mój i Wincenta.

– Spodziewałam się.

– W kwestii papierów – machnął ręką w kierunku kuchni – nie muszę ci chyba tłumaczyć, co mi grozi za ujawnianie materiału dowodowego.

– Chłosta i spalenie na stosie. – Zaśmiała się, ale widząc jego przestraszoną minę, spoważniała. – Sorry. Wiem, wiem, Kardas… – Zeszła z łóżka. – Jest coś, co mnie straszliwie nurtuje.

– Hm. Co takiego?

– Kierujesz dochodzeniem w sprawie zabójstwa laski, z której pleców zrobiono szyld z moim nazwiskiem. Nikt z twoich ludzi, a moich byłych kolegów, nie

zgłaszał uwag? Nikt nie zapytał, nie skojarzył?

Kardas się uśmiechnął.

– Martwi cię brak rozgłosu? Czy chcesz ocenić poziom ryzyka, jakie ponoszę? – Zakpił.

– Weź. – Pacnęła go w ramię i wyszła z pokoju. Kardas poszedł za nią do kuchni. – Ciekawi mnie po prostu reakcja ludzi – kontynuowała. – Cieszę się, że informacja o wyciętym nazwisku nie trafiła do mediów i że tak skrzętnie jej strzeżecie.

– Wystarczyła pożywka w postaci „ponad dwudziestu ran ciętych”.

– Nie dociekali?

– Po co? Ciało zostało okaleczone, zmasakrowane. Mogą dokładać przymiotniki, ale na tym temat się kończy. Ale rozumiem, że mimo tajemnicy zawodowej interesują cię plotki.

– Ale tylko te, których gwiazdą jestem ja. – Zażartowała.

– To nieco cię rozczaruję. Ciało znaleziono na skwerze nieopodal Fabrycznej…

– Wiem i powiem ci, że cholernie mnie to wkurzyło! – Wycelowała w niego łyżeczką. – Nowe Centrum Łodzi. Nowoczesne, efektowne. Z zachowanym frontem zabytkowej kamienicy – mówiła nieprzerwanie. – Pamiętam, że gdy zobaczyłam ten „sydnejowski” dach dworca… albo elektrownię… Ja naprawdę poczułam dumę. I wściekam się, jak słyszę to narzekanie ludzi, że to utopione miliony, a na dworcu nic się nie dzieje, bo to stacja końcowa, i tym podobne pierdoły. Łódź ma piękną wizytówkę, a ja zajebisty widok. – Wskazała w kierunku tarasu. – Przypomnij sobie, jak tam było wcześniej. Syf taki, że każdy się modlił, by nie dostać nocnego patrolu – mówiła jak nakręcona. – Park rozrywek popaprańców. Obleśna noclegownia dla ćpunów i brudasów. – Wzdrygnęła się. – I do tego jeszcze…

– Zoja! Już… – przerwał jej. – Wróćmy do sprawy. Pytałaś, czemu nikt nie skojarzył cię z napisem na ciele. Fabryczny to rejon jedynki, więc najpierw to oni wzięli się do pracy. Nikt od nich nie zna prywatnie ani ciebie, ani mnie. Co prawda

nie mieli zbyt dużo czasu, by się przyjrzeć sprawie, a tym bardziej kombinować z dopasowaniem literek nazwiska do policjantki z wojewódzkiej…

– Byłej! – podkreśliła.

– Byłej – przytaknął. – Prokurator od razu zdecydował, że lepiej będzie, jak jednak weźmie to komenda wojewódzka, i rzucili to nam. A dokładniej mnie.

Zoja zerknęła na niego i zmrużyła oczy. Przyjrzała się Kardasowi.

– Kłamiesz! Albo coś ukrywasz?

– Ja? – Oblizał usta. – Czemu?

– Bo się drapiesz po policzku. – Wycelowała palcem w jego twarz. – Gadaj! – rozkazała.

– Co?

– Ty już wiesz co! Nazwisko prokuratora? – wypaliła i zerknęła przez ramię na leżące dokumenty. – Który to ciągnie?

– Grzegorczyk.

– Przecież to znajomy Wincenta! – Ożywiła się.

– No tak. – Kardas się uśmiechnął. – Twój zresztą też.

– Znajomy to za duże słowo. Zdarzyło nam się raz pracować.

– W każdym razie Grzegorczyk od razu połączył wycięte nazwisko z tobą. A ciebie z Wincentem i natychmiast poinformował go o znalezisku. – Zrobił palcami cudzysłów. – Reszty się domyśl.

– Hm. – Pokiwała głową.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś. A co gorsza, nie wiedzieliśmy, czy nic ci nie grozi. Wincent zdecydował, że kwestia napisu musi pozostać w absolutnej tajemnicy. Tak by media nie podchwyciły mięsa i nie zrobiły reklamy zabójcy.

– Okej, a jak zareagował nasz, przepraszam, twój szef? Bo skoro dostał robotę i przykaz, by pracował przy tym jego człowiek, boski Mariusz Kardas… – wskazała na niego brodą – …to musiał mnie z tym połączyć.

– Głupi nie jest. Połączył. – Kardas wzruszył ramionami. – Z tym, że niespecjalnie się tym przejął. Takie przynajmniej sprawia wrażenie. Był przy

oględzinach tej babki. Widział cięcia, ale nie komentował sprawy. Zapytał jedynie, czy wiem, co się z tobą dzieje. A ja zgodnie z prawdą, bo wtedy jeszcze to była prawda, powiedziałem mu, że nie mam pojęcia. Że wiem tylko, że wyjechałaś. Przyjął do wiadomości. Na koniec rzucił stwierdzenie, cytuję: „Szkoda Zojki".

– Jasne. – Roześmiała się.

– Zoja, to, co stało się rok temu, podzieliło ludzi. Jedni cię żałują, inni obwiniają. Ale wszyscy, którzy z tobą pracowali, uważają, że straciliśmy dobrego śledczego.

– Dwóch – dopowiedziała.

– Okej. Dwóch. – Z rezygnacją klapnął dłońmi o uda. Nagle podszedł blisko dziewczyny i ujął lekko jej podbródek. Przytrzymał go tak, by widzieć jej oczy.

– Zoja, martwemu ciału życia nie przywrócisz. Żywe ma szansę, by normalnie żyć. Musisz zrozumieć, że jesteś potrzebna, jeśli nie sobie, to innym. – Przełknął ślinę.

– Będzie lepiej, jak już sobie pójdziesz – szepnęła.

– Przyjadę wcześnie rano. Przejrzyj wszystko uważnie. – Wskazał na teczkę. – Możesz czekać ze śniadaniem. – Próbował żartować. Wyprostował się i rozejrzał się po wnętrzu mieszkania. – Naprawdę chcesz się pozbyć tej chaty? – Wskazał naokoło palcem. – Nie szkoda ci? Widziałem tych ludzi, którzy stąd wychodzili, i mam wrażenie, że…

– Jedź już. – Przygryzła usta.

– Na pewno? Bo jak potrzebujesz, to mogę jeszcze kwadrans… – Zerknął na zegarek na nadgarstku.

– Powiedziałam: jedź. – Nachyliła się nad stołem, otworzyła teczkę i pobieżnie przejrzała dokumenty.

Kardas stanął w progu i popatrzył na nią.

– Cieszę się, że się zgodziłaś… – Uśmiechnął się ciepło. – W razie czego dzwoń i pytaj. – Podrapał się po policzku. – Albo lepiej pisz, bo…

– Dziecko śpi, wiem. Cześć – odpowiedziała, nie patrząc w jego stronę.

– Do jutra – odparł i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zoja odczekała, aż jego kroki ucichną, po czym skierowała się na taras i popatrzyła w dół. Kardas wsiadał do samochodu. Zanim odjechał, odebrał od kogoś telefon. Od kogoś, kto najwyraźniej go zdenerwował, bo szybko uciął rozmowę i pełen złości cisnął komórką na fotel pasażera.

Zoja potarła ramiona. Musiała przyznać Kardasowi rację. Żal jej było rezygnować z tego miejsca. I wcale nie ze względu na markowe zasłony czy drogie wyposażenie, ale dlatego, że z tym mieszkaniem wiązały się wspomnienia. Przyjechała tu z Warszawy na parę tygodni w ramach działań operacyjnych policji. Została na kilka lat. Urzekła ją przyjazna atmosfera miasta i fajni ludzie. Szybko się zaaklimatyzowała.

Poznała przyjaciół. Między innymi Kardasa. Początkowo łączyła ich jedynie praca. Po jakimś czasie w garderobie jej nowego mieszkania zawisła jego kolekcja futbolowych koszulek, a w lodówce zagościły napoje izotoniczne, których ona nienawidzi. Lubiła za to wspólne poranne kawy i wieczorne lampki wina na tarasie, gdy godzinami gadali, głośno się śmiali, palili i wpatrywali w migocące światła miasta. I nagle wszystko się skończyło. Tak jakby ktoś, kto do tej pory reżyserował jej życie, jednym klapsem przerwał zdjęcia. Straciła wszystko w ciągu chwili. Jeden błąd. Jej. Zaraz potem jego.

Za mało pokory, za dużo brawury i wiary w nieśmiertelność. Nie było winnych, są sami przegrani. A ściany, od których odbijał się śmiech radosnych, młodych ludzi, nasiąkły jej łzami i nieznośną samotnością. Dlatego uciekła do domu rodzinnego. Do Chorwacji. Kraju, gdzie zawsze świeci słońce. Miała idealne warunki, by zapomnieć o traumach i zacząć od nowa. Tyle że nie bardzo wiedziała, jak to nowe życie ma wyglądać. Zbyt mocno czuła pod skórą, że jakaś jej część utkwiła tu, w Łodzi, w mieście, które pokochała, i którego jednocześnie nienawidziła. Zbyt głośne były wołania demonów przeszłości. Próbowała je zagłuszyć ciągiem imprez, rozmaitymi używkami i drogimi „zabawkami” od ojca.

Trwała w takim zawieszeniu przez ponad rok. W końcu zebrała się na odwagę i podjęła decyzję, że wróci, by odciąć się i pozbyć wszystkiego, co łączyło ją

z Łodzią. Ale Kardas ją zaskoczył. Sytuacja ją zaskoczyła. Zmusiła do pozostania tu na dłużej. A to rozbudziło wspomnienia, nakarmiło demony, które dopadały ją zazwyczaj nocą. Umiała je od siebie odpędzić tylko w jeden sposób. Ten sam, który znieczulał ją, gdy była w rodzinnych stronach. Zdawała sobie sprawę, że na dłuższą metę mógł być dla niej destrukcyjny, ale teraz o tym nie myślała. Miała zadanie do wykonania. Im szybciej się z nim uwinie, tym szybciej będzie wolna. Potarła więc powieki, by zetrzeć z nich niewidzialne łzy nostalgii, i weszła do mieszkania. Zasunęła drzwi tarasu i ruszyła w kierunku stołu.

– Dobra, zobaczmy, co to za *shit* – powiedziała do siebie.

Sięgnęła po pilota i mieszkanie wypełniły dźwięki płyty *Lemonade*. Usiadła na jednym z krzeseł i zatopiła się w aktach sprawy. Czytała, robiła notatki i kopiowała strony. O trzeciej nad ranem uznała, że powinna odpocząć. Zanim jednak się położyła, z regału pełnego książek wzięła nieduże, czerwone pudełko, ozdobione błyszczącym logotypem firmy złotniczej. Miejsce przywieszki, którą dostała od matki na urodziny, zajmowały równo ułożone skręty marihuany. Jej ulubiony sposób na znieczulenie. Zoja wyjęła jednego i zapaliła. Usiadła na stole i raz jeszcze z góry popatrzyła na swoje dzieło. Obszerny blat zasłonił schemat sprawy. Gigantyczny płat papieru wypełniony był wydrukami zdjęć ofiary, skanami dokumentów i raportów. Wszystko opatrzone odręcznymi komentarzami i uwagami. W centralnym miejscu znajdował się czerwony napis Z. STERLAK. Zoja z zadowoleniem wydmuchnęła smugę dymu w jego stronę, a Beyoncé po raz kolejny tej nocy zaśpiewała, że „modli się, by złapać go szepczącego”.

*

Jaśniało, gdy oparty o framugę obserwował spokojny sen córki. Mała poruszyła się, kiedy z czułością pogłaskał ją po główce.

– Po co ją budzisz? – usłyszał za plecami oskarżycielski głos.

Kardas westchnął i wyszedł z pokoju. Kobieta przymknęła drzwi sypialni i ruszyła za nim.

– O której dziś można się ciebie spodziewać? – rzuciła, krzyżując ręce na piersiach.

Kardas początkowo nie odpowiedział. Skupił wzrok na kroplach spływających z ekspresu. Dopiero gdy kubek się zapełnił, sięgnął po niego i odwrócił się w stronę naburmuszonej kobiety. Jej jasne włosy zwisały strąkami, przysłaniając bladą twarz. Podobnie wyglądał szlafrok, który na siebie zarzuciła. Rozciągnięty i sprany. Kardas pomyślał, że takie właśnie barwy ma ich wspólne życie. Mdłe, szare, bez energii. Może z odrobiną czerwieni, za którą czai się napięcie, i żółci pełnej rozczarowania. Jedynym kolorowym punktem tego obrazka była mała istota śpiąca za ścianą. Istota, dla której ostatnio nie potrafił znaleźć czasu, a której chciał dać wszystko, czego jemu życie poskąpiło.

– Powinienem być po południu – powiedział cicho.

– Wczoraj też miałeś być wcześniej! – Uniosła się.

Nic nie odpowiedział.

Wyminął ją, usiadł przy niedużym stole, wyjął z leżącej przed nim paczki papierosa i wetknął między wargi.

– Chyba śnisz, że będziesz tu jarał! – Podeszła i wyrwała mu go z ust.

Był niewyspany i zmęczony. Nie miał ochoty na kłótnie. Co więcej, nie miał na nie czasu. Musiał jeszcze podjechać do Zojki po akta. Podniósł się i podszedł do kuchennego blatu.

– Widziałaś może mój kubek? – zapytał.

– Który? – Przewróciła oczami.

– Termiczny… Wczoraj wieczorem zostawiłem go na blacie. – Popatrzył na partnerkę i nagle zdał sobie sprawę, że zrobił to, owszem, ale w kuchni Zoi. – Dobra, nie było tematu. – Dopił kawę i chwycił leżące na stoliku kluczki od samochodu.

– Mariusz – powiedziała głośno.

– Co? – Kardas spojrzał na nią pytająco.

– Dziś mała ma szczepienie. Potrzebny mi samochód – odparła.

– To dzisiaj? – Skrzywił się. – Ja też potrzebuję auta.

– To weź służbowe! Do cholery, chyba macie tam jakieś na stanie. – Podeszła szybkim krokiem i wyjęła mu z ręki brelok. – Ja pierdolę, o czym ty myślisz? – Zirytowana, zniknęła w sypialni.

– Cholera. – Zerknął na zegarek i wyjął z kieszeni komórkę. – Zojka, mam nadzieję, że nie śpisz – wyszeptał do siebie, pisząc esemesa.

*

Zobaczyła go, jak wychodził z jednego z bloków starego osiedla Zbiorcza. Ziewnęła i włączyła silnik. Ku jej zaskoczeniu Kardas skierował swoje kroki w przeciwnym kierunku.

Nieco skonsternowana, obserwowała go jeszcze przez chwilę, ale gdy zniknął jej z pola widzenia, wybrała jego numer w nowym, tajnym telefonie.

– Kardas, co ty za sztuki robisz? – zapytała, gdy odebrał.

– Nic – mruknął niezadowolony. – Weź podjedź na Suchą, co? Nie chcę, by ktoś widział, jak wsiadam…

– Ktoś? Myślałam, że po bułki drałujesz, a ty się po prostu skradasz! – Zakpiła.

Przełączyła aplikację auta na tryb *street*, by ograniczyć moc silnika, a dzięki temu jak najciszej przemknąć osiedlową drogą. Jechała powoli, omijając zaparkowane w rzędzie samochody. Zgodnie z umową skręciła w boczną uliczkę i przystanęła. Po chwili pojawił się Kardas i zdecydowanym ruchem pociągnął za klamkę drzwi samochodu.

– Żadnego palenia w aucie! – oznajmiła kategorycznie Zoja.

– Nie żartuj… – Przewrócił oczami.

Jednak gdy popatrzył na jej zawziętą minę, odwrócił się, złapał dwa szybkie machy i wyrzucił peta.

– Boże, umówiłyście się czy co? – powiedział, opadając ciężko na fotel pasażera. – Od rana mam bana na fajki.

– Nie rozmawiam z twoją… – spojrzała na Kardasa i się roześmiała – …to się nazywa konkubina!

– Moja matka cały czas mi truje, że żyjemy jak kryminaliści. – Zaśmiał się głośno. – Słowo jest rzeczywiście mocne. A jak to będzie po twojemu? Może jakoś milej?

– Po mojemu? – Zerknęła w lusterko. – Nie chcesz wiedzieć! – Powoli włączyła się do ruchu.

– No wiesz, o czym mówię.

– Chorwaci są w tej kwestii nieco subtelniejsi. Mówią *partnerica*. Czyli partnerka. – Uśmiechnęła się. – Potocznie *cura*. Ale tak czy inaczej twoja Anka jest *neudana*.

– Nieudana? – zapytał rozbawiony.

– *Neudana*. Panna. – Ściągnęła usta.

– Niezłe. *Neudana*.

– Rozumiem, że informację o bliskiej współpracy ze mną trzymasz głęboko w sercu – powiedziała rozbawiona.

– Zważywszy na niektóre wydarzenia i… – Popatrzył na Zoję. – Tak. Na razie. I dobrze by było, żebyś i ty się nie afiszowała. Nie mogłabyś przesiąść się do czegoś mniej hałaśliwego? Dyskretniejszego? Na przykład do jakiejś škody?

– Boisz się zemsty zazdrosnej kobiety?

– Nie, bardziej prokuratora i zawieszenia w służbie. – Popatrzył za okno. Zaczynało padać. – A Ance powiem w odpowiednim momencie. Dziś byłby bardzo nieodpowiedni. – Westchnął. – Chociaż nie wiem, czy będzie kiedyś lepszy. – Zamyślił się.

– Co zamierzasz?

– Codziennie się nad tym zastanawiam. Gdyby nie Alicja…

– Pytałam, co masz dziś w planach – przerwała mu.

– Co? A, sorry…

– Mam cię gdzieś podrzucić czy jak?

– Muszę być na odprawie… no i odłożyć papiery na miejsce. Masz je? – Odwrócił się. Znajoma teczka leżała za siedzeniem Zoi. – Czytałaś?

– Rzuciłam okiem – mruknęła.

– Szkoda, bo to nie jest notatnik, który mogę zabierać do domu, kiedy mi się podoba. Miałaś się dokładnie zapoznać…

– Po pierwsze – wystawiła kciuk i popatrzyła na Kardasa – nie podnoś głosu! Nie znoszę tego i dobrze o tym wiesz! Po drugie – dołożyła wskazujący – patolog. Widziałam w raporcie pieczątkę z nazwiskiem Olgi. Chcę z nią pogadać. Dziś. Po trzecie…

– Patrz na drogę! – warknął. Chciał dodać coś jeszcze, ale zagłuszył go ryk silnika.

– Interesuje mnie jej telefon i laptop… Ofiary, rzecz jasna, a nie patolożki – mówiła dalej Zoja.

– Sprzęt jest u biegłego i nie da rady go tak po prostu… – urwał po tym, gdy Zoja gwałtownie i bez powodu przyhamowała.

– Przepraszam, co mówiłeś? Na kiedy będzie? – Zoja popatrzyła na Kardasa z miną niewiniątka i ponownie docisnęła pedał gazu.

Silnik zawył, samochód przyspieszył, wciskając policjanta w fotel.

– Wariatka… – Kardas poprawił się na siedzeniu. – Postaram się, żeby…

– Hm. Posłuchaj, Mariusz! – powiedziała głośno. – Jeśli dziś wieczorem elektronika nie będzie u mnie, to sama sobie po nią pójdę… – Znów przyspieszyła, by zdążyć na końcówce żółtego.

– Powiedziałem, że się postaram! – wykrzyknął wściekle. – Zwolnij trochę, do cholery!

– Gadałeś, że się spieszysz na odprawę – mruknęła. Zmieniła pas i zwolniła pedał gazu. – Starzejesz się, Kardasku.

– Mam dla kogo żyć.

– Przemilczę – prychnęła i powoli weszła w zakręt. – Dobra. Teraz do rzeczy – oświadczyła, zatrzymując się na czerwonym, na alei Kościuszki. – Wyrzucę cię na

Lutomierskiej przy Piwnej. Przejdziesz sobie. – Zamachała dłonią. – Potem od razu jadę na Sędziowską. Do instytutu.

– Po co ci instytut? – zapytał, sięgając po dokumenty. – Tu miałaś wstępny opis. Wystarczyło uważnie poczytać.

– Właśnie dlatego, że byłam taka uważna, chcę pogadać z Olgą. Spokojnie, już do niej dzwoniłam. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Czeka na mnie.

– Okej. Tylko wiesz, że oficjalnie…

– Zanim nastąpi godzina policyjna i zaczną ją odwiedzać nieproszeni goście, rozpłynę się w powietrzu razem z jej duchami.

Pokonali zakorkowaną Kościuszki, a potem Zachodnią, po czym Zoja zjechała w Lutomierską i po chwili przystanęła na poboczu. Włączyła awaryjne.

– Zadzwonię do ciebie i powiem ci, co dalej. Bardzo potrzebuję chociaż komórki tej kobiety. O co wnioskowałeś do biegłego?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami. – Wiadomości, lista połączeń, zdjęcia…

– Dobra. Sprawdzałeś jej faceta, męża czy kogo ona tam miała?

– Nie miała nikogo na stałe. Ale ponieważ wpadła plotka, że widywała się z jednym gościem, podjąłem temat.

– Kto to? – zapytała szybko.

– Dopiero go sprawdzam. Na razie wiem tyle, że jest właścicielem serwisu samochodowego.

– I…

– Skąd wiesz, że jest jakieś „i”?

– Bo się głupio cieszysz.

– Przemysław B., dość wpływowy, nazwijmy to, działacz klubowy pewnej drużyny piłkarskiej.

– Widzewska chuliganka? – Zoja przygryzła usta, a Kardas skinął głową. – Gadałeś z nim?

– Próbowałem. Nie przyznaje się do znajomości z Wiolettą Fabiś.

– A ty mu nie wierzysz.

– *Si*. – Kardas aż cmoknął.

– No to trzeba go przepytać. Skołuj mi jak najszybciej ten sprzęt! Powiedz Brzeźnemu, że to dla mnie. Chyba nie będzie robił problemów?

– Brzeźny nic nie wie. – Uśmiechnął się z przekorą.

– Nie wie, że wróciłam? – zapytała zaskoczona.

– Nie, i na razie niech tak zostanie – przykazał Kardas. – Załatwię ci wszystko, czego potrzebujesz… Prawie wszystko, tylko nie dawaj nikomu powodów do podejrzeń, że się kręcisz koło tej sprawy. Przynajmniej do czasu, aż ja sobie to wszystko poukładam.

– Zaczyna mnie męczyć twoja ostrożność – westchnęła. – Ale okej.

– Daj mi czas. – Uniósł dłoń, po czym złapał za klamkę drzwi.

– Poczekaj – odezwała się Zoja. Chwyciła swoją sportową torbę i wyjęła z niej odrapany kubek termiczny. – To chyba twoje… – Podała go Kardasowi. – Tylko uważaj, nie wylej. Masz tam kawę.

Zrobił zaskoczoną minę.

– No co? A tu masz swoje śniadanie – oświadczyła, podając mu plastikowe pudełko. – Nie dojechałeś, więc wzięłam ze sobą. Jedzenia się nie marnuje.

– Naprawdę? – Był zupełnie skonsternowany.

– Nooo. – Przewróciła oczami. – Dzieci to wiedzą.

– Miałem na myśli to, że zrobiłaś mi śniadanie.

– Bez podniet. Wczorajsza bułka z twarożkiem i trochę warzyw. I radziłabym ci wywalić ten obleśny termosik… – Wskazała palcem na pobijany kubek. – Zrobiłabym to sama, ale nie wiem, może to jakaś pamiątka rodzinna po dziadku ułanie albo babci stewardesie.

– Dostałem go na imieniny od Anki. – Zaśmiał się. – Dzięki wielkie. – Chciał ją cmoknąć w policzek, ale zdążyła unieść dłoń i go powstrzymać.

– *Ostaviti kći*![2] I zadzwoń, jak będziesz miał sprzęt! – krzyknęła za wysiadającym Kardasem.

Ruszyła łagodnie, zostawiwszy go w strugach jesiennego deszczu. Gdy spojrzała w we wsteczne lusterko, wciąż stał i gapił się na nią.

*

Nabrała powietrza w płuca i wstrzymując oddech, szybkim krokiem pokonała korytarz instytutu. Była odporna na widok zwłok, nawet tych zmasakrowanych i rozczłonkowanych. Ale nie mogła poradzić sobie ze smrodem, jaki się wiązał z pracą przy ciałach. Za każdym razem, gdy przekraczała próg zakładu medycyny sądowej, przez pierwsze minuty walczyła z odruchem wymiotnym.

Przymknęła oczy, złapała płytki oddech i zapukała do jednego z pokoi. W środku czekała na nią około pięćdziesięcioletnia kobieta w przetartym fartuchu i z papierosem w ręku. Sądząc po zawartości popielniczki, nie pierwszym tego dnia.

– Zojka, łobuzie! – Patolożka rozłożyła ręce i wyszła zza biurka.

– Miło panią widzieć. – Zoja pozwoliła się uścisnąć. – Dziękuję, pani Olgo, że się pani zgodziła.

– A jak się miałam nie zgodzić? – zapytała podniesionym głosem lekarka. – Zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam tę wycinankę z twoim nazwiskiem na plecach. – Zaciągnęła się łapczywie papierosem.

Popiół spadł na linoleum, ale patolożka nie zwróciła na to uwagi. Podeszła do czajnika elektrycznego.

– Kawki? – zapytała.

– Podziękuję na razie. – Zoja przełknęła ślinę. – Może po. – Wskazała kciukiem na ścianę. Gdzieś za nią znajdowała się sala prosektorium.

– Rozumiem – przytaknęła Olga. – Siadaj. – Pokazała palcem jedno z krzeseł, a sama usiadła za biurkiem. Zagasiła w popielniczce papierosa i sięgnęła po leżącą przed nią szarą teczkę. – Szczegółowy raport już oddałam. Ale ty nie potrzebujesz kwitów?

– Nie. Ja potrzebuję wiedzieć, co tam się stało.

– No. – Patolożka oblizała usta. – No co tu dużo gadać. Mamy zadzierzgnięcie.

– Tyle to wiem.

– Tak naprawdę to nic szczególnego… – Olga przekartkowała wyniki. – Poza oczywiście twórczością pisaną. Ale to zrobiono już po zgonie. – Zapaliła kolejnego papierosa. – Taki plus, że kobitka się nie męczyła. – Wydmuchnęła w górę dym.

– Nie męczyła… A jakieś ślady walki? Przemocy na tle seksualnym? – Zoja przechyliła głowę, jakby chciała zajrzeć w dokumenty.

– Nie, nic z tych rzeczy. Żadnych śladów biologicznych: ani na ciele, ani w ciele. Żadnych śladów walki. Pod paznokciami też czysto. Nic.

– Czemu się nie broniła? Zaskoczył ją?

– Może zaatakował znienacka. Nie wiem, dziecko. – Strząsnęła popiół do popielniczki i oparła głowę na ręku. – Narzędzia z tego, co wiem, też nie macie.

– Nie – odpowiedziała szybko. – Znaczy: nie mają – poprawiła się.

Olga uśmiechnęła się ciepło.

– Chodź. – Zgasiła papierosa i wstała od biurka. – Pokażę ci ją. Powinnaś coś zobaczyć.

Zoja przytaknęła i zaciągnęła się dymem unoszącym się w pomieszczeniu, jakby ta mieszanka powietrza i spalonego tytoniu miała jej wystarczyć do końca wizyty.

Przeszły do prosektorium. Olga weszła jako pierwsza i zapaliła światło. Zamruczała coś pod nosem i otworzyła chłodnię. Gdy wysunęła szufladę z ciałem, metal zazgrzytał.

Zoja popatrzyła z uwagą na bladą, zastygłą twarz kobiety.

Olga jednym ruchem odrzuciła płachtę, którą przykryto zwłoki, odsłaniając przebiegającą przez środek ciała krwawą linię po sekcyjnym cięciu.

– No i co, kochana. – Olga założyła rękawiczki. – Sama klasyka. – Podała Zoi drugą parę. – Bruzda na szyi, wybroczyny krwawe i tu… – wskazała na martwe oczy – …i w błonach śluzowych. – Obróciła lekko głowę ofiary w prawo i lewo. – Wewnątrz to samo. Wylew w mięśniach, w tarczycy. – Podniosła wzrok na Zoję. –

Zmiażdżone chrząstki krtani. Obrzęk płuc. Książkowy przykład. To się stało nagle. Krew była płynna, dlatego tak duży był jej ubytek. Spłynęła, gdy ciało zawieszono na tej instalacji.

– Wiem, czytałam. – Zoja pokiwała głową. – Ktoś zlecił toksykologię?

– Będzie za tydzień, może dwa. – Olga uśmiechnęła się lekko. – Czemu ci to przyszło na myśl?

– Nie broniła się – odpowiedziała Zoja. – Nie miała siły czy świadomości?

– No właśnie. Chyba wszyscy tak myślimy. To samo powiedział Kardas – stwierdziła patolożka, a Zoja odpowiedziała jej uśmiechem. – No dobra. – Klasnęła w ręce. – Druga część pokazu, bo czas nas goni. – Popatrzyła na wiszący w sali zegar.

Wskazywał dwadzieścia po ósmej. Lekarka odwróciła ciało kobiety na bok, by Zoja mogła zobaczyć plecy ofiary.

– O *fuck*! – wyrwało się Zoi. – Na żywo wygląda to gorzej. – Przesunęła palcami po nierównych liniach ran.

– Gorzej?

– Bardziej przekonująco. Inaczej niż na zdjęciach. Może pani już opuścić.

Olga ułożyła równo ciało kobiety, przykryła je materiałem i zamknęła w chłodni. Dopiero zdejmując rękawiczki, spostrzegła, że Zoja ma w oczach łzy. Podeszła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

– Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to dorwać tego skurwiela – szepnęła.

Zoja przygryzła usta i pokiwała głową, co miało być jednocześnie obietnicą i podziękowaniem.

Godzinę później łapała oddech na zimnych płytkach, po tym jak w zawrotnym tempie przepłynęła dwadzieścia długości basenu. Tak jakby ten morderczy wysiłek miał zdjąć z niej ciężar odpowiedzialności i zagłuszyć podszepty wewnętrznego demona. Głos, który przypominał, że już raz poniosła klęskę. Popełniła niewybaczalny błąd. Było to w dniu, gdy jej pewność siebie i nieuwaga sprawiły,

że pozwoliła odebrać sobie broń. Zapłaciła za to Magda. Jej policyjna koleżanka. I to najwyższą stawkę.

*

Łódź, 11 listopada 1939 roku

Powietrze przepełniał smród spalenizny. Nad dachami śródmiejskich kamienic unosił się czarny dym. Jakub, jak wielu innych, wczesnym rankiem przybiegł na ulicę Spacerową, by na własne oczy zobaczyć, co zostało z Dajczeszil. Oboje z Sarą nie spali tej nocy, ale nie mieli odwagi, by wyjść z mieszkania. Słyszeli jedynie od sąsiadów, że Niemcy podpalili i zbezcześcili Wielką Synagogę, dar łódzkich fabrykantów.

Co prawda ani on, ani Sara nie byli na tyle majętni, by dostąpić zaszczytu przekroczenia progu tego świętego miejsca, ale w ich sercach było ono niepodważalnym i najważniejszym symbolem ich religii w tym mieście. Jakub owinął szczelniej szal wokół szyi, zasłaniając przy tym również usta i nos. Gdy stanął na przeciwległym rogu ulicy, zastygł, porażony widokiem czarnych ruin, wokół których kręcili się żołnierze, i z zadowoleniem patrzyli na swoje dzieło. Nie mógł uwierzyć w ogrom tragedii. Jego oczy, podrażnione dymem, wypełniły się łzami żalu.

Trwał tak przez dłuższą chwilę, gdy nagle poczuł, że coś wbija się w jego plecy. Odwrócił głowę i wstrzymał oddech. Zza lufy karabinu patrzyły na niego ziejące nienawiścią, błękitne oczy młodego mężczyzny. Jakub powoli uniósł dłonie na znak poddania i intensywnie się zastanawiał, na czym polega jego przewinienie. Młody Niemiec tymczasem rozkazał mu dołączyć do grupy podobnych mężczyzn zapędzonych pod ścianę najbliższej kamienicy. Jakub bez słowa posłusznie wykonał polecenie. Stanął obok wyższego od siebie człowieka i czekał, co będzie dalej. W myślach miał obraz Sary i ich dziecka, którego nie będzie mu dane zobaczyć. Przymknął oczy i zacisnął dłonie w pięść.

– Panie Jakub – usłyszał szept za swoimi plecami. Miał ochotę się odwrócić i sprawdzić, kto ze znajomych znalazł się w tej nieszczęsnej grupie, ale odczekał, aż młody Niemiec odejdzie na bezpieczną odległość.

– Panie Jakub, to ja Izaak. Jubiler. – Teraz poczuł, że ktoś chwyta go za rękaw płaszcza. Odwrócił głowę i uśmiechnął się na widok starego złotnika. – Pana też chwycili? – Izaak zdawał się nie przejmować zagrożeniem. Przepchnął się bliżej Jakuba, tak by bez skrępowania widzieć jego twarz. – Panie Jakub, pan się nie boi. Oni nas do roboty potrzebują. Ja znam ten ich szatański język, ja słyszał, co oni mówią. Pomnik Kościuszki chcą zniszczyć. A same są leniwe świnie i dlatego łapią.

– Kościuszki? Na placu?

– A coś pan nie wie nic? – Izaak aż uniósł ręce. – Oni od kilku dni próbują. Myśleli, że to łatwiejsze będzie. Że nogi tylko podpiłują i padnie. A tu guzik, panie. Dlatego wysadzać musieli. A i tak nie dali rady za pierwszym razem, to dalej próbują.

– Straszne to wszystko, co się tu dzieje – wtrącił ktoś z boku. – Co oni z ludźmi robią? Z nami, z Żydami.

– Straszne, straszne. Jak nasza Rada nic nie zrobi, to nas zniszczą – odezwał się ktoś inny.

– Tylko którzy? Bo teraz to nie wiadomo, kto gorszy – powiedział Jakub. – Nie dalej jak dwa miesiące będzie. Polaki mi zniszczyli zakład. Rozkradli...

– Panie, coś pan, Radę Starszych aresztowali. Rumkowskiego tylko oszczędzili – rzucił ktoś, nie kryjąc oburzenia.

– Sami go wybrali, to po co by mieli go zamykać! – odpowiedział Izaak.

– Cisza! – rozległ się niemiecki rozkaz.

Jakub popatrzył na zmierzającego w ich stronę Niemca w obstawie kilku uzbrojonych żołnierzy. Dowódca stanął na wprost grupy mężczyzn i w dwóch zdaniach streścił, czego od nich oczekuje. Następnie wydał polecenia swoim podwładnym, po czym wsiadł w samochód i odjechał. Kwadrans później Jakub i mężczyźni, których zebrano z okolicznych ulic, rozkuwali i rozwiercali cokół pod pomnikiem Kościuszki. Jakub martwił się o pozostawioną w domu żonę i co rusz zerkał na zegar ratusza. Z każdą upływającą godziną monotonnej, ciężkiej pracy czuł, jak opada z sił, a strach o Sarę coraz bardziej zatruwa mu głowę. Spojrzał na swoje pokaleczone i drżące z wyczerpania dłonie. Wiedział już, że jeśli wyjdzie z tego cało, to przez najbliższe dni nie nawlecze nawet igły. Nagle na jego szczęście

niemieccy saperzy podjęli decyzję o przerwaniu prac i ponownym wysadzeniu pomnika. Jakub nie zwlekał ani chwili. Zwłaszcza że nadarzyła mu się okazja, której nie zamierzał przegapić. Wśród ludzi krążących po placu powstał jakiś rwetes. Jakub zszedł z drabiny i zaczepił jednego z młodych chłopaków, który akurat przebiegał nieopodal, by zapytać, co się dzieje.

– Żydów wieszają na rynku! – krzyknął młody, a jego kolega szarpnął Jakuba za rękaw. – Niech pan biegnie z nami, to pan zobaczy! Trzech Żydów!

Jakub rozejrzał się na boki, postawił kołnierz i odczekał chwilę, aż kolejna grupka osób zbliży się do niego na tyle, by niezauważony mógł się w nią wmieszać. Z opuszczoną głową wtargnął nagle pomiędzy pokrzykujących ludzi. Nie chciał oglądać egzekucji, ale nie zamierzał też pozostać na placu. Czuł, jak ze strachu pulsują mu skronie. Modlił się w duchu, by nikt go teraz nie dostrzegł i nie rozpoznał. Gdy tłumek przeszedł przez plac, Jakub szybkim krokiem wszedł w jedną z bram. Nie zwalniając, przebiegł przez podwórze, by znanym sobie przejściem przemknąć pomiędzy drewnianymi komórkami i wyjść na ulicę Zachodnią. Huk wysadzanego pomnika Kościuszki dobiegł go, gdy skręcał w Zieloną. Do domu wrócił, dygocząc z zimna i strachu. Jednak największe przerażenie wzbudził w nim kobiecy krzyk rozchodzący się echem po klatce schodowej, a wydobywający się z jego mieszkania. Jakub jak w amoku przeskakiwał po kilka stopni, by jak najszybciej znaleźć się na górze. Wreszcie złapał za klamkę drzwi i wpadł do środka. Na progu drogę zagrodziła mu sąsiadka.

– Nie wchodź tam lepiej! – Zamachała mu pulchnym paluchem.

– Ale pani Orłoska! – zawołał Jakub, starając się ją jakoś wyminąć.

– Idź ty lepiej na dół, do mojego Józka, i bimbru się napij! – przykazała, zaciskając dłoń na jego chudym łokciu. – Dzieciok na świat ino patrzeć jak przyjdzie, idź. Zawołamy cię... – przykazała. Nagle za jej plecami pojawiła się siostra Sary i popatrzyła na Jakuba z groźną miną.

– Gdzie ty się szwendasz cały dzień?! – krzyknęła i zamachnęła się ręcznikiem, który trzymała w dłoni. – Sara od zmysłów odchodzi! Rodzić zaczęła! – wrzasnęła.

– Rodzi? – Jakub czuł, że zaschło mu w ustach. Wyszedł z powrotem na korytarz i usiadł na zimnych schodach. Zakrył uszy i schował głowę w kolanach. Czekał. Gdy hałas ucichł, poczuł na ramieniu dotyk i poderwał się jak oparzony.

– Estera! Co z Sarą?! – zawołał na widok szwagierki.

– Wszystko dobrze. Musi odpocząć – powiedziała łagodnie. Jej złość minęła. – Masz córkę! – krzyknęła z radością.

Jakub chwycił ją za ramiona i mocno ucałował, po czym pobiegł do mieszkania. W chwili, gdy z czułością wpatrywał się w rumianą buzię niemowlęcia, zastanawiał się, jaka przyszłość czeka ich rodzinę.

W tym samym momencie rozmyślał nad tym także nazista Friedrich Ubelhor. Właśnie układał w głowie plan budowy łódzkiego getta.

*

Patrzyły na nią dwie pary zaciekawionych oczu. Z każdą sekundą widać w nich było wzmagającą się ekscytację.

Zoja szeroko otworzyła drzwi mieszkania i uśmiechnęła się na powitanie. Jak dowiedziała się wcześniej, dwoje starszych ludzi, którzy rozglądali się właśnie z zachwytem po obszernym holu, przeżywało miłosne uniesienie, na nowo odkrywając uroki stałego związku. Towarzyszył im agent biura nieruchomości, który snuł się za swoimi klientami jak cień, nie odrywając wzroku od ekranu komórki, jakby to ona wyznaczała mu kierunek.

Ponieważ czas, jaki Zoja mogła poświęcić na prezentację mieszkania, ograniczał się do kwadransa, w iście ekspresowym tempie oprowadziła „państwa młodych” po apartamencie, pobieżnie prezentując jego walory. Kobietę ujął taras i jasna kuchnia, w której już planowała lepienie pierogów z wnuczką na wigilijny wieczór. Zoja tego nie skomentowała. Kontrolowała jedynie, by żadnemu z nich nie przyszło do głowy dotykać stołu albo rozsiadać się przy nim. Pod grubym obrusem, którym zasłoniła blat, krył się bowiem wyrysowany pracowicie schemat sprawy zabójstwa Wioletty Fabiś. I nie był to widok przeznaczony dla obcych oczu.

Dlatego Zoja, oparta o brzeg mebla, postanowiła nie ruszać się z miejsca. W przeciwieństwie do swoich gości, którzy przemierzali kuchnię w tę i z powrotem.

Mężczyzna pogładził żonę po włosach i szepnął jej do ucha coś, co sprawiło, że rozpromieniała. Zerknął przy tym na Zoję i ruszył w jej kierunku.

Od razu wyczuła, co się święci. Pełna irytacji, posłała piorunujące spojrzenie agentowi. Niestety na próżno. Ten wciąż tkwił w wirtualnej rzeczywistości swojego smartfona.

Starszy pan nie zamierzał marnować okazji i przeszedł do działania.

– Ja bym chciał to załatwić tylko z panią. Tak bez pośredników – wyszeptał, gestykulując. – Skorzysta pani. Załatwimy to z pomocą mojego syna. Nikt się nie zorientuje.

– Nie ma pan wrażenia, że to nieco nieuczciwe? – rzuciła zaczepnie Zoja.

Teraz poczuła już złość. Na rozmówcę, ale przede wszystkim na agencję. Wychodziła bowiem z założenia, że nie po to angażowała biuro nieruchomości, by teraz musieć słuchać o transakcji na boku.

– Każdy ma prawo do zmiany decyzji i szukania tańszych rozwiązań.

Starszy pan wydał się rozczarowany jej postawą.

– Staszku – przerwała mu jego żona. – Ja to bym chciała, żeby ten stół… – musnęła palcami powierzchnię obrusa, a Zoja cała zastygła – …stanął w tamtej części salonu. Damy tam jeszcze ten zegar po mamusi.

– Kochanie, za chwilę. – Mężczyzna upomniał małżonkę. – Pani Zoju… – powiedział i tym razem to on zerknął na agenta, który nagle jakby otrzeźwiał. Chłopak schował telefon i zbliżył się do Zoi.

– Jakieś problemy? – zapytał, przeskakując wzrokiem po zebranych.

Starszy mężczyzna prychnął, markując rozbawienie.

– W moim wieku problemy są normą. – Klepnął się w pokaźny brzuch. – Przepraszam. Powinienem raz jeszcze zajrzeć do toalety – oświadczył i nie czekając na pozwolenie, wyszedł z kuchni.

Gdy kilka minut później wraz z żoną i agentem opuszczał mieszkanie Zoi, mrugnął porozumiewawczo.

Nie zareagowała. Pożegnała gości i skupiła się na wibrującej w kieszeni komórce.

– Zoja, Wincent mówi – usłyszała po drugiej stronie.

– Wiem. Wyświetlasz się.

– Nie zwalnia mnie to z zachowania dobrych manier – wyjaśnił, co sprawiło, że Zoja się uśmiechnęła. – Jak idzie? – zapytał. – Jakieś wieści?

– Na razie układam sobie wszystko. – Podeszła do stołu, złapała za obrus i go ściągnęła. Tak jakby dzięki temu Wincent mógł zobaczyć jej dzieło. – Wstępny rekonesans.

– Potrzebujesz czegoś? – spytał, czemu towarzyszył delikatny świst.

Zoja od razu zorientowała się, że Wincent pali.

– Na tę chwilę chyba nie… – Przystanęła przy oknie i spojrzała na teren przed budynkiem.

Wszystko tonęło w deszczu. Nagle pojawił się tam Kardas. Z kolorową reklamówką w ręku biegł prosto do wejścia, z którego właśnie wytaczało się małżeństwo z agentem nieruchomości.

– Mariusz na razie daje radę. Przynajmniej się stara. – Uśmiechnęła się.

– Dobrze. Informuj mnie, gdybyś na coś wpadła…

– Jasne. Kończę, bo muszę wpuścić zmokniętego Kardasa. Przywiózł mi nowe skarby do przejrzenia. U ciebie też tak pada?

– Cały dzień – mruknął. Zaciągnął się kolejny raz i nagle jego głos się ożywił i spoważniał. – Zoja, proszę. Bądź czujna i ostrożna. I nie zapominaj o intuicji.

– Wiem, wiem. – Podbiegła do drzwi wejściowych i uchyliła je.

– Kardas mówił, że masz czym się bronić…

– Mam, mam. Ale dzięki za zainteresowanie. Wiesz co, zadzwonię do ciebie jakoś… – Zerknęła w kierunku klatki schodowej, z której dobiegał odgłos zbliżających się kroków, więc szybko się pożegnała.

Odwrócona tyłem do wejścia, przeglądała w telefonie listę odebranych widomości. Jedną z nich wysłał Kardas pół godziny temu z informacją, że niedługo będzie.

– Niedługo – mruknęła kpiąco. – Nie czaj się, tylko właź! – rzuciła przez ramię, gdy poczuła na progu czyjąś obecność.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku kuchni. Rzuciła telefon na stół. Kliknęła włącznik w czajniku, sięgnęła do szafki po puszkę herbaty i odwróciła się gwałtownie. Jej ciało w ułamku sekundy przeszedł dreszcz. Znieruchomiała i przez moment przestała oddychać. Dopiero po chwili dotarło do niej, kim jest wpatrujący się w nią człowiek.

– Jezus, Maria! Co pan tu robi? – zapytała roztrzęsionym głosem.

– Przepraszam najmocniej… – odezwał się spłoszony – …ale sama pani powiedziała, żeby wejść… – Zakłopotany wskazał kciukiem za siebie, na korytarz.

Zoja przełknęła ślinę i na chwilę przymknęła oczy.

– Mam dla pani przesyłkę. – Chłopak podniósł w górę pęk kilkunastu róż. – Pani Sterlak? – Ostrożnie położył kwiaty na blacie, w drugiej ręce ściskając blankiet pokwitowania.

– Boże, a co to za okazja? Kto panu to zlecił? – Zoja ściągnęła brwi.

– Tam jest bilecik – powiedział zmieszany chłopak.

Zoja jak w amoku rzuciła się na kwiaty. Przerzuciła kilka gałązek i wyjęła spomiędzy nich niedużą kopertę.

„Bardzo przepraszam za nasze zachowanie w czasie odwiedzin w pani apartamencie. Wiem, że moja kobieta bywa ekscentryczna. Proszę nie nosić urazy. Z poważaniem M.R.”.

– Matko, że też ktoś zaprząta sobie głowę z takiego błahego powodu. – Zoja pokwitowała odbiór.

– Dziękuję i przepraszam teraz ja, że narozrabiałem – odparł skruszony dostawca. – Głupio to wyszło.

– Trochę sama jestem sobie winna. Byłam pewna, że to mój… – Zawahała się, tym bardziej że w progu kuchni stał Kardas i przyglądał się im w milczeniu.

Chłopak, idąc za jej wzrokiem, zerknął na Kardasa i widząc wzbierającą w nim złość, zrozumiał, że ma kilka sekund, by opuścić to mieszkanie. Nie czekał.

– Miłego wieczoru dla państwa – rzucił na odchodne już z przedpokoju.

– Porozmawiamy o tym, co tu przed chwilą zaszło??! – wykrztusił z siebie pełen złości Kardas zaraz po tym, jak zamknął za chłopakiem drzwi.

– Z tym młodym? Nic nie zaszło, bo przyszedłeś. – Zażartowała.

– Zoja…

– Co Zoja? – Uniosła ręce w błagalnym geście. – Gość przyniósł kwiaty. Wszystko w temacie.

– A co by było, gdyby przyniósł też broń?! – Kardas podszedł bliżej. – To nie było za mądre! Jesteś na celowniku jakiegoś świra i ot tak wpuszczasz obcego faceta. – Rozejrzał się i podniósł leżący na blacie nóż kuchenny. – A jakby władował ci kosę?!

– Kosę? On? No proszę cię.

– To czemu miałaś pełne gacie, jak go zobaczyłaś?

– Nie przesadzaj. – Pokręciła głową. – Nic się nie stało!

– Ale mogło! – powiedział śmiertelnie poważnie. – Zoja, czy ty nie rozumiesz? Jeden głupi błąd i cię nie ma! – Wycelował w nią palcem. – A to był megaduży błąd.

Widząc jej obojętną minę, czuł, jak narasta w nim złość. Nagle nie wytrzymał i z impetem uderzył pięścią w blat.

– *Fuck*! Zojka! Kto to, kurwa, w ogóle był?!

– Uspokój się! – upomniała go. – I nie niszcz mi rzeczy, bo nie jesteś u siebie! Po pierwsze, to przypadek. Po drugie, wiedziałam, że zaraz tu będziesz, po trzecie, poradziłabym sobie z takim kogucikiem!

– Nie no, oczywiście. – Zagryzł wargi. – Wiesz co? Ja mam dosyć. Dzwonię do Wincenta.

– O Jezu, przestań się nakręcać! – Doskoczyła do niego i wyrwała mu telefon. – Rozmawiałam z Wincentem chwilę temu!

– Co mówił?

– Pytał, czy jesteś dla mnie miły. Bo inaczej naśle na ciebie kogoś dużego.

– Taaa. – Kiwnął głową.

– Kardas… – Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu. – Wyluzuj, bo zwariujesz. Cały się telepiesz z nerwów. Kurczę, co się dzieje?

– Nic – mruknął.

– Nie przejmuj się tym młodym. To dostawca kwiatów.

– Zauważyłem. Od kogo są?

– Od tych ludzi, którzy tu byli. Chłopak z taką kocicą. Oglądali mieszkanie. Mijałeś ich przecież. Pamiętasz?

– No, kojarzę. – Wyprostował się i nabrał głęboko powietrza. Po chwili przyniósł z holu mokrą reklamówkę.

– Masz swój sprzęt.

– Ej! Czy mnie się zdaje, czy wlazłeś tu w buciorach?! – zakrzyknęła dziewczyna, wskazując na jego mokre adidasy.

– No – mruknął z głupią miną.

– Ja pierd… – zasyczała pod nosem.

Chwyciła kwiaty, wstawiła je do zlewu i popatrzyła na Kardasa.

– Jeszcze tu stoisz?! – zakrzyknęła. – Zasuwaj z powrotem i ściągaj je! – Popatrzyła na mokre ślady na białym, gładkim parkiecie, jakie Kardas zostawił za sobą, i zaklęła.

– Mopa z łazienki przynieś i wytrzyj po sobie!

Słyszała, że ją przedrzeźnia, ale nie odpowiedziała.

Wyjęła z reklamówki telefon i niedużego laptopa. Do zestawu dołączona była koszulka z dokumentami. Przyjrzała się przedmiotom i zdecydowała, że najpierw

zajmie się komórką. Wcisnęła przycisk, by ją włączyć, gdy w kuchni znów pojawił się Kardas. Stał boso. W ręce trzymał kopertę.

– Jak tak dalej pójdzie, zamiast sprzedać mieszkanie, to męża znajdziesz – oświadczył, kładąc przed nią kopertę.

Zoja ściągnęła brwi.

– A co to jest? Twoje CV? – zażartowała. – Sorry, ale nie skorzystam.

– Marzenie ściętej głowy. – Odwrócił się i zaczął wycierać podłogę.

Zoja przewróciła oczami i zajrzała do koperty. Znalazła w niej odręcznie zapisaną kartkę oraz elegancką wizytówkę kancelarii adwokackiej. Przebiegła wzrokiem po krótkim tekście i głośno westchnęła. „Szanowna pani, spotkajmy się przy dobrej kawie w kancelarii mojego syna i omówmy warunki sprzedaży. Czekam na telefon. Stanisław Woźniak”.

– I co, pójdziesz na dobrą kawę? – zapytał Kardas. Odstawiając mopa.

– Nawet nie skomentuję twojego chamstwa.

– Jestem śledczym. Łowcą i myśliwym – odparł dumnie.

– Jesteś wścibskim łajdakiem.

– A ty krętaczem. Powiedziałaś, że nie miałaś czasu, i tylko rzuciłaś okiem na papiery. – Wskazał na zapełniony blat. – A tym czasem zrobiłaś z tego wystawę.

– Schemat – poprawiła go. – W przeciwieństwie do ciebie lubię porządek.

– Jakie wrażenia? – Wskazał palcem na blat.

– Takie, że musiałam odreagować spotkanie z Wiolettą F. i porządnie się zmęczyć na basenie.

– Kim? – Skrzywił się.

– Ofiarą. – Zamachała telefonem, który przyniósł Kardas. – Byłam w instytucie zobaczyć ciało.

– A, no tak. Rozumiem.

– Patrzyłeś już na to? – Skierowała wzrok na laptopa.

– Pobieżnie. – Wyjął z koszulki kartki i zaczął je wertować. – Dużo zdjęć i plików Worda i Excela. Większość to materiały przygotowywane pewnie do

prasy. Opisy spotkań, tabele, rokowania wyników i komentarze w sprawie decyzji i zarządzania daną dyscypliną. Sport i sport. – Ziewnął przeraźliwie.

– Nic podejrzanego? Nic, co cię zaskoczyło? – zapytała.

– Na pierwszy rzut oka nic.

– A telefon? Bo ja tu widzę potężną galerię zdjęć. Ale one wszystkie takie… no nie wiem, profesjonalne. Pościągane z neta. Dziwne pozy ludzi, na innych przedmioty… Prawie wszystkie czarno-białe. Patrz. – Podsunęła mu komórkę i zaczęła przerzucać fotografie.

– Takie mocno artystyczne. Nie wiem, nie znam się na tym. Może lubiła takie? – Kardas wzruszył ramionami.

– Może. Ale poza nimi są jeszcze inne. Tego to już nie wiem. Tu budynek, tu ktoś tyłem, tu środek ulicy. Jakieś takie bez sensu – powiedziała zdegustowana. – Co z tym gościem, z którym się spotykała?

– Temat nieco utrudniony. – Kardas potarł nos. – Kręcili ze sobą, to pewne. Numer jego komórki widnieje na liście połączeń. Często w ciągu dnia, nigdy po dwudziestej.

– Wcześnie chodzi spać?

– Zaraz po dobranocce – zakpił. – Po dwudziestej kontaktowali się przez wiadomości. Głównie Messenger. Ale i tradycyjnie, esemesy lub ememesy. I to nie codziennie. Raczej sporadycznie.

– Żona – skwitowała Zoja. – Nie ma jej obok w ciągu dnia, więc można swobodnie nadawać z kochanką, wieczorem słodki mąż i tatko. Zmieniał karty w telefonie?

– Teraz można mieć dwa numery w jednym aparacie. Przełącza się tylko karty. Nie trzeba ich już przekładać. Złote czasy.

– Ty musiałeś… – wyrwało jej się. – Gadałeś z nim? – zapytała szybko, by nie brnąć w niewygodny temat.

– Chciałem. Został zaproszony na komendę, by złożyć zeznania. Stawić się stawił. Ale odmówił zeznań. Hardy skurwiel. Od progu rzucił, że tylko

w obecności adwokata się odezwie. I że możemy mu skoczyć, bo ma alibi. Z policją nie będzie współpracował, bo taki ma życiowy kodeks. Podpisał papier i poszedł.

– Nie mogłeś go przytrzymać?

– Nie bardzo miałem za co.

– Żartujesz? Sam mówiłeś, że gość się układa z chuliganką, a ty nie znalazłeś powodu do zatrzymania? – Uniosła ręce. – Dżisss…

– Ma alibi na czas zabójstwa. I jeszcze długo po nim. Nie było go w mieście!

– Czyli dupa.

– Czyli – przytaknął. – Mogłabyś zrobić herbatę. Widziałem, że zaczęłaś…

– Ej… A mówiłeś, że ten koleś ma serwis samochodowy, nie? – Wyjęła dwa kubeczki i wrzuciła do nich torebki herbaty. – A twoja Anka? Znała ofiarę…

– Nie na tyle, by tamta jej się zwierzała. – Kardas się skrzywił.

– A jak ja bym się do niego przejechała? Może będzie bardziej rozmowny?

Kardas zerknął na Zoję, rozważając jej pomysł.

– Spróbuj. Aczkolwiek…

– Aczkolwiek zapisz mi adres.

Rozejrzał się. Na jednej z półek regału z książkami, tuż obok czerwonego pudełka po biżuterii, leżał długopis. Kardas wstał, by po niego sięgnąć, a Zoja zamarła. W napięciu obserwowała ruch jego palców, które zawisły nad pudełkiem. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Dopiero gdy Kardas wziął do ręki długopis i wrócił z nim do stołu, odetchnęła.

Stawiając przed przyjacielem kubek z herbatą, pomyślała, że przyrządzenie tego napoju nigdy nie było tak stresującym zajęciem.

*

Zerknęła kontrolnie na swój makijaż. Zwłaszcza na usta, których nie miała zwyczaju malować, a które teraz pokrywała czerwona szminka. Wciągnęła głęboko powietrze. Pachniało Black Opium. Tak jak jej szyja i dekolt. Jak ona cała.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siedemnasta, choć patrząc za okno, równie dobrze mogłaby uznać, że jest środek nocy. Zimno i ciemno. Nienawidziła jesieni. Zwłaszcza tutaj. W Rovinj było zdecydowanie przyjemniej.

Wrzuciła kierunkowskaz i powoli zjechała na parking. Wiedziała, że jej obecność została właśnie zarejestrowana przez kamery na budynku serwisu. Zaparkowała obok błękitnego mercedesa, którego właściciel stanowił jej obiekt zainteresowania. Gdy weszła do budynku, poza miłą dziewczyną z recepcji przywitał ją ciemnowłosy mężczyzna w czarnej koszuli. Spod jego podwiniętych mankietów wystawał fragment tatuażu. Zoja nie przyjrzała się, co przedstawia. Wiedziała od Kardasa, że jest wyrazem solidarności z drużyną piłkarską ze wschodniej części Łodzi. Szeroka złota bransoleta na nadgarstku i silny uścisk dłoni miały świadczyć o sile, statusie i dumie.

– Piękny wóz i piękna kobieta. Przemek Burian. Jestem do dyspozycji – oświadczył mężczyzna, a Zoja uśmiechnęła się, szczerze rozbawiona jego deklaracją. – W czym mogę pomóc? – mówił dalej Burian, taksując ją od góry do dołu.

Zoja nie przestawała się uśmiechać.

– Zazwyczaj jeżdżę do autoryzowanego serwisu. Ale akurat tym razem byłam blisko was. Komputer wskazuje, że skończył się płyn chłodzący kompresor. Myślę, że nie jest to wielki problem, jeśli ktoś z innego serwisu go uzupełni.

– Pewnie, że nie. Zaraz poproszę któregoś z chłopaków. – Wskazał za okno. – To dodge?

– Tak. Challenger hellcat. Z osiemnastego.

– Świetny. – Cmoknął. – Na pewno nie odmówię sobie przyjemności obejrzenia z bliska. Tam jest silnik… – Zmrużył oczy. – Hemi?

– Ponad sześć litrów – rzuciła. – Siedemset siedemnaście koni.

– *Wow.* Szacunek. Trzeba mieć charakter do takiego samochodu. – Burian uśmiechnął się i potarł policzek.

– Dziękuję. Faktycznie, jazda daje dużo satysfakcji, ale i uwalnia niegrzeczną stronę człowieka. Jeśli ktoś ma skłonności do psot, to przepadł. – Uśmiechnęła się niewinnie.

– A pani ma? – zapytał.

Patrzył na nią tak, że Zoja z zadowoleniem pomyślała, że go kupiła.

– A pan nie? – Skrzyżowała ręce na piersiach.

Burian nie wytrzymał jej spojrzenia. Odwrócił głowę do recepcjonistki.

– Kasiu, poproś na parking pana Darka. Niech obejrzy auto. I może kawę pani zrób. Białą, czarną? – Zerknął pytająco na Zoję.

– Podziękuję.

– W takim razie może wyjdźmy na zewnątrz. Kolega zaraz podejdzie. – Wskazał dłonią drzwi.

– Jasne. Dziękuję. – Posłała obojgu szczery uśmiech.

Właściciel serwisu zabrał z biurka komórkę i portfel i ruszył za Zoją.

Nie próbował ukrywać zachwytu, gdy stanął obok samochodu.

– Cudowny potwór. – Obszedł auto. – Pani tym jeździ na co dzień?

– Yhy. – Zoja potrząsnęła głową. – Może chce pan wsiąść, zimno jest, a pan tylko w koszuli.

– Aaaa, ja to ciągle ganiam między garażami a biurem. Przyzwyczaiłem się – powiedział z uśmiechem, ale wsiadł do samochodu. Przesunął dłońmi po kierownicy i przez chwilę przyglądał się wnętrzu. – Cudo. – Zastygł w pozycji kierowcy. Nagle wysiadł i zbliżył się do Zoi. – Na ogół tego nie robię i nie chciałbym, by pani pomyślała sobie o mnie źle. – Położył dłoń na rozbudowanej klatce piersiowej. – Ale może spotkalibyśmy się przy kawie… Dużo lepszej niż ta tam. – Wskazał ręką na okno biura i się roześmiał. – Przekonałbym panią, że dobry ze mnie kierowca. Może pozwoliłaby mi pani poprowadzić tę bestyjkę. Na przykład odwiózłbym panią do domu. – Nonszalancko oparł ramię o dach auta.

– Czemu nie. – Zoja wzruszyła ramionami.

– Naprawdę? To może… Jutro? – Spojrzał na nią badawczo.

Udała, że się zastanawia, po czym uśmiechnęła się serdecznie.

– Chyba okej. Tylko o której i gdzie? Jeśli chce pan się przejechać, to centrum raczej odpada. Dodge najlepiej czuje się na wolności.

– Jasne, jasne. Poza tym to nocne zwierzę. Powiedzmy o dwudziestej pierwszej. Tutaj na placu.

– Tutaj?

– Stąd do autostrady mamy dwa, może trzy światła. Po drodze miłą knajpkę. A wieczorem akurat będę musiał podjechać do firmy. Klient samochód będzie odbierał.

– Skoro tak, to świetnie. – Uśmiechnęła się.

Burian wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Zoi.

– To mój numer. Jak pani na imię?

– Karolina – skłamała.

Wzięła w palce wizytówkę w chwili, gdy pojawił się obok nich mechanik. Burian potarł dłonie, jakby chciał podkreślić przenikające go zimno.

– Zostawiam panią w dobrych rękach. Ja znikam. Obowiązki. – Mrugnął do Zoi.

Odpowiedziała mu przebiegłym uśmiechem, po czym usiadła na miejscu kierowcy i bez entuzjazmu obserwowała mechanika, który pochylał się przed otwartą maską. Gdy po chwili wsiadł do auta, skupił się na wyświetlaczu pośrodku kokpitu.

– Nie wiem, co panią tu sprowadza, ale na pewno nie problem z samochodem – mruknął.

– Ciekawe spostrzeżenie. – Odwróciła się do niego.

– Niech sobie pani da spokój. – Kiwnął głową na budynek biura. – Jest żonaty. Dwójka dzieci na utrzymaniu. Poza tym to łajdak. Ostatnia, z którą się spotykał, gryzie glebę.

– Doprawdy? – Jej brew lekko drgnęła. – Zabrzmiało groźnie. Opowie mi pan?

– A co tu mówić. – Mechanik podrapał się za uchem. – Czytała pani o tej, co ją znaleźli na Festiwalu Światła?

– Coś tam słyszałam.

– No. To była jego kochanka. Ukrywał ten romans. Zwłaszcza przed żoną.

– Co pan powie? – udała zdziwienie i złość. –To niezłe z niego ziółko. – Ściągnęła usta.

Mechanik się roześmiał.

– Dobra rada, bo młodziutka pani jest – powiedział poważnym tonem. – Niech się pani trzyma z daleka od niego. Będzie pani bajki opowiadał i obiecywał złote góry. A żony nigdy nie zostawi, bo cały majątek, firmę na nią przepisał. Oficjalnie bez grosza jest. Lepszy cwaniak. Ale jak się trzyma z łobuzami, to później trzeba kombinować. Kto panią tu przysłał?

– Koleżanka. Auto jej pan Przemek naprawiał i…

– On? On to klucza w ręku trzymać nie umie – zakpił. – Bejsbola to i owszem. Jedno mu przyznać trzeba. Posłuch ma, dobrze się bije i nieźle płaci.

– Myśli pan, że on tę babeczkę zabił? – zapytała półszeptem, jakby ktoś miałby ich podsłuchiwać.

– Nieee… – Skrzywił się. – Nie sądzę. Oni się przyjaźnili. To nie była jakaś pierwsza lepsza młódka. – Zerknął na Zoję. – Przepraszam. Niech pani źle nie zrozumie… – Zamachał ręką.

– Nie, nie, nie gniewam się, niech pan mówi dalej. – Spanikowała, że mężczyzna zgubi wątek.

– Pani Mariola, żona Buriana, to ona ich ze sobą poznała. A oni jak takie węże za jej plecami. – Zacisnął pięść. – Ta dziennikarka to za piękna nie była. Pani Mariola to, wie pani, inwestuje w siebie. Piękna kobieta i jeszcze tu coś poprawi, tam coś podciągnie. Elegancka. Wieku pani nie odgadnie. A tamta nie. Taki typ chłopczycy. – Skrzywił się lekko. – Ale widać coś mieć w sobie musiała, że szef na nią poleciał.

– Poleciał – prychnęła. – Jakoś nie widać, by mu było przykro po jej śmierci. Na randkę mnie jutro chce wyciągnąć…

– Mówię, że pani młoda, to życia nie zna. – Roześmiał się. – To żonaty facet jest. W żałobie nie będzie chodził. Ale jednak go ruszyło. Po tym, jak ją znaleźli, to się zamknął w biurze… – Wskazał palcem na górę bocznej ściany budynku. – I pił przez trzy dni. Żonie powiedział, że wyjechał z jednym takim do Chorzowa, na biznesy. Trochę prawdy w tym było, bo oni rzeczywiście pojechali, tylko że zaraz wrócili. – Pokręcił głową. – A kiedy on się z panią ustawił?

– Na razie tylko zaproponował kawę – odparła.

– No, no. Od tego się zaczyna. A potem się alimenty płaci.

– Nieee – powiedziała z łagodnym uśmiechem. – O samochód mu chodzi. Spodobał mu się i tyle.

– Akurat.

– Mojej koleżanki nie podrywał.

– Widać koleżanka nieciekawa. A samochód mógłby przecież w ciągu dnia… Coś kombinuje. Szczwany lis. A pani Mariolka przez tego swojego pożal się Boże mężulka i te wszystkie młode: nerwy w strzępach. Noce przepłakane! Przez takie właśnie! – Złapał za klamkę i wysiadł.

Poszedł w stronę otwartego garażu, przeklinając pod nosem. Zoja uśmiechnęła się i popatrzyła na leżącą między fotelami wizytówkę.

Godzinę później położyła ją na stole obok komórki Wioletty Fabiś, a sama wsunęła się na blat stołu, by z góry widzieć cały schemat. Powiększył się o nowe zdjęcia. Kilka kadrów, które znalazła w telefonie ofiary, a które zostały wysłane przez Buriana. Wydrukowała je i ułożyła według dat nadejścia. Większość stanowiły artystyczne czarno-białe akty. Profesjonalne i piękne. Jednakże kilka było tak samo bezsensownymi obrazkami jak te, które robiła Fabiś. Ludzie na ulicy, okna budynku, rozrzucone buty.

– Mieliście jakiś klucz, szyfr… – mówiła na głos Zoja, choć nie było nikogo, kto mógłby jej odpowiedzieć. – Tylko o co w nim chodzi? Zazdrosna żona,

niewierny mąż i ta druga… – Przełknęła ślinę. – Ta druga. Ofiara. Żeby to zrozumieć, muszę wejść do gry.

Zeskoczyła z blatu i podeszła do regału. Wzięła iPhone’a i kupiony w kiosku zestaw startowy. Włożyła nową kartę, uruchomiła telefon i wysłała esemesa z wizerunkiem piekielnego kota, będącego logotypem marki jej samochodu.

Odpowiedź przyszła po chwili. Była to emotka z uśmiechem.

– Tylko tyle? – mruknęła z niezadowoleniem.

Wygasiła ekran i już miała odłożyć komórkę, gdy pojawił się sygnał nadchodzącej wiadomości. Esemes przedstawiał widok stołu z ustawionymi na nim szklankami. Niektóre były puste, inne wypełniał jasny napój. Zoja kompletnie nie wiedziała, o co w tym chodzi, ale za nic w świecie nie miała ochoty pozbawić się jedynej szansy na zrozumienie tego rodzaju komunikacji. Zaryzykowała i wybrała jedno ze zdjęć, które znalazła w folderze POBRANE telefonu ofiary. Przedstawiało wnętrze samochodu i dwie dłonie, damską i męską, dotykające panelu radia. Z bijącym sercem wysłała je Burianowi.

Odpisał natychmiast: „Moja intuicja mnie nie zawiodła, Karolino, a twoja mentalność mnie intryguje”.

– Mental! – Zoja pacnęła się w czoło. – Czemu na to nie wpadłam!

Pobiegła do sypialni i chwyciła samsunga, którego dostała od Wincenta. Wybrała numer i czekała na połączenie, przestępując z nogi na nogę.

– *Čovječe, kog vrag radiš*?![3]– krzyknęła.

– Dobry wieczór, Zoi…

– Wincent, szybko! Potrzebuję kogoś, kto zajmuje się mentalizmem. – Wyrzucała z siebie słowa tak prędko, że brakowało jej tchu.

– Spokojnie, co się dzieje?

– Ofiara za pomocą zdjęć komunikowała się z otoczeniem. Na pewno ze swoim kochankiem. Mam dostęp do tej korespondencji i muszę się dowiedzieć, co ona oznacza. Może jego zazdrosna żona… Może tam jest odpowiedź… – Aż się zapowietrzyła.

– Spokój. – powiedział Wincent. – Nie nakręcaj się tak. Daj mi czas. Znajdę kogoś.

– Ale szybko, bo muszę widzieć, o co tam chodzi.

– Jutro, Zoi.

– Ale jutro to musi być rano – urwała.

– Czemu rano? – zagrzmiał.

– Wi, nawiązałam kontakt z kochankiem ofiary. Piszemy do siebie. – Przełknęła ślinę. – Na razie… – szepnęła.

– Na razie? Co na to Kardas?

– Nie wiem. – Przygryzła wargi. Czekała na gromy.

– Jak to: nie wiem? Zoja, nie podoba mi się, że na własną rękę…

– Nie na własną rękę, tylko to wyszło przed chwilą i od razu do ciebie zadzwoniłam – przerwała mu.

Wincent westchnął głośno.

Słyszała, jak zapala papierosa.

– Wi, kończę teraz, a ty organizuj kogoś. Rano powiem o wszystkim Kardasowi.

– Nie wystawiaj się na pierwszą linię.

– Łatwo ci mówić. Kardasa nie wystawię, bo koleś na niego nie poleci. – Zachichotała.

Usłyszała, że i Wincent się roześmiał, ale momentalnie spoważniał.

– Zoja, czy ty go próbujesz uwieść?

– Kardasa? Zwariowałeś?

– Miałem na myśli…

– Aaaa. Przemysława Buriana. To już zrobiłam – zażartowała i wiedziała, że tym razem naprawdę rozjuszy Wincenta. – Świruję!

– Bardzo głupi żart.

– Głupi, bo nie widzę twojej miny.

– Ech – westchnął. – Zoi, teraz na poważnie. Proszę informować mnie o planach i pomysłach. Teraz kończę. Zostajemy w kontakcie.

Gdy odłożyła komórkę, wyciągnęła się na łóżku i przez dłuższą chwilę wpatrywała w sufit.

– Dziennikarka, chuligan, zazdrosna żona i jej informator – wyliczała. – Mentalizm, wycinanka i ta druga. – Podniosła głowę i popatrzyła na wyświetlacz zegarka. Dwudziesta trzecia. – A co na to miasto? – Wstała i przeszła do garderoby.

Kwadrans później taksówka zawiozła ją pod jeden z najbardziej znanych klubów przy Piotrkowskiej. Zapracowana Łódź poluzowała krawaty i zaczęła nocną zmianę. Śródmieście się bawiło.

*

Mimo późnej pory i potwornego zmęczenia nie mógł usnąć. Nie potrafił przestać myśleć. Choć na chwilę oderwać się od negatywnych emocji. Strachu, niepewności, a przede wszystkim poczucia beznadziejności. Anna spała z małą w pokoju obok. Kolejny dzień za nimi. Trudny, pełen frustracji i wzajemnych oskarżeń. Setki razy słyszał, że tylko ona się stara. Dziś usłyszał to po raz kolejny. Może i było w tym ziarno prawdy. Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby tylko kochał Annę… Gdyby chociaż było tak jak na początku, gdy oboje się starali. Gdyby czas, który spędzali razem, był wypełniony wzajemną ekscytacją i radością. Uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak Anka wyciągnęła go na letni koncert do parku źródliska. Liryka i romantyzm. Musieli wyjść po kilku utworach, gromieni wzrokiem natchnionych melomanów, bo Kardas zaśmiewał się w głos z gry flecistów i trębaczy. Anka chichotała razem z nim, podjudzana jego niewybrednymi tekstami. Chwilę później i tak koncert przerwano, bo nad „altaną” rozpętała się burza, a oni znaleźli schronienie w małej, przyjemnej knajpie nieopodal parku. Dobrze się czuł, trzymając ją wtedy za rękę i opowiadając o swoim dzieciństwie. Ale to minęło i Anka nie śmiała się już z jego żartów. Nie słuchała tego, co jej

opowiadał. Ale dała mu córkę, dla której Kardas był w stanie poświęcić naprawdę wiele.

Ekran wyciszonego telewizora rzucał na nieduże wnętrze upiorne światło, podkreślając wszystkie jego mankamenty. Krzywe ściany, pęknięcia na panelach i ten paskudny żyrandol, który Anka przywlekła z designerskiej wyprzedaży.

Kardas zerknął na stertę ciuchów zalegających w rogu kanapy, na pudełko po pizzy i brudne naczynia pozostawione na stole. Ich dom. Dom rodzinny jego córki. Wynajęte czterdzieści dwa metry. Czuł, że się dusi. Siedział sam w pokoju, który nazywali salonem, a który zaczął bywać jego sypialnią.

Podszedł do okna. W świetle latarni mieniły się drobinki deszczu. Ponurą ciszę zakłócił obcy dźwięk. Jakby buczenie dużego owada. Kardas wyciągnął rękę po wibrującą komórkę. W momencie, gdy przykładał ją do ucha, w sypialni zakwiliło dziecko.

– Cholera – szepnął do siebie.

– Słyszę, że nie śpisz – odezwał się Wincent.

– Sorry. Dzieciak mi się obudził.

– No tak. Uroki ojcostwa.

Kardas dobrze wiedział, że akurat na współczucie Wincenta nie ma co liczyć. Wincent był człowiekiem służb. Nie uznawał słabości u siebie i swoich ludzi. A słabością Kardasa była Alicja. O czym Wincent często mu przypominał.

Zerknął na uchylone drzwi sypialni. Pojawiło się w nich światło lampy.

– Słuchaj, kontrolujesz, co się dzieje z Zojką? – zapytał Wincent.

– Tak. – Kardas podrapał się po szyi. By uciec przed hałasem płaczącego dziecka, powlókł się do kuchni. Usiadł na krześle.

– Jesteś pewien? Prosiła mnie o człowieka od technik psychologii…

– Od czego? – zapytał Kardas.

– Mentalizm, przekaz podprogowy, komunikacja obrazem – tłumaczył zwięźle Wincent. – Powiedziała, że potrzebuje konsultacji. Załatwiłem jej kobietę jutro o dziesiątej rano. Zoi bardzo na tym zależało, a teraz nagle nie odbiera.

– Tak? Nie wiedziałem – przyznał Kardas. – Może śpi?

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Może dobrze by było, gdybyś…

– W zasadzie… – Zerknął na przedpokój. – Podjadę, sprawdzę, co z nią. Ale myślę, że nie ma co się niepokoić.

– Nagrałem się jej na pocztę. Prosiłem, żeby oddzwoniła.

– Prosiłeś i nic? – Kardas potarł oczy. Było dla niego jasne, że jeśli Wincent prosił o coś Zojkę, to nie ma opcji, by to zignorowała. Zwłaszcza jeśli chodziło o telefon. – Z tego, co wiem, nie miała nic w planach. Poza tym, że pojechała pogadać z facetem ofiary…

– Cholera, Kardas! Pozwalasz jej na kontakt z głównym podejrzanym?

– Nie ma statusu podejrzanego. A ona się uparła – zaprotestował. – Wiesz, jaka jest.

Podniósł głowę. Wściekła Anna z dzieckiem na ręku stała w progu kuchni. Podeszła do Kardasa i podała mu dziewczynkę.

– Nic mnie to nie obchodzi! – syknęła, widząc jego gest wskazujący na komórkę. – Muszę jej zrobić jedzenie!

– Rozumiem – zamruczał Wincent pod nosem. – No nic. Słyszę, że masz co robić. Może sama się odezwie…

– Zaraz tam pojadę. – Zabujał dzieckiem na boki, odkładając telefon.

– Masz. – Anna podała mu butelkę z mlekiem i ruszyła w kierunku sypialni.

– Anka, no! – krzyknął za nią, widząc, że zostawia mu dziewczynkę.

– Co: Anka? – warknęła. – To jest też twoje dziecko! – Odwróciła się na pięcie.

– Przecież wiesz, że staram się zajmować Alicją, jak tylko mogę. Ale słyszysz chyba, że muszę na chwilę… – Poszedł za nią. – Zobacz, mała już się uspokoiła. Zje i pójdziecie spać. A ja muszę coś sprawdzić. Szef dzwonił…

– Ciekawe, co o tej porze masz do załatwienia? I co miało znaczyć, że ona się uparła i taka jest? – zapytała Anka, biorąc z jego rąk córkę. – Kto taki?

– Świadek. – Zaczął zbierać się do wyjścia.

Migiem wsunął spodnie i zdjął z oparcia fotela bluzę z kapturem. Anka popatrzyła na niego i gdy chciał wyjść z pokoju, stanęła mu na drodze.

– Mariusz… Wiem, że ostatnio nie jest kolorowo, ale to nie znaczy, że jeszcze nie będzie. – Przygryzła wargi.

Kardas popatrzył na jej szklące się oczy. Westchnął i położył dłonie na jej ramionach.

– Muszę tylko coś załatwić i wracam. Obiecuję. – Cmoknął ją w czoło.

– Okej. – Skinęła głową.

Patrzyła, jak wkłada kurtkę i buty. Dopiero gdy złapał za klamkę, odważyła się zadać mu pytanie, które nie dawało jej spokoju:

– Czy to prawda, że Zojka wróciła? – Przełknęła ślinę.

Kardas poczuł, że sztywnieje mu kark. Odwrócił się, dziękując Bogu, że w słabym świetle nie widać, jak twarz mu płonie.

– Zojka? – zapytał. – A kto tak powiedział?

– Nieważne kto, ważne, czy to prawda – dociekała.

– Nie, nieprawda. Zojka nie wróciła do nas do pracy. Zrezygnowała z niej ponad rok temu i z tego, co wiem, nie zmieniła zdania. – Zacisnął szczękę tak mocno, że aż zabolała go głowa. – Idź się połóż. Ona zaraz uśnie. – Wskazał na dziecko.

– Uważaj tam tylko – szepnęła Anna i się odwróciła.

Kardas wyszedł z mieszkania, przeklinając samego siebie. Dojazd ze Zbiorczej na Jaracza, pod dom Zojki, zajął mu niecałe dziesięć minut, podczas których jego myśli krążyły wokół córeczki. Targały nim wyrzuty sumienia, że oszukując jej matkę, okłamuje również ją. Małą, pełną ufności istotę, która z taką radością reaguje na jego obecność. Jedyną, która cieszy się na jego widok. Postanowił, że szybko załatwi sprawę i do niej wróci. Nawet nie będzie wchodził do Zojki. Skorzysta z domofonu.

Jego plan spalił na panewce. Zoja nie odezwała się ani przez domofon, ani z żadnego numeru, na które Kardas dzwonił z uporem maniaka. Siedział w samochodzie i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić. Z pomocą przyszedł mu ochroniarz. Zastukał w szybę i z groźną miną oznajmił o przekroczeniu czasu postoju na terenie należącym do apartamentowca. Gdy Kardas wyjął odznakę i zapytał go o Zojkę, mężczyzna podał mu markę taksówki, korporację oraz godzinę odjazdu.

Tego Kardas obawiał się najbardziej. Ruszył z nadzieją, że odnajdzie Zoję pierwszy. Zanim zrobi to zabójca.

*

To było ostatnie miejsce, które mu zostało. Nie kojarzył już żadnego innego. Właściwie zastanawiał się, dlaczego nie zaczął od tego klubu. Być może powód był banalny. Z tym miejscem wiązały się najprzyjemniejsze wspomnienia ich wspólnego czasu. Było ono jakby wyznacznikiem, symbolem dobrego okresu w jego życiu. W ich życiu. Od tamtej pory omijał ten lokal szerokim łukiem, jakby się bał, że jego bliskość sprawi, że mocniej poczuje swój wstyd lub – co gorsza – tęsknotę.

Zmęczony i wściekły, pstryknął peta, wcisnął ręce do kieszeni i skierował się prosto do wejścia. Na progu przywitał go bramkarz, którego widywał tu przed laty. Był tak samo duży i tak samo gadatliwy. Przybyło mu jedynie tatuaży.

– Mariusz – zawył na widok Kardasa i wyciągnął masywną rękę. – Gdzieś ty się zgubił, chłopie?

– Tu i tam. – Kardas wzruszył ramionami.

– Wbijasz? – Wskazał głową na wnętrze lokalu, z którego dobiegała głośna muzyka, wymieszana z ludzkimi głosami. – Jest trochę ludu, ale swój to swój.

– Właściwie to szukam kogoś.

– Wiadomo… – Bramkarz się roześmiał. – Jest tu tego towaru…

Kardas machnął ręką.

– Pamiętasz taką niewysoką dziewczynę? Ciemne w włosy do ramion, roześmiana, przychodziła tu ze mną.

– Takie imię ma dziwne, nie?

– Zoja.

– No! – przytaknął mężczyzna. – Jest tutaj. Przy barze ją widziałem.

– Naprawdę? Dzięki. – Kardas poklepał łysola po ramieniu.

Musiał się przeciskać między rozbawionymi ludźmi, stolikami, uważając przy tym na kelnerów z tacami. W rogu lokalu mieścił się półokrągły bar, przy którym roiło się od gości. Na jednym z wysokich krzeseł siedziała Zojka. Intensywnie gestykulując, rozmawiała z barmanką. Co chwilę któraś z nich wybuchała śmiechem.

Kardas podszedł i stanął za plecami Zoi. Przez moment ją obserwował, a gdy dopiła resztkę ciemnego napoju i poprosiła o kolejną porcję, postanowił wkroczyć. Kiedy kobieta postawiła przed Zojką szklankę, uprzedził przyjaciółkę i przechwycił jej drinka.

– Co jest?! – zawołała oburzona Zoja, gwałtownie odwracając się za siebie. Widok Kardasa tak ją zaskoczył, że tylko otworzyła usta.

– Który to? – zapytał, wąchając zawartość.

– Dziesiąty, mamo – rzuciła Zojka i zaczęła się śmiać.

Kardas pokręcił głową i odstawił drinka na blat.

Zoja od razu wzięła szklankę do ręki.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Przyjechałem sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Zadanie wykonane, świetna robota. – Wycelowała w niego palcem. – Jesteś wolny.

– A ty wstawiona. Zapraszam do samochodu – Złapał ją za rękę.

– Poczekaj! – krzyknęła – Pamiętasz Doris? – Wskazała na uśmiechniętą barmankę. – Wszystkich zna, wszystko wie. Istna Wikipedia! – Zaśmiała się.

Kardas posłał barmance uśmiech. Odpowiedziała machnięciem ręki.

– Zojka, chodź! – Pociągnął dziewczynę za rękę. – Odstawię cię do domu.

– Bo? – Spojrzała na niego zaskoczona. – Jeszcze nie skończyłam. – Przyłożyła szklankę do ust i się napiła.

– Wincent próbuje się do ciebie dobić. Nie odbierałaś, więc przysłał mnie! – Wyjął z kieszeni komórkę i wstukał wiadomość.

– Boże, to ja już nie mogę nawet wyjść?

– Nie będę ci teraz tłumaczył, co powinnaś, a czego nie. Oboje wiemy, o co chodzi.

Machnęła dłonią, jakby chciała go odpędzić. Nagle się ożywiła.

– Wiesz, kogo przed chwilą widziałam? – Upiła kolejny łyk. – Tę laskę, która oglądała moje mieszkanie. Kojarzysz?

– Nie bardzo – rzucił w pierwszym momencie.

Po kilku sekundach zerknął na Zojkę tak wymownie, że ta zrozumiała, że zaskoczył.

– Tę od tego młotka od kwiatów? – zapytał.

– Tak. Dlaczego od młotka? Młody, przystojny, dobrze wychowany. – Zachichotała.

– On też tu był? – Rozejrzał się zaskoczony.

– No właśnie o to chodzi, że nie! – Zoja roześmiała się i zabujała na boki.

Kardas przytrzymał jej biodra w obawie, że spadnie z krzesła.

– Hola, hola, koleżko! – Pogroziła mu palcem. Widząc jego minę, cmoknęła go w policzek. – To, że ta pinda tu była, to nie jest takie ważne jak to, z kim wyszła – powiedziała Kardasowi do ucha. – I wbrew pozorom – zachichotała – to też nie był kwiaciarz. – Roześmiała się głośno.

– Widziała cię?

– Nieee. – Zoja się skrzywiła. – Doris mówi, że to latawica jest. Także nie sprzedam jej mojej chatki. – Wzruszyła ramionami. – Przegrała casting. Jedynie szkoda chłopaka. – Pociągnęła nosem.

– Lepiej dla niego, że go tu nie było. Idziemy! – zadecydował Kardas.

Zoja popatrzyła na niego, dopiła drinka i zeskoczyła ze stołka.

– Dawaj! – krzyknęła i mocniej ścisnęła dłoń Kardasa. – Fajny kawałek… – Pociągnęła go za sobą.

Opierał się i próbował ją zatrzymać, ale nawet nie wiedział, kiedy znalazł się między tańczącymi ludźmi. House'owy remiks hitu Madonny rozbrzmiewał donośnie, a Kardas nie potrafił się wydostać z tłumu. Zojka, nie spuszczając z kumpla zaczepnego wzroku, tańczyła i bezustannie się śmiała.

Kardas wiedział, że ta radość to po części działanie alkoholu, jednak nagle poczuł, że jej zazdrości. Że chciałby, by ta euforia udzieliła się także jemu. By na chwilę o wszystkim zapomnieć. Zamknął oczy. Wiedział, że przyjdzie mu za to zapłacić, ale po kilku minutach nie miało to już znaczenia. Potrzebował tego oderwania. Odrobiny szaleństwa. Miał wrażenie, że muzyka się nie kończy, i bardzo mu się to podobało. Wyszli z klubu, gdy dochodziła trzecia nad ranem.

Przez całą drogę powrotną Zoja starała się opowiedzieć o spotkaniu z Burianem w jego warsztacie, o wszystkich swoich spostrzeżeniach i pomysłach. Ponieważ jednak co jakiś czas przekręcała słowa, mieszała chorwacki z polskim i chichotała, Kardas nie wyciągnął z tej rozmowy żadnych wniosków. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że czas spędzony z Zojką zapadnie mu w pamięci jako kolejne niezwykle przyjemne wspomnienie.

*

Łódź, początek marca 1940 roku

Przytuliła mocno córkę i z bijącym sercem weszła do niedużego, pustego pomieszczenia. Brudne ślady na ścianach dokładnie wskazywały wcześniejsze rozstawienie mebli i sprzętów, z jakich korzystali poprzedni lokatorzy. Polska rodzina z trójką dzieci. Tyle o nich wiedziała. Wyprowadzili się przed dwoma dniami i na zabranie swojego dobytku mieli zdecydowanie więcej czasu niż ona i Jakub. Podeszła do okna i wyjrzała przez brudną szybę. Widok rozciągał się na szare podwórze. W oddali widać było strzelisty dach kościoła

Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Dziecko zakwiliło, gdy z jej oczu spłynęło kilka łez na jego buzię. Poczuła dotyk na ramionach.

– Będzie dobrze. To tylko na chwilę. Jak się uspokoi, to wrócimy do siebie – szeptał jej do ucha Jakub.

Skinęła głową, choć nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Jakub przytulił ją i rozejrzał się po prawie pustym mieszkaniu. Dawni mieszkańcy zostawili po sobie podstawowe sprzęty. Stół, krzesła, łóżko. Jakub miał nadzieję, że najpóźniej jutro wróci do poprzedniego mieszkania i zabierze resztę ich rzeczy, które wzięła na przechowanie pani Orłoska. Najważniejsza była maszyna do szycia. Jedyny Singer, jaki udało mu się ocalić po tym, jak Niemcy odebrali im zakład. Dziś mogli wziąć ze sobą jedynie małą walizkę najpotrzebniejszych rzeczy. Noc przespali skuleni na łóżku, przykryci kożuchem Jakuba. Mimo że napalili w niewielkiej kozie, dokuczało im wdzierające się zewsząd zimno.

Obudziły ich krzyki i walenie do drzwi. Jakub zerwał się na równe nogi i pobiegł do korytarza, który dzielili z inną żydowską rodziną. Uprzedził go jednak jeden z synów sąsiadów, i gdy Jakub stanął za jego plecami, ten przekręcał już zamek w drzwiach. Kiedy je uchylił, do środka wpadł zdyszany chłopiec. Na widok Jakuba rozpłakał się głośno. Złapał za jego rękę i potrząsając nią, łkał wniebogłosy. Dopiero silne szarpnięcie Jakuba sprawiło, że na chwilę się opanował.

– Mame... – wyjęczał. – Niemce...

– Co?! – Jakub znów silnie szarpnął chłopakiem, widząc, że ten się rozkleja. – Mówże!

– Niemce przyszli na Piotrkowską, tam gdzie mieszkaliśmy i tate...

– Co tate?! Zabrali go?! – krzyknął przerażony Jakub. Chłopiec pokręcił głową.

– Nie żyje. Zabili go! – Zapłakał przeciągle. – I mame też.

Jakub przyciągnął chłopaka do siebie i mocno przytulił. Sam patrzył nieobecnymi, pustymi oczami na postać chudego sąsiada przyglądającego się całej scenie i czuł, jak wzbiera w nim złość. Nagle przyklęknął przy chłopcu.

– Natan, jak to było?

Chłopiec wytarł nos w rękaw krótkiej kapoty i nabrał powietrza.

– Przyszli z karabinami i kazali się wszystkim wynosić natychmiast! A tate na nich nakrzyczał, że się nie zgadza. Że to nasz dom, a mame ma kaszel i na dwór nie może wychodzić. I wtedy... – załkał. – ...Niemiec uderzył tate karabinem w głowę. I tate się przewrócił na stół. Krew mu leciała... – Wskazał na skroń. – I ten Niemiec do niego strzelił. Mame wypchnęła mnie do drugiego pokoju i zaraz po tym ją zabili. Ja uciekłem przez okno na ten daszek komórki pana Golberga. Pobiegłem do was, ale tam pani Orłoska powiedziała, że was nie ma. Że teraz tu mieszkacie. Kazała mi zostać u niej na noc. Kakało mi zrobiła.

– Kogoś jeszcze zabili? – zapytał Jakub, pocierając czoło.

– Tak. Dużo ludzi. Pana Izaaka, tego co miał córkę bez oka. I ją też. Wszystkich, którzy nie chcieli wyjść z domu albo za wolno się pakowali.

– Chodź. – Pociągnął go za rękę. Weszli do mieszkania. Sara na widok chłopca dopadła do niego i zaczęła go przytulać. Sama miała oczy czerwone od łez.

– Niech on tu zostanie – powiedział do żony, po czym wyszedł z mieszkania. Wcisnął ręce w kieszenie i ruszył w kierunku mieszkania rodziców. Nie doszedł daleko. Niemieckie wojsko odcięło fragment ulicy i zablokowało do niej dostęp. Ze wszystkich stron przetaczały się grupy ludzi wyrzuconych ze swoich domów. Z niewielkim dobytkiem podążali w kierunku Bałut i powstającego getta. Jedna z kobiet dźwigająca na plecach chustę wypełnioną rzeczami na widok Jakuba podbiegła do niego i złapała go za rękę.

– Uciekaj, Jakubie! Oni nie żyją! – zakrzyknęła. – Nie ma tu czego szukać.

– Pani Eleonoro, pomogę pani. – Jakub złapał za jej tobołek i ruszyli za pozostałymi. – Wszystko rozkradają. – Rozpłakała się. – Kto się opierał, nie żyje. Twój ojciec się odgrażał, że nie da się wyrzucić...

– Słyszałem... Ale nie mogę ich tam tak po prostu zostawić... – Pierwszy raz tego dnia zaszkliły mu się oczy.

– Oni wszystkich zabierają. Nie wiem dokąd, ale te mieszkania mają dać swoim. Najpierw ogołocą z tego, co cenne... – Rozpłakała się. – Pamiątki po mojej matce... Porcelana, obrazy. Nic nie mogłam wziąć. – Pokręciła głową. – Trochę złota jedynie udało mi się w stanik włożyć i pieniędzy. Reszta to bety, trochę jedzenia.

– Z pieniędzmi nie jest tak dobrze, jak źle jest bez nich. – Jakub pokiwał głową. – Gdzie teraz idziecie? – zapytał.

– Do bratowej. Ona na Marysinie mieszka. Tam podobno spokojnie na razie. Nie wiem, co lepsze. Co oni z nami zrobią, Jakubie? – Zapłakała.

– Nie wiem. – Splunął na ziemię.

– Rada rabinów namawia na zamkniętą dzielnicę. Na Lutomierskiej ponoć przydziały rozdają – powiedziała bez przekonania.

– Rozdają. My dostaliśmy. Sara się upierała, żeby uszanować nakaz. Żeby w drogę nikomu nie wchodzić. Jej siostra też wczoraj przyjechała. Piętro niżej ma pokój. – Wzruszył ramionami. – Dziś przybiegł Natan.

– Natanek?! – Złapała się za policzek. – Nie zabili go?! Dziękować Wszechmogącemu! – Uniosła dłonie. Doszli do skrzyżowania i kobieta wskazała Jakubowi dorożkę. – Daj. Dalej pojadę. Stąd na Marysin daleko. – Wzięła od niego swój tobół i pożegnała błogosławieństwem. Jakub patrzył, jak odjeżdża. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że on i jego bliscy powinni zrobić to samo.

*

Była na tyle głęboko, że nie dosięgały jej promienie słońca. Z każdym ruchem ramion robiło się coraz ciemniej i zimniej. Znała to miejsce. Podwodny, skalisty wąwóz ciągnął się w nieskończoność i stawał się coraz węższy. Gdy sunęła jego korytarzem, ostre brzegi skał raniły jej ciało. Nacinały niczym skalpele. Zaczynało brakować powietrza, a w jej uszach pojawiła się symfonia delikatnych dzwonków. Mimo to wciąż parła przed siebie. Nie czuła bólu. Nie czuła strachu. Pochłaniała ją głębia. Teraz czekała na to, co nieuniknione. Na błysk. Sekundowe odbicie światła od metalu. To, od którego wtedy odwróciła wzrok. Wyciągnęła rękę w nadziei, że zdoła go wyprzedzić. Musiała zejść niżej. Znów naprężyła mięśnie i tym razem poczuła pod palcami zimno metalu. Zdążyła. Przypływ ulgi, a zaraz po nim nastąpił huk i jasna flara przecięła ciemną wodę. W miejscu, gdzie zgasła, pojawiła się twarz Magdy. Trupio blade usta układały się w szyderczy uśmiech.

Zoja zerwała się z krzykiem. Była sama. W cichej, ciemnej sypialni. Na środku swojego wielkiego łóżka. Roztrzęsiona. Łapała powietrze jak ryba wyrzucona z wody, wciąż jeszcze miotając się między rzeczywistością a resztkami koszmaru. Zmysły zaczynały dochodzić do głosu. Pojawił się ból głowy, a żołądek zacisnął się niebezpiecznie. Zoja położyła się na wznak i wpatrując się w jasny sufit, porządkowała myśli. Najpierw te świeże. Senne, makabryczne wizje. Po chwili włączyła się pamięć i pojawiły się obrazy z wczorajszego wieczora.

Zdała sobie sprawę, że za jej samopoczucie odpowiedzialny jest nie tylko koszmar senny, ale wlewana w siebie szklankami whisky. Chciała rozejrzeć się po pokoju, ale nie miała siły i odwagi podnieść głowy. Zamknęła oczy. Pod powieki momentalnie wdarła się zniekształcona twarz Magdy.

Nie chciała jej widzieć. Ani odbierać komórki, która wibrowała na nocnej szafce. Ten dźwięk drażnił jednak Zoję tak bardzo, że początkowa myśl, by zignorować połączenie, zniknęła niemal natychmiast. Dziewczyna wyciągnęła rękę w kierunku telefonu. Na wyświetlaczu widniały dwie litery. Ich widok od razu postawił Zoję do pionu.

– Wi… – powiedziała zachrypniętym głosem. Szybko zrozumiała, że podniesienie głowy było kiepskim pomysłem. Natychmiast opadła na poduszkę.

– Zoju Sterlak, masz kwadrans na doprowadzenie się do porządku – stwierdził poważnym tonem Wincent.

– Yhy – jęknęła.

– Umówiłem cię z ekspertką od przekazów podprogowych. Jak mało kto zna się na mentalizmie. Potrafi bezbłędnie analizować zdjęcia, filmy, ogólnie sztukę i wyciągać z niej to, co dla oka zwykłego odbiorcy jest niedostrzegalne. Będzie na ciebie czekała w lobby Puro.

– Czekała? – Zoja potarła powieki. – Postaram się – wydukała. – Wi… Przepraszam, że wczoraj nie oddzwoniłam. Zostawiłam telefon w domu…

– Posłuchaj, normalnie bym cię za to opieprzył – powiedział rzeczowo. – Ale po pierwsze, to nie jest dobry moment, a po drugie, Kardasowi potrzebny był taki

zastrzyk powietrza. Wiesz, co mam na myśli. A w tej chwili tylko proszę dorosłą kobietę, by była roztropna.

– Jestem – rzuciła i od razu pożałowała.

– To cholernie interesujące! – zagrzmiał. – Fakt, że Kardas szukał cię po całym mieście, jakoś za tym nie przemawia! Tak samo jak to, że zastał cię samą i kompletnie pijaną w zaplutym barze.

– Nie barze, tylko klubie, i nie byłam… – Przygryzła wargi. – Dobra. Nie było tematu. Sorry, więcej nie będzie takich akcji…

– Powtarzam ci po raz kolejny: masz się nie narażać! A teraz miłego dnia, Zoi. Nie spóźnij się. Dane tej ekspertki wyślę ci w esemesie. – Wincent zakończył połączenie, zanim Zoja zdążyła się odezwać.

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Kardasa, ale przeszkodziły jej w tym dwie rzeczy. Brak czasu i nagły przypływ torsji.

*

Zoja nabrała powietrza i zacisnęła powieki. Czuła się fatalnie. Nie pomógł jej ani prysznic, ani kawa, do której przełknięcia się zmusiła. Wypadła z taksówki i pobiegła do drzwi hotelu Puro. W ich szkle zerknęła na swoje odbicie. Wyglądała adekwatnie do swojego samopoczucia.

Długowłosa blondynka siedziała w fotelu i sączyła sok grejpfrutowy. Pierwsze, na co Zoja zwróciła uwagę, to białe conversy. W połączeniu z markowym kostiumem świadczyły o niesztampowym podejściu nie tylko do mody, ale i życia. Zoja poczuła złość na samą siebie, gdy kobieta odwróciła głowę i spojrzała w jej kierunku. Przenikliwe, mądre spojrzenie, lekki makijaż. Ona mogła pochwalić się dziś jedynie kacem, dziurawymi dżinsami i zmęczoną, bladą twarzą. Skórzana kurtka przykrywała zagniecenia na wyjętej prosto z suszarki koszulce polo.

Zoja nie miała pojęcia, ile kobieta wie na jej temat od Wincenta, ale mogła być pewna, że specjalistka spodziewała się kogoś bardziej zdyscyplinowanego.

Gdy podawały sobie rękę na powitanie, wzrok mentalistki zatrzymał się na wilgotnych jeszcze włosach Zoi. Jej prezentowały się nieskazitelnie.

– Daga Kasprzyk – powiedziała rozbawiona. – Myślę, że przyda się pani kawa. – Skinęła na barmankę.

– Zoja Sterlak. Chyba ma pani rację – wybąkała Zoja. Bała się zerknąć na swojego G-Shocka i sprawdzić, ile czasu kazała tej wyrozumiałej kobiecie na siebie czekać.

– Pani Zoju – odezwała się Daga. – Nie będę owijać w bawełnę… za pół godziny przyjedzie po mnie taksówka. Muszę zdążyć na pociąg do Warszawy. Ogólnie rzecz biorąc, mieli państwo dużo szczęścia, że akurat Wincent złapał mnie tutaj. Wczoraj uczestniczyłam w niedużym sympozjum, ale dziś muszę być z powrotem w pracy. – Splotła dłonie i się uśmiechnęła. – W czym mogę pani pomóc?

Zanim Zoja sięgnęła po torbę i wyjęła z niej teczkę, na ich stoliku pojawiła się czarna kawa. Tuż obok filiżanki Zoja rozłożyła plik wydrukowanych zdjęć i obrazów znalezionych w telefonie ofiary. Chciała wyjaśnić kobiecie, w czym rzecz, ale ta ją uprzedziła.

– Helmut Newton – powiedziała, biorąc do ręki jedno ze zdjęć. – Jeden z najlepszych fotografów na świecie. Artysta. Słynie z kobiecych aktów – mówiła, patrząc na Zoję. – Jego prace i prace jemu podobnych… na przykład Szymona Brodziaka, którego zdjęcia tu też widzę, bardzo często używane są w specyficznych mentalnych relacjach. Wie pani, o czym mówię?

– Właśnie nie bardzo. Kojarzę tylko, że to rodzaj gry między partnerami. Sposób przekazywania wiadomości… – Wzruszyła ramionami.

– Niezupełnie, pani Zoju. – Daga założyła nogę na nogę. – Zdjęcia, muzyka… To nie żadna zabawa w psychologię. – Machnęła ręką i się roześmiała.

Zoja pomyślała, że szczerze zaczyna ją lubić.

– Sama mam dyplom z psychologii. – Kobieta upiła łyk soku. – Wolałam się jednak zająć czymś bardziej twórczym i nietuzinkowym. Kocham sztukę i szalenie

zajmuje mnie temat przekazu podprogowego. Skoro mamy tu dużo Helmuta Newtona, to proszę pozwolić, że wyjaśnię pani zjawisko przekazu na jednej z jego prac. – Wyjęła z kieszeni marynarki swojego iPhone'a. Krótką chwilę zajęło jej odszukanie odpowiedniego zdjęcia. Podała telefon Zoi. Kolorowa fotografia przedstawiała pieczonego kurczaka, duży kuchenny nóż i damskie dłonie z lśniącą biżuterią, które rozrywają kawałki mięsa. – Tytuł tej pracy to *Pieczony kurczak i klejnoty Bulgari*. Powstała w dziewięćdziesiątym czwartym jako element kampanii reklamowej.

– Ciekawe – mruknęła Zoja i oddała komórkę. Widok pieczonego mięsa sprawił, że poczuła mdłości.

– Ciekawe jest to, w jaki sposób i dlaczego Newton zestawił te dwa tematy. Obłędnie drogich diamentów i pospolitego kurczaka z grilla. Jakiś pomysł?

– Dziś chyba nie na wiele mnie stać. – Zoja się skrzywiła.

– Okej. Jasne. – Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Otóż… Kochamy bogactwo i zachwycają nas diamenty, choć podświadomie wiemy, że za ich pochodzeniem może kryć się jakaś ciemna strona. Okrucieństwo, czyjeś cierpienie. Martwe zwierzę, nóż i kamienie warte miliony. Rozumie to pani?

– Tak. Teraz to faktycznie jasne.

– Ja jestem osobą, która nie tylko analizuje wykonane już prace, ale sama też biorę udział w projektowaniu podobnych. Chodzi o to, by odbiorca, konsument zapamiętał zdjęcie, produkt czy całą kampanię. – Upiła łyk soku. – Ale wracając do tematu wymiany zdjęć między kochankami. Mentalizm kojarzy się z iluzją i perswazją. W sytuacji, jaką mamy tu… – Musnęła dłonią leżące fotografie. – To jeszcze co innego. Mentalna relacja to rodzaj flirtu. To baza erotycznej komunikacji między partnerami.

– Czyli taka trochę zgadywanka, na co partner ma ochotę?

– To taka, hm, papryczka jalapeño w meksykańskim daniu. Pikantna, lekko paląca, drażni nasze zmysły, a mimo to nadal jej chcemy. Właśnie tego dreszczu. Na tym to polega.

– I rozumiem, że aby do takiej komunikacji doszło, sami zainteresowani muszą posługiwać się pewnym kodem.

– Jak najbardziej. Mentalna relacja to otwarty dialog dla samych zainteresowanych. Ukryty przed innymi.

– I jak to dokładnie działa? – dociekała Zoja.

Zerknęła na widok za oknem. Odrestaurowane, rzeźbione fasady Pałacu Poznańskiego znikały w strugach deszczu. Kilku pracowników muzeum kryło się pod bogato zdobionym daszkiem i łapczywie paliło papierosa. Zoja zamarzyła o treasurerze Wincenta.

– Już tłumaczę. – Mentalistka sięgnęła po szklankę i znów upiła łyk soku. – Owszem, za pomocą zdjęć można przekazać lokalizację, informację na temat na przykład spotkania. To akurat jest pospolite i błahe. Najczęściej robią tak panowie, którzy chcą ukryć randkę przed żoną. – Uśmiechnęła się. – Ale my mówimy o szczególnym przypadku. Gdzie chodzi o intymność, tworzenie aury erotyzmu i perwersji na wyższym poziomie. Jest to gra, ale wyrafinowana. I zazwyczaj ma jasne zasady dla osób, które w ten sposób wyrażają emocje, pragnienia i oczekiwania. Seks i namiętność. Seks i pasja, sztuka, dominacja. Muzyka i seks, wszystko, co prowadzi do wzajemnego porozumienia, do jedności dwóch ciał.

– Kurczę. Przyznam, że temat przekazów podprogowych czy sugestii w reklamie jest dla mnie jasny, ale komunikacji mentalem nie ogarniam. Jeszcze – stwierdziła Zoja. – Mówiąc krótko, ten gość od kurczaka robi na tyle dobre fotki, że inni używają ich jako komunikatora randkowego? – rzuciła nieco kpiąco.

– Helmut Newton. – Kobieta pokiwała głową, a jasne fale opadły na jej ramiona. – Tak. Jego prace to zwykle początkowa faza takiej znajomości, preludium. To klasa wysokiej jakości, świadcząca o poziomie mężczyzny i kobiety, ale… – Uniosła palec. – Taka relacja ewoluuje. Jeśli nie zostanie negatywnie przerwana, to te emocje mogą się rozwijać w kierunku związku, iść w stronę *darkside* albo pozostać w fazie grzecznego, poprawnego romantyzmu.

– Aha… – Zoja z całych sił starała się przyswoić te wszystkie informacje. Mimo dobrego wrażenia, jakie zrobiła na niej Daga, zaczęła wątpić, czy Wincent się nie pomylił. Czy aby na pewno ta atrakcyjna, inteligentna kobieta jest racjonalną ekspertką. Przemknęła jej myśl, że babka jest zwyczajnie nawiedzona. Postanowiła jednak zaufać Wincentowi i dać szansę jego znajomej. – Rozumiem, że wszystko zależy od partnerów. Od tego, czego od siebie oczekują.

– Dokładnie. – Daga wycelowała w nią palcem. – Czy tylko zabawy, igraszki na miesiąc czy na rok. Czy chcą, by ta relacja rozwinęła się i przekształciła w pewien związek. A wtedy jest zjednoczenie dwóch dusz.

– Zjednoczenie? Naprawdę? – Zoja się skrzywiła. – Wierzy w to pani?

– A pani nie? – zapytała z uśmiechem.

– Nie bardzo. Może za dużo widziałam. Zwłaszcza dziewczyn, które mimo że w liceum słabo radziły sobie z matmą, w życiu dorosłym liczą biegle, szczególnie pieniądze swoich partnerów. I tych obecnych, i tych przyszłych. – Zoja nie starała się ukryć złośliwości.

– Liczby rządzą światem – powiedziała szczerze rozbawiona kobieta.

Zoja pokiwała głową i sięgnęła po filiżankę z ciepłą kawą. Ta, choć podła, smakowała jej wspaniale. Teraz pragnęła jeszcze tylko papierosa. Odruchowo zerknęła na wejście do Pałacu. Zacinający deszcz skutecznie przegonił palaczy.

– Ale wracając do tematu, pani Zoju, musi pani pamiętać, że w tego typu znajomościach wykorzystywana jest filozofia drogi świadomego rozwoju. To filozofia duchowa Wschodu. Słyszała pani o Tantrze?

– Słyszałam coś o seksie tantrycznym, ale nie mam pojęcia, o co tam dokładnie chodzi.

– Tantryzm to nurt filozoficzno-religijny popularny głównie w Indiach. Poza wspomnianym seksem – wskazała na Zoję – który w przeciwieństwie do, powiedzmy: zwykłego stosunku, jest powolniejszy, pełen emocji, wyciszenia, dotyku, zawiera się w tym rytualny akt, który ma otworzyć kochanków na przepływ energii seksualnej. Czyli w skrócie nie tylko fizyczność, lecz przede

wszystkim duchowe przeżycie. Oczywiście jest to możliwe tylko wtedy, gdy obie strony są tego świadome.

– Okej. – Zoja sapnęła. – Czyli wracając do naszych kochanków. – Podniosła jedną z fotografii. – Wiemy, że facet jest żonaty, ale wysyła fotki innej. To znaczy, że to w niej odlazł swoją duchową przewodniczkę?

– Patrząc na ten zbiór, wniosek jest dość jasny. To jest wyraźna tęsknota i potrzeba bycia ze sobą, ale na poziomie emocji, myśli. Mężczyzna nie znajduje w małżeństwie zrozumienia. Dlatego inna kobieta jest jego obiektem westchnień i inspiracją. To kobieta idealna. Zgodna z jego męskimi wyobrażeniami i osobowością. Bez niej nie może egzystować. Bez niej jego życie być może traci sens. – Zmrużyła oczy. – Jeśli ich relacja jest realna, to woda na zdjęciu będzie oznaczała emocje. Spójrzmy na zdjęcia, może w nich znajdziemy uzasadnienie.

Daga sięgnęła po najbliżej leżącą fotografię. Przedstawiała widok mieszkania, w którym mężczyzna ćwiczy na rowerze stacjonarnym.

– Pani kolej. Co tu widać? – Podsunęła zdjęcie Zoi.

– Faceta na rowerze stacjonarnym i dziewczynę leżącą na kanapie, wpatrzoną w telewizor.

– Hm. Dla osoby niewtajemniczonej tak właśnie jest. Ale… – Przysunęła się bliżej. – Teraz popatrzmy uważniej. Mężczyzna jest wyżej. Pedałuje, wywołuje ruch, wykonuje pracę. Pracuje, zarabia. Zarabia, by dziewczynka, czyli płeć żeńska, mogła leżeć i tracić czas na przyjemności. A teraz pomyślmy, jak wygląda jego sytuacja życiowa. Ma swój biznes i utrzymuje całą rodzinę. To znaczy żonę i dzieci. – Uśmiechnęła się.

– O cholera, to się zgadza.

– Oczywiście. Ale jest tym zmęczony. Widzimy grymas na jego twarzy i wyraźne ślady potu. Jest zmęczony byciem na górze. Byciem głową rodziny. Jest zmęczony zobowiązaniami. Taką informację przekazuje swojej muzie.

– A to? – Zoja wysunęła kolejne zdjęcie. Zaciekawiona, na chwilę zapomniała o samopoczuciu.

– Tu są szpilki, nogi. Sam seks. – Rozpromieniła się jeszcze bardziej. – I skórzana kurtka. Skóra to ziemia, ziemia to kobieta, łono, seks. Ciemny napój, wino, czyli miłość.

– Czyli można to potraktować jako ustawkę na randkę?

– Myślę, że tak – rzuciła rozbawiona Daga. – Ale proszę pamiętać, że w przypadku tego związku nie fizyczność jest najważniejsza. Najistotniejsze działo się w ich umysłach. To namacalny przykład porozumienia dusz, w które pani nie wierzy.

– Może się jeszcze przekonam. – Roześmiała się. – Czyli sugeruje pani, że to nie kochanek jest zabójcą?

– Pani Zoju, sprawę znam bardzo pobieżnie. – Przebiegła palcami po włosach. – Ale z tego, co widzę, ten układ nie nosi w sobie znamion agresji.

– Agresja pojawia się w chwili, gdy dzieje się coś złego. Coś ją w związku wywołuje. Zdrada, zazdrość…

– …tak. – Daga weszła Zoi w słowo. – Ale trudno mówić z perspektywy mężczyzny, bo w tym wypadku to jego postawę analizujemy, o zazdrości z powodu zdrady fizycznej w układzie małżeństwo–kochanka. A może ona znalazła sobie kogoś trzeciego? Które ze zdjęć wysłała jako ostanie?

Zoja przejrzała zbiór i odnalazła fotografię z datą poprzedzającą dzień śmierci Fabiś.

– To. – Podała kobiecie. Była na nim dziewczyna nad morzem.

– Nawet jeśli pojawił się tam ktoś trzeci, to zdjęcie zaprzecza jej zaangażowaniu emocjonalnemu. – Nabrała powietrza. – Wiatr i woda. – Zastukała palcem w nadmorski kadr. – Jak by to ująć? Oni byli gdzieś ponad swoim codziennym życiem. To, co robili, to pewien rodzaj przyjętej normy. Życie przyziemne. Obowiązki, bez których nie mogliby egzystować tak po prostu, ekonomicznie, fizycznie. Ale pieniądze nie dawały satysfakcji. Zabezpieczały jedynie byt. Ziemski. A oni się szczerze kochali. I to ich uczucie, układ, to było

wysoko ponad sprawami bieżącymi. – Zobaczmy, co kobieta trzyma w dłoni. – Uderzyła palcem w kartkę.

– Perłę? – Zoja skupiła wzrok na maleńkim detalu.

– Perła to symbol miłości i erotyki, ale i czystości. Co prawda w epoce baroku kojarzono ją z kobiecą próżnością, ale w tym przypadku stawiałabym raczej na symbol wiecznej miłości i lojalności. Śmiem twierdzić, że to byli naprawdę świetnie dobrani ludzie. Duchowo, emocjonalnie. Związek doskonały. – Daga spojrzała na Zoję. – Dzięki świadomości, że są razem mentalnie, radzili sobie z rzeczywistością. Wytrzymywali.

– Strasznie to wydumane. – Zoja pokręciła głową. – Czyli mamy parę romantycznych kochanków, z których gdy umiera jedno, drugie niebawem umrze z żalu?

– Albo szybko znajdzie sobie inny obiekt westchnień. – Kobieta rozłożyła ręce.

Zoja sięgnęła do torby i wyjęła z niej telefon. Odnalazła zdjęcie, które wysłała Burianowi wczorajszego wieczora, i pokazała kobiecie.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Wspólna podróż, czyli plany na przyszłość. Razem obieramy ten sam kierunek życia.

– Boże, on mógł to odebrać jako deklarację. – Zoja potarła czoło.

– Pani to wysłała? – Daga pokiwała z uśmiechem głową.

– Ale kompletnie nieświadomie.

– Rozumiem, że to był sposób na rozpoznanie. Chwycił?

– Nie wiem. Odpowiedział tym. – Przesunęła palcem po ekranie komórki. Odwróciła ją do kobiety, gdy pojawiło się zdjęcie ze szklankami.

– Najwyraźniej zadziałało. Wygląda na to, że jest panią zainteresowany.

– Tak? I mówi mi o tym fotką zastawy stołowej?!

– Układ. – Mentalistka znów się nachyliła. – Kluczem jest ustawienie naczyń. Jedna szklanka stoi z daleka od innych. To pani.

– Ja?

– Tak. Szkło, delikatne, dziewczęce, niewinne, kruche. Choć niewinność może być perwersyjna i wybujała. – Uniosła jedną brew.

W odpowiedzi Zoja przewróciła oczami.

– W każdym razie szklanka stojąca dalej jest inna od reszty. Wyjątkowa. On jest teraz daleko, spędza czas z rodziną, otaczają go inne szklanki… Choć wolałby być z panią.

– Przecież to jest chore. – Zoja aż oparła się o tył fotela.

Daga uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Przyznaję, można od tego zwariować i popaść w manię. Sama, pracując przy kampaniach reklamowych, wykorzystuję mental. Niech się pani zastanowi, czemu tylu ludzi jeździ SUV-ami? – Mrugnęła. – *À propos*. – Wskazała za okno. – Moja taksówka.

– Czy mogę mieć do pani prośbę? – Zoja wstała, ale po tym, jak zakręciło się jej w głowie, włożyła wiele wysiłku, by ustać. – Czy mogłabym skontaktować się z panią, gdybym miała jakieś pytania? Może jest w nich coś, czego nie potrafię odgadnąć.

Kobieta popatrzyła na Zoję.

– Oczywiście. Proponuję kontaktować się przez Wincenta. – Wysunęła rękę w kierunku Zoi.

– Dziękuję. – Uścisnęła dłoń kobiety. – A o co chodzi z tymi SUV-ami? – zapytała, gdy mentalistka była już przy drzwiach wyjściowych.

– W reklamach auta jeżdżą po pięknych wzgórzach, w słońcu, które jest obietnicą przygody, a w środku pojazdu uśmiecha się do siebie szczęśliwa rodzina. Wszyscy pragną szczęścia rodzinnego i wspaniałego życia. – Uśmiechnęła się i wyszła.

Zoja opadła na fotel.

– Szczęście, miłość i inne głupoty. – Przymknęła oczy, bardzo zmęczone.

Poruszyła się, gdy po kilku minutach w kieszeni spodni zadzwonił jej telefon. Sięgnęła i odebrała, nie odrywając głowy od miękkiego obicia.

– Co tam, komisarzu? – rzuciła. Złość na Kardasa nieco jej przeszła.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Tam, gdzie być powinnam! Nie wierzę, że Wincent ci nie powiedział – burknęła.

– Skończyłaś już może? Sprawa jest.

– No i?

– No i ja jestem na zewnątrz.

– Co?! – krzyknęła. Usiadła prosto i popatrzyła za okno. – Nie wierzę! – powiedziała podniesionym głosem. Kilka osób przy barze zerknęło na nią z zaciekawieniem. – Niedługo założycie mi monitoring w kiblu! Na krok się nie mogę ruszyć, bo ciągle…

– Zoja, nie utrudniaj. Wyjdź proszę, nie mam gdzie zaparkować i stoję na awaryjnych – przerwał jej Kardas.

– Droga wolna. Przyjdę, jak wszystko ogarnę – powiedziała, zaciskając zęby. Przyciskała telefon do ucha i wpychała wydruki do torby. Parę kartek upadło jej na podłogę.

– Czemu ty jesteś taka trudna… – Kardas westchnął ciężko.

– Powiedziałam ci już…

– Przepraszam… – Za plecami Zoi zabrzmiał męski głos.

Odwróciła głowę i popatrzyła na stojącego blisko młodego mężczyznę z dwoma wydrukami w ręku.

– Wypadło pani. – Wyciągnął zdjęcia w jej kierunku.

Zoja wyprostowała się i popatrzyła w jego oczy. Niebieskie tęczówki idealnie współgrały z karmelowym odcieniem krótkiego płaszcza.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho.

– Nie chcę się wtrącać, ale widzę, że interesuje się pani fotografią. – Wskazał na czarno-biały kadr z kobietą w ciemnym kostiumie. – I to bardzo dobrą

fotografią.

– Nawet pan nie wie, jak bardzo mnie to nie interesuje – burknęła.

– Dawid Woźniak. – Uśmiechnął się.

– Zojka Sterlak. – Pozwoliła, nie wiedzieć czemu, uścisnąć mężczyźnie swoją dłoń.

– Szkoda, że dostrzegłem panią dopiero teraz. Nie piłbym kawy sam. – Podążył za wzrokiem Zoi, która najpierw spojrzała na wyświetlacz komórki, a potem na samochód za oknem.

– Widzę, że chłopak się niecierpliwi…

– To nie chłopak. To matka w przebraniu mięśniaka – mruknęła, a mężczyzna zaśmiał się rozbawiony.

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy – powiedział. – Jestem tu często. Zawsze mniej więcej o tej porze wpadam na kawę. Nieopodal mam… – Zamilkł, gdy na zewnątrz rozległ się przeciągły klakson. – Nie będę pani zatrzymywał.

– I słusznie. – Zarzuciła torbę na ramię. – Ten tam – wskazała na okno – za chwilę przyśle po mnie obronę terytorialną. Miłego dnia!

Wychodząc z hotelu, usłyszała „do zobaczenia” i momentalnie zwątpiła w zdrowie psychiczne eleganta. Uznała bowiem, że gość, który zagaduje dogorywające zombie, jakim się pieszczotliwie nazwała po upojnej nocy, musi mieć coś nie tak z głową.

*

Kardas popatrzył na nią i głośno się roześmiał.

– Jak ty wyglądasz! – rzucił. Przez uchylone okno auta wypuścił dym z papierosa.

– Wal się! – Szturchnęła go w ramię tak, że popiół spadł mu na spodnie.

– Ej. – Strzepnął ręką szare drobiny. Wyrzucił niedopałek i zerknął w lusterko. Kierowca z tyłu pozwolił mu włączyć się do ruchu. – Wyrwałem się na chwilę.

– Nie trzeba było. Wiem, jak dotrzeć do domu.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Dziś zgarniamy Buriana – oświadczył, patrząc na Zoję.

– Co?! – Podskoczyła na fotelu. – Dlaczego?

– Bo takie otrzymałem polecenie. Zgarnąć Buriana dzisiaj! – powiedział dobitnie. – Mogłem ci nie mówić, tylko wykonać rozkaz mojego przełożonego. Ale wiem, że ucierpią na tym twoje plany, więc chcę, żebyś nie robiła sobie nadziei.

– Co się takiego stało, że wczoraj nie było powodu, by go zamknąć, a dziś masz pełen repertuar paragrafów?!

Zmienił bieg.

– Nie uwierzysz, ale na komendę zgłośnił się pracownik Buriana z niezbitym dowodem na to, że jego szef nie dojechał do Chorzowa, jak głosi jego alibi.

– Pieprzenie. Nawet jeśli, to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Przyniósł też jedwabny szal. Zaplamiony. Podobno znalazł go przypadkiem w samochodzie szefa. Podczas wymiany opon potrzebował śruby zabezpieczającej i otworzył jeden ze schowków. Dostrzegł coś kolorowego, więc się zainteresował. Podejrzewa, a nawet zeznał, że jest pewien, iż szal należał do ofiary. Widział ją w nim, gdy przyjeżdżała do nich serwisować auto. Nasze asy ustaliły pochodzenie plam. To krew. Prawdopodobnie Wioletty Fabiś. Za kilka godzin będziemy to wiedzieć na stówę. Jak wiesz, została uduszona. Szaliczek świetnie się do tego nadawał.

– Nie przekonuje mnie to. – Skrzyżowała ręce.

– Bo?

– Bo nie macie motywu, a osoba, która go przyniosła, śmierdzi kłamstwem na kilometr. I donosicielstwem.

– Ty też dziś nie za ładnie pachniesz. – Uśmiechnął się. – Uważam, że bardzo dobrze się stało, że nie musisz dziś się z nim spotykać…

– Mariusz, wstrzymaj zatrzymanie do czasu, aż z nim porozmawiam – poprosiła poważnym tonem.

– Nie mogę. Mamy go zgarnąć na stadionie w trakcie meczu Widzewa z Legią.

– Mecz wysokiego ryzyka. Zacznie się zadyma i macie po zatrzymaniu.

– Ale obecność Buriana jest tam stuprocentowo pewna. – Zerknął we wsteczne lusterko.

– Tak samo jak w jego firmie po meczu!

– Ale wtedy musiałbym się wysypać, że wiem to od ciebie. Że z tobą działam. – Spojrzał na Zoję.

– No tak. Zapomniałam. – Pokiwała głową. – Kardas, ale co ci zależy? Przełóż to na później – powiedziała spokojniej.

– Zoja, dobrze wiesz, jak wygląda taka akcja. Chłopaki właśnie ustalili szczegóły. Dużo mogę, ale nie przeceniaj moich możliwości. Nie zmienię teraz planu akcji. Poza tym liczy się czas.

– Gówno tam, nie czas! – prychnęła i popatrzyła za okno. – Kardas, załatw mi wejście na stadion. Dosiądę się do Buriana na meczu i postaram się coś od niego wyciągnąć.

– Kiepski pomysł.

– Bo?

– Bo tak.

– W takim razie zaraz do niego napiszę i wcale go nie zobaczycie. – Uniosła dumnie głowę.

– Nie zachowuj się jak dziecko. Jeśli to on jest zabójcą, może właśnie chronię twój tyłek.

– To nie on! – Uniosła obie ręce w geście zniecierpliwienia. – Nie rozumiesz tego?

– Może i rozumiem. I nawet ci wierzę, ale w świetle dzisiejszych informacji…

– Kardas, czy ty siebie słyszysz?! – przerwała mu coraz bardziej wściekła. – Naprawdę nie zajarzyłeś, co się stało?

– A co się niby stało?

– Ten jego niby pracownik to kit! Niech zgadnę… Ma na imię Dariusz?

– No i? – Popatrzył z ukosa.

– No to posłuchaj, pana Darka wysłała do was żona Buriana. Mariola. Sowicie opłaca tego gościa, żeby węszył. Jest blisko jej męża, więc sam rozumiesz… Ten szpicel sprzedaje jej wszystkie newsy. Łącznie z najnowszym.

– Którym?

– O mnie. Byłam wczoraj w ich serwisie i miałam wątpliwą przyjemność rozmawiać z panem Darkiem. Ewidentnie próbował mi wyperswadować, żebym nie kręciła się wokół szefa, bo ten ma żonę i kochającą rodzinę. Wziął mnie za panienkę szukającą przygód. Dla mnie super, bo się rozgadał. Założę się, że zaraz po tym, jak poszedł do garażu, szybciutko poinformował Mariolkę o planach szefa na jutrzejszy wieczór. Dalej sobie dopowiedz. – Rozłożyła ręce. – Mariolka się wściekła i wysłała go z legendą do was. Uwierz mi, ta baba wie o każdym ruchu swojego męża.

– To znaczy, że żona Buriana wiedziała o romansie?

– Jasne, że tak. Tak samo jak wiedziała, że po śmierci Fabisiówny jej mężulek chlał w firmie przez parę dni. Pan Darek nawet o tym mi powiedział.

– Tobie? A po co?

– Bo ma jedną poważną wadę jak na szpicla. Za długi język. Myślę, że gdybyście go pocisnęli, to pękłby w kilka minut.

Kardas popatrzył na nią podejrzliwie.

– Załóżmy, że masz rację. Nie zmienia to faktu, że Burian pozostaje w kręgu podejrzanych.

– Tak, tylko myślę, że do tego kręgu spokojnie można dołączyć Mariolę Burian. Ta, w przeciwieństwie do męża, miała motyw, żeby zabić zdradziecką koleżankę. Tylko jest jedno zasadnicze pytanie, na które wciąż nie mogę znaleźć odpowiedzi. – Popatrzyła na Kardasa. – Co ja mam z tym wspólnego?

– Jesteś pewna, że nigdy wcześniej nie widziałaś Buriana? – zapytał i zmienił bieg.

– W życiu. Ani jego, ani nikogo z jego ludzi. – Przewróciła oczami. – Za cholerę nie wiem, o co tu chodzi. Bo na tę chwilę to wszystko wygląda na jakąś

tragikomedię. Dlatego właśnie powinnam mieć pierwszeństwo, by zapytać Buriana o Fabiś i o kilka innych rzeczy.

– Okej. Rozumiem. – Kardas, chcąc nie chcąc, przyznał jej rację. – Pomyślę, jak to ogarnąć, żebyś mogła być na stadionie. Ale to ma być załatwione dyskretnie – zaznaczył. Włączył kierunkowskaz i zaczął zwalniać. – Twój penthouse, milejdi. – Zaparkował.

– Dyskretnie, mówisz? – Udała, że się zastanawia. – Sorry, bo to nie moja sprawa, ale ciekawi mnie: jak wyglądał twój powrót do domu?

– Był… – zacisnął usta – …głośny i dynamiczny?

– Rozumiem, że to nie ty krzyczałeś. – Uśmiechnęła się.

– Nie. Powiem tylko, że muszę na dniach jechać do Ikei. Albo będziemy jeść na gazecie. – Uśmiechnął się kwaśno i sięgnął po telefon, który właśnie się rozdzwonił.

Zoja chciała coś powiedzieć, ale Kardas przyłożył palec do jej ust. Patrzyła, jak przytakuje, wpatrzony gdzieś w dal, zadaje zdawkowe pytania. Chciała wysiąść z samochodu, by nie przeszkadzać, ale pociągnął za jej kurtkę, nakazując, by została. Gdy odłożył komórkę, odwrócił się do dziewczyny i popatrzył na nią z powagą.

– Córka Wioletty Fabiś potwierdziła, że szalik należał do matki. Sama go jej kupiła. Sorry, Zoi, ale zanim usłyszysz pierwszy gwizdek, będziemy mieć wynik badania zgodności materiału biologicznego z DNA Fabiś. Zgarniamy tego twojego Buriana!

*

Miała wrażenie, że stadion płonie. Ostre światło jupiterów przenikało na zewnątrz, rysując na ciemnym niebie jasny szkielet konstrukcji dachu. Wszechobecna czerwień niczym żywy ogień migotała w każdym zakamarku stadionowych korytarzy i okalającym stadion placu przy alei Piłsudskiego. Tysiące ludzi w koszulkach ukochanej drużyny falami wtaczało się do sektorów. Najwcześniej zapełniła się trybuna D, potocznie nazywana Młynem lub Zegarem. Tam swoje miejsca mieli najbardziej zagorzali fani. Ludzie, dla których Widzew to całe życie. To oni tworzyli struktury kibicowskich organizacji, które miały jasne cele i prowadziły swoje działania. Jednym z nich była oprawa meczu. Odpowiedzialni za to przedsięwzięcie, tworzyli prawdziwe spektakle. Dzięki nim widzewskie oprawy szybko zyskały miano jednych z najlepszych w Polsce i przyciągały tłumy dumnych kibiców.

Zoja mocniej nasunęła daszek bejsbolówki i poprawiła szalik, by zasłaniał jej część twarzy. W zasadzie był to zwyczajny szary, wełniany szal, ale przecież nie przyszła dopingować drużyny. Szła krok w krok za Kardasem, który przedzierał się między ludźmi, torując jej drogę. Oboje udawali, że się nie znają, lecz nie tracili się z oczu. Rozdzielili się w momencie, gdy Zoja bezpiecznie dotarła do swojego miejsca w sektorze VIP, którego nazwa nie łączyła się z nadzwyczajnymi przywilejami, ale jedynie zapewniała doskonały widok na środkową część murawy. Tymczasem „pod Zegarem”, który miała z prawej strony, wrzało. U stóp trybuny trzech facetów z całych sił uderzało w olbrzymie bębny, a czerwony tłum nie szczędził gardeł. Zoja przysiadła na pierwszym w rzędzie krzesełku i czekała. Dwa miejsca obok niej wciąż były puste, choć na murawę zaczęli wchodzić już zawodnicy. Ukradkiem zerknęła za siebie, w górę schodów. Kardas stał na betonowym stopniu i trzymał w ręku tekturowe pudełko z frytkami. Gdy ich wzrok się spotkał, policjant lekko wzruszył ramionami.

Sędzia rozpoczął mecz. Tysiące gardeł połączyło się we wspólnej euforii. Z każdą minutą dopingujący śpiew zyskiwał na sile. Zoja niespokojnie zerknęła na

ekran komórki. Wtedy poczuła za sobą ruch. Ktoś przychylił się do jej ucha i krzyknął słowo przeprosin. Wstała natychmiast, pozwalając, by dwóch mężczyzn w czarnych puchówkach zajęło wolne miejsca obok niej. Zerknęła na ich twarze, a zaraz potem na Kardasa. Wymownie pokazał jej zegarek na nadgarstku i wrócił do jedzenia frytek. Zoja odczekała, aż kolejna pieśń kibiców, tym razem traktująca o znienawidzonej Legii, się zakończy. Nabrała powietrza i chwyciła za daszek czapki, by ją zdjąć. Zamarła jednak w bezruchu na widok rozkładanej właśnie gigantycznych rozmiarów flagi, na której widniał ręcznie namalowany wizerunek Wioletty Fabiś. Hasło poniżej zapewniało o nieskończenie wielkim szacunku i pamięci dla zamordowanej. Zoja z wrażenia otworzyła usta.

Wszyscy kibice wstali i po raz drugi tego wieczora z głośników popłynął *Taniec Eleny*, hymn Widzewa. Dziewczyna spojrzała na Buriana. Ze wzruszenia tonął we łzach. Ręka kolegi spoczęła na jego barku. Nie tego się spodziewała. Nie taki miała plan. Ale tym, co zaniepokoiło ją najbardziej, był potężny krzyk w jej głowie, alarmujący, że zatrzymanie Buriana to najgorsze, na co Kardas i jego ludzie mogli wpaść. Zerwała się z miejsca, podbiegła do kolegi i chwyciła go za ramię, nie zważając na rozsypujące się frytki.

– Kardas, odpuść! – zakrzyknęła. – To nie on! Popełniamy błąd!

– Zojka, na litość boską, co ty odpieprzasz?! – warknął na nią, chwytając za jej rękę. – Wszystko spierdolisz! Chciałaś z nim gadać, to wracaj tam natychmiast i gadaj! – krzyknął.

– Ej, kurwa! – wrzasnął ktoś z boku. – Matka cię nie nauczyła szacunku dla kobiet?

– Spokojnie. – Zoja podniosła dłoń w kierunku nadgorliwego kibica. – Wszystko okej. Rozmawiamy.

Policjant milczał. Patrzył gdzieś w bok. W miejsce, gdzie stał jeden z jego ludzi.

Burian gapił się na odsłoniętą twarz Zoi.

– *Fuck*! – warknął Kardas. – Wiedziałem, że tak będzie! – rzucił. – Sorry, Zoi. Twój czas i twoja wizyta na stadionie właśnie się skończyła. – Popchnął dziewczynę w górę schodów, w kierunku wyjścia, a sam wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

– To pies! Nie dość, że skurwiel, to pies zasrany! – Krewki kibic bez ostrzeżenia rzucił się na Kardasa. W jego ślady poszło dwóch jego towarzyszy.

Kardas odparł atak pierwszego z nich, ale drugi zdołał wymierzyć mu lekki cios. Widząc to, Zoja zeskoczyła ze stopnia i ręką zablokowała obu atakujących. W tym samym momencie Kardas kopniakiem powalił kolejnego. Podchmieleni i waleczni agresorzy upadli na betonowe schody, odbijając się od innych kibiców.

Zoja spojrzała bezradnie na wściekłego Kardasa. Oboje wiedzieli, że zamieszanie na trybunie to kwestia sekund. Jej wzrok poszybował na dolny rząd. Burian stał tyłem do murawy i patrzył na to, co dzieje się wyżej.

Zoja, zanim otoczyli go tajniacy, posłała mu nieśmiały uśmiech. I zaraz poczuła pchnięcie, boleśnie upadła na plecy. Gdy się podniosła, miała przed sobą spoconą gębę jakiegoś pijanego kibica. Z jego skroni sączyła się krew.

– Zabiję cię, suko – syknął i zamachnął się.

Zanim jego pięść nabrała rozpędu, osunął się na kolana po tym, jak Zoja kopnęła go w krocze.

– *Ne kuni se*![4] – zdążyła jeszcze rzucić, nim Kardas chwycił ją za ramiona i posłał do wyjścia. Ostatnią rzeczą, jaką słyszała, opuszczając stadion, były gromkie i wściekłe epitety pod adresem policji.

Gdy jechała do domu, rozmyślała na tym, jak przebiegnie nieuchronna rozmowa z Kardasem i Wincentem. Co gorsza, sądząc po liczbie aparatów fotograficznych i telefonów wymierzonych w ich stronę, oczami wyobraźni widziała poranne nagłówki gazet. Internet zareaguje jeszcze szybciej.

Zanim spotkanie Łódź–Warszawa dobiegnie końca, zdjęcie jej twarzy podniesie słupki oglądalności niejednego kibicowskiego portalu.

*

Dochodziła północ. Przekręcił zamek w drzwiach i lekko je popchnął. Zdołał zdjąć kurtkę i powiesić ją na wieszaku, gdy z kuchni dobiegł go dźwięk odstawianej szklanki. Kardas zacisnął wargi i wszedł do środka.

Anna stała tyłem do drzwi. Wpatrywała się w widok za oknem.

– Powiedziałeś, że Zojki nie ma w Łodzi – odezwała się, nie odwracając głowy. – Mówiłeś, że nie masz z nią kontaktu.

Kardas nie odpowiedział i otworzył lodówkę. Był totalnie wyczerpany. Nie miał siły na wiszącą w powietrzu awanturę.

– Ogłuchłeś?! – zagrzmiała.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał. Zazgrzytało aluminium.

– Byłeś z nią wczoraj? – Sięgnęła po szklankę z colą.

– Mała śpi? – Upił łyk piwa.

– Zadałam ci pytanie! – Odwróciła się gwałtownie.

– Tak, ale nie w taki sposób, jak sobie wyobrażasz…

– Wiedziałam! – warknęła i cisnęła szklanką do zlewu pełnego naczyń. Szkło brzdęknęło. Szklanka rozbiła się na kawałki.

– Jesteś w stanie pogadać na spokojnie? To ci to wytłumaczę…

– Co chcesz mi tłumaczyć? – Zbliżyła się. – To, że już zawsze będzie tak wyglądało? – powiedziała podniesionym głosem. – Za każdym razem, gdy ta zdzira pojawi się w na horyzoncie, będziesz z nią znikał?

– Przestań, Anka. – Dotknął czoła. – Jestem wykończony. Muszę się położyć…

– Przychodzisz tu tylko, żeby się wyspać! Nic więcej cię nie interesuje! Ale to się skończy!

– Nie zaczynaj znowu… – Popatrzył na nią. – Wczoraj dałaś wystarczający popis…

– No i dobrze! I zrobię ci jeszcze większy syf! Żeby wszyscy wiedzieli, że ich sąsiad jest zwykłym dupkiem!

Kardas próbował dłonią zakryć jej usta.

– Obudzisz małą! – warknął.

– Nie obudzę! – wysyczała.

Kardas popatrzył na jej szyderczy uśmiech i ruszył do sypialni.

– Zastanów się, co jej powiesz za parę lat… – Poszła za nim.

Zapalił górne światło i odrzucił kocyk, pod którym zwykle spała Alicja. Łóżeczko było puste.

– Gdzie ona jest?

– Nie ma. – Skrzyżowała ręce na piersiach. – Nie mogła znieść, że jej tatuś woli pieprzyć się z jakąś ździrą… nie, przepraszam, koleżanką z pracy! – Przerwała, gdy ręce wściekłego Kardasa zacisnęły się na jej ramionach.

– Gdzie jest Alicja?!

– U mojej matki, idioto – powiedziała.

Kardas puścił ją tak, że upadła na łóżko. Podszedł do szafy i sięgnął po sportową torbę.

– Co robisz?

– To, co widzisz! – Szybko zdejmował z półki swoje ubrania i upychał je w torbie.

– Żartujesz sobie!

Anka zerwała się z łóżka, dopadła do torby i zaczęła wyrzucać ciuchy partnera.

– Nie pozwolę ci nigdzie odejść!

– Słuchaj, nie wiem jak ty, ale ja mam dość. Uważam, że naprawdę nie ma sensu tego ciągnąć – powiedział Kardas i cisnął T-shirtem.

Kobieta chwyciła jego twarz i mocno przytrzymała.

– Co ty mówisz?! – krzyknęła.

– Anka… – Uwolnił się z jej uścisku. – Chcesz pogadać? Szczerze i uczciwie? Jesteś w stanie?

– No, proszę! – rzuciła zaczepnie. – Jestem gotowa na twoją przemowę. – Kobieta rozłożyła teatralnie ręce.

Kardas się zawahał. Przez myśl przebiegło mu, że może rzeczywiście powinien wyrzucić teraz z siebie wszystko, co czuje. Popatrzył jednak na jej butną minę

i odpuścił. Wiedział, że brakuje iskry, by rozpętała burzę.

– No i co, mowę ci odjęło? – prychnęła. – To może ja ci coś powiem. Ja nie zrezygnuję tak łatwo. Nie myśl sobie, że zabierzesz swoje ciuchy i po prostu znikniesz. Masz zobowiązania!

– I nie mam zamiaru się od nich uchylać. Kocham Alicję i zrobię wszystko, by miała dobre i spokojne życie. Spokojne! – zaznaczył. – A w naszym układzie jest to niemożliwe!

– Mariusz! – Z jej oczu popłynęły łzy. – Czy ty nie rozumiesz, że ja cię kocham! – krzyknęła i rzuciła się na łóżko.

– Nie zaczynaj. Proszę. – Kardas spojrzał na nią raz, potem drugi i zaklął, zaciskając dłonie w pięści. Jej krzyki nie robiły już na nim wrażenia. Wyzwiska, oskarżenia i miłosne deklaracje również. Słyszał to wielokrotnie. Nie potrafił jedynie przejść obojętnie obok płaczu kobiety. Łzy sprawiały, że momentalnie wracało do niego wspomnienie drżącego, skulonego i targanego spazmami ciała matki. Wielokrotnie zranionej, zdradzonej, a w końcu porzuconej przez jego ojca. Matka zawsze płaczem odreagowywała wszystkie małżeńskie problemy, budząc w synu współczucie i żal. Minęło tyle lat, a on znów to czuł. Znów czuł, że to jego wina. Sportowa torba upadła na podłogę a on usiadł obok Anny i delikatnie dotknął jej pleców.

– Nie płacz już – powiedział cicho. W odpowiedzi jej palce zacisnęły się wokół jego dłoni.

– Zostaniesz, prawda? – zapytała, przyciągając go do siebie. Jej płacz ucichł, gdy Kardas, położył się obok. Chłostał się w myślach za swoją słabość, za to, że znów uległ. Przymknął powieki. Przyjemna miękkość pościeli i cisza, w której słyszał już tylko spokojny oddech Anny, sprawiły, że jedyne czego zapragnął, to sen.

Śniło mu się, że oplata go kolczasty krzew. Boleśnie wbija się w jego ciało, zostawiając na nim krwawe ślady. Kardas z trudem wyciągał w górę głowę, by zaczerpnąć powietrza.

Ocknął się potwornie zmęczony. Leżał na brzuchu, na środku łóżka, pod ciężarem bezwładnych ramion Anny. Wydostał się spod nich, przysiadł na kolanach i popatrzył na śpiącą partnerkę. Zerwał się z łóżka, i dokończył pakowanie rzeczy. Gdy wychodził, zostawił w kuchni odręcznie napisaną kartkę i kluczyki od samochodu.

*

Wyrwana ze snu, podniosła głowę z poduszki i nasłuchiwała. Poza swoim oddechem wyraźnie słyszała czyjeś kroki w holu apartamentu. Bez namysłu wsunęła rękę pod poduszkę i sięgnęła po glocka. Powoli, bezszelestnie zsunęła się z łóżka. Podeszła pod uchylone drzwi sypialni. Hol był pusty. Wyszła z pokoju i spojrzała w stronę salonu. Przyklejona plecami do ściany, nasłuchiwała. Intruz był w salonie, co do tego niemiała wątpliwości. Zoja zacisnęła dłoń na rękojeści i policzyła do trzech. Z bijącym sercem wpadła do salonu, mierząc przed siebie.

– Ani kroku, bo rozwalę! – krzyknęła i momentalnie odpuściła broń. – Kurwa, Wincent! – zaklęła na widok przyjaciela siedzącego w żółtym fotelu. – Mogłam cię zabić!

– *Vrana vrani oći ne skopa*[5] – powiedział spokojnie Wincent i zapalił papierosa. – Dzień dobry.

– Jak tu wszedłeś?

– Miałem klucze.

– Klucze? – Zdziwiła się. Zastanawiała się przez chwilę, mrużąc oczy. – Zapasowe. Kardas – powiedziała, a Wincent pokiwał głową.

– Lubię u niego ten wyrafinowany sposób myślenia. Potrafi przewidywać ewentualność zdarzeń i wcześniej podejmować słuszne decyzje. – Wincent dotknął palcem czoła. – Minus dla ciebie za brak czujności. Ale zrzućmy to na karb twojej słabości do używek. Mogłaś nie zauważyć. – Strząsnął popiół na spodek. – Masz bardzo fajną koszulkę. Zawsze lubiłem tego małego śmierdziela. Skunks… Jak on się nazywał?

– Pepé Le Swąd – powiedziała. Pokręciła głową i odłożyła pistolet.

– O właśnie, tak. – Uśmiechnął się. – Pepé Le Swąd…

– Przestraszyłeś mnie, wiesz? – Opadła na krzesło, jej dłonie drżały.

– Hm. Tak, to zrozumiałe. Powinienem był zadzwonić, ale pomyślałem, że pozwolę ci się wyspać.

– Rzeczywiście, doceniam. Która jest?

– Szósta dwie.

– Doskonała pora. – Potarła oczy. – Piłeś już kawę?

– Owszem. Ale mogę wypić jeszcze jedną. – Zaciągnął się. – Zakładam, że masz francka.

– Oczywiście, Jubilarną. – Zoja ruszyła w stronę kuchni i nastawiła ekspres. – Co cię sprowadza? Podejrzewam, że przyjechałeś mnie opieprzyć za wczoraj. Zgadza się?

– Zgadza. – Wincent wstał z fotela i podszedł do stołu. Usiadł na jednym z krzeseł i szczerze się uśmiechnął. – Zastanawiam się, od czego powinienem zacząć…

Zoja, postawiwszy na blacie filiżanki i dzbanuszek z mlekiem, rozłożyła ręce.

– Boli mnie to, że nie słuchasz. Ani mnie, ani Kardasa…

– Nieprawda… – zaoponowała, ale zamilkła na widok uniesionej ręki Wincenta.

– Teraz ja – przykazał. – Ale gorsze jest chyba to, że kłamiesz.

Chciała zaprzeczyć, gdy Wincent położył na blacie czerwone opakowanie po biżuterii.

Przygryzła usta i popatrzyła w jego brązowe oczy.

– Wi… – szepnęła. – Nie mam nic na swoją obronę.

– Czy to samo usłyszę w kwestii zajścia na stadionie?

– Broniłam siebie i Kardasa – oświadczyła.

– Czyli to była obrona konieczna. – Wincent pokiwał głową. – Kto sprowokował zajście?

– Podpity gnojek.

Wincent zrobił nieprzyjemną minę.

– Powiedzmy.

– Wi, posłuchaj… – Drżąca dłoń Zoi opadła na blat. – To nie Burian zabił tę babkę. Wiem to na sto procent. Twoja mentalistka mnie w tym utwierdziła. Chciałam tylko zapobiec błędowi Kardasa i jego ludzi. Wiem, jaki jest komendant Michalak, i wiem, co czeka Kardasa, gdy wyjdzie na jaw, że zatrzymali nie tego gościa. Zwłaszcza że Michalak jeszcze dziś triumfalnie ogłosi mediom, że złapali zabójcę. Otworzyłeś taras? – Zerknęła na niezamknięte drzwi.

– Paliłem tam – mruknął. – Zoi, czy spodziewałaś się, że bójka z kibicami pomoże Kardasowi?

– Nie, ale…

– I słusznie, bo cholernie nie pomogła ani tobie, ani jemu! Grozi mu wydalenie ze służby! Razem z tym całym prokuratorskim syfem. Wiesz, co to znaczy. Sama przez to przechodziłaś! A mimo to byłaś na tyle nierozważna, by zafundować mu praktycznie to samo!

– Ja? – zapytała podniesionym głosem. – Kardas jest uparty jak osioł. Jak mam z nim pracować, skoro wszystko wie najlepiej?! Poza tym układa się z tobą za moimi plecami! – Zatrzęsła się ze złości.

– Chronił cię! Mimo że wiedział, jak wielkie ryzyko się z tym wiąże. Jaką cenę może zapłacić za pracę na dwa fronty. Wiedział, że w razie wpadki poniesie konsekwencje! A ty zachowujesz się, jakbyś tego nie rozumiała.

– Wi, proszę cię. – Skrzywiła się. – Możesz mi wiele zarzucić, ale nie to, że chcę zaszkodzić Kardasowi. – Przeczesała palcami włosy. – Masz jeszcze fajkę?

Wincent wyjął kieszeni paczkę i rzucił na blat. Zoja wysunęła jednego papierosa i przez chwilę obracała go w palcach.

– Co ostatecznie z Kardasem? – Przyłożyła papierosa do ust i zapaliła.

– Odsunęli go od sprawy. Jedynie! – podkreślił, unosząc palec. – Najniższy wymiar kary. I tylko dzięki mojej interwencji. – Zgasił swojego papierosa. –

Komendant szybko połączył fakty. Twoja obecność na stadionie, pożyczone akta sprawy i materiał dowodowy. – Wskazał za siebie na notatki Zoi. – Prokurator miałby co robić. – Przysunął filiżankę, którą Zoja postawiła przed nim, i dolał mleka. – Swoją drogą, ładnie to zrobiłaś. – Kiwnął głową na dalszą część stołu.

– Hm. – Przełknęła ślinę. – Ale Kardas nie poniesie żadnej kary?

– Nie. – Zabębnił palcami o blat. – Ma jednak pewne problemy.

– Jakie? – Zoja usiadła naprzeciwko Wincenta.

– Najlepiej będzie, jak sam ci o nich opowie. Będziecie mieli okazję szczerze pogadać. Ma tu przyjechać.

– Co? Za ile? – Zoja się ożywiła.

– W sumie już powinien być. Poprosiłem go o poranną prasę. Internet już przejrzeliśmy. Temat *number one* to aresztowanie Buriana. Zamieszki podczas meczu nikogo już nie szokują, poza tym media nie chcą promować przemocy i zachowań chuligańskich. Inaczej byłabyś dziś gwiazdą. Masz z Kardasem niezłe ujęcia. Gratuluję sprawności. – Podniósł się na dźwięk domofonu.

Zoja popatrzyła za nim i się uśmiechnęła.

– Zero krępacji – mruknęła do siebie. Zgasiła papierosa i upiła łyk kawy.

*

Dzień jak zwykle zaczął od biegania. Jego żona spała mocnym snem, gdy wciągał na siebie obcisły strój, ustawiał aplikację w komórce i rozciągał stopy w adidasach, którymi nie mógł przestać się zachwycać. Terrex Agravic pro trail, tę nazwę znali wszyscy jego współpracownicy, podobnie jak fakt, że podeszwy tych nadzwyczajnych butów wykonał Continental, a system wiązań jest niezawodny. Wyruszył na spokojne uliczki osiedla luksusowych domków. Biegał tu od kilku lat. Tym samym tempem, tymi samymi ścieżkami. W ciągu tego samego czasu przebiegał tę samą liczbę kilometrów. Wypijał pół litra wody i spalał taką samą liczbę kalorii. W drodze powrotnej mijał żółty dom z czerwoną dachówką, jedyny taki wśród modnych grafitowych fasad, i wbiegał na nieduży pagórek. Tam po

dziesięciu przysiadach zwykle dostrzegał w oddali samochód dostawcy prasy. Wiedział, że zanim ten dojedzie do jego domu, on spokojnym truchtem zdoła przeciąć mu drogę i odebrać gazety od kierowcy, bez potrzeby wyszarpywania ich ze skrzynki.

Choć dziś wszystko przebiegało zgodnie z planem, czuł, że jego serce bije szybciej. Przestraszyła go myśl, że mógłby nie zdążyć. Że kurier o nim zapomni, nie zaczeka, gdyby się spóźnił. Przerwał więc przysiady i puścił się biegiem w stronę domu. Ostatecznie był przy furtce pierwszy. Zdążył wykonać kilka rozciągających ćwiczeń i uspokoić oddech, ale nie ciśnienie. Wyraźnie podskoczyło, gdy w jego rękach pojawił się rulon kilku gazet. Mężczyzna wbiegł na ganek i przysiadł na tarasowym krześle. Inaczej niż zazwyczaj uważnie przerzucał szeleszczące kartki. Kiedy na stronie tytułowej dziennika dostrzegł wspomnienie o zamordowanej dziennikarce i czarne nagłówki krzyczące, że zatrzymano jej zabójcę, poczuł ulgę. Odetchnął głęboko, gdy okazało się, że każdy wydawca poświęcił front swojej gazety, by przekazać najpikantniejszy news, jakoby oprawcą Wioletty Fabiś był jej kochanek. Mężczyzna przerzucił kilka stron i zatrzymał się na wzmiance o pikiecie. Wzmiance. Dzięki Bogu!

Martwiła go nieco jedna niewyraźna fotografia z niedużą grupą, ale była na tyle słabej jakości, że nie rozpoznałby na niej nikogo. Oczywiście poza gościem w żółtym płaszczu! On prezentował się doskonale. Wiedział, że to jego powinni się obawiać najbardziej. Dobry jest, skurwiel.

*

Z zaciekawieniem spojrzała na stos przyniesionych przez Kardasa gazet. Z jednej z nich wysunęła się kremowa koperta.

– Co to? – Zoja wzięła ją i podniosła pod światło.

Kardas usiadł na kanapie, sięgnął po pilota i włączył telewizor.

– Leżała pod drzwiami. – Wybrał kanał newsowy i ściszył dźwięk.

– Widzę, że wy się wprost wyśmienicie tu czujecie. – Zoja zerknęła na Wincenta, który z filiżanką kawy w ręku mościł się na kanapie obok Mariusza.

– Nie narzekamy – odpowiedział dyplomatycznie uśmiechnięty Wincent. Upił kawy i sięgnął po jedną z gazet.

– Ej. – Potarła nos. – To ten gość. – Wskazała na zdjęcie pikiety. – Co to? – Wyszarpnęła Kardasowi część gazety. – Stowarzyszenie Zdrowa Dzielnica przeciwstawia się budowie trasy szybkiego ruchu. Odcinek drogi miałby łączyć dwa punkty na mapie przemysłu Łodzi: Olechów i Chojny – czytała na głos Zoja. – Mieszkańcy pobliskich domów jednorodzinnych nie chcą się zgodzić na budowę ze względu na niedogodności wynikające z bezpośredniego sąsiedztwa samej drogi oraz fabryk należących do francuskiego koncernu. W walce z inwestorem mieszkańców wspiera adwokat D. Woźniak. – Uderzyła palcem w gazetę. – A więc jest pan adwokatem.

– Co to za gość? – Kardas zadarł głowę.

– Ten w płaszczu? – Zoja przerzuciła mu stronę z powrotem. – Jakość zdjęcia jest taka, że w sumie to nie mogę być pewna. Ledwie poznać można.

– Skąd go znasz? – Kardas przyjrzał się artykułowi i złożył stronę.

– Nie znam. – Wzruszyła ramionami. – Widziałam go w Puro, gdy rozmawiałam z Dagą o mentalu. Ale ogólne czy jest coś na nasz temat?

– Wygląda na to, że wszyscy uczepili się tylko aresztowania Buriana – skwitował Wincent, zerkając znad okularów, które zakładał do czytania. – Telewizja też. – Machnął ręką.

– Czyli media mają kozła ofiarnego. – Zoja przygryzła wargi. – Szkoda, bo to nie on. Pytanie, kto poniesie konsekwencje tej pomyłki. Mam nadzieję, że ten, kto podjął decyzję o aresztowaniu.

– Akurat – prychnął Kardas. Zaszeleścił gazetą, po czym rzucił ją na bok i przysunął sobie kawę. – Nikt nie da się umoczyć.

– Chyba że wydarzy się coś, co ich zaskoczy i zdyskredytuje – wtrąciła Zoja.

– Co masz na myśli? – spytał Kardas.

– Następne zabójstwo – powiedziała, jakby to było coś oczywistego.

– Nie chciałem mówić o tym na głos, ale to tylko kwestia czasu – stwierdził. – Najbardziej mnie wkurza, że odsunęli mnie od sprawy! – uniósł się. – Oczywiście mogę wykorzystać swoje kontakty, ale to nie będzie takie łatwe. Mam zakaz zbliżania się do tematu zabójstwa Wioletty Fabiś. Ale w ogóle chcą to wyciszyć. – Nabrał powietrza. – Liczą na to, że Burian przyzna się do winy, i wtedy zamykają dochodzenie.

– Dlaczego miałby się przyznać? – Zoja skrzywiła się.

– Zoi – stęknął Kardas – i ty zadajesz takie pytania? Burian ma tyle za uszami, że można go przekonać na sto różnych sposobów.

– Nie przesadzaj. Nie do zabójstwa. – Pokręciła głową. – W każdym razie podtrzymuję prośbę, panie komisarzu!

– Jaką?

– Chcę się spotkać i porozmawiać z Burianem. – Zoja skrzyżowała ręce na piersiach.

– Kiepski pomysł i jeszcze bardziej kiepski moment – burknął Kardas. – Musisz poczekać, aż wszystko przycichnie.

– Są dobre strony tej sytuacji. Prokuratura i twoi koledzy mają mięso w postaci Buriana, a my stajemy się mniej widoczni. Możemy działać. Nic nas nie blokuje. Żaden regulamin. Żadne przepisy.

– Jest jedno ograniczenie – wtrącił Wincent.

– No tak. – Zoja popatrzyła na Kardasa.

– Co to za insynuacja? – żachnął się policjant.

– Insynuacja? Przecież dobrze wiemy, że chodzisz na smyczy – odparła Zoja.

– Bardzo krótkiej – wtrącił znów Wincent, nie odrywając oczu od gazety.

Kardas popatrzył na Zoję i przez chwilę coś rozważał.

– Chcę odejść od Anki – powiedział cicho.

Zoja aż podskoczyła.

– Cooo? – Przysiadła na boku kanapy. – Ale tak definitywnie? Czy to tylko taki pokaz siły?

– Pokaz siły… – szepnął. – To nie jest takie łatwe.

– A co stoi na przeszkodzie? – spytała Zoja.

– Alicja. – Kardas zapatrzył się w przestrzeń. – Przeraża mnie to, że mógłbym ją stracić. A wiem, że po rozstaniu Anka będzie wykorzystywać małą, by mnie szantażować. Może nawet spróbuje pozbawić mnie praw?

– Ty, no bez przesady. – Zoja zamrugała oczami. – To chyba trzeba mieć jakiś konkretny powód…

– Jak chcesz kogoś uderzyć, to kij się zawsze znajdzie. – Kardas wzruszył ramionami. – Anka jest strasznie zaborcza, a do tego mściwa. I doskonale wie, że bardzo zależy mi na Alicji. Wie, że grając dzieckiem, wygra ze mną. – Odchylił głowę i przez chwilę wpatrywał się w sufit. – Może to zabrzmi absurdalnie, ale z jednej strony jestem wściekły na Ankę za to, że tamtej nocy wyszła ze mną z imprezy. Że poszła z ledwo poznanym, pijanym w sztok gościem. Ale z drugiej strony inaczej nie byłoby Ali. Więc jakaś część mnie jest Ance wdzięczna, że mi ją urodziła. Rozumiecie? – Popatrzył błagalnie po przyjaciołach. – Możecie sobie myśleć, że jestem dupkiem, skoro zrzucam na dziewczynę winę za swoją nieodpowiedzialność, ale to nie jest do końca tak. Ten związek bardzo wiele mnie kosztuje. I nie mam na myśli kwestii materialnej. Duszę się. Początkowo myślałem, że dla Alicji wytrzymam… Ale zrozumiałem, że nie mam w sobie tyle siły, by poświęcić samego siebie. Nie mogę żyć tak jak do tej pory. Muszę coś zrobić.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Zoja zadrżała.

– Nic nie musisz mówić. – Potarł policzek. – Nie potrzebuję współczucia.

– O! Przepraszam, ale o współczuciu to zapomnij! Zapytam jedynie, czy masz gdzie mieszkać.

– Na razie u matki. Później się zobaczy.

– Uff. – Zoja westchnęła teatralnie. – Bo już myślałam, że będziesz chciał u mnie pokój wynająć.

– Interesujący jest wątek tej drogi – ni z tego, ni z owego odezwał się Wincent, złożywszy jedną z gazet.

– Hm. Interesujący to jest twój brak empatii. – Zoja się zaśmiała. – Ten się tu wyłuszcza ze łzami w oczach, a ty wyskakujesz z artykułem…

– Mam podzielność uwagi – przerwał jej. – Poza tym Kardas doskonale wie, co sadzę na temat matki jego dziecka. Od początku ich znajomości radziłem mu, by trzymał ją na dystans. Uważam bowiem, i nie mówię tego złośliwie – podniósł palec – że ta dziewczyna jest obciążona jakąś przypadłością psychiczną, którą powinno się zdiagnozować. I leczyć.

– Ja pierdolę. – Zoja zaśmiała się głośno. – Nie wierzę w to, co słyszę.

– To wnioski wynikające z obserwacji – kontynuował Wincent. – Jest toksyczną i destrukcyjną osobą. I obym się mylił, ale nasz przyjaciel na pewno jeszcze odczuje jej gniew. Odchodzić też trzeba z głową.

– Mówisz tak, jakbyś to robił co tydzień… – warknął Kardas.

– Dobra. – Zoja klasnęła w ręce. Postanowiła przerwać rozmowę, zanim zrobi się nieprzyjemnie. – Może zastanówmy się, co dalej. – Zerknęła na Kardasa. Pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza. – Burian siedzi, choć jak na moje oko, i nie tylko moje, jest niewinny. – Spojrzała wymownie na Wincenta. – Bardziej przyjrzałabym się jego żonie.

– Ale… – mruknął w odpowiedzi Wincent.

– Ale nie sądzę, by to był dobry kierunek. – Zamyśliła się. – Podejrzewam, że ta zagrywka z donosem na męża to zwykła zemsta za niewierność. Była okazja, to z niej skorzystała. Logiczne.

– Powiedziała stara męska szowinistka – zakpił Kardas.

– Co masz więc w planach? – Wincent zdjął okulary, wpatrując się w Zoję.

– Skąd pomysł, że mam jakieś plany?

– No już, dawaj. Widzę, że coś ci chodzi po głowie. – Wincent wycelował w nią palcem.

– Uważam za konieczne natychmiastowe obejrzenie mieszkania Wioletty Fabiś – oświadczyła.

– Nie mamy pozwol… – rzucił Kardas, ale zamilkł, czując na ramieniu dłoń Wincenta.

– I nie będziemy mieć. – Zoja rozłożyła ręce.

– To będzie włamanie – skwitował Kardas.

– Nie, jeśli poprosisz, żeby towarzyszyła nam córka ofiary – podpowiedziała Zoja.

– Nie wiem, czy jeszcze jest w Łodzi…

– To się dowiedz. Tak czy inaczej, ja idę. I nawet jeśli zrobię to nielegalnie, to sorry… Nie pierwszy i nie ostatni raz. Jaka decyzja?

– Czego będziesz tam szukać? – zapytał Wincent. Złożył gazety na stertę i sięgnął po filiżankę. Na widoku znów pojawiła się koperta, którą przyniósł Kardas.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedziała szczerze. Nachyliła się nad blatem i zabrała kremową kopertę. – Rozumiem, że policja już przetrząsnęła jej kąty.

– Wstępnie – przytaknął komisarz.

– Nie pytam, czy znaleźli coś ciekawego, bo sadząc po wynikach, mają ograniczone spojrzenie na sprawę.

– Nie przesadzaj – upomniał ją Kardas.

– Zakrwawiony szalik, który przyniósł konfident żony Buriana… – Skrzywiła się. – Wielka mi akcja. Zwróciliście chociaż uwagę na zdjęcia w komórce Fabiś?

– Tak, ale szef uznał, że…

– …niczego nie wnoszą? – Zakpiła. – Fantastycznie. Bo dzięki temu to ja miałam pierwszeństwo poznać panią Dagę.

– Nie zapominaj, dzięki komu! – zaznaczył Wincent i uśmiechnął się pod nosem.

– Nigdy! Hm. A tak swoją drogą, Wi, to duży wyczyn, że tak szybko ją znalazłeś! A do tego przekonałeś, żeby mi pomogła – powiedziała z przekąsem.

Wincent storpedował Zoję spojrzeniem.

– Coś sugerujesz? – Obruszył się.

– Nieee – powiedziała z przekorą w głosie. – Ale przyznaj, że jest urocza i inteligentna.

– Zoi…

– No i tym sposobem wiem już wszystko. – Zaśmiała się głośno.

– Zaczynasz mnie przerażać.

Zoja, zerkając zaczepnie na Wincenta, uśmiechała się pod nosem. Po chwili wróciła do koperty, otworzyła ją i wyjęła na stolik zawartość.

– Co to ma znaczyć? – zapytała głośno, unosząc dwie zadrukowane kartki.

Na jednej widniał znak gwiazdy Dawida. Pod nią znajdował się napis: „Źle to zaczęłaś, Zoi". Na drugiej była ciemna grafika: grupa ludzi kuliła się przed zajmującą znaczną część obrazka demoniczną postacią. „Por temor no pierdas honor"[6] – krzyczał podpis.

*

Łódź, kwiecień – sierpień 1940 roku

Do getta każdego dnia przyjeżdżało coraz więcej ludzi. Jego granice stały się szczelne i pilniej ich strzeżono. Kto raz postawił swoją stopę na jego terenie, nie mógł nawet myśleć o tym, by samodzielnie je opuścić. Getto stało się niezależną tkanką w sercu okupowanego miasta. Zmienionego przez wojnę. To nie była już fabrykancka Łódź, w jakiej dorastał Jakub. Zmieniono jej nazwę na Litzmannstadt, zbrukano kulturę, zdeptano religię i obdarto z tożsamości. Reprezentacyjna ulica zapłonęła czerwienią flag, na których odznaczały się czarne swastyki. A jej tętniąca wielokulturowym życiem aleja zmieniła się w oddający hołd Hitlerowi pasaż. Ale Jakub nie mógł tego widzieć. Nie mógł widzieć więcej, niż pozwalały mu na to zasieki i deski płotów. Patrzył za to, jak jego mała córeczka każdego dnia rośnie

i nieświadoma niczego raczy go szczerym uśmiechem. Patrzył, jak z uwielbieniem i ufnością wtula się w życiodajne piersi matki, i na chwilę zapominał o coraz chudszych i przerażonych ludziach, jacy roili się wokoło. Każdego dnia widział ich śmierć i upodlenie. I bezgranicznie wierzył, że jego i jego najbliższych to nie dosięgnie. Że wytrwają, przeżyją i wyjdą stąd niezłamani. Siłę dawały mu Sara i mała Eli. Dla nich nie mógł się poddać. Przyjąć tej okrutnej rzeczywistości, której nie pojmował.

Namiastką dotychczasowego, normalnego życia była dla niego praca. Znów zaczął szyć. Początkowo szył na swoim singerze, którego udało mu się przemycić w częściach do mieszkania, zanim uszczelniono granice getta. Później zatrudniono go w resorcie krawieckim. Wraz z innymi tworzył konfekcję damską, którą Niemcy wysyłali do Berlina, do butików i sklepów. I choć praca bardziej przypominała robotę w fabryce, to nie narzekał. Jego najbliżsi nie przymierali głodem, a on robił to, co lubił i potrafił.

Wolał kaleczyć palce o igły, niż dać się wciągnąć do niedawno powołanej przez Naczelnego Judenratu Chaima Rumkowskiego policji żydowskiej. Jakub od zawsze gardził podobnymi służbami. A o tej wyrażał się w wyjątkowo pogardliwy sposób, zwłaszcza po tym, jak na własne oczy widział swojego bliskiego sąsiada, w mundurze, wykonującego egzekucję złapanych na kradzieży nastoletnich chłopców. Gdy wieczorem spotkali się w korytarzu, Jakub wymownie popatrzył na jego najstarszego syna. Nie różnił się niczym od tamtych, których trupy wrzucono na wóz i wywieziono pod cmentarz. Wtedy Jakub zrozumiał jedno. Że największego wroga ma za ścianą i to na niego, a nie na Niemców, powinien uważać najbardziej. Pierwszy raz przekonał się o tym w sierpniowy, ciepły dzień. A właściwie wieczór. Niedługo po tym, jak „król getta", Chaim Rumkowski, uruchomił Bank Skupu Wartościowych Przedmiotów i Odzieży. Wpływy banku pochodziły ze skupionych dóbr i miały dać środki na wyżywienie dla głodujących. Jakub słyszał, że zachęca się ludzi, by oddawali swoje futra i drogocenne pamiątki w zamian za drobne pieniądze. Plotki głosiły, że dochód z oddawanych przedmiotów zasila głównie niemieckie wojska, a nie głodujących Żydów, których coraz tłumniej zwożono z całej już Europy. Tym bardziej nie miał ochoty pozbywać się czegokolwiek z ich i tak mizernego majątku. Jednak po kilku tygodniach nie miał już większego wyboru. Oddawanie majątku stało się przymusem. Obowiązkiem, zwłaszcza dla tych mieszkańców getta, którzy mieli zostać wysiedleni. I choć

ani Jakub, ani jego żona nie mieli takiego nakazu, to w drzwiach ich mieszkania pojawiła się policja. Sąsiad z kilkoma innymi funkcjonariuszami. Tego dnia Jakuba nie było w domu. Policjanci z nakazem zaczęli rekwirować uszyte przez Jakuba palta, pelisy i suknie. Najbardziej przeżył to mały Natan, któremu wizyta mundurowych jednoznacznie przywiodła wspomnienie zamordowanych rodziców. Chłopiec z atakiem histerii rzucił się na podłogę. Sara nachyliła się do niego, by go uspokoić, gdy niespodziewanie jeden z policjantów chwycił go i uniósł. Chłopiec ze strachu ucichł na chwilę, a po jego chudych nogach spłynął strumień moczu. To rozbawiło policjanta na tyle, że zaniósł się głośnym śmiechem. Po chwili jednak z obrzydzeniem, nie przebierając w słowach, cisnął chłopcem na łóżko. Sara dopadła do chłopca i tuląc go do siebie, próbowała uspokoić. W tym czasie policjanci penetrowali wieszaki i wnętrze szafy. Targana złością Sara zerwała się i zaczęła na nich krzyczeć. Wyzwała ich od złodziei i sprzedawczyków, za co jeden z nich wymierzył jej policzek. Zapłakana i bezsilna patrzyła, jak zabierają płaszcze i futra i znikają za drzwiami mieszkania. Wieczorem Jakub gotował się ze złości. Chwycił swoje nożyce i po raz pierwszy w życiu poczuł, że może i chce zabić. Że pragnie zemsty. Nie tyle za skradzione rzeczy, ale przede wszystkim za atak na jego rodzinę. I to właśnie jego rodzina ostudziła w nim te zapędy. Pocałunek Sary sprawił, że tamtego wieczora nie przelał braterskiej krwi. Sprawił za to, że w jego głowie pojawiło się postanowienie, żeby za wszelką cenę uciec z getta.

*

Wincent, trzymając komórkę przy uchu, zapalił papierosa i wyszedł na taras. Łagodne promienie słońca odbijały się w szkłach jego okularów, kiedy chodził i rozmawiał, intensywnie gestykulując.

– Gdzie Zojka? – spytał, gdy wrócił do środka.

– Bierze prysznic – odparł Kardas. – Co z przesyłką?

– Zleciłem sprawdzenie tuszu i papieru. Ale najpierw muszą obejrzeć w laboratorium, czy nie ma śladów biologicznych. Może nadawca coś po sobie zostawił – odparł Wincent.

– Sprawdzę każdego, kto przekroczył próg jej mieszkania. Od agenta nieruchomości po dostawcę pizzy. – Kardas zamachał telefonem i odruchowo zerknął na bukiet róż w wazonie. Informację o incydencie z „kwiaciarzem”, jak nazwała go Zoja, zostawił dla siebie. Nie miał ochoty podpadać teraz Wincentowi. Postanowił, że szybko naprawi swój błąd i zacznie research od nadgorliwego typa.

– Dobrze – przytaknął Wincent. – Od tej pory Zojka ma absolutny zakaz goszczenia tu kogokolwiek poza nami. Jej pomysł ze sprzedażą mieszkania nic mnie nie obchodzi. Ma to wstrzymać, a ty masz tego dopilnować! – Chwycił za płaszcz. – Zamów mi taksówkę. Jadę z tym. – Wskazał na zafoliowaną przesyłkę. – Porozmawiaj z ochroną. Niech ci z recepcji dadzą ci wykaz osób, które wchodziły do budynku, i przejrzyj tutejszy monitoring wejścia na klatki schodowe, parkujące samochody, korytarze, wszystko. Podejrzewam, że nie na wiele się to zda…

– Zlecona robota?

– Niestety. Nie sądzę, że ten, kto podrzucił list, jest na tyle głupi i nieostrożny, by dać się nagrać. – Wincent ściągnął usta. – Kiedy masz służbę?

– Wieczorem. Co z przeszukaniem mieszkania Fabiś? – zapytał Kardas, wybierając numer korporacji taksówkowej. – Uważasz, że to dobry pomysł?

– Cholernie dobry – potwierdził Wincent. – Jeśli uda ci się skłonić córkę denatki, by was wpuściła do mieszkania, to świetnie. Jeśli nie, zadzwoń do mnie. Załatwię kwit. Tak czy inaczej. Jedźcie tam dziś, do wieczora powinniście się wyrobić. – Podszedł bliżej. – Kardas, ja wiem, że to nie jest łatwe, ale pozwól jej działać. Jeśli zwietrzy cokolwiek, daj jej wolną rękę. Oczywiście w granicach rozsądku!

Wyszedł, zapalił kolejnego papierosa i włożył kaszkiet. Chłodny jesienny wiatr omiótł jego twarz, a słońce zniknęło za chmurami.

*

Zoja zawinięta w ręcznik leżała rozciągnięta na łóżku i wsłuchiwała się w głos ojca. Pytanie, jakie zadał zaraz po tym, jak odebrał jej telefon, świadczyło, że nie

ma pojęcia, że Zoja w pewnym sensie wróciła do pracy. Gdy mu o tym powiedziała, początkowo w jego głosie pojawiła się nuta zadowolenia. On, podobnie jak Wincent, podzielał bowiem pogląd, że jego córka świetnie nadaje się do roli śledczego, i po cichu liczył na to, że Zoja zmieni decyzję i wróci do zawodu. Nie wiedział jednak, czym podyktowana jest ta zmiana postanowienia. Zoja z kolei miała nadzieję, że o niesympatycznym fakcie, jakim była „wycinanka" na ciele ofiary, powiadomi go Wincent. Wszystko wskazywało jednak na to, że panowie od dawna nie rozmawiali. Delikatnie więc nakreśliła ojcu temat. Czuła, jak z każdym jej słowem wzmaga się jego oburzenie i zdenerwowanie. Nie chciała jednak wywołać u niego niepokoju.

Potrzebowała wiedzy. Potrzebowała rzetelnej odpowiedzi na pytanie o swoich przodków. A obawiała się, czy ojciec jej nie zbędzie. Chciała, by naprawdę się zastanowił nad odpowiedzią.

– Tato, czy ktoś z naszej rodziny ma żydowskie korzenie? – zapytała poważnym głosem. – Czy może mamy jakiekolwiek związki z judaizmem, nie wiem? – Wzruszyła ramionami. – Cokolwiek…

– Nie, Zoi – odpowiedział spokojnie. – Na pewno nikt z naszych przodków, tych, o których istnieniu oczywiście wiem, nie był w żaden sposób spowinowacony z Żydami. Ze strony twojej mamy tym bardziej. Serba to pewnie i jakiegoś byśmy znaleźli, ale nie Żyda. – Odchrząknął. – Ale przyszła mi do głowy jedna rzecz. Pamiętasz ciotkę Anielę? Masz prawo jej nie kojarzyć. Mała byłaś, jak się widziałyście. To młodsza siostra mojego ojca, dziadka Henia. Jedyna żyjąca osoba z pokolenia moich rodziców. Widzisz, słyszałem kiedyś o tym, że nasza rodzina pomogła Żydom w czasie wojny. Ale szczegółów nie pamiętam. Ot, taka stara historia rodzinna. Jeśli ktoś ją pamięta, to tylko ciotka Aniela. Pod warunkiem że z jej głową jest okej. Z tego, co wiem, miewała dziwne odloty, nawet jak była młoda. Teraz może być gorzej. Ale jak chcesz. Przebywa w ośrodku dla seniorów pod Warszawą. Prześlę ci jej dane.

– Dziękuję, tato. – Uśmiechnęła się. – A co u mamy? Tak sobie myślę, żebyś nie mówił jej o tych okropnych rzeczach, które ci powiedziałam na temat zabójstwa

tej dziennikarki.

– Przyznam, że robią wrażenie – przytaknął.

– Nawet dość duże. – Potarła oczy, jakby chciała wymazać widok ciała w prosektorium. – Ale nie mów jej.

– Dobrze. Powiem tylko, że dzwoniłaś. Chociaż… Jak ją znam, to zrobi mi dziką awanturę, kiedy dowie się prawdy.

– Dowie się ode mnie i zrobię to pod twoją nieobecność. Wtedy ci się nie oberwie.

– Trzymam cię za słowo.

– Okej. Teraz jej ta wiedza do niczego się nie przyda. Niepotrzebnie będzie się martwiła.

– Czy niepotrzebnie, tego nie wiemy – odparł poważnie. – Policja ma już jakieś konkretne ustalenia?

– Policja? – Ściągnęła brwi. – To raczej nie jest rutynowe dochodzenie.

– Słucham?! – krzyknął. – Kto za tym stoi? Lager? Wincent? Tak?

– Tak, ale spokojnie. Panujemy nad tym. – Próbowała go uspokoić. – Wincent wie, co robi!

– Tak jak wtedy, gdy zginęła Magda? Tak?! Wtedy też nad wszystkim panował…

– Tato… Właśnie wtedy go zabrakło. – Zoja westchnęła.

O tym, co dokładnie zdarzyło się podczas tamtego feralnego dnia, wiedziała tylko Zoja, Wincent i Kardas. Ojciec znał przyjętą przez sąd i media wersję o nieszczęśliwym zbiegu okoliczności w trakcie zatrzymania niebezpiecznego przestępcy. O tym, że to przez nieuwagę Zoi bandyta zdołał przechwycić jej broń i śmiertelnie postrzelić Magdę, nie mówił nikt. Napastnik też nie miał okazji o tym opowiedzieć, bo Zoja zastrzeliła go w obronie własnej, zanim przybyło wsparcie. Prawdą było to, co przed chwilą powiedziała ojcu i co podkreślała zawsze. Zabrakło Wincenta. Te kilkadziesiąt sekund, zanim się pojawił, zdecydowało

o klęsce. Kazał im zaczekać z interwencją, ale obie z Magdą uznały, że sobie poradzą.

I początkowo rzeczywiście wszystko szło bez zarzutów. Zastały poszukiwanego w pokoju hotelowym. Był zaskoczony. Szybko powaliły go na ziemię. Magda zaciskała kajdanki na jego nadgarstkach, gdy rozproszyło ją dziecko, którego obecności się nie spodziewały. Zoja zbyt nierozważnie przyklęknęła przy małej dziewczynce pełzającej po podłodze. Tyłem i za blisko zatrzymanego. Rękę, w której trzymała broń, odruchowo zabrała za siebie. Facet zwietrzył swoją szansę i zaatakował. Uwolnił się z niedomkniętej jeszcze obręczy i szybkim ruchem zdołał odebrać Zoi pistolet. Zanim zdążyła zareagować, padł strzał. Celny i śmiertelny. Magda upadła tuż przy niej i dziecku. Wincent pojawił się, gdy Zoja trzymała głowę koleżanki na kolanach i głaszcząc jej zakrwawione włosy, zanosiła się płaczem. Napastnik leżał nieprzytomny z trzema ranami postrzałowymi klatki piersiowej. Zoja wiedziała, że byłoby ich więcej, gdyby nie to, że broń służbowa Magdy się zacięła. Wincent trzeźwo ocenił sytuację. Potrzebował kilku minut, by w nieco inny sposób zainscenizować zajście. Ułożył plan zdarzeń, w który uwierzył prokurator, biegli i sąd. Zoja za to nosiła w sobie niechęć do dzieci i ciężar sekretu, o którym nie wolno jej było z nikim rozmawiać. Jedynie Kardas został wtajemniczony. W oczach ojca była kryształowa.

– Jeśli cię to uspokoi tatku, mogę obiecać, że będę na siebie uważać.

– Przepraszam… – Nabrał powietrza. – To stresujące. Zadzwonię do Wincenta jeszcze dziś. Muszę z nim pomówić. A jak już rozmawiamy, potrzebujesz czegoś?

– Nie, tato. – Pokręciła głową.

– Dobrze. Posłuchaj, muszę kończyć, za chwilę mam spotkanie.

– Jasne. – Usłyszała, że ktoś kręci się pod drzwiami jej pokoju. Po chwili rozległo się ciche pukanie.

– Tato. *Volim te*![7]

– No, pa. – Rozłączył się.

Zoja odwróciła się i popatrzyła na stojącego w progu Kardasa.

– Co jest? – zapytała.

– Chcesz jechać do mieszkania Fabiś? – Wskazał ręką gdzieś za siebie. – Dzwoniłem do jej córki. Będzie tam za pół godziny…

– Jasne! – Zoja zerwała się z łóżka i nieudolnie przytrzymując ręcznik, przebiegła obok Kardasa. – Ubiorę się tylko! – zawołała, znikając w garderobie. – Wincent jest jeszcze? – zapytała głośno.

– Pojechał. Jakby miał czekać, aż się wyszykujesz, zapuściłby brodę. Pół godziny pod prysznicem. – Pokręcił głową.

Kardas zaczął przechadzać się po sypialni. Nie omieszkał zerknąć w lustro wiszące na ścianie, gdy mignęło w nim nagie ciało Zojki. Gdy zasłoniło je skrzydło drzwi, podszedł bliżej łóżka i zaczął oglądać rzeczy na nocnej szafce. Książki, zdjęcie w ramce przedstawiające roześmianą Zoję na jachcie z ulubionym psem rodziców. Musnął palcami bransoletki, które zazwyczaj nosiła. Powąchał perfumy w czarno-różowym flakonie i przyjrzał się zegarkowi, który ostatnio widział na jej szczupłym nadgarstku. Przymierzył do swojego. Zojki był większy, masywniejszy i miał zdecydowanie więcej funkcji. Kardas z uznaniem pokiwał głową. Gdy odkładał go na miejsce, odsunął niedużą szufladkę. Dostrzegł czerwone pudełko po biżuterii. Otworzył je i zacisnął wściekle usta. A więc intuicja go nie zawiodła. Podejrzewał, choć nie miał dotychczas podstaw, że Zoja nadal pali zioło. Kiedyś było to nawet zabawne, kiedyś jej w tym towarzyszył, ale nie teraz. W sytuacji, gdy powinna zachować pełną kontrolę, czujność i skupienie, marihuana mogłaby stać się przyczyną jakiegoś błędu, a wtedy… Poczuł, jak strach ściska mu żołądek. Odwrócił głowę i spojrzał w kierunku garderoby. Jednym ruchem zabrał z pudełka wszystkie skręty. Zdążył wsunąć je do kieszeni bluzy i zamknąć szufladkę, gdy Zoja pojawiła się w pokoju. Skakała na jednej nodze, wiążąc but.

– Co to za przegląd mienia?

– Jaki? – żachnął się. – Przymierzałem zegarek.

– Zegarek? – Patrząc na Kardasa, sięgnęła po bransoletki.

– Ten? – Wsunęła na rękę męskiego G-Shocka. – Gotowy?

– Chyba tak. – Wzruszył ramionami. Lustrował twarz dziewczyny. – Dziś wyglądasz dużo lepiej. – Odgarnął z jej czoła spadające pasmo włosów.

Zoja ściągnęła brwi i popatrzyła podejrzliwie. Leżący na łóżku telefon zasygnalizował nową wiadomość od ojca. Na ekranie widniał jeszcze komunikat z banku „Sprawdź, kto przesłał ci pieniądze”. Zoja kliknęła w kolorową ikonkę i z uśmiechem pokręciła głową.

Tatko bardzo dbał, by niczego jej nie brakowało. W końcu kryształowa córeczka musiała być rozpieszczana.

*

Zdjął płaszcz i powiesił go na starym wieszaku. Usiadł obok siwowłosej kobiety w szafirowym swetrze i popatrzył na jej pomarszczone ręce. Na serdecznym palcu prawej dłoni nad złotą obrączką połyskiwało rubinowe oczko. Duży kamień.

W dzieciństwie lubił patrzeć przez niego w słońce. Podbiegał do okna i przykładał do zmrużonych oczu. Świat stawał się wtedy tak cudownie inny. I gdy on podziwiał go w nowych kolorach, ona opowiadała mu historię tego pierścionka. Za każdym razem nieco inną. Raz była radosną bajką z pięknym zakończeniem, raz smutnym wspomnieniem, pełnym gniewu i poczucia niesprawiedliwości. Niezależnie jednak od tego, jak się kończyła, lubił te gawędy.

Z nostalgią wracał do tych chwil, gdy jako chłopiec siedział na miękkim dywanie, tuż przy jej kolanach, i ogrzewany promieniami słońca, słuchał jej głosu. Nawet teraz, gdy patrzył na rubin, poczuł, że to miłe wspomnienie powoduje lekki ścisk w gardle.

Nabrał głęboko powietrza i skupił się na tym, co miał przed sobą. Ludzi i papiery. Cały stos najrozmaitszych dokumentów. Sięgnął po długopis i obracał go w palcach. Podczas ostatniego spotkania skrupulatnie notował sugestie zebranych, ich pomysły i skargi. Potem sklecił wszystko w spójną całość i przekazał zaprzyjaźnionemu radnemu. Interpelację złożyli dwa dni później. Dziś dostali odpowiedź. Wydział środowiska zgodził się na przeprowadzenie badania jakości

powietrza w okolicy ich domów, w czasie gdy fabryka francuskiej marki produkująca plastikowe elementy mebli działa na pełnych obrotach. Tyle z dobrych wieści.

To, co martwiło wszystkich najbardziej, to kwestia budowy drogi. I to wciąż pozostawało niezałatwione. Na niewiele się zdała ostatnia blokada skrzyżowania, bo media prawie wcale jej nie dostrzegły. Tak jak władze miasta. Może źle trafili. W zły czas. Gdyby nie zatrzymanie tego zabójcy, z pewnością byliby jeśli nie numerem jeden, to przynajmniej pisaliby o nich na drugich stronach gazet. Kobieta w niebieskim swetrze powiedziała, że muszą być bardziej zdeterminowani. Działać wspólnie. Może zaprosić do akcji jakiegoś celebrytę. Niech stanie się twarzą ich walki o czyste środowisko. Część zebranych głosowała za, inni kręcili nosem. Po godzinie udało się jednak zawrzeć kompromis. Wtedy przyszła kolej na niego. Wstał i powiedział, że znalazł sposób, by zablokować budowę drogi. Że stara się o zdjęcia lotnicze obszaru ich zamieszkania. Fotografie z samolotów wywiadowczych z czasów, gdy Łódź była pod okupacją niemiecką. Ludzie popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

Gdy zobaczą te materiały na własne oczy, zrozumieją. Najważniejsze, żeby zyskać sympatię. Najbliższe wybory za trzy lata. Akurat ukończy aplikację i będzie miał zawód, który budzi szacunek. A szacunek buduje zaufanie. Będą na niego głosować. Postara się o to. Zerknął na pierścionek z rubinem. Jeden głos ma na pewno. Inne dostanie, jeśli uda mu się zatrzymać budowę drogi. Czuł, że mu się powiedzie.

*

Powietrze było ciężkie i przesiąknięte smrodem kociego moczu. Zoja weszła do niedużego pokoju. Pod oknem stało ikeowskie biurko, obok uszak i obszerny regał wypełniony książkami i czasopismami. Zoja spostrzegła ciemną plamę na starym parkiecie. Sonia Fabiś szybko się zreflektowała. Chyba i jej zaczął przeszkadzać smród. Dopadła do okna i szeroko je otworzyła. Zimne powietrze wymieszane było

z charakterystycznym dla bliskości browaru zapachem gotowanych ziemniaków. Mieszkańcy kamienic przy Pomorskiej byli do tego przyzwyczajeni. Zoja odruchowo się skrzywiła.

– Przepraszam – powiedziała Sonia, zakrywając twarz szalikiem, którego nie zdjęła, odkąd weszli do mieszkania. – Nie wiem, co gorsze. Browar czy kot. On pierwsze dni po śmierci mamy był sam. Niby krótko, ale wystarczyło.

– Przeżyjemy – oświadczyła Zoja i zaczęła przeglądać półki regału stojącego naprzeciw. – Pani pewnie odpowiadała na to pytanie setki razy… – Uśmiechnęła się i stanęła przodem do dziewczyny. – Nad czym ostatnio pracowała mama?

– Nad tym, co zwykle. – Wzruszyła ramionami. – Sport. Nie wiem zresztą. Nie jestem… Nie byłam tu ostatnio za częstym gościem. Studiuję w Krakowie.

– Ale miała pani kontakt z matką?

– Tak, oczywiście. Dość dobry. – Przesunęła dłonią po szaliku. – Prawie codziennie rozmawiałyśmy. Uprzedzając pani pytanie… Nie, nie mówiła o niczym niepokojącym. – Machnęła ręką, jakby coś przecinała. – Przepraszam, ale o coś zapytam. – Zerknęła na Kardasa. – Po raz drugi przeszukuje pan rzeczy mamy. Jest jakiś trop w sprawie? Szukacie czegoś konkretnego, tak?

– Przykro mi, ale nie mogę o tym rozmawiać. – Kardas uśmiechnął się przepraszająco. – Powiem tylko, że ta niepozorna kobieta, która tu stoi, jest specjalistką, jeśli chodzi o nietypowe zabójstwa. Pracuje tylko przy wybranych sprawach. Ściągnęliśmy ją do tego konkretnego zadania, jakim jest wykrycie zabójcy pani mamy.

– To znaczy, że policja sobie nie radzi? – zapytała z rozgoryczeniem w głosie.

– Nie. To znaczy, że każdy z moich kolegów jest odpowiedzialny za inny fragment dochodzenia. I każdy z nich jest specjalistą w swojej dziedzinie. Ale żaden z nas nie ma takiej percepcji i wrażliwości, jaką ma nasza koleżanka. – Wskazał na Zojkę. – Wie pani, kobieca intuicja. – Mrugnął okiem.

Zoja, słuchając Kardasa, zacisnęła zęby. Takich bzdur nie słyszała już dawno. Ale że policjant opakował je odpowiednio i był przystojnym mężczyzną,

dziewczyna nie drążyła tematu. Łyknęła legendę jak indor kluskę.

– A co pani sądzi o Burianie? Wie pani o jego zatrzymaniu? – zapytał znienacka.

– Nie wierzę, że mógłby to zrobić. – Sonia Fabiś przygryzła usta. – Oni się znali ze sto lat. Jeszcze zanim… – Zamilkła nagle i spojrzała na Zoję, po czym ciężko opadła na fotel przy biurku.

Zoja pomyślała, że dziewczyna albo się otworzy, albo nie odezwie się słowem przez długie godziny. Widać było, że coś ją męczy.

Przez dłuższą chwilę Fabiś toczyła wewnętrzną walkę. Nagle zebrała się w sobie. Oderwała nieobecny wzrok od okna i żywiej popatrzyła na Zojkę.

– Przemek jest moim ojcem – wypaliła. – Moja mama nigdy tego przede mną nie ukrywała. Wiem o tym, że jestem owocem ich romansu. Bardzo namiętnego i niekończącego się romansu.

– Jest pani pewna? – Kardas aż przełknął ślinę.

– Oczywiście. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Mama opowiadała, że gdy się poznali, to była eksplozja namiętności i uczucia. Ale to był bardzo dynamiczny związek, bo oni oboje są… – zawahała się – …żywiołowi. Rozstawali się i wracali. Pewnego dnia coś się między nimi popsuło. Przemek wyjechał za granicę, a mama dostała wymarzoną pracę dziennikarki sportowej. Nie wiedziała tylko, że jest w ciąży. Nie przejęła się tym specjalnie. Postanowiła, że z pomocą swojej mamy wychowa mnie sama. Kilka lat później Przemek wrócił do Łodzi. Razem z żoną. I to ciężarną – prychnęła. – Nie przeszkadzało mu to jednak znów wpaść w ramiona mojej matki.

Kardas odruchowo zerknął na zasłuchaną Zoję. Zastanawiał się, czy i ona myśli teraz o tym co on. Czy jej też historia Buriana i Fabiś nie wydawała się podobna do ich własnej? Pełen uniesień związek, z podobnym nagromadzeniem emocji. Inna kobieta, dziecko, rozłąka. Czy zatem czeka ich jeszcze płomienny *come back*?

– I tak zostało – kontynuowała córka Fabiś. – Dlaczego się nie rozwiódł? Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową. – Znając charakter mojej mamy, podejrzewam, że

to ona nie chciała się wiązać. Chyba za bardzo ceniła sobie niezależność. Nie czuła się samotna, bo byłam ja. A Przemek? I tak wiedziała, że ją kocha. Że skoczy za nią w ogień.

– Przepraszam – wtrąciła się Zoja – coś mi tu nie pasuje. Z pewnego źródła wiem, że pani Mariola Burian, żona Przemka, twierdzi, że to dzięki niej pani matka poznała jej męża.

Dziewczyna się roześmiała.

– To proste. Żadne z moich rodziców nie powiedziało jej, że znali się wcześniej.

– Czyli o pani też nie wie. W sensie, kim jest pani ojciec.

– Nie. – Sonia pokręciła głową. – Moja mama i Mariola poznały się, kiedy mama robiła materiał o szkółce młodzików. Jeden z jej synów grał w nogę w takiej drużynie maluchów. Przemek poprosił mamę, czy nie mogłaby go nieco bardziej wyeksponować w materiale, bo młody dobrze się zapowiada. Mama się zgodziła, a Mariola pękała z dumy, że jej synalek wystąpił w telewizji. Od tamtej pory zaczęła zabiegać o mamy uwagę – mówiła rozbawiona. – Ubzdurała sobie, że są koleżankami. Któregoś dnia wpadła na pomysł, że przedstawi mamę Przemkowi. – Znów roześmiała się głośno. – I dopięła swego. Moi rodzice musieli odegrać niezłą scenę, by Mariola się nie zorientowała, że się znają. Pamiętam, że mama przez tydzień się z tego śmiała. Mariola dopiero później się połapała, że jej mąż z mamą coś za często się widują.

– Rozumiem – powiedziała Zoja. – A jesteś pewna, że Mariola nie wie o twoich koniugacjach z jej mężem?

– Na sto procent – odparła tak zdecydowanie, że Zoja nie mogła wątpić w jej szczerość.

– To ja o coś zapytam – wtrącił Kardas. – Czy Mariola Burian mogła zabić pani mamę? Z zemsty czy może z innego powodu.

– Nie wiem. To postrzelone babsko. – Dziewczyna zamyśliła się. – Sama to pewnie nie. To, co zrobiono z ciałem mamy… To wymagało siły i umysłu

psychopaty. Nie sądzę, by była do tego zdolna.

– A ten szalik?

– Ten szalik należał do mamy. To wszystko. – Popatrzyła smutnym wzrokiem. – Przepraszam. Muszę iść czegoś się napić. – Wyszła z pokoju.

– Przecież podobno ją przesłuchiwaliście. – Zoja sięgnęła do kieszeni po rękawiczki.

– Ale nie zwierzała się nam z rodzinnych tajemnic – syknął.

– Biedactwa – westchnęła z kpiącym uśmiechem i wróciła do regału.

W ciągu godziny przejrzeli wszystkie książki i stare magazyny o sporcie i turystyce. Zoję najbardziej zastanawiał brak jakiejkolwiek książki, albumu czy choćby fotografii artysty, którego pracami Fabiś posługiwała się w mentalu. Nic. Podobnie ze sztuką, choć Zoi wpadł w rękę album z malarstwem awangardowym.

Zoja zrozumiała, że obrazy, którymi Fabiś wymieniała się z Burianem, musiały pochodzić z sieci. Szukała zatem dalej. Czego? Nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że nie wyjdzie z mieszkania z pustymi rękami. Gdy skończyła w małym pokoju, przeszła do łazienki. Przerzuciła kosmetyki, apteczkę i niestrudzona stanęła przed wielką szafą w przedpokoju. Rozsunęła jej drzwi i przez chwilę przyglądała się wnętrzu.

Kardas stanął za przyjaciółką. Zoja przesunęła parę wieszaków i jej dłoń zatrzymała się na jasnym krótkim płaszczu. Ostrożnie zdjęła go z wieszaka. Na kołnierzu było wyraźne zabrudzenie.

– Myślisz o tym samym, co ja? – Podsunęła Kardasowi kołnierz.

– Wygląda na krew – stwierdził.

– Hm. Spakuj to – szepnęła, oddając mu płaszcz, i wróciła do przeglądania garderoby dziennikarki.

Z niezadowoleniem stwierdziła, że wśród nudnych fasonów nie ma niczego interesującego. Zajrzała do pudełek z butami i z rezygnacją głośno westchnęła.

Na górnej półce stało kilka skórzanych toreb różnej wielkości. Kardas jednym ruchem ręki zdjął wszystkie. Zoja, wpatrując się w ich puste wnętrza, połyskujące

sprzączki i suwaki, sapnęła i niespodziewanie pobiegła do kuchni, gdzie córka Fabiś dla zabicia czasu wycierała z kurzu wnętrze jednej z wiszących szafek.

– Jeszcze jedno! – niemal krzyknęła. – Potrzebuję torebki pani mamy. Takiej, z którą zawsze i wszędzie… Ulubionej. Nie najładniejszej, tylko najwygodniejszej.

– Mama nie nosiła torebek. – Dziewczyna się zastanowiła. – Tylko plecak. Miała dwa. Jeden, ten mniejszy, zaginął. Policja powiedziała, że prawdopodobnie miała go przy sobie w dniu zabójstwa. – Ściągnęła brwi. – Nie znaleziono go.

– A drugi… – dopytała Zoja.

– Ależ jestem głupia. – Dziewczyna cisnęła szmatkę do zlewu i przeszła do przedpokoju.

Z wiszącej przy drzwiach wejściowych niedużej szafki wyjęła kluczyki od samochodu.

– Pewnie jest w bagażniku. Zawsze go tam chowała, bo woziła w nim służbowy aparat i jakiś sprzęt, bała się, żeby go nie ukradli.

– To do tej pory nikt się o niego nie upomniał? – zapytała zaskoczona Zoja.

– Nie no. Bez przesady. – Dziewczyna pokręciła głową. – Zaraz po tym, jak przejrzała go policja, zabrał go taki znajomy mamy z redakcji. To drogi sprzęt. A, i zdjęcia, które mama zdążyła zrobić, były potrzebne do prasy. No więc plecak jest pusty. Ale mogę przynieść.

– Świetnie. Pójdziemy z panią.

Po chwili Kardas trzymał w dłoniach granatowy plecak. Nadrukowana biała łyżwa zdobiła przednią kieszeń.

– Faktycznie chyba jest pusty. – Kardas, podając plecak Zoi, potrząsnął nim.

Zoja jednak nie słuchała. Rozsunęła wszystkie suwaki i odwróciła plecak do góry nogami. Poruszyła nim na boki. Zadźwięczały wypadające na ziemię drobne przedmioty. Kilka dwudziestogroszówek, klucz imbusowy, nieduża latarka. Dołączyły do nich skasowane bilety, pomadka, chusteczki i pomięte kartki z odręcznymi zapiskami.

Zoja sięgnęła po nie i przebiegła po nich wzrokiem. Lista zakupów i nazwy leków na przeziębienie. Zagryzła wargi. Spodziewała się czegoś więcej. Wsunęła rękę do środka plecaka i obmacała dokładnie jego spód. Natrafiła na kilka paragonów. Zewnętrzna kieszeń była pusta. Została ostatnia kieszonka. Zoja otworzyła jej suwak i wsunęła do środka palce. Dotknęła czegoś, co sprawiło, że poczuła to, na co czekała, odkąd przekroczyła próg mieszkania Fabiś. Znajome mrowienie gdzieś w środku. Właśnie po to tu przyjechała.

Spojrzała na Kardasa i pokazała mu trzy koperty, takie same jak ta z dziwną przesyłką. Zoja wiedziała, że powinna je natychmiast włożyć do folii, ale nie mogła się powstrzymać. Ostrożnie rozchyliła gruby papier pierwszej koperty. Dwoma palcami wyjęła kartkę. Kopia identycznej ryciny, jaką i ona dostała. Z tą samą sentencją u dołu. Otworzyła kolejne koperty. Z obu wytrząsnęła wydruki.

Na wierzchu był rysunek przedstawiający grupę ludzi w dziwacznych strojach. Przypominali przepychających się klownów. Była też inna grafika, a na niej naga kobieta na rynku miasteczka. Od płonącego pod nią ognia zgromadzeni wokół ludzie zapalali pochodnie. U dołu obrazka widniał napis „Płonąca kurtyzana”.

*

Włączyła komputer z przekonaniem, że traci czas. Minionego wieczora przejrzała wiele stron poświęconych rycinom. Nie znalazła nic, co nawiązywałoby do tej, którą miała na ekranie komórki. Zrobiła zdjęcie i Kardas zapakował wszystko w folię, by zawieźć Wincentowi.

Bez ekspertyz i badań domyślała się, że ten, kto przesłał Fabiś kopię ryciny, stoi też za kartką z gwiazdą Dawida. Niepokojące było to, że jej mieszkanie przestało być bezpieczną oazą. Mimo ochrony, monitoringu i tych wszystkich bajerów, za które miesiąc w miesiąc płaciła administratorom. Wiedzieli już, że kopertę podrzucił dzieciak sąsiada. Dostał za to dwie dychy od gościa, którego nie potrafił dokładnie opisać.

Zoja spojrzała na zegarek i uznała, że zanim Kardas i Wincent znów się u niej pojawią, a zrobią to na pewno, ma wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć na pływalnię i solidnie się zmęczyć. A także załatwić sobie to, czego bardzo jej brakowało, gdy ślęczała w nocy nad robotą.

Wysłała esemesa, spakowała torbę i kwadrans później przebijała się przez zatłoczone ulice Śródmieścia. Gdy stanęła na światłach i włączyła lewy kierunkowskaz, by skręcić z Jaracza w Zachodnią, tuż obok jej challengera przemknął chodnikiem znajomy karmelowy płaszcz. Zoja patrzyła na rytmiczne kroki mężczyzny, na jego postawną sylwetkę i w pewnym momencie, nie puszczając hamulca, docisnęła pedał gazu. Samochód wydał z siebie groźny pomruk, a większość przechodniów spojrzała w kierunku Zojki. On też. Potrzebował kilku sekund, by skojarzyć, kim jest kierowca, po czym uśmiechając się, skierował swoje kroki w stronę opuszczonej szyby.

– Pani od zdjęć – zagadnął.

– *Karamel kaput* – odpowiedziała Zoja z uśmiechem.

– Nie wiem, co to znaczy, ale może mi pani wyjaśni przy kawie?

– Następnym razem. – Pokręciła głową. – Dziś mam już plany.

– Kto ich nie ma? A to już drugi następny raz. – Uśmiechnął się. – Nigdy nie ma idealnego czasu. Zawsze jest „coś”. Zachłanne „coś”, co odbiera nam przyjaciół. Wiem z doświadczenia, że najlepsza kawa smakuje nędznie, gdy jest pita w samotności. Zgodzi się pani?

– Wiele mogę na ten temat powiedzieć. – Zoja odpowiedziała szczerze.

– No to jak? – Mężczyzna zerknął na sygnalizator. Wciąż było czerwone.

– Zrobimy tak. – Zoja wyłączyła kierunkowskaz i wskazała palcem przed siebie. – Zaryzykuję i zmienię plany. Jeśli bez problemu znajdę miejsce do zaparkowania w okolicy Puro, to widzimy się za parę minut w kawiarni. Jeśli nie, to znaczy, że ta znajomość nie jest nam pisana i wracam do swoich planów.

– Przyjmuję. – Mężczyzna machnął ręką, w której trzymał kluczyki od swojego samochodu.

Zoja odczekała chwilę, a następnie pojechała prosto, Więckowskiego. Pokonała kilka niedużych skrzyżowań, zanim skręciła wreszcie w Ogrodową. Tocząc się powoli wąskim gardłem ulicy, lustrowała pobocza. Nie było gdzie wcisnąć szpilki. Nagle jedno ze stojących aut zasygnalizowało włączenie się do ruchu. Zoja zatrzymała się, umożliwiając kierowcy manewr, po czym sama zaparkowała.

Gdy weszła do hotelowej kawiarni, jej nowy znajomy stał oparty o bar, na którym znajdowały się już dwie filiżanki. Nie kryjąc zadowolenia, patrzył, jak Zoja zmierza w jego kierunku.

– A więc było pisane – odezwał się, gdy usiadła obok, na jednym z wysokich krzeseł.

– Na to wygląda, choć nie wiem, czy powinieneś czuć się dumny z tego powodu. – Zażartowała.

– Duma bez pokory to próżność…

– A pokora bez dumy to podłość. – Wycelowała w niego łyżeczką, którą zaraz zanurzyła w czarnej kawie.

Mężczyzna się roześmiał, a Zoja pomyślała, że jest w stanie polubić ten uśmiech. Przez cały czas jednak jej myśli zaprzątało pytanie, jak ma na imię ów człowiek, o którym nie wiedziała nic poza tym, że jest adwokatem, nosi płaszcz w kolorze karmelowymi i lubi fotografie Newtona.

– Trafiłem z kawą? – zapytał, patrząc, jak Zoja wsypuje do filiżanki brązowy cukier.

– Absolutnie nie – powiedziała szczerze. – Nienawidzę czarnej. – Upiła łyk. – Chyba że to franck. Ale w Polsce takiej nie ma. Więc następnym razem, jeśli taki będzie, zamów mi cappuccino.

– Aaaa. Okej. – Pokiwał głową. – Zasugerowałem się ostatnim spotkaniem. – Spojrzał w stronę stolika, przy którym dzień wcześniej Zoja rozmawiała z elegancką kobietą.

– Wtedy to była sytuacja awaryjna. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale walczyłam z grawitacją i zachowaniem dobrych manier. A tamta miła kobieta starała się mi

pomóc. – Uśmiechnęła się. – Przepraszam cię, ale nie mam siły dalej udawać, że pamiętam twoje imię…

Mężczyzna się roześmiał. Wstał i się przedstawił.

– Dawid.

Zoja pokiwała głową, przygryzając usta.

– W życiu bym nie wpadła. Obstawiałam Oskara.

– Hm, nawet nie znam nikogo o tym imieniu. – Usiadł i sięgnął po filiżankę. Przysunął ją bliżej i zanim napił się kawy, podciągnął podwinięte mankiety.

Zoja momentalnie zwróciła uwagę na jego tatuaż. Pomyślała, że musi być duży, skoro widoczny fragment swoim kształtem nie przypomina niczego.

– Wyjaśnisz mi teraz, co powiedziałaś tam na światłach? – Spojrzał w okno wychodzące na ulicę. Pałac prezentował się dziś wyjątkowo pięknie. Słońce rzucało ciepłe promienie na neobarokowe dekoracje bogatej architektury.

– *Karamel kaput*? – spytała z uśmiechem. – Karmelowy płaszcz.

– Karmelowy? – Odwrócił się, zerkając na wiszące na wieszaku odzienie. – Sprzedawca wspominał coś o żółtym odcieniu jaspisu – dodał jakby rozczarowany. – A *kaput* bardziej kojarzy mi się z groźbą zabicia kogoś…

– Dobre skojarzenie. Ale *kaput* to także „płaszcz”. Po chorwacku – wyjaśniła.

– Znasz chorwacki?

– Mam dwie ojczyzny. Wiejącą chłodem Polskę, po tacie – i tę słoneczną, przyjemniejszą, po mamie. – Uśmiechnęła się.

– Naprawdę? – zdumiał się. – Czuję ukłucie zazdrości. W jakiej części?

– Urodziłam się tutaj. W Polsce, w Warszawie. Ale mama nie mogła się odnaleźć w obcej stolicy. Tatko kupił dom w Rovinj. To wybrzeże…

– Zachodnia Istria – powiedział, patrząc w dal. – Cudowne miejsce.

Zoja zmierzyła go wzrokiem.

– Dlaczego wolisz być w Łodzi, mając do wyboru rajskie miasto?

– Czy naprawdę wolę? – Napiła się kawy.

Nie miała ochoty rozmawiać o tym, czym się zajmuje i co woli. Choć doskonale wiedziała, że takie pytanie padnie. I że jest to kwestia zaledwie kilku sekund.

– Wiesz, patrzysz na to z perspektywy turysty. Przez pryzmat wspomnień ciepłych wakacji z przyjaciółmi. Nie byłeś tam, gdy przychodzi *bora*. Nie byłeś, gdy jest szaro i chłodno. Gdy miasto jest opustoszałe. Ma to swój urok i uważam, że w każdej sekundzie jest zjawiskowe, ale jak masz dynamiczny charakter i potrzebujesz ciągłej dawki adrenaliny, możesz po prostu się nudzić. Ale przyznaję. Latem jest *the best*.

– A co robisz w Łodzi poza tym, że jeździsz tym przepięknym potworem po mieście i interesujesz się fotografiami Newtona? – Dawid skrzyżował ręce na piersiach. Mankiet uniósł się, ukazując kolejny fragment tatuażu. Wciąż jednak za mały, by Zoja mogła zrozumieć, co przedstawia.

– Pływam. – Skinęła na sportową torbę, leżącą przy jej stopach.

– Okej. Zawodowo?

– Zabójczo – powiedziała.

– A zawodowo? – drążył dalej.

Zoja zrozumiała, że musi czymś zaspokoić jego ciekawość.

– Mój ojciec ma firmę deweloperską. Ich siedziba znajduje się w Warszawie, a ponieważ ma oddziały rozrzucone po całej Polsce…

– …nadzorujesz Łódź – dokończył usatysfakcjonowany.

– Można tak powiedzieć. – Czas na ciebie… – Klepnęła cicho w blat. – Jesteś adwokatem i nosisz jaspisowy płaszcz…

– Nie mówiłem ci, czym się zajmuję. – Zerknął podejrzliwie.

– Nie musiałeś. Widziałem cię w gazecie. Sława cię prześciga.

– Ech – westchnął. – Ten artykuł to trochę przypadek. Pomagam… właściwie pracuję. Inaczej… Dałem się namówić jednej samozwańczej organizacji, żeby czuwać nad ich poczynaniami.

– Rozumiem, że jesteś tak wspaniałomyślnym i dobrodusznym człowiekiem, że był to układ *pro bono*. – Posłała mu zadziorny uśmiech.

– Rzeczywiście masz rację, ale z tą dobrodusznością bym nie przesadzał – odpowiedział. – Mam pewne powody, by pomóc tym ludziom. To taka, wiesz, grupa osób, które czują się pokrzywdzone przez władze miasta i biznesmenów. Wielkie ryby nie chcą o nich słyszeć, a co ważniejsze, nie chcą, żeby ktoś im przeszkadzał w interesach. A ci ludzie walczą o zaprzestanie budowy dróg dojazdowych do fabryk pewnego koncernu. Mamy niestety powody, by sądzić, że nie wszystkie zgody na inwestycje pozyskano uczciwą drogą. Poza tym fabryka przy okazji produkcji tego, do czego została stworzona, wytwarza toksyczne chmury, co dokucza mieszkańcom. To jest i uciążliwe, i niebezpieczne. Do tego dochodzą plany rozbudowy infrastruktury przemysłowej, które zakładają przebudowę rejonu, gdzie ci ludzie mieszkają. Wiesz, całe rodziny. To normalne, że boją się o siebie i zdrowie dzieci. – Wzruszył ramionami. – A nad tym, żeby w tej walce nie popełnili jakiegoś błędu, za który przyjdzie im słono zapłacić, albo nie złamali prawa, czuwam ja. Taka praca. – Rozłożył ręce. – Reszta to papiery. Rozwody, spadki, majątki i tym podobne rzeczy.

– Sprawy karne też? – zapytała.

– Nie. Raczej nie – zaprzeczył. – Jak widzisz, nie ma w tym adrenaliny, na pewno nie takiej, jaka napędzałaby ciebie. – Uniósł filiżankę i napił się kawy. – Ale to nie znaczy, że jestem nudnym papugą. Mam pewną odskocznię od tego, co robię na co dzień.

– Czyli?

– Czyli… – Spojrzał na nią tak przenikliwie, że poczuła na ciele ciarki. I jeszcze większe, gdy niespodziewanie się przysunął. – Pokażę ci następnym razem – szepnął, wskazując starszą kobietę, która właśnie weszła do kawiarni.

– Każdy ma swoje plany. – Zoja uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Postaram się, żeby było cappuccino – powiedział. – I adrenalina. Do zobaczenia.

Położył wizytówkę, po czym wstał i ruszył w kierunku eleganckiej staruszki, która nerwowo rozglądała się po sali. Przywitali się i usiedli przy jednym ze stolików. Zoja dopiła kawę i zerknęła na wizytówkę. Widziała już taką. Na pewno ten układ kolorów był jej znajomy. Skupiła się jednak na odręcznie zanotowanym prywatnym numerze, a właściwie widniejącym obok dopisku „tylko dla Zoi”, i uśmiechnęła się. Z tego, co pamiętała, przedstawiła się tylko raz, kiedy podawał jej kartki z wydrukowanymi zdjęciami.

Zerknęła dyskretnie na adwokata. Siedział do niej tyłem i rozmawiał z kobietą. Przez jasny materiał koszuli przebijał cień tatuażu. Pokrywał całe lewe ramię, bark i częściowo wlewał się na plecy. Duży obraz. Duże ramiona.

Zoja poczuła, że bardzo chciałaby je zobaczyć z bliska. Wyjęła komórkę i na numer z wizytówki wysłała esemesa o treści: „Tylko dla Dawida”.

*

Zaparkowała na tyłach okazałego budynku. Wyjęła iPhone’a i wybrała numer. Po dwóch sygnałach rozłączyła się i ruszyła do wejścia. W korytarzu czekała na nią dziewczyna. Jej kolorowy strój do fitnessu kontrastował z białymi drzwiami łazienki. Zniknęła za nimi, gdy Zoja podeszła do automatu z napojami. Spotkały się dwie minuty później po tym, jak Zoja kupiła wodę mineralną i również weszła do łazienki.

– Siemka – rzuciła dziewczyna. Miała dwa dobierane warkocze sięgające łopatek, a jej ciało błyszczało od potu.

– Widzę, że walczysz o formę. – Zoja uśmiechnęła się i badawczo zerknęła na rząd kabin.

– Czysto. Sprawdziłam. – Dziewczyna dała znak ręką. – Kurczę, samo się nie zrzuci. – Klepnęła się w biodro. – Co tak szybko? – Podeszła do Zojki i wcisnęła jej w rękę zawiniątko. Ostatnio kupiłaś towaru na miesiąc.

Zoja podała jej banknoty.

– Powiedzmy, że kogoś poczęstowałam. Reszta dla ciebie – rzuciła, wkładając paczuszkę do bocznej kieszeni torby.

Za drzwiami zaświdrował hałas i do środka weszła kobieta z dwójką przekrzykujących się dzieci. Dziewczyna z warkoczami umyła ręce, po czym puszczając przodem jedną z dziewczynek, przeszła obok Zoi.

– Miłej zabawy – szepnęła, posyłając jej całusa.

Zoja przez chwilę patrzyła na swoje odbicie w lustrze i, nie mogąc zdzierżyć hałasu dzieci, wyszła z łazienki.

Po dziewczynie nie było śladu, choć Zoja dobrze wiedziała, że jest tuż za ścianą opatrzoną olbrzymim logotypem siłowni. Odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku. Już czuła wilgoć i zapach chloru.

Nie okłamała Dawida. Pływała naprawdę zabójczo.

*

Złapała go pod komendą. Wpatrzony w ekran komórki, Kardas początkowo jej nie zauważył, dopiero gdy zawołała jego imię, pojął, że idzie za nim z parkingu. Odwrócił się.

– Co tu robisz?

– Przyszłam pogadać. – Odrzuciła w tył pasmo włosów. W ręku trzymała papierosa.

– To szybko, spieszy mi się. Jestem w pracy. – Ruchem głowy wskazał na budynek. – Jak Ala? – Wyjął z jej palców papierosa i sam przyłożył do ust.

– Tu nie chodzi o Alę. Tylko o nas. – Podniosła głos. – Chcę, żebyś wrócił i z powrotem z nami zamieszkał. Chcę normalnej rodziny dla dziecka.

– Właśnie dla dobra Ali nie wiem, czy jest to dobry pomysł – oświadczył, zaciągając się nerwowo.

– Przez Zojkę?

– Nie. Ona nie ma nic do tego. – Zerknął na kilku kolegów zmierzających do pracy. Machnął do nich na znak, że zaraz do nich dołączy. – Aniu, uszanuj proszę

moją decyzję. Będę ci płacił alimenty i bezwzględnie opiekował się Alicją. Nie zostawię jej.

– Ale ja cię kocham! Nie rozumiesz tego? – zapytała rozpaczliwie. – Dziecko potrzebuje obojga rodziców!

Kardas chwycił za jej ramię i przytrzymał.

– Anka, przestań. Nie dam się nabrać na histerie i łzy – zasyczał. – Wracaj do domu! Podjadę wieczorem i wszystko ustalimy.

– Dobrze się zastanów, co robisz! – krzyknęła za nim. – Bo może się okazać, że nie dasz rady obronić tej swojej zdziry przed tym, kto na nią poluje! Tym bardziej że łatwo da się ją namierzyć. A ochrona budynku, w którym mieszka, to fikcja.

Kardas znieruchomiał. Nie chciał się jednak dać sprowokować. Udał, że jej nie słyszy.

Zgasił peta w dużej popielnicy przy drzwiach i złapał za klamkę. Zanim wszedł, raz jeszcze spojrzał na kobietę. Patrzyła na niego i uśmiechała się w sposób, który go przeraził.

– Nie doceniasz mnie, kochanie. Nigdy nie doceniałeś i to jest twój największy błąd – powiedziała, gdy policjant zniknął już za drzwiami.

*

Nie mógł uspokoić gonitwy myśli. Wciąż miał przed oczami szyderczy uśmiech Anki, a jej słowa dudniły mu w głowie.

Tymczasem wrócił do chwili, gdy w towarzystwie ochroniarzy przeglądał zapis monitoringu z apartamentowca Zojki. Czuł, że przeoczył coś oczywistego. Zasugerował się dzieciakiem i zakapturzoną postacią, której nie rozpoznali, bo dobrze orientowała się w rozmieszczeniu kamer. Kardas nie chciał powiedzieć tego głośno ani teraz, ani wcześniej, ale Anka miała rację. Dostać się do budynku apartamentowca to żaden problem. Nawet jego nikt nigdy nie zapytał, do kogo tak często przychodzi.

Zagryzł wargi. Miał przed sobą stos papierów do uzupełnienia. Do wczorajszych dołączyły nowe. Gdyby miał je wszystkie wypisać, przy biurku spędziłby z dziesięć godzin. Nie miał tyle czasu. Tym bardziej teraz. Obiecał Wincentowi sprawdzić klientów agencji nieruchomości, którą zatrudniła Zojka.

Wyszukał w internecie ich stronę i zanotował numer telefonu. Gdy w słuchawce pojawił się miły głos pracownicy agencji, Kardas przedstawił się i umówił na spotkanie. I pewnie załatwiłby sprawę od ręki, tak jak to sobie zaplanował, gdyby nie przeszkodziły mu obowiązki służbowe.

Zgłoszenie, do którego został przydzielony, wydawało się rutynowe. Sprzeczka na melinie zakończona kosą.

Jednak gdy Kardas w towarzystwie kolegów dotarł na miejsce zdarzenia, zrozumiał, jak bardzo się mylił. Trzymając w ręku dokumenty, analizował sytuację. Wyjął z kieszeni komórkę, zrobił zdjęcie poturbowanej twarzy ofiary, po czym wybrał numer Zoi. Odebrała po kilku sygnałach. Po szumie, jaki słyszał w tle, zorientował się, że dziewczyna jedzie samochodem. Po jej głosie, że tryska humorem.

– Zoi – szepnął. – Mamy zabójstwo. – Zrobił krok w tył. Nie chciał przeszkadzać w pracy technikom, a jednocześnie musiał oddalić się na tyle, by nikt nie słyszał jego rozmowy.

– Skoro do mnie dzwonisz, to znaczy, że ma to związek z Fabiś – powiedziała. – Nasz zabójca znów zaatakował?

– Temat łączy się z Fabiś, ale inaczej, niż myślisz. Tego nie zrobiła ta sama osoba.

– Zamieniam się w słup… Słuch. – Zachichotała.

– Zojka! – warknął.

– Ojej, wyluzuj.

– Weź się skup. Koleś, wokół którego skacze właśnie prokurator, to Dariusz Witkowski… według kwitów, które znalazłem w jego kieszeni.

– Dariusz Witkowski – powtórzyła. – Co to za jeden?

– Przesyłam ci uroczą fotkę. Sama mi powiesz!

– Hm… Poczekaj. Muszę poklikać. – W telefonie zatrzeszczało. – O, fuj! Dariusz Konfident! – krzyknęła. – Pracownik Buriana. Nie wygląda na szczęśliwego. Gdzie to?

– Niedaleko cmentarza na Olechowie. Na Zakładowej. Ciało leżało na łuku drogi. Teren zarośnięty, znalazł go rowerzysta. – Kardas mówił szybko, zakrywając dłonią usta i rozglądając się. – Obrażenia, jak widzisz… Jednoznacznie wskazują na zawodowy wpierdol zakończony kosą.

– Jadę do ciebie! Wyślij techników do serwisu Buriana. Podejrzewam, że i tam mogą znaleźć mnóstwo śladów. To niedaleko – oświadczyła. – I dojedź żonę Buriana!

– Zoja, nie dzwonię po poradę ani tym bardziej po ciebie! Wiem, co mam robić – burknął. – Tak więc nie, nie jedziesz tu! – powiedział podniesionym głosem. – Mam dla ciebie inną robotę. Wracaj do domu i przejrzyj raz jeszcze monitoring.

– Po co? – zapytała.

Zaczął jej tłumaczyć, ale gdy po kilku jego słowach, nagle głośno się roześmiała, stracił cierpliwość. Było jasne, że w ogóle go nie słucha i zajmuje się czymś zupełnie innym.

– Co ty robisz? – zapytał poirytowany.

– Jadę samochodem – odpowiedziała.

– Przecież słyszę! Powiedziałem coś śmiesznego?

– Nie. Nie z ciebie się śmieję. Poza tym, mam podzielność uwagi. Słyszę, co do mnie mówisz – obruszyła się. – Mam jechać oblukać na monitoringu wszystko poza dzieciakiem. Wiem. Skumałam.

– No to zrób to i zadzwoń do mnie. Wincent się odzywał?

– Tak. Ma przyjechać dopiero wieczorem, bo musiał się wybrać do Warszawy. Postanowił, że kwestię rycin przegada z Dagą, ha, ha.

– Co w tym śmiesznego? Jesteś w jakimś podejrzenie dobrym humorze – oświadczył i odruchowo dotknął kieszeni, w której miał marihuanę z mieszkania Zoi.

– Ojej, nie jęcz, tylko słuchaj. Wiesz, co myślę? – zapytała.

– No?

– Że Wi romansuje z tą babką od mentalu.

– Żartujesz?

– Powaga. Widziałeś jego minę, jak o niej wspomniałam? Głos mu się zmienia, jak o niej mówi. Łagodnieje. A poza tym wiem, że Wincenta kręcą babki z takimi włosami.

– Jakimi? – Spojrzał w kierunku prokuratora, który dał znak, że zakończył oględziny.

– Długimi, miękkimi falami – zamruczała Zoja.

– Może. Nie wiem, nie mam teraz do tego głowy. – Kardas westchnął głośno. – Słuchaj, muszę kończyć.

– Wiem, wiem – odpowiedziała.

Już odsuwał telefon od ucha, gdy usłyszał jeszcze, jak Zoja go woła:

– Kardas, zapomniałam ci powiedzieć! Wincent sprawdził tę plamę na płaszczu. To krew.

– Tak myślałem. Zoja, jedź do siebie. Proszę – szepnął.

– Okej. Właśnie wrzucam migacz i skręcam na parking. Słyszysz… – Zaśmiała się. Musiała przyłożyć telefon do stacyjki, bo do ucha Kardasa dotarło charakterystyczne tykanie. – Wierzysz mi?

– Nie o to chodzi, że ci nie wierzę…

– Ej, Mariusz… – przerwała i powiedziała to zupełnie poważnie.

Zbyt poważnie. W dodatku użyła jego imienia. To wystarczyło, żeby się zaniepokoił.

– Zojka, co jest?

Ale Zoja nie odpowiedziała. Zamiast niej słychać było głuchy dźwięk uderzenia i brzdęk szkła. Zoja krzyknęła i połączenie przerwano.

Kardas zacisnął pięść i rzucił się do samochodu. Ruszył z piskiem, mając niedorzeczną nadzieję, że prokurator będzie wyrozumiały, gdy będzie mu tłumaczyć powód ucieczki z czynności.

*

Patrzył, jak jej długie palce z gracją wygładzają papier wydruku. Wodził wzrokiem po jej zamyślonych oczach i na ułamek sekundy pozwolił sobie spojrzeć na kształtną linię biustu schowanego pod jedwabną koszulą. Gdy Daga Kasprzyk podniosła głowę i posłała mu uśmiech, poczuł euforię. Gdy położyła na blacie dzielącego ich stolika rycinę, gwałtownym ruchem włożył okulary.

– Początkowo nie miałam pewności, ale sprawdziłam i teraz mogę potwierdzić, że pierwsza grafika to „gorąca kurtyzana” – oświadczyła szeptem, zerkając na inne stoliki.

– Hm… – Zerknął na nią. Pasma jej jasnych włosów opadły łagodnie na ramiona, gdy poruszyła głową.

– Według historii ta kobieta – wskazała na nagą postać pośrodku ryciny – to księżniczka. Nie wiem, z którego królestwa pochodzi, ale teraz to bez znaczenia. Chodzi o przekaz. – Założyła nogę na nogę. – Uchodziła za nadzwyczaj namiętną kobietę. Pewnego razu zabawiła się kosztem pewnego szanowanego filozofa i go ośmieszyła.

– W jaki sposób? – zapytał poważnie.

– Zalecał się do niej, a ona dawała mu płonne nadzieje. Ostatecznie zadrwiła z niego, szargając jego dobre imię. I została za to ukarana.

– Spalono ją? – Zerknął znad okularów. Znów docenił piękno jej włosów.

– Nie. Wystawiono ją na publiczne zgorszenie. Jak widzisz, nagą. – Nachyliła się, a jej koszula opadła nieco, głębiej odsłaniając dekolt. – Ognisko… Są dwie wersje podania. W jednym, być może dla podkreślenia jej temperamentu, mówi się,

że faktycznie podłożono pod nią ogień. W drugiej, która osobiście bardziej do mnie przemawia, ogień zapłonął sam od jej rozpalonego ciała. – Roześmiała się. – Zapłonęła. A od tego ognia ludzie zapalili pochodnie i lampy. Nazwano ją kurtyzaną.

– Rozumiem. Ale jak to się ma do naszej ofiary? – Wincent starał się patrzeć prosto w jej oczy, choć nie było to łatwe. Skupił więc wzrok na jej włosach. Lubił, gdy kobieta bardzo o nie dba, tak jak Daga.

– Nie wiem, bo jak wspomniałam tej dziewczynie… – Zmrużyła oczy. – Zoi… – Pstryknęła. – Nie znam szczegółów sprawy. Konkluzja jest jednak dość oczywista. – Uniosła rysunek. – Nie dotrzymałaś obietnicy, więc spotka cię kara. – Odchyliła się, oparła wygodnie i upiła łyk białego wina. – To ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie. – Zdjął okulary i schował je do kieszeni marynarki. – A czy te dwa pozostałe listy… Rozumiem, że też mają jakieś ukryte znaczenie?

– To są dzieła Goi. Tak jak w pierwszym wypadku ich istotą jest przekaz.

– Domyśliłem się, że to jakaś gra.

– Na to wygląda. Twój zabójca musi się dobrze orientować w sztuce i mentalu. Ciekawi mnie ten człowiek.

– A co z przekazem? – przerwał jej, widząc, że popada w zadumę.

– Obie ryciny pochodzą z cyklu *Szaleństwa*. Każda z nich ma przypisaną sentencję. Ta… – zamachała kartką, którą dostała także Zoja – …brzmi mniej więcej tak: „Ze strachu nie trać honoru”.

Wincent popatrzył na nią, w myślach przetwarzając usłyszane zdanie.

– To też można potraktować jako ostrzeżenie…

– Raczej radę. – Daga uniosła palec. – Ostrzeżeniem czy raczej wyraźną groźbą jest ta ostatnia. – Wskazała na trzecią kartkę. – „Ciesz się karnawałem, bo jutro w proch się obrócisz”. Wincencie, nie chcę wkraczać w twoją pracę, ale jeśli możesz, sprawdź, w jakiej kolejności zostały wysłane te grafiki. – Pochyliła się nad stolikiem i przesunęła wydruki tak, że leżały jeden obok drugiego. – Ja to widzę tak: najpierw mamy Goyę i jego słowa o strachu i honorze. Potem księżniczkę,

która nie wywiązała się z obietnicy. A na końcu grupę przebranych uczestników karnawału.

– Twoja sugestia jest rzeczywiście trafna. Ofiara coś obiecała…

– A potem się przestraszyła i wycofała – dokończyła Daga, napotykając spojrzenie Wincenta. – Na koniec dostała informację, że kara jest nieunikniona.

– Rozumiem. – Wincent odchrząknął. – Ale tę samą grafikę – stuknął palcem w pierwsze dzieło Goi – dostała moja znajoma. Nadawca dołączył do tego gwiazdę Dawida. Masz pomysł, co to może oznaczać? Oczywiście poza tym, że to symbol judaizmu…

– To, jak powiedziałeś, jest symbol. Znak. Znaczy to, co znaczy. Bez podtekstów. – Przechyliła kieliszek.

Wincent przez chwilę wpatrywał się w czerwony ślad szminki na szkle. Z zamyślenia wyrwała go wibracja telefonu. Początkowo go zignorował, ale po kilku sygnałach uległ i z przepraszającą miną sięgnął do kieszeni. Kobieta obserwowała, jak tężeje mu twarz. Gdy się rozłączył, było oczywiste, że ich spotkanie dobiegło końca.

Zanim się pożegnali, Daga przysunęła się i dotknęła jego dłoni.

– Kim jest dla ciebie Zoja? – zapytała.

– Zoja to córka mojego… – Wincent zawahał się – …dawnego przyjaciela. Pracowaliśmy kiedyś razem. Przeszedł jednak do świata biznesu, a ja pozostałem w służbie. Kiedy on robił duże pieniądze, ja dostałem posadę naczelnika departamentu w ABW.

– Dawnego przyjaciela mówisz? – Przechyliła głowę. – Męskie przyjaźnie zwykle kończą się z powodu kobiety – rzuciła sucho.

– Owszem – przytaknął. – I w tym wypadku można powiedzieć, że tak właśnie było. Ale to zamknięta historia. Nie ma sensu jej opowiadać. – Nakrył dłonią jej gładkie kłykcie, jakby chciał się pozbyć jej dotyku.

– O bliźnie też? – Musnęła palcami drugiej ręki jego policzek.

Wincent odruchowo cofnął głowę.

Spojrzał na kobietę i przełknął ślinę. Nie powinna była się tak zachować. Przekraczać granicy. Nie powinna go była dotykać.

– Chirurdzy kiepsko się spisali – powiedział szorstko, po czym wstał i włożył kaszkiet.

Zanim wyszedł z kawiarni, raz jeszcze zerknął na jej włosy.

Nie mylił się. Były piękne.

*

Zoja dyszała ciężko. Krew spływająca ze skroni utrudniała widzenie i brudziła twarz i ubranie. Dziewczyna była tak wściekła, że od zadania decydującego ciosu dzieliły ją ułamki sekund. Panowała nad sobą tylko dlatego, że w jej głowie grzmiały słowa, które wpoił jej Wincent: „Jeśli nie zachowasz spokoju, ofiary będą co najmniej dwie. Jedną z nich będziesz ty, bo zawsze ktoś musi zapłacić rachunek”. Zacisnęła dłonie na zimnym aluminium kija do bejsbola i zamiast uderzyć pojękującą kobietę, z całej siły cisnęła nim w głąb garażu. Brzdęk metalu odbił się echem. Tak jak krzyk Zojki, dający upust jej złości. Otarła krew z policzka i podeszła do samochodu. Pod jej butami chrupało szkło z bocznej szyby jej challengera. Wsunęła się do auta i sięgnęła po komórkę. Wybrała numer alarmowy i czekając na połączenie, zbliżyła się do leżącej na ziemi dziewczyny. Gdy się nad nią nachyliła, zza filara wybiegło dwóch ochroniarzy.

– Pani Zoju! – zawołał jeden z nich. – Jezus, Maria, co tu się stało? – Dopadł do niej i z przerażeniem popatrzył na jej twarz.

– Nic mi nie jest – fuknęła. – Zajmijcie się lepiej nią. – Wskazała głową w kierunku kobiety, której drugi ochroniarz pomagał wstać. Chwiała się jednak i zataczała, popłakując.

– Napadła panią? – spytał ochroniarz, ale Zoja w odpowiedzi przyłożyła palce do skroni i zaklęła cicho.

Z zewnątrz dobiegł ich hałas nadjeżdżającego samochodu, po chwili do garażu z impetem wpadła policyjna kia. Zojka na widok migającego koguta zacisnęła pięści. Nie kryjąc złości, doskoczyła do wysiadającego policjanta i wcisnęła mu telefon, z którego dobiegał głos dyspozytorki.

– Dobrze, Kardas, że wpadłeś – rzuciła. – Trzeba posprzątać po twojej dziewczynie – syknęła.

– Co z nią? – zapytał, przykładając telefon do ucha. – Co z tobą? – Zagryzł usta, patrząc na krwawiącą Zojkę.

– Ona? Żyje! – warknęła Zoja. – Będzie musiała sprawić sobie jakieś twarzowe ciemne okulary i wziąć kredyt.

Cofnęła się i podeszła do samochodu. Ze sportowej torby wyjęła basenowy ręcznik. Był jeszcze wilgotny. Najpierw wytarła nim twarz, a potem okręciła go wokół ręki. Szybkimi ruchami zaczęła wygarniać z wnętrza auta szkło. Gdy skończyła, znów podeszła do Kardasa. Nachylał się nad Anną, którą wciąż przytrzymywał ochroniarz. Gdy zobaczyła, że Zoja chwyta Kardasa za rękaw i odciąga na bok, zaczęła wykrzykiwać w jej kierunku wyzwiska. Zoja popatrzyła na nią z litością i pokręciła głową. Odwróciła się do Kardasa i wyciągnęła rękę.

– Telefon! – Z jej twarzy spłynęło kilka kropel krwi. – *Jebena* – syknęła, ocierając policzek dłonią. – Dawaj komórkę. Muszę jechać!

– Zoja, poczekaj. Rozmawiam. – Kardas zrobił krok w tył, uniemożliwiając jej wyrwanie mu telefonu. Dopiero gdy się rozłączył, oddał jej komórkę. – Zoja… – Chwycił ją za rękę. – Zaraz będzie tu pogotowie. Opatrzą cię. – Wskazał na jej ranę. – Okropnie się leje. Trzeba będzie szyć. – Wyjął z kieszeni chusteczkę i chciał przyłożyć jej do skroni, ale Zoja się odsunęła.

Bez słowa, nieprzytomna ze złości, wróciła do samochodu. Rozdzierający ryk silnika zagłuszył na chwilę skomlenie Anny i podniesione głosy ochroniarzy. Zagłuszył też Kardasa. Zoja spojrzała w lusterko, ale go nie dostrzegła. Ruszyła z piskiem, wymijając kij z amerykańską flagą. Kardas wskoczył do kii i pognał za nią.

Złapał ją po dziesięciu minutach, na stacji benzynowej, gdy tankowała paliwo. Zaparkował i podbiegł do niej, zanim się zorientowała, że ją namierzył.

– Zoja! Co jest? Czemu uciekłaś?

– Nie uciekłam – odpowiedziała, patrząc na wyświetlacz dystrybutora. – Powiedzmy, że musiałam odreagować spotkanie z twoją ukochaną. Poza tym muszę coś z tym szybko zrobić. – Wskazała na wybitą szybę. – *Fuck*! Z tydzień im zejdzie, zanim to naprawią.

– Zapłacę za to – powiedział spokojnie.

– Weź…

– Naprawdę. – Położył rękę na piersi.

– Kardas, czy ty jesteś ograniczony umysłowo?! – zakrzyknęła. – Nie rozumiesz? Nie chodzi o kasę! – Gwałtownie puściła pistolet i z hukiem odwiesiła go na miejsce. – Wincent miał rację! Twoja dziewczyna jest nieobliczalna. Chora i niebezpieczna. Wyskoczyła mi na drogę, a jak do niej wysiadłam, zamachnęła się metalowym bejsbolem i walnęła w szybę! I to tylko dlatego, że zdążyłam się schylić. Co ona sobie myślała?! – krzyczała, miotając się. – Zarobiłabym centralnie w głowę! I tak cała jestem poharatana. – Wyciągnęła przed siebie ręce pokryte małymi rankami. – O skroni nie wspomnę. – Spojrzała w górę. W miejscu rany miała naklejony wielki plaster, który zaczynał przeciekać. – Wyglądam jak żul i czuję się okropnie. Miałam ochotę ją zabić! I powiem ci, że miałam do tego wspaniałą okazję! – Zbliżyła się, gestykulując. – Obezwładnienie jej było dziecinnie łatwe. Głupia suka, prawie sama oddała mi kij. Spanikowała, a po jednym liściu spuchła zupełnie. Pieprzona histeryczka!

– Po jednym liściu? – zapytał Kardas. – Wyglądała, jakby nie miała nosa…

– Bo zdaje się, że uderzyła o maskę dodge’a… – Zoja wzruszyła ramionami. – Przynajmniej dobrze zapamięta lekcję manier. Może dotrze do niej, że tak się nie robi, nie napada się na ludzi… Wiesz, co mi jeszcze powiedziała? Że zabójca już niedługo mnie dopadnie. Więc nie próbuj mnie przekonywać, że się jej nie należało – wychrypiała.

– Przepraszam. – Zacisnął wargi. – To moja wina. Miałem cię chronić…

– Owszem, twoja. – Wycelowała w niego palcem. – Dlaczego? Bo nie miałeś jaj, żeby jej się postawić, kiedy był na to czas! – krzyczała. – Miotałeś się, aż przejęła nad tobą kontrolę. Dałeś się jej omotać. Ale dopóki to dotyczyło ciebie, mnie to nie obchodziło! Ale przegięła… – Pokręciła głową.

– I wierz mi, że nie zostawię tak tego! – krzyknął. – Poniesie konsekwencje i ja też. Przepraszam, Zoi. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, to powiedz, proszę…

Zoja popatrzyła na budynek stacji. Nabrała głęboko powietrza i starała się uspokoić.

– Kardas, idę zapłacić i spadam – powiedziała już spokojniej. – Mam co robić. Twoja laska zafundowała mi dziś masę atrakcji. Muszę załatwić sobie jakiś samochód. Chcę jechać na chwilę pod Warszawę.

– Po co? – Popatrzył na nią zaskoczony.

– Odwiedzić kogoś z rodziny. Później ci wyjaśnię.

Zrobiła krok, ale Kardas ją zatrzymał. Złapał za rękę i odwrócił przodem do siebie.

– Popatrz na mnie! – rozkazał.

Westchnęła, ale zrobiła to, o co prosił. Przyjrzał się jej uważnie, spojrzał prosto w oczy.

– Jarałaś! – Szarpnął ją. – Zojka! Dlatego nie chciałaś poczekać na pogotowie?!

– Przestań. – Próbowała go wyminąć.

– Kurwa, nie oszukasz mnie! Słyszałem, jaki miałaś fantastyczny humor. – Wskazał palcem na wnętrze samochodu. – I ty mi będziesz prawić morały?!

– Weź skończ. – Klepnęła go w ramię. – I nie rób z siebie niewiniątka. Zawinąłeś mi tyle towaru, że mógłbyś obdarować cały wydział z komendantem na czele.

– Zawinąłem, żebyś była przytomna! Żebyś nie odpieprzyła jakiegoś numeru!

– Tak jak wtedy, tak? – przerwała mu. – To chciałeś powiedzieć?

– Nie. Wtedy to był wypadek – szepnął.

– Wypadek – prychnęła. Opuściła głowę, a gdy ją podniosła, popatrzyła dumnie w oczy Kardasa. – Okej. – Rozłożyła ręce. – Masz rację. Paliłam zioło. Często palę. Zazwyczaj przed snem. A wiesz czemu? – Uderzyła palcem w jego klatkę piersiową. – Żeby nie musieć oglądać kolejny raz jej twarzy. Jej oskarżycielskiego spojrzenia! Wszyscy wiemy, że przyczyniłam się do tego. Że pozwoliłam, żeby ją zabił. – Przygryzła wargi. – Z mojej broni. Mojej.

– Zoja… – Objął ją ramieniem. – Nie możesz wciąż tego rozgrzebywać. Powinnaś o tym zapomnieć.

– Zapomnieć? – zapytała. – Tego nie da się zapomnieć. To jest moja kara za ufanie ludziom. Za naiwność. I wiesz, co myślę…? Że gdyby ten, kto na mnie poluje, rzeczywiście mnie dopadł, byłabym mu nawet wdzięczna. Uwolniłby mnie od tego koszmaru. Od poczucia winy i jeszcze kilku innych nieprzyjemnych emocji.

Kardas mocniej przycisnął ją do siebie.

– Jezu, Zoja – westchnął. – Jest gorzej, niż myślałem.

– Jest, jak jest. – Nabrała powietrza. – Zwiałeś z czynności? – zmieniła temat.

– Na chwilę. – Puścił ją i spojrzał na zegarek. – Dobrze, że był Ratajczyk. Dałem mu znać, że muszę coś szybko ogarnąć, miał ugadać prokuratora. Ale muszę zawijać z powrotem. Później sprawdzę, co z tą wariatką i jak z Alicją. A ty powinnaś chyba odwiedzić jakiegoś lekarza. – Wskazał na zgrubiały od krwi plaster, który ledwie się trzymał.

– Odwiedzę – mruknęła. – Chcę też odwiedzić Buriana.

– Będę go przesłuchiwał w związku ze śmiercią jego pracownika. – Wsunął ręce do kieszeni. – Możesz zrobić listę pytań, to przy okazji…

– Sama chcę z nim gadać – przerwała mu. – I ty mi to załatwisz, komisarzu. – Cmoknęła do niego i ruszyła w stronę budynku stacji.

Płacąc za paliwo, czuła na sobie wzrok obsługującej ją dziewczyny. Gdy zabierała resztę, sprzedawczyni na widok jej dłoni nie wytrzymała.

– Nie musisz tego znosić. Nikt nie ma prawa ci tego robić. Nawet jeśli go kochasz, to wierz mi, nie na tym polega miłość. – Spiorunowała ją spojrzeniem.

Zoja uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Wiem, że wyglądam koszmarnie, ale to nie jest tak. Miałam stłuczkę, stąd te rany…

– Jak chcesz. Ale pamiętaj, że jeśli nie będziesz chciała sobie pomóc, to nikt ci nie pomoże. Toksyczny związek to masakra. Wiem coś o tym. – Spojrzała na pusty

sklep. Rozluźniła kołnierzyk uniformu i odsłoniła cienką bliznę na szyi. – To był ostatni raz, kiedy się potknęłam i upadłam. – Pokiwała głową. – Wiesz, co mam na myśli. – Wymownie zerknęła za okno. Kardas stał oparty o auto i rozmawiał przez komórkę. – Jeden klient mi kiedyś powiedział taki tekst… – Podniosła palce. – Zapisałam sobie. – Sięgnęła po komórkę i jednym tchem przeczytała: – Tak jak igła kompasu zawsze wskazuje północ, tak oskarżycielski palec mężczyzny zawsze znajdzie kobietę. Zawsze – podkreśliła ostatnie słowo. – Znasz?

– Nie – odparła Zoja szczerze.

– To jakiś zagraniczny pisarz. Nazywa się Husajn czy jakoś tak. A nie, wiem już! Hosseini.

Z zaplecza wyszedł pracownik stacji i zaczął się krzątać. Dziewczyna szybkim ruchem rzuciła komórkę na półkę pod kasą.

– No także tego. Miłego dnia.

– Dziękuję. – Zoja skinęła głową.

Przez całą drogę do serwisu nie mogła opanować rozbawienia. Zastanawiała się nawet, czy ponowny przypływ euforii zawdzięcza dziewczynie ze stacji i nieporozumieniu, czy działaniu narkotyku. Parkując na terenie serwisu w Starowej Górze, odebrała połączenie od Wincenta. Był wściekły. Zoja musiała włożyć wiele starań, by go uspokoić. Z pozytywnym skutkiem. Wyjaśniła mu przebieg zajścia, co przyjął ze względnym zrozumieniem.

Rozchmurzył się, gdy ich rozmowa zeszła na temat sprawy. Wincent początkowo w bardzo ogólny sposób opisał spotkanie z mentalistką, skupiając się na jej słowach i sugestiach w kwestii rycin i ich znaczenia. Niuanse chciał zatrzymać dla siebie, ale Zoja szybko wyczuła pewną nienaturalność w jego głosie, gdy wspominał Dagę Kasprzyk.

Nie chciała go peszyć ani denerwować. Zawsze życzyła mu dobrze. Z całego serca pragnęła, by miał kogoś bliskiego. Kobietę, która zrozumie i uszanuje jego podporządkowany służbie świat. Od dawna nie rozmawiali tak długo. Zwykle ich kontakt ograniczał się do kilkuminutowych komunikatów.

*

Dochodziła północ, gdy Zoja w zaciszu swojego mieszkania odebrała maila z materiałami, które przesłał Wincent, po czym przy dźwiękach albumu koncertowego Nirvany zabrała się do pracy. Jak zwykle pod koniec usiadła na blacie stołu i wdychając dym marihuany, popatrzyła z góry na autorski schemat sprawy. Wzbogacił się o nowe elementy. Gwiazda Dawida przykryła notatki o kibicach Widzewa, a zdjęcia rycin znalazły się na samym środku stołu. Otaczały je odręcznie zanotowane słowa. Rada, Ostrzeżenie, Obietnica, Groźba. Zoja dopisała także kilka zdań historii „gorącej kurtyzany” i obie sentencje. Gdy przyłożyła bibułkę do ust i zaciągnęła się, nagle na myśl przyszła jej dziewczyna ze stacji benzynowej. W tym momencie zrozumiała, że to, co powiedziała młoda pracownica Shella, wcale nie jest pozbawione sensu.

*

Muzyka dudniła w głośnikach, wprawiając w rezonans szkło na półkach. Kardas usiadł przy barze i zamówił piwo. Lustrował otoczenie. Masę pijanych dziewczyn i facetów zgrywających ludzi sukcesu, których największym osiągnięciem był kredyt na wszystko łącznie z gaciami od Calvina Kleina. Kardas odstawił szklankę, gdy poczuł na plecach czyjś dotyk. Odwrócił głowę i z litością popatrzył na nastoletnią buzię.

– Hej – szepnęła i bez zaproszenia usiadła obok policjanta. – Postawisz mi piwo?

– Nie – rzucił.

– Bo? – Zamrugała sztucznymi rzęsami.

– Bo nie jestem twoim starym, żebym musiał spełniać twoje zachcianki. – Upił łyk piwa. Przeszedł go dreszcz, gdy pomyślał, że Alicja mogłaby się tak zachować za kilkanaście lat. Nie. To wykluczone. Nie dopuści do tego. Nigdy.

– Boże, jaki cham – warknęła małolatka. – Chyba dawno żadna ci nie dała – prychnęła. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zanim otworzyła buzię, barmanka

storpedowała ją wzrokiem. Dziewczyna wstała bez słowa i odeszła.

– Te gnojówy są coraz gorsze. – Kobieta przetarła blat.

– Jest popyt, jest podaż – skwitował Kardas. – Słuchaj. – Policjant skorzystał z niewielu chwil, gdy nie była zajęta napełnianiem kufli. – Kojarzysz, jak ostatnio była tu Zojka? Siedziała na moim miejscu.

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami.

– Gadałyście o jakiejś babce, którą tu zauważyła. Powiedziałaś jej wtedy, że ta babka to lokalna… – Zawahał się. – Nazwałaś ją „latawicą”.

Barmanka zamyśliła się i spojrzała w kierunku tańczących. Nagle pstryknęła palcami.

– No wiem – przytaknęła. – I co? Nie mów, że ty byś chciał…

– Nie no, zwariowałaś. – Skrzywił się. – Chcę z nią pogadać. Muszę – poprawił się.

– Aha, okej. Bo już się przestraszyłam. – Przewróciła oczami. – Nie ma jej tu dzisiaj. A przynajmniej jej nie widziałam.

Odeszła na chwilę od Kardasa i zagadała do chłopaka obsługującego drugą część baru.

– Nie, nie ma jej – powiedziała, gdy ponownie stanęła naprzeciw policjanta. – Nawet nie kojarzę jej imienia. Ale Igor będzie wiedział, zdaje się, że nawet ma do niej numer. – Zerknęła w kierunku zaplecza. – Taki chłopaczek z kuchni. Chcesz, to mogę go spytać.

– Chętnie. – Kardas pokiwał głową.

Po chwili trzymał w ręku kartkę wyrwaną z notesu, na której zapisano ciąg cyfr.

– Ona się nosi, jakby nie wiadomo kim była – dodała barmanka. – A tak naprawdę ciągnie od niej metą na kilometr.

– A ten koleś, z którym się buja? Wyglądał na ogarniętego.

– Niby który? – Roześmiała się i zmieniła temat: – Czemu nie ma z tobą Zojki? Źle się czuła? – zapytała.

– Miała ciężki dzień. Pewnie już śpi.

– A ty się włóczysz.

– Pracuję – poprawił ją.

– Szkoda.

– Szkoda, że pracuję, czy szkoda, że nie ma Zojki?

– Szkoda, że nie jesteście już razem. Pasowaliście do siebie. – Zamyśliła się. – Jak sięgam pamięcią, to chyba fajnie się dogadywaliście.

– Nadal się dogadujemy. Tylko trochę inaczej. Wiesz, ludzie się zmieniają. Inne priorytety, środowiska, zajęcia. Czasem lepiej zostać kumplami, niż się nienawidzić.

– Pieprzenie. – Klepnęła w blat. – Widziałam was ostatnio. To nie wygląda tak, jak mówisz.

– A jak? – zapytał rozbawiony.

– Kochasz ją, idioto!

Kardas dopił piwo, ścisnął w dłoni kartkę z numerem i schował. Wyjął papierosa, zapalił już na zewnątrz.

Musiał schłodzić myśli i emocje. Słowa barmanki dudniły mu w uszach głośniej niż muzyka.

*

Szła krok za pielęgniarką. Korytarz ciągnął się i zakręcał, a kobieta, mijając kolejne otwarte drzwi, zerkała kontrolnie do pokoi. Zoja najbardziej obawiała się zapachu, z jakim kojarzy się starość. Ale tu personel bardzo się starał, by ośrodek był czysty, zadbany i pachnący, czego dowodem były lśniące podłogi i wszechobecne odświeżacze wystające z kontaktów. Pielęgniarka zatrzymała się i wskazała Zoi drzwi.

– Niech się pani nie martwi, jeśli pani nie pozna. Miewa chwiejne nastroje i czasem mówi od rzeczy, ale jest jedną z aktywniejszych pensjonariuszek. – Złapała za klamkę. – Aha, i niech się pani nie przerazi, jeśli zacznie wykrzykiwać coś na Niemców. Podejrzewam, że to trauma z czasów wojny. – Uśmiechnęła się

z wyrozumiałością. – Będę pani towarzyszyła. Tak na początku, żeby się nie przestraszyła. Dobrze?

– Oczywiście. Może pani nawet zostać – odpowiedziała Zoja.

– Pani Anielko, gościa ma pani! – zawołała pielęgniarka, wchodząc do niedużego pokoju.

Zdecydowanym krokiem podeszła do stojącego przy oknie balkonowym wózka inwalidzkiego i odwróciła go do Zoi. Kuliła się w nim maleńka postać.

Zoja przyjrzała się jej twarzy, szukając podobieństw do członków swojej rodziny. Bezskutecznie. Miała wrażenie, że skóra staruszki jest cienka jak pergamin. Że ktoś naciągnął ją na kruchy szkielet i ubrał w za duży szlafrok. Trudno jej było sobie wyobrazić, że ta drobna kobieta była kiedyś silną, energiczną dziewczyną. Pomyślała o sobie i swojej przyszłości i poczuła przygnębienie. Na tym świecie niczego nie dostajemy na zawsze.

Staruszka na dźwięk słów pielęgniarki ożywiła się i zaczęła poruszać głową.

– Co? – chrypnęła. Wzrok miała całkiem bystry.

– Gościa ma pani – powtórzyła pielęgniarka. – Niech pani sama zobaczy, jaka ładna dziewczyna panią odwiedziła.

Zoja uśmiechnęła się nerwowo. Nie miała odwagi ruszyć się z miejsca, w którym zastygła, gdy tylko przekroczyła próg pokoju.

– No dalej. Niech pani podejdzie bliżej – zachęciła pielęgniarka i wskazała krzesło.

Zoja skinęła głową i zrobiła kilka kroków. Zamiast jednak usiąść na krześle, przykucnęła przy wózku.

– Dzień dobry, ciociu – szepnęła niepewnie.

– Trzeba głośno do niej mówić! – upomniała ją pielęgniarka. – Anielka, poznajesz? – Nachyliła się, chcąc złapać kontakt wzrokowy z podopieczną.

– No. – Aniela pokiwała głową. – Marysia…? – bardziej zapytała, niż stwierdziła.

– Nie. – Zoja się uśmiechnęła. – Marysia to żona twojego brata, Henia. Ja jestem ich wnuczką. Mam na imię Zoja.

– A gdzie Marysia? – zaniepokoiła się kobieta.

Zoja wyprostowała się i spojrzała na pielęgniarkę.

– Moja babcia nie żyje od wielu lat. Ciocia Aniela wiedziała o tym.

– Widać jej mózg wyparł to z pamięci. Ale spokojnie. Proszę do niej normalnie mówić, wszystko tłumaczyć.

– Czyli mogę jej to tak po prostu powiedzieć? Nie przerazi się?

Zoja, widząc, jak opiekunka kiwa potakująco głową, przykucnęła znów i popatrzyła w pociętą zmarszczkami twarz.

– Marysi nie ma. Zginęła w wypadku razem ze swoim mężem Heniem i synem, pamiętasz? – Przełknęła ślinę.

Staruszka przytaknęła i wybąkała coś pod nosem. Popatrzyła na Zoję i wyciągnęła rękę. Zoja pozwoliła, by dotknęła jej twarzy.

Drżąca dłoń przesunęła się po policzku dziewczyny i zatrzymała na świeżo zszytej ranie na skroni.

– Oni ci to zrobili? – zapytała, mrużąc oczy.

– Oni? – Zoja delikatnie się odsunęła.

– Niemce – wyszeptała.

– Nie, ciociu – odparła Zoja. – Uderzyłam się. – Odruchowo dotknęła nabrzmiałego miejsca.

– Oni węszą za tym dzieciakiem. Nie mają pewności, czy matka go wzięła, czy nie. Mogą bić, ale nie wolno im nic powiedzieć. – Pogroziła palcem. – Ja takie schronienie znalazła, że nikt jej nie znajdzie. – Uśmiechnęła się chytrze.

– Aha. – Zoja znów popatrzyła na opiekunkę, która tylko wzruszyła ramionami.

– Ciociu, przyjechałam, żeby cię o coś ważnego zapytać, ale w sumie… – Westchnęła zrezygnowana.

Po tych kilku zdaniach, które usłyszała od staruszki, zdała sobie sprawę, że to spotkanie i ta rozmowa nie mają sensu. Że traci tylko czas. Tłukli się z Kardasem

sto kilometrów na marne.

Już miała się wycofać, zmienić temat na grzecznościową wymianę zdań i podziękować, pożegnać się, gdy ciotka odezwała się sama:

– Mama cię przysłała po dziecko? – wychrypiała.

– Nie, ciociu. Nikt mnie nie przysłał. Ja sama. Chciałam się ciebie zapytać o pewną żydowską rodzinę – powiedziała.

Była pewna, że i tak jest bez znaczenia, o co zapyta. A jednak Aniela poruszyła się nerwowo, tak że zaskrzypiały koła wózka, i zmierzyła Zoję przeszywającym wzrokiem. Dziewczyna przestraszyła się, gdy ciotka gwałtownym ruchem chwyciła jej dłoń i mocno ścisnęła.

– Nie powiem ani słowa. Możesz mnie nawet zabić.

– Ciociu, spokojnie. Nikt nie będzie nikogo zabijał. – Westchnęła. – Jezu… – Spojrzała w kierunku opiekunki, która tylko wzruszyła ramionami.

– Ciociu, może ty mnie źle zrozumiałaś? Może nie pamiętasz, kim jestem? – Uśmiechnęła się przyjaźnie, jak tylko mogła. W głębi duszy pragnęła mieć tę wizytę już za sobą.

– Posłuchaj… Jestem Zoja Sterlak. Córka Mili Dragonić i Antoniego Sterlaka, wnuka Janiny.

– Tak. Pamiętam. – Pokiwała głową. – Późno cię mieli.

– Bo późno się poznali – dopowiedziała Zoja.

– Późno, późno – wymamrotała kobieta. Wypuściła dłoń Zoi i skuliła się w sobie. – Nie dziecka wina – powiedziała. – Nie dziecka wina…

– Wina? Za co? – Zoja przechyliła głowę, by spojrzeć w jej oczy. Przez chwilę zadrżała, czy Aniela nie nawiązuje przypadkiem do przyczyny śmierci Magdy. – Ciociu… – Potrząsnęła lekko jej ręką. Udało się jej zwrócić uwagę staruszki. – O jakim dziecku ty mówisz?

– Spaliłam jej opaskę w piecu. Patrzyłam, jak gwiazda płonie żywym ogniem.

– Gwiazda? – Zoja mocniej ścisnęła jej dłoń. – Gwiazda Dawida? Czy w naszej rodzinie byli jacyś Żydzi? – zapytała. – Czy ja mam żydowskie korzenie?

– Ty? – Zaczęła się wiercić. – Niemka jesteś! Faszystka. Od Żydów wara. Oni tam patrzą. – Podniosła słabą dłoń przed siebie i zaczęła lekko nią poruszać, jakby komuś machała. Wpatrzona w sufit, uśmiechała się przy tym prawie niezauważalnie. – Patrzą na nas z góry. Kochana, nie płacz – szepnęła. Nagle jej wargi ułożyły się w linię. – Mamo! – wrzasnęła niespodziewanie. – Ona z was faszystów zrobiła! Przez nią tata do więzienia poszedł. Twój ojciec zmysły postradał i córkę ustaszy wziął sobie! Żydów w spokoju zostawcie! Nic ci nie powiem! – rzuciła zajadle.

Pielęgniarka podeszła i odsunęła wózek od Zoi.

– Oj, Anielka, Anielka – powiedziała karcąco. – Dziewczyna do ciebie w gości przychodzi, uśmiecha się, a ty takie rzeczy? Niegrzeczna jesteś!

– Niech idzie, precz! – szepnęła i zaraz się skuliła. – Dziecko niewinne, dziecko niewinne niczemu – powtarzała. – Ale krew faszystów. Nie wolno im dać dziecka. Wydadzą na śmierć. Mama kazała, kazali jej odejść – mruczała, lekko bujając się w przód i tył.

Zoja wyprostowała się i westchnęła.

– Chyba tylko ją zdenerwowałam – powiedziała do opiekunki. – Mam nadzieję, że nic jej nie będzie.

– Niech się pani nie przejmuje, ona sama nie wie, co mówi. – Pielęgniarka machnęła ręką. – Zaraz się nią zajmę. – Odsunęła wózek i podjechała nim z powrotem pod okno balkonowe. – Zobacz no tam, Anielko, czy słońce świeci? – Zerknęła na zegarek. Nachyliła się do staruszki i pogłaskała ją po włosach. – Kisiel będziesz jadła? – zapytała. – Zaraz będzie drugie śniadanie.

– Tak. – Aniela potulnie pokiwała głową. – Jabłko chcę – powiedziała zupełnie innym głosem.

– Dobrze, będzie z jabłkiem – przytaknęła pielęgniarka. – Chcesz, żeby cię Jola nakarmiła czy ja?

– Jola – odpowiedziała.

– To ja idę po Jolę teraz, tak? – oświadczyła donośnie opiekunka i wskazała Zoi drzwi.

Po chwili obie znalazły się na korytarzu.

– Odprowadzę panią kawałek. Ja muszę na chwilę wejść do socjalnego. – Pielęgniarka poszła przodem.

Tym razem Zoja dotrzymywała jej kroku.

– Na pewno nic jej nie będzie? – zapytała. – Gdybym wiedziała, że tak zareaguje, nie przyjeżdżałabym.

– Wie pani, ona miewa urojenia. Teraz to już rzadziej. Spokojna jest zazwyczaj, bo i siły nie te. Parę lat temu, jak jeszcze chodziła, to czasem wesoło było. – Spojrzała na Zoję. – Taką manię miała jakąś, że jak tylko jabłko zobaczyła, to zaraz zabierała.

– Tak lubi jabłka? – Zoja się uśmiechnęła. – To może kupię ładne i przyniosę. Chociaż tyle miłego dla niej mogę zrobić.

– A gdzie tam. – Pielęgniarka się roześmiała. – Ona te jabłka zbierała i wynosiła do ogrodu. Tam taka nieczynna studzienka przy klombie jest. – Machnęła ręką. – Ile to się nasz konserwator nabluźnił, bo ciągle studzienka zapchana tymi jabłkami była. A ona, pani ciotka, skubana, taka była prędka, że nie wiedzieliśmy, kto te jabłka tam zanosi. No i portier przyczaił ją któregoś razu. – Śmiała się i rozgadała. – My tu mamy różnych asów. Jeden ma objawienia, drugi sztuczne szczęki zbiera z całego oddziału i pod materac wciska. Pan Wiesiek na przykład – prychnęła, wskazując na mijane drzwi – do niego raz w tygodniu prezydent przyjeżdża. Tak. Dlatego Wiesio rano wstaje, ubiera się w garnitur i się zaczyna defilada. – Westchnęła. – Mówią, że Panu Bogu się starość nie udała. Ale z drugiej strony, w jaki inny sposób miałby przekonać człowieka do śmierci? Zachęcić go, by na nią czekał? Może to przerażające dla nas, pełnych energii i życia, ale śmierć, którą ja widzę tu, nie jest tragedią. Jest wybawieniem od zmęczenia, cierpienia lub tęsknoty. Tu się pożegnamy. – Przystanęła i wyciągnęła rękę. – Dalej do wyjścia pani trafi. Portier panią wypuści.

Zoja podziękowała i wyszła na zewnątrz. Przez chwilę stała nieruchomo przed budynkiem i patrzyła na pożółkłe liście dużego drzewa, które spadały pojedynczo, poruszane wiatrem. Czuła zbierające się pod powiekami łzy. Pierwszy raz w życiu doświadczyła lęku przed przemijaniem. Swoim, ale przede wszystkim swoich bliskich. Pomyślała o ojcu i poczuła, że bardzo chce się z nim zobaczyć.

Wsiadła do samochodu i popatrzyła na Kardasa. Przełączał stacje w radiu. Wyjęła z kieszeni komórkę i wyłączyła dyktafon.

– Zmiana planów – rzuciła. – Jedziemy do Warszawy. Muszę pogadać z ojcem.

*

Wstukała numer piętra i czekając na przyjazd windy, sprawdziła wiadomości w komórce. Jedna z nich była miłym zaproszeniem na cappuccino. Zoja uśmiechnęła się pod nosem i odruchowo zerknęła na Kardasa. Stał oparty o ścianę i przyglądał się nazwom firm, które mieściły się w szklanym wieżowcu na Ochocie.

– Kardas, co jest? – zapytała Zojka, chowając telefon do kieszeni.

– Nic – mruknął.

– Przez całą drogę odezwałeś się dwa razy.

– Cały czas ty gadałaś. Nie chciałem ci przeszkadzać. I nie dwa, bo więcej. – Wysilił się na uśmiech. – Zapytałem cię o parking.

– Weź. – Zbliżyła się i stanęła na wprost niego. – Chodzi o Ankę, tak?

– Ance nic nie jest. – Wzruszył ramionami. – Siedzi z małą w domu. Raczej nie będzie się pokazywała w najbliższym czasie na mieście. Uwierz mi, to ma swoje dobre strony. – Uśmiechnął się cierpko. – Dzięki temu mogłem sam na sam pobyć trochę z Alcią. Zabrałem ją na spacer. Patrzyłem, jak się śmieje, i pomyślałem, że jej zazdroszczę tego braku problemów. Nieskrępowanej radości z prostych rzeczy.

– Więc o co chodzi? – drążyła, ale przerwał jej sygnał informujący, że ich winda właśnie nadjechała. Stalowe drzwi się rozsunęły, a Zoja zamarła. – Wincent? – zapytała głośno. Zerknęła na Kardasa.

Jego mina świadczyła, że i dla niego ich spotkanie jest zaskoczeniem.

– Cholera, Zoi! – Wincent wypadł z wnętrza kabiny i chwycił dziewczynę za ramię. Odciągnął ją bok i odwrócił przodem do siebie. – Nie możesz teraz! – Szarpnął jej ręką. – Co tu w ogóle robisz? – zapytał wzburzony.

– Może jakieś *dobar dan*? Czy jak? – Ściągnęła brwi. – Mogłabym zapytać cię o to samo.

– Przepraszam… – Wincent puścił rękę Zoi i zakłopotany potarł czoło. – Zaskoczyłaś mnie. Oboje mnie zaskoczyliście. – Popatrzył na Kardasa.

– A niby czym? Że odwiedzam ojca w pracy? W tym budynku jest jego firma. I podejrzewam, że i ty nie znalazłeś się tu bez powodu!

– Może wyjdziemy na chwilę, zapalimy? – Wincent błagalnie zerknął na Kardasa, który od razu przystał na propozycję.

Zoja, nie kryjąc rozgoryczenia, poszła za nimi.

– Możesz mi coś wyjaśnić? – rzuciła do Wincenta, przechodząc przez bramki.

– Faktycznie, przed chwilą widziałem się z twoim tatą – powiedział Wincent już na zewnątrz, zaciągając się papierosem.

Po sposobie, w jaki go trzymał, Zoja zrozumiała, że jest bardziej wzburzony niż ona. Podejrzewała, że spotkanie dawnych kolegów nie przebiegło w miłej atmosferze. Wybuchowy charakter ojca… Jeśli nie ma strat w ludziach, to na pewno ucierpiała przynajmniej filiżanka, w której sekretarka podała kawę.

– Rozumiem, że było milutko – rzuciła kpiąco.

– Nie, nie. – Wincent uniósł dłoń. – Nie było źle. Po prostu… – Strząsnął popiół. – Zoja, nie zrozum mnie opacznie, ale nie wyglądasz dobrze. Mam na myśli to szycie na głowie i w ogóle. A twój ojciec jest przewrażliwiony na punkcie twojego bezpieczeństwa. Wiem, że rozmawialiście o zabójcy i o tym, co zostawił na ciele zamordowanej kobiety. Starego poruszyło to bardzo. Ale przed chwilą zapewniłem go, że nic ci nie grozi. Że obaj z Kardasem wkładamy dużo starań w twoją ochronę i pracujemy nad dorwaniem mordercy. – Zaciągnął się i szybko

wydmuchnął dym. – Dlatego twój widok może być dziś dla niego zaskoczeniem. Przeżyje szok.

– Pieprzenie. Wyjaśnię mu to. – Wskazała na głowę. – Powiem, że miałam stłuczkę. I tak samochód jest w serwisie, więc się dowie. – Wzruszyła ramionami.

– Zoi, poczekaj – odezwał się Wincent.

– Wi, posłuchaj. – Przysunęła się bliżej. – Nie jesteś w stanie zapewnić mi nieśmiertelności. Nie jesteś w stanie dać nikomu gwarancji, że wyjdę z tego wszystkiego bez szwanku.

– Możemy ograniczyć ryzyko.

– Ale nie wykluczysz go całkowicie. Nie mogę jednocześnie pracować i być więźniem swojego mieszkania. – Przełknęła ślinę. – Daj mi oddychać. – Włożyła rękę do kieszeni kurtki i wyjęła z niej komórkę. – Posłuchaj tego i sam powiedz, czy to, że chcę porozmawiać o tym z ojcem, jest fanaberią. Jeśli uznasz, że tak, wsiadam w samochód i wracam do Łodzi. – Kliknęła w ekran i otworzyła plik z rozmową z ciotką Anielą.

Wincent słuchał w skupieniu. Gdy nagranie dobiegło końca, Zoja raz jeszcze włączyła fragment o spalonej gwieździe i dziecku.

– Mam wrażenie, że to nie jest efekt zaburzeń jej umysłu, tylko wspomnienia – powiedziała Zoja. – Ona o czymś opowiada. Posługuje się chaotycznymi obrazami z przeszłości, których nie zrozumiemy, nie znając jej historii. Może gdy ojciec to usłyszy, coś mu się przypomni.

Wincent zmrużył oczy i po chwili zaklął pod nosem. Kiedy zapalał kolejnego papierosa, Zoja wjeżdżała na trzynaste piętro szklanego wieżowca przy Alejach Jerozolimskich.

*

Litzmannstadt getto, początek czerwca 1942 roku

Wysłużone resory dziecięcego wózka skrzypiały, gdy Nataniel bujał w nim swoją małą bratanicę. Dziewczynka za nic jednak miała jego starania. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, był sen. Zwłaszcza że jej ciemne jak węgliki oczka patrzyły wprost na dymiącego w dłoni chłopca gorącego ziemniaka. Wyciągnęła małe paluszki w jego stronę i wydała z siebie okrzyk zachwytu.

– Miałaś spać – mruknął niezadowolony chłopiec.

W końcu jednak uległ pokrzykiwaniom dziewczynki. Rozgniótł w palcach fragment kartofla i włożył do jej rączki. Dziecko niezdarnie wsunęło przysmak do buzi i zamlaskało z zachwytem, rozglądając się łakomie za następnym kęsem.

– Nie dam ci już więcej, bo sam nie zjem. – Natan odwrócił się do niej plecami.

– Mata tu jeszcze jednego. – Babina w chuście sprzedająca ziemniaki wcisnęła mu w rękę pół gorącej bulwy. – Niech nie piszczy. – Wskazała głową na dziecko.

Natan uśmiechnął się do niej radośnie. Nieczęsto zdarzało się, że spotykało go takie szczęście. Ostatnio coraz dotkliwiej odczuwali brak jedzenia. Przydziały żywności zmalały. A po tym, jak wprowadzono kartki, ilości były wręcz znikome. I mimo że Jakub był zaradnym i pracowitym człowiekiem i potrafił zadbać o swoich najbliższych, to w jego kieszeni z dnia na dzień było coraz mniej „rumków", a obiady w domu Ritterów były coraz skromniejsze.

Jedynie siostra Sary, Estera, u której zazwyczaj Natan nocował, częstowała go czasem czekoladą lub pączkiem nie wiedzieć skąd wziętymi. Natan wiedział, że kobieta trzyma w poszewce poduszki zwinięte w rulon banknoty, chociaż w przeciwieństwie do Jakuba i ostatnio również Sary nie chodzi szyć do fabryki. Nigdy jednak nie odważyłby się nawet zbliżyć do tej poduszki. Zresztą nie musiał tego robić, bo przyszywana ciotka dość często wysyłała go na rynek, by kupił sobie ziemniaka gotowanego na parze lub śledzia. Mówiła, że przy okazji pokaże małej Eleonorze getto, by – gdy ta trochę podrośnie – orientowała się w jego organizacji. Ich spacer zawsze trwał nie krócej niż godzinę, którą Natan sprawdzał na wystawie zegarmistrza, pana Zenberga. Cierpliwie prowadzał małą po zakamarkach getta i tłumaczył jej przy tym całe mnóstwo rzeczy, na które kiedyś będzie musiała uważać. Najbardziej przestrzegał ją przed mundurami. Każdymi. Tak jak teraz, gdy siedząc na

murku i jedząc ze smakiem ziemniaka, zerkał kontrolnie na dwóch gestapowców. Gdy jeden z nich odwrócił głowę w ich kierunku, Natan zeskoczył z murka, wytarł rękawem jesionki resztki ziemniaka z buzi bratanicy i chwycił za rączkę wózka. Z duszą na ramieniu minął żołnierzy i ruszył w kierunku placu kościelnego. Zdołał ujść zaledwie kilka kroków, gdy zaczepił go mężczyzna. Miał przyjazny uśmiech, a w ręku aparat fotograficzny. Przedstawił się jako Oskar Singer i zapytał chłopca, czy ten chciałby mieć zdjęcie z siostrą. Natan z zachwytem przystał na propozycję. Patrzył na połyskujący w słońcu aparat i przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wytłumaczyć, że mała nie jest jego siostrą. Przestraszył się jednak, że w takiej sytuacji mężczyzna może zechcieć zrezygnować ze zdjęcia. A on tak bardzo chciał mieć chociaż jedno jedyne, na którym byłoby go widać. Wszystkie, jakie do tej pory posiadali, zniknęły razem z domem i rodzicami. Stanął więc dumnie obok wózka i chwycił małą Eli za rączkę. Był tak zadowolony, że do domu pobiegł jak na skrzydłach. Wprost nie mógł się doczekać, by opowiedzieć o wszystkim Jakubowi i Sarze, a w pierwszej kolejności ciotce Esterze. Nie wiedział nawet kiedy znalazł się pod drzwiami jej mieszkania. Wciągnął wózek na klatkę schodową i już miał chwycić za klamkę drzwi mieszkania Estery, gdy niespodziewanie stanął w nich niemiecki oficer. Widok munduru dosłownie sparaliżował chłopca. Pierwsze, o czym pomyślał to, że Estera leży martwa na podłodze obok stołu, tak jak było to z jego ojcem. Poczuł już napływające do oczu łzy, gdy Niemiec niespodziewanie uśmiechnął się do niego i poklepał go dłonią po rozwichrzonych włosach, po czym po prostu wyszedł na ulicę. Natan zaskoczony, odprowadził go wzrokiem, a gdy znów spojrzał na drzwi mieszkania, stała w nich uśmiechnięta Estera.

– Miałeś być o drugiej. – Pogroziła palcem. – Czy zegar u pana Zenberga wybił dwa razy?

– Nie, ale chciałem ci szybko coś powiedzieć... – zaczął chłopiec, wciąż zerkając w stronę bramy, gdzie zniknął niemiecki oficer.

– Chodź do środka. – Skinęła głową. Sama podeszła do wózka i wzięła siostrzenicę na ręce. Zanim weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi, pojawił się w nich chłopak, którego Natan kojarzył z rynku. Przyniósł nieduże zawiniątko i wręczając je Esterze, powiedział coś, czego Natan nie zrozumiał. Na pożegnanie pocałował kobietę w taki sposób, że Natan pomyślał, że Estera się udusi. Ale ona uśmiechnęła się tylko, chowając zawiniątko

pod bluzkę. Natan pękał z ciekawości i choć nigdy nie zapytał Estery o nic, postanowił, że od tej pory będzie baczniej ją obserwował.

Po przeciwnej stronie ulicy, we wnęce bramy, odkrył w murze wąskie zejście do starej, nieużywanej piwnicy. Śmierdziało tam stęchlizną i brudem, a czasem można było wdepnąć w szczurze truchło, ale to go nie odstraszało. Miał tam wyborny widok na kamienicę i dobrą kryjówkę na wypadek łapanki. Mieszkańcy pobliskich domów z Esterą na czele szybko przestali mieć wobec Natana tajemnice. Był bystrym chłopcem, dlatego w krótkim czasie rozeznał się w ich lewych interesach, układach towarzyskich, a co najważniejsze dla niego, poznał na pamięć twarze mężczyzn, którzy regularnie zjawiali się w progu mieszkania Estery. Zwłaszcza młodego niemieckiego oficera. Wiele razy widział jego błękitne oczy, które lustrowały okolicę. Znał ukradkowy uśmiech, który Niemiec posyłał Esterze, gdy ta pojawiała się w zasięgu jego wzroku. Nie wiedział jednak, że w tym spojrzeniu kilka tygodni później on sam będzie szukał ratunku.

Był to ładny, czerwcowy dzień. Estera pod nieobecność Jakuba i Sary zajmowała się małą Eli. Natan natomiast niemiłosiernie się nudził. Szwendał się po ulicach getta, zagadując jego mieszkańców i szukając sobie zajęcia. Sam nie wiedział, kiedy jego nogi zaniosły go w okolice drewnianego mostu, nieopodal Limanowskiego. Oparty o drut, przez kilka długich minut obserwował ruch wokół mostu. Liczył idących górą ludzi, przyglądał się przejeżdżającym tramwajom i rozmyślał o tym, co by było, gdyby on mógł wsiąść do takiego tramwaju i odjechać na koniec świata. Z rozmyślań wyrwało go pogwizdywanie. Odwrócił się i popatrzył na siedzącego na murku chłopaka. Nastolatek na widok zaciekawionych oczu chłopca zaczął jeszcze donośniej gwizdać, bawiąc się przy tym kamieniem, który przerzucał z ręki do ręki. Natan, niewiele myśląc, podszedł do niego i zagadnął.

– Natan Ritter – przedstawił się.

– Isaak Talmud. – Podrzucił kamień w górę. – Co tu robisz?

– Nic. Mieszkam niedaleko. – Machnął ręką gdzieś przed siebie. – A ty?

– Przywieźli nas wczoraj. Ulokowali w tej kamienicy. – Wskazał na budynek z prawej.

– Masz rodziców?

– Tak, i trzy siostry. – Wzruszył ramionami i znów podrzucił kamyk. – Przyjechaliśmy spod Poznania. Mieliśmy tam dom, pola, stajnie i rzekę.

– Ja mieszkałem tutaj, w Łodzi. Na Piotrkowskiej.

– Eee. To nuda, w takim mieście siedzieć. Ani na koń nie wskoczysz, ani na rowerze nie pokręcisz.

– Tramwajem kiedyś można było. Ja z tatą... – Natan posmutniał na wspomnienie ojca. Żeby się nie rozpłakać przy starszym chłopaku, zacisnął z całej siły wargi i odgonił wspomnienie uśmiechniętej twarzy ojca, który trzymając go na kolanach, tłumaczył, co widać za oknem tramwaju.

– Tramwaj może i dobry, ale ryby tu żadnej nie złapiesz.

– Z beczki. Na rynku Bałuckim. Pyszne. – Natan cmoknął.

– Eee – skrzywił się Isaak. – Ja mówię o rybie świeżej, o brzasku łapanej! Takiej jak bochen chleba. – Pokazał rękoma. – Łapałeś kiedyś takie ryby z rzeki? Albo stawu? Hę?

– Nie. – Natan pokręcił głową.

– A kaczki chociaż puszczałeś? – Chłopiec się roześmiał.

Natanowi nie spodobało się to, że nowy kolega się z niego śmieje, więc choć nigdy nie był na rybach, a tym bardziej nie puszczał kaczki, postanowił, że skłamie.

– Jasne. Kaczki tak.

– To masz. – Włożył mu w rękę kamień. – Zobaczymy, kto dalej rzuci. Natan zgodził się, choć do końca nie mógł pojąć, o co chodzi Isaakowi. Pomyślał, że najwidoczniej tam, skąd pochodzi Isaak, poluje się na kaczki, rzucając w nie kamieniami. Wydało mu się to dziwne, ale nie miał czasu, by zadawać pytania. Isaak posłał właśnie w powietrze nieduży kamyk, który ze świstem przeleciał na drugą stronę ogrodzenia i zniknął gdzieś w krzewach.

– Teraz ja – powiedział ochoczo Natan. Nabrał głęboko powietrza i zamachnął się. Jego kamyk nie poleciał ani zbyt daleko, ani wysoko.

– Nie tak. – Isaak sięgnął po kolejny kamyk i znów cisnął go przed siebie. – Musisz tak trochę z boku – poinstruował go. – I włóż w to całą siłę.

Natan znów nabrał powietrza i tym razem z całej mocy, jaką miął w sobie, rzucił kamień przed siebie. Rozległ się głośny brzdęk rozbijanej szyby, a zaraz po nim pisk

hamulców. Natan zamarł. Popatrzył na Isaaka, który natychmiast zaczął uciekać. Natan początkowo chciał go gonić, ale zanim jego krótkie nogi wykonały jakikolwiek ruch, poczuł, że ktoś łapie go za kapotę i podnosi do góry.

– Zapłacisz za to! – krzyknął policjant, a Natan poczuł, że robi mu się słabo.

Nawet nie próbował się tłumaczyć, gdy dwóch innych funkcjonariuszy policji żydowskiej przystawiło jego bladą buzię do drutów ogrodzenia, by pokazać mu, co zrobił. Na szynach stał tramwaj z rozbitą szybą, a kilku zdenerwowanych pasażerów pokrzykiwało z oburzeniem. Momentalnie zrobiło się zbiegowisko. Ludzie krzyczeli, utyskiwali. Jedni by go puścić, bo to dzieciak głupi jeszcze i nierozgarnięty, inni potępiali w czambuł. Natanowi kręciło się w głowie. Czuł, że zaraz zemdleje. To jednak nie uratowało go przed tym, by trzech policjantów dosłownie zatargało go do aresztu, gdzie dostał porządne lanie. Gdy płakał, obolały i skulony na zimnej posadzce, do jego celi przyprowadzono innego więźnia. Opowiedział mu, że przez rozbity tramwaj zakazano Żydom zbliżać się do drutów i chodzić ulicami przylegającymi do granic getta. Że za jego wybryk zapłacą wszyscy mieszkańcy. Ale pocieszał go też, że w młodości sam nieraz napsocił i że wszystko dobrze się skończy, bo Jakub został wezwany do samego Rumkowskiego, by wyjaśnić sprawę i zapłacić za szkodę.

Natan czuł, że chce umrzeć. Z poczucia wstydu, żalu i złości. Z bólu – tego fizycznego i tego związanego z wyrzutami sumienia. Nie miał siły przepraszać już nikogo i tłumaczyć, że nie chciał zrobić nic złego. Bał się, że znów będą go bić. Że niedługo wpadnie w ręce Niemców, a oni go zabiją. Wtedy przypomniał sobie o niebieskookim chłopaku, który przychodził do Estery. I pomyślał, że ludzie wciąż mówią, że Niemcy są źli i zabijają, a przecież ten, którego spotkał wtedy w sieni, nic mu nie zrobił. Ani jemu, ani małej Eli. Więc może ludzie kłamią. Może teraz tu na posterunku też go oszczędzą? Znów zapłakał, odruchowo wtulając się w ramię obcego mężczyzny, śmierdzącego potem i alkoholem. Płakał, a rany na jego twarzy i ustach piekły go od łez. Dopiero delikatne poklepywanie po chudych ramionach, na które zdobył się osadzony, sprawiło, że Natan usnął. Gdy się obudził, nachylało się nad nim dwóch niemieckich żołnierzy. Rozmawiali chwilę, a Natan zrozumiał, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Jednym z nich był znajomy Estery. Chwycił go pod ramiona i podniósł. Natan zasyczał z bólu. Przenieśli go do innego pomieszczenia, gdzie jakaś kobieta obmyła mu buzię zimną wodą i opatrzyła rany. Potem

wyprowadzili go na korytarz. Czekał tam na niego Jakub. Miał zaciśnięte usta i oczy czerwone od płaczu. Wziął chłopca na ręce i wyniósł na zewnątrz. Była noc. Chłodny wiatr poruszał podartą koszulą Natana, gdy przemykali ukradkiem ulicami getta, prosto do mieszkania Estery. Minęło kilka dni, zanim Natan stanął na nogi. Zanim o własnych siłach wyszedł przed dom. Kulał jeszcze, a blizny na ciele wciąż się goiły. Błyszczały w słońcu jak dorodne dżdżownice.

Natan często siadał przed bramą i pokazywał je małej Eli, która wodziła po nich malutkim paluszkiem, przyglądając się im z zaciekawieniem. Któregoś popołudnia, gdy tak wygrzewali się w słońcu, zaczęła się łapanka. Natan chwycił Eli i bez zastanowienia pokuśtykał z nią w kierunku swojej kryjówki. Przeczekali tam do czasu, aż krzyki, strzały i niemieckie komendy ucichły. Wyszli wtedy i Natan zachwiał się zamroczony tym, co zobaczył. Na schodkach wejściowych kamienicy leżała martwa Estera. Z jej skroni spływała strugą krew, a jej półnagie ciało z każdą chwilą robiło się coraz bledsze. Któraś z praczek zerwała ze sznura wilgotne jeszcze prześcieradło, by przykryć nim Esterę, ale zabronił jej tego jeden z policjantów żydowskich, który stał na schodkach i palił papierosa. Natan, trzymając za sobą Eli, zbliżył się do ciała Estery. W otwartym oknie jej mieszkania dostrzegł poruszające się sylwetki policjantów. Sam nie wiedział, skąd nagle wstąpiła w niego złość i odwaga. Małą rączkę Eli wcisnął w dłoń przyglądającej się praczki, zacisnął pięści i nie zważając na nic, ruszył w kierunku mieszkania. Nie zatrzymały go krzyki ludzi, nie zatrzymały ostrzeżenia policjantów. Wpadł do środka. Przy łóżku Estery stał chłopak, ten sam, który wtedy całował ją pod drzwiami. Był w mundurze, a w dłoniach trzymał znajomą poszewkę z pieniędzmi. Natan rzucił się w jego kierunku. Zatrzymał go pojedynczy strzał, a właściwie piekący ból, który rozlał się w okolicach serca. Zanim upadł na ziemię, zobaczył, jak z poszewki wypadają pieniądze. Gdy leżał już na deskach podłogi, a powieki stawały się coraz cięższe, tuż przed jego twarzą upadło coś jeszcze. Nie wiedział, czy to omamy, ale znów miał przed sobą uśmiechniętą twarz młodego Niemca. Na sztywnym papierze fotograficznym jego zazwyczaj niebieskie oczy teraz były szare i patrzyły gdzieś w górę. Zupełnie w inną stronę niż martwe oczy małego Natana.

*

Rozgoryczony i zły, stał na wprost pałacu Juliusza Heinzla przy Piotrkowskiej i patrzył, jak grupa radnych opuszcza urząd miasta. Jeszcze kwadrans temu obserwował tych samych ludzi z balkonu w głównej sali plenarnej, na drugim piętrze pałacu. Wyszedł, zanim zakończyły się obrady, by nie wybuchnąć. Wyniku głosowania mógł się domyśleć. Trzech radnych, których znał z widzenia, przystanęło przy samochodzie zaparkowanym przy pasażu Schillera. To oni rozdawali karty. Decyzje, do jakich przekonali resztę urzędników, nie miały nic wspólnego z dobrem mieszkańców. Liczyły się ich korzyści. Majątkowe. Teraz, gdy na nich patrzył, wiedział, że świętują. Nie słyszał ich słów, bo zagłuszała je *Prząśniczka* wygrywana właśnie na trąbce z balkonu urzędu, ale nauczył się rozpoznawać emocje. Nawet jeśli były ukrywane pod uśmiechem lub łzami. Klienci zawsze popełniali ten sam błąd. Zdejmowali maski zaraz po wyjściu, gdy myśleli, że już nikt ich nie widzi. Wtedy do głosu dochodziły prawdziwe intencje. A kamery i okno wychodzące na podwórko, gdzie zwykle parkowali swoje samochody, załatwiały resztę. Niektórzy zapalali papierosa, wyjmowali telefon i oparci o bok auta zdawali bliskim relację z wizyty w kancelarii. Smutek, bezbronność i poczucie niesprawiedliwości ustępowały miejsca bezczelności i chamstwu. Doszedł do wniosku, że poczucie anonimowości odkrywa w ludziach najobrzydliwsze cechy.

Właśnie dlatego gardził klientami. Oczywiście nie mógł im tego okazywać. Z natury był miłym człowiekiem, więc obdarowywał ich serdecznym uśmiechem. Ale takich jak ci, którzy właśnie ruszali samochodem, nienawidził najbardziej. Kłamliwych kanalii, które nigdy nie dotrzymują słowa. Tchórzy bez honoru.

Pociągnął nosem. Poczuł, że zaczyna dokuczać mu chłód. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku placu Wolności.

*

Patrzył na nią, z trudem próbując opanować nerwy. Już samo jej pojawienie się bez zapowiedzi wywołało w nim niepokój. Do tego jeszcze jej głowa. Mimo że Zoja

zakryła ranę plastrem. Zerwał się zza biurka i podszedł do córki. Zanim zdążyła się odezwać, kazał jej odsłonić na chwilę opatrunek. Momentalnie poczuł, jak dotkliwy ból przeszywa jego skroń.

Zoja objęła go z całej siły.

– Wszystko okej, tato! To nic takiego.

– Zabiję drania – syknął i zdecydowanym krokiem podszedł do biurka. Chwycił telefon, ale nim wybrał numer, Zoja wyjęła mu z ręki komórkę i ją wyłączyła.

– Czy przyszłam totalnie nie w porę? – zapytała, siadając na biurku.

– Za dziesięć minut mam spotkanie. O co chodzi? – westchnął i przysunął sobie fotel.

– Będę się streszczać. Byłam w tym domu opieki, w którym jest ciotka Aniela.

– Naprawdę? – zapytał zaskoczony.

– Tak. Dziwne miejsce. Nie wiem, czy chciałabym dożyć sędziwego wieku, by się w takim znaleźć.

– Starałem się wybrać jak najlepiej. Ma dobrą opiekę i ogród…

– Tak, tak. Nie podważam tego. – Pokręciła głową. – Chodzi raczej o samo wrażenie, wiesz, starość, samotność… To dołujące, ale nie w tym rzecz. Chciałabym, żebyś czegoś posłuchał. To nie potrwa długo. – Odruchowo spojrzała na zegar na ścianie i wyjęła z kieszeni komórkę.

– Nagrałaś ją, Anielę?

– Tak, i chcę, żebyś posłuchał, co powiedziała.

– Wiesz, tak jak ci mówiłem, ona wiele przeszła. I w czasie wojny, i po. Trudne czasy dla dorastającej dziewczyny. Z tego, co babcia opowiadała, to hitlerowcy nie najlepiej się z nią obeszli. Podobno po tym wszystkim przestała mówić na jakiś czas.

– Zgwałcili ją? Jezu, to straszne. – Zoja zakryła dłonią usta.

– Po takich traumach zostają ślady w psychice. – Mówiłem ci zresztą, że spotkanie z nią może być trudne i nie będzie należeć do przyjemnych.

– Nie było tak źle. – Położyła przed ojcem komórkę.

Włączyła zapisany plik i pokój wypełnił najpierw głos pielęgniarki, a zaraz po nim mamrotanie staruszki.

Ojciec słuchał z uwagą, wpatrując się w twarz córki. Gdy pojawiły się wyzwiska adresowane do niego i jego najbliższych, pełen zrozumienia, łagodnie uśmiechnął się do Zoi. Potarł twarz i wzruszył ramionami.

– Nic się nie zmieniło. Tak jest, jak było u niej zawsze.

– Czemu wyzywa nas od faszystów? – zapytała.

– Bo twoja prababka, Jaśka, podpisała folkslistę. Później ja ożeniłem się z twoją matką. A że niektórzy Chorwaci w czasie wojny trzymali stronę faszystów, Aniela uznała nas za kolaborantów.

– No i niezależnie od tego, że rodzina twojej matki nie miała z utaszami nic wspólnego, to ciotka mierzy wszystkich jedną miarą. Dla niej każdy jest zdrajcą. Ale na ślub i wesele przyszła. – Roześmiał się.

– A o co chodzi z tym dzieckiem? Ciotka ciągle o nim wspominała. Coś powtarzała…

– Nie mam pojęcia. – Ojciec pokręcił głową. – Może miała jakieś dziecko, które zmarło, chociaż nigdy nie założyła rodziny. Nie wiem, kochanie, naprawdę nie potrafię ci nic o tym powiedzieć.

– Okej, rozumiem. – Zamyśliła się. – Lipa trochę z tym, że przyjęliśmy niemieckie obywatelstwo, co?

– No nie jest to powód do dumy, ale też nie znamy okoliczności podjęcia przez dziadków tej decyzji. Może mieli nóż na gardle, a może dostali obietnicę lepszego życia. Nie wiem. – Uśmiechnął się lekko. – Wtedy nic nie było proste i jasne. Wiem jedynie, że dziadek siedział za to w więzieniu, a nasze nazwisko przez krótki czas zmieniło literę z „k” na „ch” na końcu. Taka ciekawostka. – Zamilkł na dźwięk pukania do drzwi. Pojawiła się w nich sekretarka z informacją, że kontrahenci czekają w pokoju konferencyjnym.

Zoja bez słowa zsunęła się z biurka i podeszła do ojca. Cmoknęła go w policzek.

– Nie będę ci przeszkadzać, tato. I nie martw się o mnie.

– Zoja. – Pogłaskał ją po głowie, a ona wtuliła się w niego jak wtedy, gdy była dzieckiem. – Zojeńko, uważaj na siebie.

– Obiecuję.

– Potrzebujesz czegoś?

– Niczego mi nie brakuje. – Odsunęła się.

– Więc dopadnijcie tego skurwiela i wyślijcie do piekła. – Zacisnął pięść. – I dbaj o siebie.

– Spoko, tatku. – Mrugnęła. – *Volim te*[8].

Wyszła z gabinetu.

Wsiadała do windy, kiedy na jej komórce pojawiła się wiadomość od użytkownika, którego nazwała „karamel”. Pisał o krążących wokół niej myślach i o tym, że nie może doczekać się spotkania. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Intrygowała ją ta znajomość.

*

Niecierpliwie zerkała na Kardasa. Siedział na kanapie i rozmawiał przez telefon. Jeśli dobrze pamiętała, za trzydzieści minut zaczynał służbę. Sprawdziła godzinę na G-Shocku. Zostało jej półtorej godziny do spotkania. Wrzuciła torebkę herbaty do filiżanki i zalała wrzątkiem.

Kardas skończył rozmawiać i podszedł do niej.

– Co mówił Wincent? – zapytała, upijając łyk naparu.

– Papier, na którym wydrukowano oba listy, to zwyczajne kartki do ksero. Można taki kupić w każdym markecie. – Usiadł po przeciwnej stronie.

– Co z tuszem? – Położyła rękę na biodrze.

– Za wcześnie na wyniki.

– Czyli na ten moment nic nie mamy. Mógł to być każdy. – Odstawiła filiżankę na blat.

– Nie mają jeszcze pełnej ekspertyzy. Ale Wincent twierdzi, że to kwestia czasu. Jakiś jego znajomy przy tym siedzi. Ale – uniósł palec – na powierzchni kartek nie znaleziono śladów biologicznych, poza jednym drobiazgiem… – Zrobił pauzę po tym, jak upił łyk swojej herbaty. – Mikrowłoski bawełny. Białe.

– Rękawiczki. – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Dokładnie. A koperty, które dostałaś… Są identyczne. Ale musiały leżeć blisko kwiatów. Na obu zabezpieczone zostały ślady rozmazanego pyłku. Nie wiedzą jeszcze, co to za roślina, ale na bank miała pręciki.

– Okej. – Znów zerknęła na zegarek. – Czy dzisiaj wybierasz się do firmy? – zapytała.

– Tak. A co? Potrzebujesz czegoś z komendy?

– Nie. Potrzebuję wziąć prysznic i się przebrać. Nie wiem, czy mam czekać, aż wyjdziesz, czy…

– Idę. – Dopił herbatę i odstawił filiżankę do zlewu. Aha, jeszcze jedno. – Prokurator dał mi zielone światło na przesłuchanie Buriana. – Nachylił się i cmoknął ją w policzek.

– Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej?!

– Że lecę? Bo mam zamiar wyjść teraz. – Wskazał kciukiem na drzwi.

– Nie pal głupa! – Ściągnęła brwi. – Chodzi mi o Buriana. Wiesz dobrze, że chcę z nim pogadać.

– Nie psoć! – rzucił.

– Masz mi załatwić widzenie z Burianem! – krzyknęła za nim, gdy zamykał drzwi.

Miała wrażenie, że z klatki schodowej dobiegały jakieś szmery. Podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Nic niepokojącego się nie działo. Dla pewności przekręciła zamek.

Godzinę później znów stała w przedpokoju i przeglądała się w lustrze.

– Tym razem jest zdecydowanie lepiej – mruknęła do siebie, poprawiając włosy.

Musiała uważać, by wkładając skórzaną kurtkę, nie zaczepić o długie kolczyki i nie zerwać bransoletek.

Wzięła pilota od samochodu i ze smutkiem pomyślała o swoim dodge'u, który stał w serwisie. Na czas naprawy dostała zastępcze auto z jedną trzecią pojemności silnika swojego challengera. Ale dobre i to. Zastanawiała się, czy powinna zabierać broń. Z gościem, z którym miała w planach spędzić najbliższe godziny, zdążyła już się nieco poznać, poza tym glock nijak nie chciał zmieścić się do jej torebki. A jednak ktoś na nią poluje. Zmrużyła oczy i sięgnęła po broń. Przeszła z nią do garderoby i położyła na półkę. Z kartonu po bieliźnie wyjęła nieco mniejszy i zdecydowanie bardziej kobiecy gadżet, mieszczący się w dłoni pistolet kimber micro 9. W białym świetle halogenów połyskiwał srebrem i odcieniami niebieskiego.

Nie bez powodu producenci nazwali go Sapphir. Zoja zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Mimo że technicznie nie brakowało mu niczego, to jednak była przyzwyczajona do większej broni. Kimber miał jednak nad glockiem tę przewagę, że mieścił się w torebce. Iście zabójcza błyskotka.

Sprawdziła zawartość magazynka i korzystając z lustra, raz jeszcze zerknęła na swoje odbicie. Bardziej krzykliwa od błękitnej lufy była tylko jej czerwona szminka. Ta, której używała na specjalne okazje.

*

Popatrzył ponuro na Buriana. Ten miał zaciśnięte usta i zawzięte spojrzenie.

W głębi duszy Kardas go rozumiał. Coraz więcej wskazywało na to, że dochodzeniówka popełniła błąd. Że śledztwo, od którego został odsunięty, zaczyna się kolegom rozjeżdżać i coraz więcej elementów, które uważali za dowody, przestało się łączyć w całość. Wyczuwało się już frustrację z tego powodu, zwłaszcza wśród przełożonych. Oliwy do ognia dolał fakt, że media nie

odpuszczały. Od zabójstwa Fabiś minęły ponad dwa tygodnie i mimo że ostatnie zdarzenie, jakim było zatrzymanie Buriana, zaspokoiło apetyty pismaków, to ci wciąż snuli się za policją i węszyli wokół sprawy. I nawet im Burian coraz bardziej nie pasował do tej układanki. Na szczęście dla Kardasa był on już poza nawiasem sprawy Fabiś. Przynajmniej oficjalnie. I to dawało policjantowi pewną satysfakcję.

Przysunął klawiaturę i znów spojrzał na Buriana.

– Pan wie, z jakiego powodu z panem rozmawiam? – zaczął, a widząc niezmiennie złość mężczyzny, mówił dalej: – Nie wiem, czy dotarły do pana rewelacje o śmierci pana pracownika Dariusza Witkowskiego. To nie było zgon z przyczyn naturalnych. – Przechylił głowę i obserwował Buriana. – Prokurator uznał udział osób trzecich. Istnieje przesłanie, że to pan zlecił zabójstwo swojego pracownika…

– No i? – Aresztant nonszalancko skrzyżował ręce na piesiach.

– Chciałbym poznać pana stanowisko w tej sprawie… – Kardas rozparł się w fotelu.

– Moje stanowisko jest takie, że nie gadam bez papugi. – Burian się wyprostował. – Druga rzecz… Jak mogłem stuknąć Witkosa, skoro mnie trzymacie! – Uderzył palcem w swoje kolano. – A poza tym, po jaką cholerę miałbym go zabijać?

– Może za dużo mówił? Może zdenerwował pana fakt, że jego zeznania spowodowały pana zatrzymanie?

– Nic więcej nie powiem! – oświadczył dobitnie Burian.

– Jak pan woli.

W ciszy, którą przerywały uderzenia w klawisze, Kardas zamknął protokół przesłuchania. Po chwili nachylił się do Buriana i zaczął półgłosem:

– A teraz tak prywatnie. Ma pan pozdrowienia od córki. Kazała przekazać, że zajmie się kotkiem. – Podniósł się, dając tym samym znać, że zakończył czynności.

Burian złapał go za rękę i mocno przytrzymał.

– Skąd pan o niej wie? – zapytał z widocznym zdenerwowaniem.

– Wiem. Po prostu.

– Od Karoliny, tak?

– Karoliny? – Kardas zbaraniał.

– No tej ze stadionu. – Machnął ręką. – Była u mnie w serwisie takim amerykańskim wozem… Pracujecie razem, prawda?

Kardas bez słowa usiadł na biurku, dając znak, że jest otwarty na rozmowę.

– Wie pan, że… – Burian roześmiał się, lekko zakłopotany. – Cały czas się zastanawiałem nad tą dziewczyną. Odkąd ode mnie wyszła. Wtedy w warsztacie nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ona jest z policji. Wyczuwam was na odległość. Tylko że ona… – Zastanowił się. – Ona jest inna niż pan i pana koledzy po fachu – powiedział drwiąco.

– Ona nie jest w policji.

– Ale była, prawda? – Burian był wyraźnie zaintrygowany.

– No i?

– Czyli dobrze myślałem. Intuicja mnie nie zawiodła. Chciałem się z nią spotkać, tak jak się umówiliśmy. Czułem, że mnie podchodzi, ale nawet mi się to podobało. – Uśmiechnął się. – No i chciałem jej złożyć pewną propozycję. Nie byłem jednak do końca pewien, czy… Ale teraz, gdy pan wspomniał o mojej córce, wiem, że się nie myliłem. Współpracujecie, nie?

– Do czego pan zmierza?

– Chcę z nią porozmawiać, niech pan to zapisze w protokole. Będę zeznawał, ale mój warunek to możliwość widzenia z tą dziewczyną.

– Skąd ta zmiana?

– Bo to jedyna osoba, która jest dobra w tym, co robi, i pomoże mi się stąd wydostać. Dlatego chciałbym jej złożyć propozycję. Myślę, że ją zainteresuje. – Burian znów zacisnął usta.

*

Gdy się witali, delikatnie odsunął palcami kosmyk jej włosów. Był szczerze zmartwiony z powodu opatrunku. Jeszcze bardziej poruszyła go wymyślona na szybko opowieść o drzwiach windy, które zamknęły się zbyt wcześnie, a bliskie spotkanie z nimi spowodowało ranę. Mimo że Zoja uśmiechała się przy tym i bagatelizowała sytuację, Dawid był poważny. Zaoferował jej pomoc przy ewentualnym pozwie, ale ponieważ ona podeszła do tego pomysłu bardzo sceptycznie, przeszli na przyjemniejsze tematy.

Dobrze im się rozmawiało. Zoja dawno już nie spotkała kogoś, przy kim czuła się tak swobodnie. Może z wyjątkiem Kardasa i Wincenta, ale z nimi było inaczej. Znali się wiele lat. Pracowali razem. Dodatkowo łączyły ich tajemnice zawodowe. Wszystko, co robili i czym się interesowali, było związane z ich pracą. Poza tym ona i Kardas mieli już szansę na coś więcej, i to nie wyszło. Zoja nie chciała do tego wracać.

Teraz był Dawid, przyjemna odmiana od codzienności pełnej poczucia winy, samotności i uganiania się za pokręconym zabójcą. Dawid był czymś innym, nowym. Świeżym powiewem czegoś, co nie należało do twardego świata zbrodni, w którym Zoja obracała się od zawsze. Miał w sobie wrażliwość i ciepło. Dostrzegał i doceniał drobiazgi, jak na przykład kolor lakieru na jej paznokciach czy jej uśmiech, i potrafił o tym mówić. Nie tracąc przy tym nic z męskości! Spodobało się jej to. I naprawdę poczuła, że jest w stanie zaryzykować i poświęcić nieco uwagi i czasu tej znajomości. Jednak kwestię swojej policyjnej przeszłości postanowiła zachować dla siebie. Przynajmniej na jakiś czas.

– Obiecałeś mi coś ostatnio – odezwała się, gdy w jej filiżance pojawiło się dno.

– Wiem. – Dawid mrugnął. – I mam zamiar tego dotrzymać. – Dopił swoją kawę. – Ale do tego potrzebne mi jest pewne miejsce. Pozwolisz się porwać?

– Zabrzmiało podejrzanie. Jeśli to szanty albo kino Bollywood, to sorry, nie dam się namówić.

– Czy wyglądam na kogoś, kto podryguje w szlafroku w rytm morskich szlagierów? – Roześmiał się.

– Ludzkie dusze są nieodgadnione.

– Spokojnie. Myślę, że z twoim temperamentem to będzie frajda. – Dawid zerknął na zegarek. – Nie chcę ci rujnować całego dnia, ale jeśli ci się spodoba, a zakładam, że tak, to możemy tam zabawić do wieczora. Potem wezmę cię na świetną pastę – powiedział.

– Zabawa do wieczora i jedzenie… Jestem chyba zaintrygowana. – Uśmiechnęła się, a Dawid pokiwał głową z zadowoleniem.

Zoja zabrała torebkę ze stolika i sięgnęła po kurtkę. Kwadrans później auto Dawida zatrzymało się na niedużym placu, pod szarym murem dawnej fabryki przy Okopowej. Zoja rozejrzała się i zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać. Pozwoliła wziąć się za rękę i poprowadzić po betonowych płytach do budynku. Jeszcze na zewnątrz czuła charakterystyczny zapach, jej zmysł powonienia zareagował na niego natychmiast. Proch. Nie wiedziała jeszcze, jaką bronią Dawid lubił się bawić, ale zgadywała, że zdecydowanie większą niż ta, którą przez cały czas trzymała w torebce.

– Pustawo tu – oceniła, gdy zeszli do sali z kilkoma stanowiskami strzeleckimi.

– Powiedzmy, że dziś to taki nasz *VIP room*. – Zaśmiał się.

Nagle odwrócił się w kierunku otyłego gościa w bluzie moro.

– Dziś poproszę coś mniejszego – odezwał się, podając mu dłoń na powitanie. – Nie chcę przestraszyć mojej przyjaciółki. – Objął ramieniem Zoję.

– Tak? – wyrwało się jej. – Wyglądam na taką strachliwą?

– Właśnie nie! I dlatego jadąc tu, miałem cichą nadzieję, że dasz się namówić na mały *challenge*. – Mrugnął zaczepnie.

– Co jest do wygrania? – zapytała zaciekawiona.

– Dla ciebie kolacja z fajnym gościem. A jeśli to ja pokonam ciebie, zabieram cię jeszcze na drinka.

– Odważnie, Lucky Luke’u.

– Czyli się zgadzasz?

– Zaryzykuję.

– Świetnie! – Dawid klasnął w dłonie. – To naprawdę fajna zabawa, a jak złapiesz bakcyla, to wierz mi, można odlecieć.

– Hmmm. – Zmrużyła oczy, wpatrując się w oddalone cele.

– Pomyślałem, że zaczniemy od broni krótkiej. Zobaczymy, jak ci będzie szło. Może później pokusimy się o większy kaliber. Ale Zoju, to wszystko na spokojnie. Bez ciśnienia. Jak ci się nie spodoba, uszanuję to. Co ty na to?

– Okej. – Wydęła usta. – Spróbujmy.

Dawid, nie kryjąc zadowolenia, ustalił z facetem kilka szczegółów, a po paru minutach wytłumaczył Zoi zasady, jakich muszą przestrzegać.

Wszystko przyjmowała z powagą, najbardziej skupiając się na tym, by nie parsknąć śmiechem. Zwłaszcza na widok broni, którą przyniósł facet w moro. Walthera p99 znała doskonale. Miała go na wyposażeniu, gdy grała jeszcze w policyjnej drużynie. Nie chciała jednak psuć nastroju, a przede wszystkim ujawniać przeszłości. Oczy Dawida płonęły nadzwyczaj pociągająco. Miała okazję się im przyjrzeć i poczuć coś więcej niż sympatię, gdy zakładał jej słuchawki i okulary, a potem tłumaczył, jaką postawę powinna przyjąć. Co chwila jego ramiona oplatały jej plecy, a dłonie dotykały ud, kolan, rąk. Gdy poczuła je na swojej szyi, po jej ciele przebiegło przyjemne mrowienie. Pomyślała o tatuażu na muskularnych ramionach i z lubością wciągała aromat perfum, którymi spryskał się Dawid.

Przyszedł czas na oddanie pierwszego strzału. Zoja przymknęła oczy i uśmiechnęła się do siebie. Strzeliła na oślep. Specjalnie zbyt lekko trzymała w dłoniach broń, by odrzut był silniejszy i bardziej widoczny. Zapiszczała, gdy pierwszy raz nią szarpnęło. Później oddała jeszcze cztery strzały. Dawid z lekkim uśmiechem patrzył w kierunku tarczy.

– Na początek nie jest źle – rzucił. – Chcesz odpocząć?

Przytaknęła.

Wykorzystała moment, gdy Dawid odwrócił się tyłem, i zrobiła to, co wpojono jej już dawno temu. Zabezpieczyła broń, wyjęła magazynek, opróżniła go z pozostałej amunicji i oddała kontrolny strzał. Walther spoczął w rękach instruktora, który zmierzył ją wzrokiem.

– Pilnie słuchałaś – mruknął.

– Jestem uważna. – Posłała mu niewinny uśmiech, oddała słuchawki i okulary, po czym odeszła na bok. Jej miejsce zajął Dawid.

Obserwowała go. Był skupiony na celu. Nieco spięty, co zrzuciła na karb jej obecności. Gdy oddawał pierwsze strzały, poczuła wibrowanie telefonu. Namacała go w kieszeni i na widok wyświetlającego się imienia zaklęła pod nosem. Zamierzała nie odbierać, ale im dłużej komórka wibrowała, tym bardziej Zoja oczami wyobraźni widziała, jak znów tłumaczy się Kardasowi, że zniknęła gdzieś sama. Wymknęła się na korytarz i odebrała połączenie.

– *Good news* – oświadczył Kardas. – Burian chce mówić.

– Naprawdę? – Ucieszyła się. – To go pociśnij! Pewnie skumał, że jego położenie nie jest najlepsze…

– Nie to zaważyło.

– A co?

– Ty.

– Ja?! Jak niby?

– On chce tylko ciebie, Karolino – zadrwił.

– Przestań – mruknęła. – Prawie zawsze ściemniam z tym imieniem. Zoja jest jedna, a Karolin z milion. Trudniej zapamiętać i znaleźć. Zresztą… A ty zawsze na pierwszym spotkaniu dostajesz od laski prawdziwy numer telefonu?

– Jakbym miał do każdej oddzwonić, toby mi doby zabrakło.

– Jasne – prychnęła. – Dobra, co z Burianem? – Wróciła do tematu.

– Załatwiłem ci kwadrans. Ale…

– No zastrzel mnie – rzuciła i sama się roześmiała. Nad głową miała wielki plakat z podobnym hasłem.

– Nieoficjalnie.

– Kurczę, do niczego. – Skrzywiła się. – Nie da się wykorzystać jego zeznań, jeśli się z czymś wysypie. A Wincent?

– Za mało czasu. Widzenie masz dzisiaj.

– Zaraz, moment. Jak dzisiaj? – zapytała zaskoczona i zaczęła się rozglądać po korytarzu. Strzały w sali obok ucichły.

– Normalnie. Załatwimy to dziś. I to niedługo. Mamy czas do dwudziestej. Potem chłopcom kończy się zmiana.

– Cholera… – Zamilkła na widok stojącego w otwartych drzwiach Dawida. – Zadzwonię do ciebie dosłownie za chwilę.

– Zoju, ta cholera mnie zaniepokoiła. Coś się dzieje? – spytał Dawid.

– Nie. Nie, nie. Po prostu daj mi moment. – Rozłączyła się.

– Wszystko okej?

– Okej. – Westchnęła. – To był telefon z firmy. Małe zawirowania.

– Chcesz już wracać?

– Wygląda na to, że muszę. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Ale nie rób sobie problemu, zostań. Ja zamówię taksówkę.

– Nie ma mowy. Odwiozę cię. – Dawid przesunął dłonie po kieszeniach. – Musimy wrócić na chwilę. – Wskazał na salę, w której strzelali. – Mam tam kurtkę i kluczyki. Dam znać, że znikamy.

– Poczekaj. – Zoja dotknęła jego ręki. – Nie widziałam jeszcze twojego wyniku. Przekonajmy się, czy rzeczywiście jesteś dobry.

Zanim doszli do makiety, ukradkiem odczytała widomość od Kardasa. „Przyjadę po ciebie za jakieś dwadzieścia minut. Okej?” Zacisnęła usta. Z jednej strony żal jej było miło zaczętego wieczoru, ale z drugiej – tyle razy prosiła Kardasa o widzenie z Burianem. Wiedziała, że strażnicy poszli mu na rękę i drugi raz tego nie zrobią. Zaklęła pod nosem i zerknęła na zegarek. Dawid uśmiechał się

do niej, dumnie prezentując swoje celne wyniki. Nieidealne, ale dobre. Postanowiła, że nie zostawi go z wrażeniem nieudanej randki, ale rozegra to tak, by miał poczucie, że dobrze się bawiła. Uśmiechnęła się i poprosiła o znajomą broń.

Tym razem bez udawania sprawdziła zawartość magazynka, przeładowała i oddała sześć strzałów. Wszystkie były idealnie celne. Zaraz po tym odłączyła magazynek i oddała kontrolny strzał. A że zrobiła to wszystko w ciągu kilkudziesięciu sekund, Dawid popatrzył na nią z podziwem i zaskoczeniem.

– Możemy uznać, że przegrałeś – oświadczyła z uśmiechem.

Sięgnęła po torebkę i zerknęła na zegarek na ręku. Przeliczyła w myślach, ile czasu pozostało jej, by zdążyć przed Kardasem dotrzeć do domu. Nie było daleko. Pięć do siedmiu minut. Patrzyła, jak Dawid zbiera rzeczy i idzie w jej kierunku.

Gdy znaleźli się przy wyjściu z budynku, Dawid nieoczekiwanie chwycił Zoję w ramiona. Nim zdołała zaprotestować, mocno ją pocałował.

Musiała przyznać, że był w tym cholernie dobry.

*

Złapał ją pod drzwiami apartamentu. Wkładała właśnie klucz do zamka i omal nie krzyknęła, gdy Kardas wyrósł obok jak spod ziemi.

– Świetne, że jesteś gotowa, bo bałem się, że to jeszcze potrwa a wiesz… czasówka – rzucił. Popatrzył na Zojkę z zaciekawieniem. – Coś ty taka odstawiona? – Skrzywił się.

Zoja udała, że ogląda swoje buty.

– Hmm. Może faktycznie przegięłam. – mruknęła. Miała nadzieję, że zdąży się chociaż przebrać, zanim pojawi się Kardas. Niestety, czas nie był dziś jej sprzymierzeńcem. – To może się przebiorę jednak?

– Dobra, nie ma czasu. – Złapał ją za rękę i podbiegł do drzwi windy. Z każdym pokonywanym piętrem zerkał na nią z uśmiechem.

– Co? – warknęła w końcu.

– Nic. Patrzę.

– Nabijasz się? Tak?

– Wcale nie. Wyglądasz bardzo… efektownie. Pomyślałem, że jakbym się umówił z dziewczyną i przyszłaby tak zrobiona, to byłbym zachwycony. – Nagle jakby zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział. Stanął do niej przodem i dokładnie się jej przyjrzał. – Ty nie wychodziłaś z domu, ty do niego przyszłaś… – Przełknął ślinę.

Zoja nie odpowiedziała.

– Mariusz, nie wściekaj się. – Pognała za nim, gdy drzwi windy się rozsunęły. – To tylko popołudniowa kawa. Koleś jest w porządku. Kontroluję sytuację – próbowała wyjaśnić.

Kardas nic nie mówił. Przeszedł szybkim krokiem obok recepcji i zniknął na zewnątrz. Zoja musiała włożyć nieco wysiłku, by dogonić go w szpilkach. Gdy wypadła z budynku, zastała go palącego przy samochodzie.

– Jedziemy? – rzuciła niepewnie, podchodząc do drzwi pasażera. – Kardas skinął głową, zaciągnął się i szybko wypuścił dym.

Jechali w takiej ciszy, że Zoja dosłownie czuła ból uszu. Kardas przyspieszał i zwalniał, chaotycznie zmieniał biegi, autem co chwilę podrzucało. Dojechali na miejsce w dziesięć minut, co Zoja uznała za niezły wyczyn. Kardas wprowadził ją do aresztu i po zdawkowej wymianie zdań ze strażnikami szybkim krokiem przemierzyli znajomy korytarz.

W sali widzeń, pustej i ciemnej, czekał na nich strażnik. Usiedli przy najbliższym stoliku, a po kilku minutach pojawił się Burian. Kardas dał znak funkcjonariuszowi, by zostawił ich na chwilę samych.

– Widzę, że ma pan bogaty wachlarz znajomości – rzucił Burian do Kardasa. – Odwiedziny miłej pani o tej porze? – Wskazał na zegar wiszący na ścianie i posłał Zoi przelotny uśmiech.

– Mamy mało czasu – odparł policjant. – Ja swoją obietnicę spełniłem. Teraz kolej na pana.

– Rozumiem. Domyślam się, że pan prokurator nie wie o naszej schadzce. – Drwiąco ściągnął usta. – Ale do rzeczy. – Przysunął się. – Chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz – zwrócił się do Zoi.

– Ciekawe pytanie. – Uśmiechnęła się. – Lubię grać we własnej drużynie – odpowiedziała.

– Bzdura. Ktoś cię wynajął? Kto i po co?

– Nie rozumiem.

– Nie kłam. Znam się na takich jak wy. – Omiótł ich wzrokiem. – Czemu interesujesz się moją córką? Jak się o niej dowiedziałaś? Nikt poza mną i Wiolettą nie wie o moim dziecku.

– Twoja córka jakoś specjalnie nie ukrywa faktu, kto jest jej ojcem. – Zoja wzruszyła ramionami.

– A powinna. Jak do niej dotarłaś? On… – wskazał palcem na Kardasa – …jest chociaż policjantem, a ty? – Przechylił głowę.

Zoja spojrzała na Kardasa.

– Służby specjalne – skłamała gładko. – Zadowolony?

– ABW? – zapytał zaskoczony, a Zoja przytaknęła.

Kardas zerknął na nią.

– Wiola wpakowała się aż w takie gówno? – Burian złapał się za głowę.

– Właśnie – przytaknęła Zoja. – Miałam i mam nadzieję, że podzielisz się ze mną wiedzą, jaką zakładam, posiadasz na ten temat. Interesują mnie nazwiska osób, z którymi twoja kobieta spotykała się przed śmiercią.

– Cholera, nie tak to miało wyglądać – syknął.

Poruszył się nerwowo na krześle. Rozważał coś przez dłuższą chwilę, a w miarę upływu czasu na jego twarzy pojawiała się niepewność. Podniósł wzrok na Zoję i nerwowo zabębnił palcem w blat.

– Pomożesz mi się stąd wydostać? – zapytał. – I zapewnisz mi bezpieczeństwo! Nie mam zamiaru być następny!

– Posłuchaj. – Zoja nachyliła się do Buriana. – Wiem, że jej nie zabiłeś.

– Skąd ta pewność? – odparł z ironicznym śmiechem. – Nie czytasz gazet? Jestem zabójcą i zwyrodnialcem.

Zoja zobaczyła to od razu, gdy usiadł przy ich stoliku.

– Ten szalik, który miałeś w samochodzie… – Zerknęła kontrolnie na milczącego Kardasa. – W mieszkaniu Fabiś znalazłam płaszcz z plamą krwi na kołnierzu. Byliście wtedy razem, prawda?

Burian wbił wzrok w ścianę.

– Wiola miewała krwawienia z nosa. Zazwyczaj, gdy była przeziębiona. Cienkie ścianki żył czy coś takiego. – Potarł skroń. – Jechaliśmy samochodem, kiedy nagle pojawił się krwotok. Nic strasznego, ale zanim wyjęła chusteczki, kilka kropli spadło na szal, zabrudziło płaszcz, który trzymała na kolanach. Cała historia.

– Mówiłeś o tym śledczym?

– Nie – zaprzeczył. – Mam swoje zasady.

– Sądząc po twojej sytuacji…

– Prawda sama się obroni.

– Mylisz się. To od ciebie zależy twój los. Od tego, ile nam powiesz – skwitowała. – Nikogo nie obchodzi, czy posadzą zabójcę, czy niewinnego. Liczy się wynik. Statystyka. A jak trafnie wspomniałeś, opinia publiczna i media wydały już wyrok.

Burian zmierzył ją wzrokiem.

– Pamiętasz, jak przyjechałaś do mojego serwisu? Wiesz, czemu się z tobą umówiłem?

– Hm…

– Nie obraź się, ale nie jesteś w moim typie. – Pokręcił głową. – Po prostu cię wyczułem i chciałem to wykorzystać. Pomyślałem, że jesteś z policji. Mimo to wyglądałaś na kogoś, komu można zaufać. Chciałem zaproponować ci kasę w zamian za dyskretne śledztwo. Wiedziałem, że policja i tak zamiecie zabójstwo Wioletty pod dywan. Że jak spadnie zainteresowanie ludzi tą sprawą, wszystko przycichnie, i to szybciej, niż możemy sobie wyobrazić. – Prychnął. – A ja

chciałem, żeby ktoś się do tego przyłożył. Chciałem na własną rękę dorwać skurwiela, który jej to zrobił! Potrzebowałem tylko kogoś, kto by mi w tym pomógł. Kogoś doświadczonego, z kim można się dogadać. – Uśmiechnął się. – Pojawiłaś się w idealnym momencie. – Tyle że później dostałem od ciebie zdjęcie i wszystko się skomplikowało. – Rozłożył ręce. – Fotka pochodziła z telefonu Wioli…

– Doprawdy? – zapytała szybko.

– Tak. To nie był oryginał – odparł. – Za każdym razem, gdy wymienialiśmy się z Wiolettą zdjęciami, dokładaliśmy do nich jakiś niewinny, ale znaczący dla naszej komunikacji szczegół. Na oryginalnym zdjęciu licznik samochodu wskazuje wyższą prędkość. Wysyłając zdjęcie Wioletcie, zaznaczyłem na zegarze godzinę naszego spotkania.

– *Fuck* – wyrwało się Zoi.

– No właśnie. Od razu wiedziałem, że wysłałaś mi zdjęcie, przy którym sam majstrowałem. A to oznaczało tylko jedno: jesteś w posiadaniu jej komórki. Którą zabrała policja. Dwa do dwóch… Nie trzeba być mistrzem rachunków. – Zaśmiał się.

– A jednak cię to nie odstraszyło.

– Byłem trochę ciekawy, co z tego wyjdzie. Zastanawiałem się, co zrobisz, co powiesz, gdy się zobaczymy. Jak zareagujesz na informację, że cię przejrzałem. No i do czego jesteś w stanie się posunąć… – Uśmiechnął się przebiegle, wywołując u Kardasa złość.

– Dobra. – Zoja westchnęła. – Powiedz mi, co wiesz o jej kontaktach.

– Powiedz mi najpierw, czemu to drążysz.

– Z tego samego powodu, co ty. – Wzruszyła ramionami. – Chcę dorwać mordercę. Z tą różnicą, że mnie się nieco bardziej spieszy. Nie chcę, by uderzył po raz drugi.

Burian pokiwał głową.

– Myślisz, że to jakiś seryjny świr?

– Mów, co wiesz.

– Nie wiem za dużo, bo wyznawaliśmy zasadę, że każdy żyje swoim życiem. Jedynie, gdy byliśmy razem… – Zamilkł.

Zoja miała wrażenie, że zaszkliły mu się oczy.

– Nie wiem, czy jesteście w stanie to zrozumieć. Ten rodzaj magii. Gdy z nią byłem, czułem, że mam wszystko. Niewyobrażalny stan szczęścia i nadzwyczajności. Nie chcieliśmy i nie mogliśmy mieć tego na co dzień z obawy, że nasze uczucie straci na wyjątkowości. Że zabiją je szara codzienność i rutyna. To był wolny związek. Mogliśmy się spotykać z różnymi ludźmi i robić, co nam pasowało. W głębi duszy i tak należeliśmy do siebie, i nigdy nic tego nie zmieniło, i nie zmieni. Nawet teraz, gdy ona nie żyje. Na zawsze pozostanie moja.

– Dobra – przerwał mu Kardas. – Znamy już wasze cudowne uniesienia, teraz dawaj konkrety. Czy Wioletta Fabiś spotykała się jeszcze z kimś poza tobą?

Burian popatrzył na Kardasa i Zoję.

– Znaczy tak, ale nie w tym sensie.

– A w jakim?

– Jakiś czas temu Wiola powiedziała mi, że trafiła jej się sprawa, która może wybić ją z dziennikarstwa sportowego. Sama nie wiedziała, czy tego chce. Dobrze się czuła w sporcie, ale jeden dobry materiał może cię wznieść na wyżyny. Zwłaszcza jeśli opiszesz jakąś skandaliczną sprawę. Początkowo się podpaliła i zaczęła drążyć. Ale po jakimś czasie – skrzywił się – doszła do wniosku, że za ciężko pracowała na niektóre kontakty i dojścia, by palić mosty jednym niewygodnym materiałem. Z tego, co wiem, porzuciła ten temat. Chyba nawet chciała go komuś przekazać, nadać jakiemuś znajomemu dziennikarzowi, ale nikogo chętnego nie było, i w końcu dała sobie spokój.

– Czego dotyczyła ta sprawa?

– Nie wiem dokładnie. – Potarł policzek. – To jakaś afera. Układ chyba. Nie pamiętam. Naprawdę. – Uderzył się w pierś. – Czekajcie. To musiało być coś związanego z urzędem miasta, bo to właśnie na tych kontaktach jej zależało. Tak,

przypominam sobie, jak mówiła, że nie chce ich stracić. Tam zdaje się o jakiegoś inwestora szło czy społeczność żydowską może? Nie wiem.

Zoją aż zatrzęsło.

– Spróbuj sobie przypomnieć! – rzuciła. – W jej komputerze nic o tym nie znaleźliśmy.

– A w domu? – Spojrzał czujnie.

– W laptopie, w komórce… – Zoja wyliczała na palcach. – Żadnych plików, nic o tym.

– Bo ona to miała w tablecie. Takim dziadowskim, niedrogim. Dostała go razem z tym materiałem. Sam go dwa razy musiałem odblokować, bo się zawieszał, szajs taki.

– Dostała? – Teraz to Kardas się zainteresował. – Od kogo? Co w nim było?

– Nie mam pojęcia! – zakrzyknął zdenerwowany Burian. Odruchowo chwycił za brzeg stołu, jakby chciał go unieść i cisnąć nim. – Wiem tylko, że nie chciała się w tym babrać i miała się spotkać z jakimś gościem, żeby oddać ten tablet. I chyba oddała, bo nigdy więcej nie wspominała o tym.

– Kiedy to było?

– Hm – zastanowił się. – Ze trzy miechy temu. Koniec wakacji? Jakoś tak. Nie sądzę, by to miało związek z jej śmiercią.

– A listy z pogróżkami? Mówiła ci o tym, że ktoś jej coś przysyła?

– Co? Jakie pogróżki? Skąd? – Sapnął ciężko.

– Nie wiem – szepnęła Zoja. – Jakiś czas przed śmiercią dostała trzy anonimy. Może dla niej nie były takie anonimowe jak dla nas?

– I co w nich było? – Burian był jak znak zapytania.

– Grafiki – odpowiedziała. – Rysunki, których treść nasza specjalistka odczytała jako pogróżkę.

Burian zacisnął pięści, aż zbielały mu kłykcie.

– Czemu nic mi o tym nie powiedziała? – wysyczał.

– Może się bała, że zlecisz zabójstwo nadawcy – wtrącił Kardas kpiąco. – Tak jak zrobiłeś to z Dariuszem Witkowskim.

Burian zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

– Nie podejdziesz mnie, skurwysynu! – Pogroził mu palcem.

– A właśnie – wtrąciła Zoja – skoro już jesteśmy przy rodzinie. Interesuje mnie stanowisko twojej żony. Czy ona też ma podobne zapatrywania na kwestię twoich układów z Fabiś?

Burian pociągnął nosem.

– Ktoś kiedyś powiedział, że z żoną dzieli się obowiązki, a z kochanką fantazje – odpowiedział. – Mariola jest dobrą matką i fatalną kochanką. Dla niej najwyższą wartością jest pieniądz i zapewnienie dzieciom wszystkiego, czego jej poskąpiono w dzieciństwie. A ja kocham moje dzieci i kocham święty spokój, więc muszę dużo zarabiać. – Rozłożył ręce. – A policja mi w tym nie pomaga.

– Czy istnieje możliwość, że zabójcą Fabiś jest twoja żona? – drążyła dalej Zoja.

– Mariola jest zazdrośnicą i z byle powodu potrafi zrobić awanturę. O Wioletcie wiedziała tyle, że się przyjaźnimy. Nie podejrzewam, żeby domyślała się prawdy o Soni. Ale nawet jeśli, to pierwsze, co by zrobiła, to wniosła o rozwód. Sam fakt pozbawienia mnie środków do życia byłby dla niej wystarczającą rekompensatą. Ewentualnie dążyłaby do wyjaśnienia kwestii ojcostwa, ale to raczej mnie by się oberwało. Zawsze czuła do niej jakiś rodzaj szacunku. Wioletta była rozpoznawalna, a Mariola lubi znać ludzi, którymi można się pochwalić. Zabójstwo odpada. Nie ona. – Pokręcił głową. – A nawet jeśli, to nie poradziłaby sobie z tym emocjonalnie. W ciągu doby doniosłaby na siebie samą.

– Może jej pan nie docenia? – spytała Zoja.

Burian spojrzał na nią z politowaniem, westchnął i nie odezwał się słowem.

– Może zleciła to komuś zaufanemu? – Zoja nie była przekonana. – Bliski pracownik męża byłby idealny. I tak na pana donosił. Z tego, co się orientuję,

Dariusz Witkowski był pod dużym urokiem pańskiej żony. – Uniosła brew. – Może sam wyszedł przed szereg, by bronić rodzinnej idylli swojej karmicielki?

– Niech zgadnę. Próbował panią przede mną ostrzec? – Burian się roześmiał. – Stara zagrywka. Mogę jedynie przeprosić. – Położył dłoń na piersi. – Od dawna wiem, że Mariola odpala mu jakąś kasę za plotki. To prosty człowiek. Tak jak moja żona. Wystarczyło go lekko podpuścić, by przejrzeć ich oboje. Moja żona ma kiepskie wyczucie, jeśli chodzi o ludzi. Darek miał za długi język i niespełnione ambicje. Wyznaję jednak zasadę, że o zmarłych się nie mówi. Zwłaszcza źle.

Wywód został przerwany dźwiękiem telefonu, który zaczął wibrować w kieszeni kurtki policjanta. Kardas wyjął go i po chwili wahania odrzucił połączenie.

– Tego, kto dopadł Witkowskiego, i tak znajdę – oświadczył, chowając komórkę. – Mam swoją teorię na ten temat. Wrócimy do rozmowy, gdy hipotezy zamienię na dowody. Czyli niebawem – powiedział pewny siebie. – Teraz skupmy się na sprawie zabójstwa Wioletty F. Szczególnie że czas nagli. – Posłał w kierunku Zoi złowieszcze spojrzenie.

Miała ochotę odgryźć mu się odgryźć, ale się opanowała. Chwilowo. Zwróciła się do Buriana:

– Właściwie to mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy jest panu znane nazwisko Sterlak? Niech się pan zastanowi, pomyśli…

– Sterlak… – Burian popatrzył na nią i widać było, że rzeczywiście szuka w głowie jakiegoś skojarzenia. – Nie, nie sądzę. – Ściągnął brwi. Nagle potarł nerwowo podbródek i znów zerknął na Kardasa. – Zaraz po tym, jak mnie zatrzymaliście, tam na stadionie… Przesłuchiwał mnie prokurator. Zapytał o to nazwisko. – Popatrzył na Zoję. – I wtedy, tak samo jak dziś, nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. – Pokręcił głową. – Zapytałem więc o to prokuratora. A on, milcząc, pokazał mi tylko zdjęcia.

– Co na nich było?

– Wioletta. – Zacisnął pięści. – Martwa.

– Jak według pana zginęła?

– Została uduszona – odpowiedział szybko. – A później pocięta i zawinięta w jakieś gówno!

– Czy na tych zdjęciach, o których pan wspomniał, były widoczne rany?

– Mnie pokazali tylko jedno zdjęcie. Takie jak Wioletta jest na nim od przodu, cała. – Zapatrzył się w blat stolika. – Leżała na boku, skulona. – Złożył dłonie i zamilkł na chwilę. – Ale jak ten glina chował je do teczki, to zauważyłem jeszcze jedno. – Ożywił się i popatrzył na Zoję. – Bliski kadr.

– Co przedstawiał?

– Cięcia na ciele. – Zacisnął wściekle pięści. – Były na plecach i ramionach. Dziwne, nierówne. Skojarzyłem je z moją najmłodszą córką. Uczy się liter. Próbuje je pisać. – Uśmiechnął się i zaraz potem posmutniał. Nagle podniósł głowę. – Czy to był napis? – zapytał. Czy ten zjeb, który ją zabił, napisał coś na jej ciele? – Poderwał się, ale zaraz usiadł.

– Tak – powiedziała Zoja. – Nazwisko.

– Czyje, na Boga?! – krzyknął Burian. – Podpisał się? – Poczerwieniał na twarzy. – Znajdę go. Dajcie mi czas. Znajdę tego skurwiela!

– Obawiam się, że to nie podpis zabójcy. – By go uspokoić, odruchowo dotknęła jego ręki. – Raczej wskazówka, kto będzie następny.

– Znaleźliście już tę osobę? Rozmawialiście z nią? Powinniście ją ostrzec! Albo jego, to facet?

– Przeciwnie – wtrącił Kardas.

– Więc musicie jej pilnować! Nie możecie dopuścić, by spotkało ją to samo, co Wiolę. – Oblizał spierzchnięte wargi. – Nie można ryzykować. On nie może mieć okazji, by zaatakować…

– Słyszysz? – Kardas spojrzał wymownie na Zoję. – Człowiek, na którym ciąży zarzut zabójstwa, mówi, że nie można ryzykować! – powiedział podniesionym głosem. – Zgadzasz się z tym?

Zoja przełknęła ślinę. W ledwie widoczny sposób skinęła głową.

Chciała już iść. Choć wiedziała, że czeka ją porządna reprymenda. A ona nienawidziła krzyku.

*

Do szklanki z grubego szkła nalał whisky. Na jego zmęczoną twarz padło światło bijące od monitora. Szybkimi ruchami palców wpisał w wyszukiwarkę zapytanie i po chwili przyjrzał się wynikom. W większości prowadziły do stron firmy deweloperskiej ojca Zoi. Reklamy, wizualizacje inwestycji i masa artykułów i wywiadów z właścicielem lub managerami firmy. Pokazało się też kilka nietrafionych kont na Facebooku. Ale o Zoi nie było nic. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś wyczyścił internet z informacji na temat, który go interesował. Wiedział jednak, co zrobić, by znaleźć to, czego potrzebuje.

Zerknął na zegarek i wybrał numer telefonu swojego aplikanta. Przeprosił za późną porę i poprosił o przysługę. Nie pierwszą, nie ostatnią. Chłopak, którego przyjął do swojej kancelarii pół roku temu, okazał się bystrym dzieciakiem. Zwłaszcza w kwestii cyberprzestrzeni. Nie zadawał zbyt wielu pytań i robił to, czego od niego oczekiwano. Tak jak teraz. Nie dociekał, dlaczego ma szukać. Po prostu to znalazł i przesłał, zanim lód roztopił się w whisky.

Komputer przez chwilę trawił dane zamknięte w pliku. Nagle na monitorze pojawiło się pierwsze zdjęcie. Początkowo widok zaciętej miny Zoi Sterlak wywołał szczery uśmiech na twarzy mężczyzny, dopiero szczegół, który dostrzegł kilka setnych sekundy później, nieco go zmroził. Zoja miała na sobie mundur bojowy policji.

– A więc jednak niegrzeczna z ciebie dziewczynka – powiedział półgłosem.

Przyłożył szklankę do ust i jednym haustem wlał w siebie jej zawartość. Nabrał powietrza i kliknął w kolejny plik. Tym razem był to artykuł prasowy, a załączone do niego zdjęcie przedstawiało Zoję na ławie oskarżonych. Pierwsze linijki tekstu umieszczonego poniżej wystarczyły, by zagwizdał cicho. „Dwie ofiary śmiertelne. Źle przeprowadzona akcja policji czy zabójstwo?”, pytał nagłówek. „Czy doszło do przekroczenia uprawnień?” – przewinął tekst. „Biegli orzekli, że zajście wywołał agresywny przestępca, poszukiwany przez służby specjalne. Nie wykonywał poleceń wydawanych przez policję, a w chwili próby zatrzymania zaatakował

nożem funkcjonariuszkę Zoję Sterlak. Towarzysząca jej starsza aspirant Magdalena Adamiak otworzyła ogień, by ratować siebie i koleżankę. Podkomisarz Sterlak również próbowała się bronić. Z jej broni oddano dwa strzały. Jeden z pocisków śmiertelnie ranił aspirant Adamiak. W toku śledztwa ustalono, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Podobnie orzekł sąd, który po wysłuchaniu opinii biegłych przychylił się do wersji zdarzeń obrońcy Sterlak. Uznano, że policjantka nie mogła przewidzieć trajektorii lotu pocisku, gdyż utrudniał jej to napastnik, zaś jej partnerka sama przyczyniła się do tragedii, wchodząc na linię strzału. Starszy aspirant Magdalena Adamiak tuż przed śmiercią zdołała oddać z broni służbowej trzy celne strzały w kierunku przestępcy i dwa chybione. W efekcie odniesionych ran również mężczyzna zmarł na miejscu. Na nożu zabezpieczono odciski palców napastnika i ślady krwi należącej do podkomisarz Sterlak. Dramat rozegrał się w pokoju hotelowym, w którym poza przestępcą przebywała jeszcze jego kilkunastomiesięczna siostrzenica. Na szczęście dziecko, pod nieobecność matki, spało w sypialni obok i nie ucierpiało w zdarzeniu”.

Dawid potarł poczerwieniały policzek i przeszedł do kolejnych artykułów. „Uniewinniona. Ale czy niewinna?” Autor publikacji podawał wyrok w wątpliwość. Kto cię bronił, Zoju? Dawid zmrużył oczy i zaczął szczegółowo przeszukiwać tekst. Gdy trafił na nazwisko obrońcy, pokiwał z uznaniem głową. Adwokat w mowie końcowej powoływał się na opinie biegłych, brak świadków, spowodowane stresem luki w pamięci Zoi i zeznania pracownika służb specjalnych Wincenta Lagera, który przybył na miejsce zdarzenia jako pierwszy. Prawnik przysunął twarz do monitora, by przyjrzeć się ostatniej fotografii. Przedstawiała Zoję wychodzącą z budynku prokuratury w towarzystwie obejmującego ją ramieniem mężczyzny w jasnym płaszczu i kaszkiecie. Przed nimi, ze wzrokiem utkwionym w tłumek dziennikarzy, robił im miejsce dobrze zbudowany, wysoki brunet w sportowej kurtce. Czekało na nich czarne bmw. Takie, jakim zazwyczaj poruszają się najważniejsi ludzie w kraju.

– Ładnie umiesz kłamać, Zoju… – szepnął i wypełnił szkło brązowym alkoholem. – I może bym ci uwierzył, gdybym sam nie był w tym dobry. –

Uśmiechnął się chytrze.

*

Musiał ochłonąć. Musiał zebrać myśli. Odsunąć od siebie emocje i skupić się na tym, co najważniejsze. Na sprawie. Na odnalezieniu zabójcy. Tymczasem jeździł bez celu po opustoszałych ulicach miasta i zastanawiał się nad tym, co przed chwilą zaszło.

Zabawne, że gdy zobaczył ją z kluczami przy drzwiach jej mieszkania, pomyślał, że jak tylko skończą z Burianem, zabierze ją może na jakieś jedzenie. Nie żeby na randkę, ale po prostu. Złapać na chwilę oddech, przejść się Piotrkowską, a potem raz jeszcze usiąść razem w jej mieszkaniu nad materiałem, jaki zebrała, i od nowa przegadać sprawę. Przeanalizować słowa Buriana, skonfrontować racje. Ale to, co zrobiła… Sam nie wiedział, co dotknęło go bardziej. Czy to, że ignoruje jego prośby i wystawia się na ryzyko, czy to, że kogoś poznała. Czy był zazdrosny? Raczej poczuł się oszukany. Ale czy gdyby pochwaliła mu się, że wybiera się gdzieś z nowo poznanym gościem, to przyjąłby to bez emocji? Bankowo usłyszałaby, że to kiepski pomysł. Oczywiście powołałby się na jej bezpieczeństwo czy raczej zagrożenie, jakie niesie szwendanie się po mieście z obcym. Ale prawda jest taka, że poczuł bolesne ukłucie w piersi, gdy zgadł, że kręci się koło niej jakiś facet.

– Kurwa! Niech to szlag – zaklął, przekrzykując radio. Uderzył dłonią w kierownicę. Raz, a potem kolejny.

Przeoczyć coś takiego. Idiota! Skończony idiota! Ale na co on w ogóle liczył? Że znów będą razem? Przecież nie ma do tego prawa! Nie może jej zabronić układać sobie życia. Miał swój czas i co? Profesjonalnie to spierdolił. Wyjął papierosa. Ostatniego. Z paczki, którą kupił w drodze do aresztu.

– Boże. – Potarł powieki. – Muszę z tym skończyć. – Cisnął opakowanie na siedzenie pasażera. Z paleniem, ze sprawą. Może z Zojką też.

Powinien. Tak. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Dla niego, dla niej, dla Alicji. Wspomnienie córki przyprawiło go o kolejny wyrzut. Znów nie ma go obok niej. Znów zasnęła bez jego „dobranoc”. Zerknął kontrolnie w lusterko i wyjął komórkę. Wybrał numer Wincenta i zanim uzyskał połączenie, zjechał z Włókniarzy na parking McDonald’sa. W słuchawce pojawił się znajomy głos. Przyjemny, spokojny. Kardas wiedział, że niezależnie od tego, co zaraz powie, głos Wincenta pozostanie niezmieniony. Spokój i koncentracja. Nabrał głęboko powietrza.

– Wincent, przepraszam, za porę, ale to ważne.

– Zapomnijmy o konwenansach. Słyszę czy wręcz wyczuwam problem. W czym rzecz?

– Tak, jest problem. Zapewne nie ucieszy cię informacja o tym, że… – zrobił pauzę. Czyżby się wahał? – Wincencie, ja rezygnuję – oświadczył wreszcie.

– Hmmm. – Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie dam rady. Nie mam siły. – Pokręcił głową. – To mnie przerasta.

– Mariusz, oczywiście wolno ci mieć wątpliwości. Ale dopóki ja ich nie mam, tobie nie pozostaje nic innego, jak robić swoje. Dalej. A ja jak na razie nie zmieniłem zdania.

– Myślę, że mnie przeceniasz. Ja chyba sam siebie przeceniłem. Za dużo w tym emocji, za mało rozsądku.

– Zoja?

– Tak.

– Posłuchaj… Przypomnij sobie naszą rozmowę tuż po tym, jak zobaczyliśmy ciało tamtej kobiety.

– Pamiętam doskonale, ale od tego czasu wiele się zmieniło… – próbował oponować.

– Nie, Mariusz! Nic się nie zmieniło. Sprawa nie jest rozwiązana, a zabójca wciąż jest na wolności.

– O tym akurat wiem doskonale, ale wygląda na to, że tylko ja się tym przejmuję. Zojka najwyraźniej nie ma z tym problemu…

– Zadam ci pytanie. Z jakiego powodu ją ściągnęliśmy? – Wincent był nieugięty.

– Bo zabójca na nią wskazał i chcieliśmy zapewnić jej bezpieczeństwo… – odpowiedział wymijająco. Dobrze wiedział, do czego pije Wincent.

– Gadasz od rzeczy. – Prychnął. – Obaj wiemy, że ona dorwie tego gnojka. Dlaczego? Bo jest zawzięta, przekorna i nie boi się ryzyka. A jak się do czegoś zobowiąże, to zrobi to. Po swojemu, pokrętną drogą, może, a nawet na pewno pod prąd, ale zrobi to. Zbliży się do zabójcy, podejdzie go jak wytrawny myśliwy, podczas gdy reszta będzie zasłaniała się przepisami.

– Myślę, że ją wybielasz i twoje wyobrażenie na jej temat jest nieco inne od rzeczywistości – odparł Kardas wzburzonym głosem. – Jest arogancka, kłamliwa i rozpuszczona…

– Ale zdaje się, że ta jej zuchwałość cię ujęła. Wściekasz się, ale podświadomie ją za to cenisz, żeby nie powiedzieć: kochasz – dokończył dobitnie Wincent, a Kardas zaniemówił. – Możesz zaprzeczać i zaklinać się na świętości świata, możesz oszukiwać siebie, ale nie mnie. – Wincent mówił bez przerwy. – Wiedz, że jeśli nawet dziś przyjmę twoją rezygnację, to nie rozwiąże ona twoich problemów. Przeciwnie. Zadręczą cię wyrzuty sumienia. Przypomnij sobie, już raz to przechodziłeś. Tak jak potrzebowała cię wtedy, tak potrzebuje cię dziś.

– To co mam robić? Siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć, jak się szwenda po mieście? Nie jestem jej niańką, nie będę za nią jeździł i wyciągał jej z klubów. Poza tym ona odrzuca wszystko, co mówię i robię.

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– Próbowałem… – zająknął się. – Skończyło się… awanturą.

– To nie próbuj, tylko zrób to. I pamiętaj jeszcze o jednym, komisarzu! Usilne próby zmieniania charakteru drugiego człowieka mogą sprawić, że przestanie być dla ciebie interesujący, bo stanie się jednym z miliona mu podobnych. Nie dostrzeżesz już koloru w takiej osobie, tylko zwyczajną szarość. Pomyśl, czy na pewno na tym ci zależy?

– Nie w tym rzecz… Nie mieszajmy prywatnych spraw z pracą.

– Aaaa, i właśnie. – Wincent się zaśmiał, a Kardas oczami wyobraźni widział, jak celuje w niego palcem. – Wróciliśmy do punktu wyjścia, panie Kardas. Cieszę się, że sam to powiedziałeś. Prywatne życie kontra praca. Wyciągnij zatem wnioski z naszej rozmowy. I sam ze sobą ustal, co jest dla ciebie ważne. A tymczasem… Nie rezygnuj. Pomagaj jej i miej oczy otwarte – ciągnął Wincent. – Ale skup się na swoich zadaniach i działaj. A ona też niech robi swoje. Ja natomiast przyjadę do was, może nawet jutro.

– W porządku. – Kardas przytaknął. Patrzył, jak grupka młodych ludzi opuszcza restaurację i po chwili znika wśród bloków. Robić swoje, pomyślał. Bez emocji. Bez prywaty. Wrzucił bieg i ruszył w kierunku osiedla Retkinia. Do małego mieszkania matki, gdzie czekała go noc na niewygodnej kanapie. Ale za to z obietnicą dobrego śniadania.

*

Zbliżała się do brzegu. Morze było łagodne. Słońce paliło niemiłosiernie. Zanurzyła się, by dać rozgrzanej skórze chwilę wytchnienia. Przyjemny chłód wody obmył z niej połyskujące drobinki soli. Położyła się na plecach, by przez chwilę dryfować. Znów poczuła promienie słoneczne. Delikatne fale przybliżały ją do ostrych, białych skał na brzegu. Dwa płynne ruchy ramion i widziała już drewniany pomost. Ktoś na nim siedział. Jakaś postać niepasująca do znajomego widoku. Ciepły wiatr poruszył taflą, która na chwilę zasłoniła jej widok.

Zamrugała powiekami, by pozbyć się spływających z rzęs kropel. Teraz widziała już wyraźnie. Karmelowy płaszcz. Podniosła wysoko rękę i zamachała, ale postać nie zareagowała. Pomyślała, że jest za daleko. Zanurkowała więc i pomknęła wśród turkusu. Wzbiła się ku powierzchni, gdy dostrzegła pale pomostu. Wynurzyła głowę i spojrzała w górę. Słońce oślepiło ją na chwilę. Zrozumiała, że ten, kto siedzi skulony na pomoście, jest odwrócony do niej tyłem.

Jednym ruchem wspięła się i zostawiając mokre ślady stóp, ruszyła w kierunku znajomego. Krzyczała coś, by go przywołać, by spojrzał w jej stronę, ale bez skutku. Dopiero gdy jej mokre palce chwyciły grubą wełnę, jej wzrok natrafił na zaskoczone spojrzenie. Odskoczyła jak oparzona, raniąc się grubą drzazgą w stopę. Krew spływała między deskami, ale ona nawet na nią nie zerknęła. Patrzyła prosto w rozchylone w uśmiechu usta Magdy, która niespodziewanie chwyciła jej dłoń. Poczuła, że jest zimna jak lód. Chciała się uwolnić od chłodu, pozbyć się trupiego dotyku.

Podniosła rękę. Zamiast martwych palców Magdy miała w niej jabłko. Szare, nadpsute. Jego miąższ spływał jej pomiędzy palcami.

– Jedz, mała Żydówko – syknęła Magda. – Jedz. – Pokiwała głową i zaczęła uderzać palcami w deski pomostu.

Rytmiczny dźwięk przybierał na sile i stawał się coraz bardziej przykry dla ucha. Zoja podniosła głowę i zamrugała. Drażniący dźwięk miał swoje źródło. Zerwała się i popatrzyła na ekran wibrującej komórki leżącej na szafce nocnej.

– Halo – mruknęła zaspana.

– Zoja, przepraszam, obudziłem cię?

– Nie będę ściemniać, że jest inaczej.

– Przepraszam, myślałem, że o tej porze… Chciałem zapytać, czy nadrobimy wczorajszy wieczór. Czy dasz się dziś porwać na kolację? Z tym, że chciałbym zabrać cię gdzieś dalej, nieco za miasto…

– Żebym tym razem ci nie mogła zwiać, tak? – Zaśmiała się.

– Nie będziesz chciała – powiedział rozbawiony. – To bardzo urokliwe, choć tajemnicze miejsce.

– Intrygujące. Mów dalej…

– Pałac Piorunów.

– O matko. Byłam tam kiedyś.

– I jak wrażenia?

– Wrażenie to na mnie zrobiła droga do niego. Może dlatego, że jechałam sama, późnym wieczorem. Ciemności niewiarygodne. Wokół tylko pola, lasy. Pół żywego człowieka. Modliłam się, żeby auto się nie zepsuło. Na samą myśl mam ciary. Sam pałac rzeczywiście jest bardzo elegancki, ale przez lokalizację nieco *creepy*.

– Nie bój się, przecież będę obok. Mogę cię nawet trzymać za rękę.

– No nie wiem, może… – Zaśmiała się.

– Świetnie, czyli jesteśmy umówieni?

– Mhm… Wstępnie. Potwierdzę ci jeszcze, jeśli to nie problem. Jak zauważyłeś wczoraj, u mnie sytuacja może się radykalnie zmienić i to za sprawą jednego telefonu.

– Tak, to zrozumiałe – powiedział, a Zoja wyczuła w tym stwierdzeniu jakąś fałszywą nutę. Ściągnęła brwi. Zrozumiałe? – Zoju – mówił dalej. – To może inaczej. Korzystajmy z chwili. Może teraz masz ochotę na śniadanie? Za mniej więcej pół godziny mam przerwę na lunch.

– Jeśli będzie kawa i ciepłe rogale na Offie, to tak.

– Dobra, niech będzie Off.

– Poczekaj, która jest?

– Dziesiąta dwie.

– Cholera. Dobra, zbieram się. – Potarła oczy. – Dawid, czy mogę mieć do ciebie jedną prośbę?

– Jaką?

– Możesz przyjść w czymś innym niż ten płaszcz?

– Aż tak ci się nie podoba?

– Nie, nie o to chodzi. – Ściągnęła brwi. – Wyjaśnię ci przy śniadaniu. Czekaj na mnie.

– Wierz mi. Nie robię nic innego – rzucił, a Zoja uśmiechnęła się szczerze, po czym się rozłączyła.

Na pasku powiadomień widniała ikona przychodzącej wiadomości. Zoja kliknęła w nią i odczytała esemesa od ojca. „Wczoraj późnym wieczorem zmarła

ciocia Aniela. Zadzwoń do mnie, proszę, jak znajdziesz chwilę”. Zerknęła na zegarek.

– Trzy godziny temu. Przesadziłam z tym spaniem.

Wybrała numer ojca. Jego głos usłyszała niemal od razu.

– Przepraszam, że dopiero teraz oddzwaniam, ale… – zaczęła.

– Nie szkodzi – przerwał jej. – Chciałem ci tylko o czymś powiedzieć. Wcześnie rano musiałem pojechać do tego ośrodka, w którym mieszkała ciotka Aniela. Załatwić choć część formalności, bo jak wiesz, poza nami nie miała rodziny. – Chrząknął. – Wychodząc, dostałem niedużą torbę z jej rzeczami osobistymi. Jest wśród nich coś, co, zważywszy na twoje ostatnie pytania, na pewno cię zainteresuje.

– Co takiego?

– Patrzę właśnie na to, to jej notatnik. Stary zeszyt z czasów, gdy pisało się ołówkiem kopiowym. Jest tu mnóstwo notatek. Jakieś przepisy na ciasto i kluski z makiem. Ale są tu także stare mapy i zdjęcia. Poza tym chciałem ci pokazać coś jeszcze… – Usłyszała, jak wziął głęboki oddech. – Po naszej wczorajszym spotkaniu pojechałem do domu rodziców i poszperałem trochę w pudłach ze zdjęciami. No i znalazłem coś… – Przełknął ślinę. – Dokumenty moich dziadków.

– Jakie?

– Książeczki, folkslisty…

– Tato – szepnęła. Słyszała wyraźnie, jak ojciec przekłada kartki. – To były czasy wojny.

– Tak, tak – mówił dalej. – Jest nawet plan łódzkiego getta. Na tych mapach… Nie rozkładałem ich wszystkich, tylko jedną, jest na niej coś pozaznaczane. Nie mam teraz czasu, by to przeglądać. Muszę zająć się organizacją pogrzebu. Pomyślałem jednak o tobie. Może ciebie coś tu zainteresuje. Szukasz różnych informacji, a ostatnia rozmowa z ciotką… Może w tych pudłach znajdziesz odpowiedzi.

– To faktycznie może się przydać. Tylko że teraz jestem umówiona, ale to nie potrwa dłużej niż godzinę. Przyjadę.

– Do Warszawy? Nie ma sensu się tu pchać. Ja dziś nawet kawy z tobą nie wypiję. Ale jak chcesz, to dam to wszystko za chwilę pani Joasi, spakuje i przekaże któremuś z kierowców.

– Super, tato. – Zoja się ucieszyła. – Niech do mnie zadzwoni, jak będzie w Łodzi. Złapię go na mieście.

– No to załatwione. Kończę i ściskam – rzucił i się rozłączył.

Zoja odłożyła komórkę na szafkę i poszła do łazienki. Gdy stanęła przed lustrem, popatrzyła na swoje odbicie. Wyglądała na zmęczoną.

– Za dużo palisz, Zoi. – Potarła twarz.

Odkręciła wodę i weszła pod prysznic. Bardzo zimny.

*

Jesień rozgościła się na całego. Niestety bliżej jej było do wersji szarej i deszczowej niż tej ze złotem w nazwie. Zoja złożyła parasol i wsadziła go do specjalnie przygotowanego dla gości stojaka przy drzwiach. Otrzepała rękawy parki z resztek kropli i rozejrzała się po bistro. Zobaczyła go przy stoliku pod oknem. Siedział pochylony nad prospektem. Zamknął go natychmiast, gdy Zoja usiadła obok.

– Dzień dobry – powiedziała, z uśmiechem patrząc na nakryty stolik.

– Cieszę się, że znalazłaś czas. – Wstał z krzesła i cmoknął ją w policzek. – Nie chciałem, żeby wystygły… – Dał znać dziewczynie za kontuarem, by podała śniadanie. – Rozumiem, że potrzebujesz kawy.

– Bardzo, bardzo. – Potarła dłonie. – Zimno dziś. I obrzydliwie mokro.

– Jak poszło wczoraj? – dopytał zaciekawiony. – Widzę, że dali ci w kość. Musiałaś odespać.

– Wczoraj… – zająknęła się.

Przypomniała sobie, że kłamstwo, którym obdarowała Dawida na początku ich znajomości, wciąż obowiązuje. Sama nie wiedziała, czy powinna w nim trwać. Jednak uznała, że śniadanie to nie najlepszy czas na zwierzenia.

– Siedziałam do późna nad papierami – powiedziała. Co nie odbiegało od prawdy.

Faktycznie, po rozmowie z Burianem i karczemnej awanturze, jaką po wyjściu z aresztu urządził jej Kardas, wróciła do domu po dwudziestej drugiej i resztę wieczora spędziła, układając w głowie i na stole nowe elementy sprawy. Towarzyszyli jej Pearl Jam i spora ilość zioła.

Kardas się nie odezwał. Ani wczoraj, ani dziś, co uznała za poważny kryzys w ich współpracy. Czuła, że teraz tylko Wincent będzie w stanie to naprawić. Ale jak na razie on też nie dawał znaku życia.

– Dawid, ja cię bardzo przepraszam, że wczoraj tak wyszło…

– Przestań. – Uśmiechnął się. – Wzmogłaś tylko mój apetyt.

– Apetyt?

– Na twoje towarzystwo. – Dotknął jej dłoni. – O co chodziło z płaszczem?

Odsunął się, by zrobić miejsce kelnerce. Na ich stoliku pojawił się talerz z pachnącymi rogalikami i chałką z masłem. Obok stanęły naczynia z miodem, konfiturą i świeżymi owocami. Zapachniała kawa.

Zoja poczuła się tak głodna, że miała ochotę rzucić się na jedzenie. Pohamowała ją obecność Dawida. Pomyślała, że przy Kardasie miałaby wypchaną buzię, zanim kelnerka postawiłaby talerz. Skarciła się za tę myśl.

– To jak z tym płaszczem? – zagadnął, upijając łyk kawy.

– Śniłeś mi się dzisiaj. A właściwie to nie ty. Tylko ten płaszcz.

– Oj… – Znów się uśmiechnął.

– Nie wyobrażaj sobie za dużo. – Odwzajemniła uśmiech. – To nie był dobry sen. Wciąż mam jeszcze takie niesympatyczne wrażenie. Wiesz, takie ciarki. – Zadrżała. – Dlatego nie chciałam go oglądać. Płaszcza oczywiście.

– Okej. W takim razie będę chodził już tylko w kurtce – powiedział z delikatnym uśmiechem.

Zoja obserwowała, jak jego wypielęgnowane palce trzymają nóż i kroją ciepłe pieczywo.

– *À propos* znaków, muszę cię o coś zapytać – odezwał się, patrząc jej w oczy. – Czy chcesz sprzedać swoje mieszkanie?

– Czemu pytasz? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Spokojnie. – Uniósł teatralnie ręce. – Moje pytanie to nie przejaw ciekawości. Uśmiejesz się, jak ci coś powiem. To jak? Sprzedajesz?

– Miałam taki pomysł – mruknęła.

– To niesamowite. – Roześmiał się, kręcąc na boki głową.

– Co? – spytała i aż odłożyła rogalik.

– Czy twoje mieszkanie oglądała para starszych ludzi? – zapytał, nie przestając się uśmiechać.

– Kojarzę… – powiedziała i po chwili zakryła ręką usta.

– Boże, to byli… Twój ojciec? – zapytała zdumiona.

– Tak. Stanisław Woźniak – przytaknął rozbawiony.

– Racja! Twoja wizytówka…

– Co z nią?

– Nic, twój ojciec dał mi ją, żebym się z tobą skontaktowała i… Cholera, że też nie skojarzyłam! – Pacnęła się w czoło. – Ale zaraz, zaraz! – Zoja spoważniała. – Nie była to ładna zagrywka z jego strony. Chciał kupić mieszkanie, omijając pośrednika. Powiedział, że załatwi to przez ciebie.

– Czemu mnie to nie dziwi. Cały Stach. Kombinator, sknera i kobieciarz. Matka się z nim już dwa razy rozwodziła – skwitował Dawid i znów się roześmiał. – Nie wierzę… że to się akurat tak złożyło.

– Zabawne. – Przytaknęła z uśmiechem. – Jak na to wpadłeś? Zgadaliście się? – Nadgryzła rogalik.

– Wczoraj. Podjechałem do nich sprawdzić, jak się czują. Ojciec wściekły krążył po mieszkaniu. Nie mógł znaleźć jakiegoś albumu i wrzeszczał, że za mało miejsca mają. Dwóch synów wychowali, we czwórkę przecież tam mieszkaliśmy, a jak sami zostali, to miejsca mają za mało. – Dawid pokręcił głową. – Miotał się i rzucił taki tekst. Słuchaj! – Jego głos nabrał ostrości. – „Ta pani Zoja to chyba sprzedała już ten apartament”. I zaczął zawodzić, jak to by im pasowało takie lokum. Matka zaraz za nim. Jaka tam kuchnia wspaniała. A ja pierwsze, o kim pomyślałem, to ty, Zoja. Tylko jedną znam. Zapytałem więc ojca, jak wyglądała ta pani od apartamentu, i myślałem, że padnę trupem. Zaskoczyło mnie to jak cholera.

– Niezłe, co? – Zoja lekko się uśmiechnęła.

– A może to wcale nie przypadek? – Dawid odpowiedział pytaniem i Zoja się zmieszała.

– Nie? A co?

– Może tak właśnie miało być. Bez względu na wszystko mieliśmy się spotkać. Może to coś oznacza.

– Tak. Oznacza, że masz bardzo bujną wyobraźnię.

– O, tak. Zwłaszcza na twój temat. I wiesz co? – Nachylił się. – Pracuję nad tym, by mniej sobie wyobrażać, a więcej wiedzieć – wyszeptał.

– O, to trochę jak ja. Na przykład wyobrażam sobie różne rzeczy na temat twojego tatuażu. – Wskazała palcem ramię Dawida.

– Tak? I co sobie myślisz?

– Że chciałabym go zobaczyć. To duża praca i jestem jej ciekawa. Co to takiego? – Zoja polała kawałek chałki miodem.

– Jeśli nasze wieczorne plany wypalą, to postaram się, żebyś mogła zaspokoić swoją ciekawość – powiedział, uśmiechając się szelmowsko. – Ale na poważnie… Zainspirował mnie rysunek pewnego hiszpańskiego artysty. Zapewne wiesz, o czym mówię, to bardzo znana praca.

– Dalí? – Zoja powoli przełknęła kęs chałki.

– Nie. Dalí był Katalończykiem. Mam na myśli Goyę… – Przerwał, słysząc donośny sygnał jej komórki.

– Przepraszam. Zobaczę tylko, kto to.

– Na pewno poczekam.

– Jeśli to nic ważnego… – Spojrzała na wyświetlacz i zmieniła wyraz twarzy.

Śniadanie z sympatycznym gościem nie było wymarzoną chwilą na dyskusje o ciałach i sekcjach. Mimo to Zoja odebrała. Z przepraszającym gestem ręki wstała, odeszła od stolika i zaczęła rozmowę z patolożką.

– Zojka, dzwonię tylko, żeby powiedzieć, że mieliśmy rację. Ty, ja i komisarz Kardas…

– Aha, czyli?

– Czyli wstępne wyniki toksykologii nie zostawiają złudzeń. Wasza ofiara przyjęła przed śmiercią GHB.

– Mało oryginalnie, ale skutecznie. – Zoja kontrolnie spojrzała na Dawida.

Sączył kawę.

– Myślę, że może to stanowić odpowiedź na pytanie, czemu się nie broniła…

– Tak, to jasne – mruknęła Zoja.

– Właśnie. Oficjalny papier będzie za kilka dni, ale nie potrzebujesz kwitów, prawda?

– Wcale.

– Jakieś pytania? Coś cię nurtuje?

– Nie, ale bardzo dziękuję, że pani zadzwoniła – wyznała szczerze.

– W takim razie kończę. Słońce! Trzymam kciuki za *happy end*.

Zoja schowała komórkę i wróciła do stolika.

– Przepraszam cię – powtórzyła. – O czym my?… A – wycelowała w Dawida kawałkiem chałki – o twoim tatuażu. Naprawdę chciałabym go zobaczyć. Ale najpierw chętnie się dowiem, co to takiego.

– Inspiracją była grafika z cyklu *Kaprysy*. Kojarzysz takie zdanie: „Kiedy rozum śpi…

– …budzą się demony” – dokończyła ze wzrokiem zawieszonym w przestrzeń. – Czemu tak ci się podoba?

Spojrzała w rozpromienione oczy Dawida, choć jej myśli krążyły wokół ciała Wioletty Fabiś. A dokładniej znajdującego się w jej krwioobiegu środka zwanego powszechnie pigułką gwałtu.

– Ze względu na jej przekaz – ciągnął Dawid. – Każdy ma w sobie nieobliczalną stronę, którą stara się kontrolować rozumem. Przestrzegając zasad. A co, jeśli przestanie? – Uśmiechnął się zimno. – Jeśli wyłączy rozum i pozwoli, by zadziałały emocje? Tak jak ty wczoraj.

– Ja? – Zerknęła na niego. Nie słuchała go zbyt uważnie i teraz bez powodzenia próbowała pozbierać w myślach jego ostatnie słowa.

– Z jakiegoś powodu nie chciałaś zdradzić, że znasz się na broni i że strzelasz zawodowo. Dopiero gdy złość przejęła nad tobą kontrolę, ujawniłaś ciemne oblicze natury. Uwolniłaś demona. Inna sprawa, że cholernie mi się spodobał.

– Ciekawa interpretacja. – Zjadła kawałek chałki.

„Musiała znać mordercę”, pomyślała Zoja. I to na tyle, że nie dostrzegła sytuacji zagrożenia, z której ten skorzystał.

– A ty? Masz jakiś tatuaż? – zapytał Dawid.

– Tatuaż? – Ocknęła się. – Tak. Jeden, w dodatku nieduży.

Skarciła się w myślach za brak szacunku dla rozmówcy i natychmiast postanowiła, że później zastanowi się nad ostatnimi chwilami Wioletty Fabiś.

Tymczasem skupiła się na obłędnych oczach Dawida, które cały czas patrzyły na nią z ciekawością.

– Kwiat maku i gałązka lawendy, splecione razem. – Wskazała na swoje plecy. – Dwa kwiaty, dwie ojczyzny. Polska i Hrvaska – powiedziała z akcentem. – W porównaniu z twoim drobiazg. – Machnęła ręką.

Telefon Zoi znów dał o sobie znać.

– Boże, przepraszam cię – powiedziała, patrząc na wyświetlacz. Odrzuciła połączenie i wysłała krótkiego esemesa.

– Obiecuję, że wynagrodzę ci moje okropne zachowanie. – Odłożyła smartfon na stolik.

– Och nie. – Dawid obdarzył ją ciepłym spojrzeniem. – Ja też tak miewam.

– Wiem, ale powinnam wyłączyć. Obiecuję, że zrobię tak następnym razem. – Uniosła dwa palce i się zaśmiała. – Chyba że nie będziesz chciał mnie więcej oglądać.

– Żartujesz? – Przysunął się bliżej. – Nie mogę się już doczekać kolejnego razu. I mam nadzieję, że w końcu mi zaufasz i poczujesz się na tyle swobodnie, żeby nie udawać kogoś, kim nie jesteś…

Zoja nie odpowiedziała.

Poczuła przypływ złości. Gwałtownie wstała od stolika i chwyciła za przewieszoną przez oparcie torbę.

Mężczyzna był jednak szybszy.

– Zoju, przepraszam. – Zatrzymał ją. – Błagam, wybacz mi. Wyrwało mi się. Przysięgam, że nigdy więcej o nic cię nie zapytam. Jeśli będziesz kiedyś chciała powiedzieć mi o sobie coś więcej…

– Dziękuję za śniadanie. – Zacisnęła usta.

– Zoju, proszę. – Ostrożnie położył dłoń na jej policzku, ale dziewczyna cofnęła głowę.

Wyszła bez słowa.

Dawid zacisnął pięści i zaklął siarczyście.

*

Kardas na wejściu pokazał odznakę i nim kobieta zdążyła o cokolwiek zapytać, wypalił:

– Chciałbym przejrzeć listę osób, które oglądały apartament Zoi Sterlak – powiedział i wymownie zerknął na zegarek. Widząc wahanie na twarzy agentki, zabębnił palcami o blat. Zadziałało.

Chociaż zachowanie kobiety wskazywało na to, że toczy wewnętrzną walkę, myśląc o tym, co powinna, a czego jej nie wolno, drżącymi palcami wbiła nazwisko klientki w stojący przed nią komputer.

– To raczej poufna informacja – szepnęła.

– Wydawało mi się, że wyjaśniłem pani powód mojej wizyty, gdy rozmawialiśmy przez telefon. – Kardas nie ustępował.

– Tak, tak. – Zmieszała się. Jej policzki poczerwieniały. – To znaczy nasza klientka poprosiła o chwilowe zawieszenie oferty. – Spojrzała na Kardasa, ale natychmiast spuściła wzrok. – Nie jest mi znana przyczyna jej decyzji.

– Pytałem o listę osób, które oglądały to mieszkanie – powiedział dobitnie.

Nachylił się nieco w stronę komputera, ale nie był w stanie niczego dojrzeć.

– Zainteresowanie było duże, ale z racji decyzji o wstrzymaniu sprzedaży zaraz po tym, jak dostaliśmy zlecenie, mieszkanie zdążyła obejrzeć tylko jedna para. Państwo Woźniak. Stanisław i Elżbieta Woźniak. Zanotować? – Agentka sięgnęła po żółtą karteczkę.

– W jakim wieku mniej więcej?

– Sekundę… – Kliknęła. – Sześćdziesiąt plus.

– Nie, nie o nich mi chodzi. – Pokręcił głową. – Młodsi. Powiedzmy… w moim wieku.

– Niestety, mam tylko tych państwa na liście. Nikt więcej nie oglądał lokalu w apartamentowcu przy Jaracza. – Jest pani pewna?

– Na sto procent.

– Może omyłkowo zostali wpisani przy innej ofercie? – zapytał nerwowo.

– To jest niemożliwe, proszę pana. Skrupulatnie prowadzimy nasze dzienniki oględzin…

Kardas nie czekał, aż kobieta skończy, machnął ręką i bez słowa wyszedł. Stanął na chodniku przy ruchliwej alei Kościuszki i zapalił papierosa. Po raz kolejny wybrał numer, który dostał od barmanki w klubie. I po raz kolejny upewnił

się, że abonament jest niedostępny. Klnąc, schował komórkę do kieszeni i cisnął niedopałkiem.

Wsiadł do samochodu, zawrócił z piskiem i pojechał do Zoi.

*

Opadła na kanapę. Odchyliła głowę i głośno westchnęła.

Nie była zła. Była zaniepokojona. Miała świadomość, że Dawid to inteligentny człowiek, i nie było niczym zaskakującym, że prędzej czy później połapie się, z kim ma do czynienia. Zmartwił ją jedynie sposób, w jaki dał jej to do zrozumienia. Ale w sumie mogła winić głównie samą siebie. Niepotrzebnie dała popis na strzelnicy. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że to był ten moment, który zmobilizował go do szperania w jej życiorysie.

Facet zdał sobie sprawę, że kobieta, z którą zaczął się spotykać, coś przed nim ukrywa. I to nieudolnie. Chociaż czy rzeczywiście tak bardzo jej na tym zależało, by nie dowiedział się o jej przeszłości? Gdyby tak było, przyłożyłaby się do tego i postarała, aby nie dotarł do informacji na jej temat. I tak musiał włożyć w to nieco wysiłku, bo jej ojciec zadbał, by niepotrzebne tytuły nie przewijały się przez sieć.

A może dobrze się stało? Niespecjalnie miała ochotę zwierzać się komuś z tego, co przeszła. Tylko czemu tak bardzo ją to wszystko drażni? Czyżby chciała być kryształowa również w oczach Dawida?

Podniosła się i zerknęła na zegarek. Dochodziła trzynasta. Dziwne, że Kardas jeszcze się nie odezwał. Wściekł się nie na żarty. Ją też poniosło, okej. Ale to nie powinno mieć wpływu na pracę. Nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej doszło do podobnej sytuacji. Nawet gdy byli bliżej, nawet gdy pracowali przy naprawdę podłych sprawach. Kardasowi zdarzało się wybuchać, jasne, ona też zawsze miała coś do powiedzenia. A kiedy się rozkręcili, ich kłótnia potrafiła przerodzić się w regularną bitwę. Zawsze jednak oboje wychodzili z niej, śmiejąc się głośno. Ale cisza? Nie. Ciche dni im się nie zdarzały.

Sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Ekran rozjaśnił wnętrze, które od ubiegłego wieczora nie doczekało się jeszcze światła dziennego. Wciąż zaciągnięte rolety skutecznie je blokowały. Zoja podeszła do drzwi tarasowych i je otworzyła. Do mieszkania wlała się fala światła i chłodu. Zimne powietrze nie odstraszyło dziewczyny. Oparta o barierkę, wpatrywała się w rozciągający się widok na szklany dach dworca. Przyszło jej do głowy, że pomysł ze sprzedażą apartamentu nie jest najlepszy. Może Kardas ma rację, może powinna go zatrzymać.

Nagle w dole ulicy, między zaparkowanymi samochodami, dostrzegła auto policjanta. Skupiła wzrok na rejestracji. Odruchowo uśmiechnęła się do siebie, ale zaraz spoważniała. Pilnuje jej? Sięgnęła po telefon i wybrała jego numer. Nie odpowiadał.

Wróciła do mieszkania i zamknęła balkon. Odkładając komórkę na stolik, poczuła wibrację. Zerknęła na wiadomość.

„Zoju… Jeśli istnieje jakakolwiek szansa na spotkanie, to bardzo cię o nie proszę. W każdej chwili. D.”.

Nie odpisała. Zostawiła telefon i podeszła do sofy. Sięgnęła po pudełko z pamiątkami, które ojciec przekazał jej przez kuriera zaledwie kwadrans wcześniej, i wysypała zawartość na dywan. Były wśród nich akty ślubne jej pradziadków i akt zgonu osoby, której nie znała, a która najprawdopodobniej należała do rodziny. Przekładała w palcach kilkanaście fotografii osób, których twarzy nie rozpoznawała. Na niektórych widniały inicjały lub same daty. Włożyła je z powrotem do pudełka i sięgnęła po kolejną partię. Znów patrzyła na uśmiechy kobiet i mężczyzn, w różnym wieku i stroju. Chrzciny, komunie, śluby. Nagle zatrzymała się. Na jednym ze zdjęć na tle drzew stała dziewczyna z włosami związanymi w kucyk i trzymała za rękę kilkuletnią dziewczynkę. Nie była pewna, ale twarz tej młodej kobiety miała rysy ciotki Anieli. Zoja odłożyła to zdjęcie na stolik kawowy i wróciła do przeglądania kolejnych pamiątek. W końcu natrafiła na zielone okładki książeczek, o których wspominał ojciec.

– *Ausweis der Deutschen Volksliste* – wyszeptała, przesuwając palcami po frontowych literach. Otworzyła jedną z nich i przyjrzała się czarno-białemu zdjęciu

kobiety. – Janina Sterlach – powiedziała cicho.

Po chwili zadumy dokumenty pradziadków znalazły się na stoliku, przy zdjęciu dziewczyny. Tuż obok leżały mapy, których nie brakowało wśród staroci. Rozłożyła starannie ich płachty, wygładziła dłonią zagniecenia. Tak jak mówił ojciec, były tam jakieś zapiski i zakreślone miejsca.

– Litzmannstadt, tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden – przeczytała napis na górze.

Przebiegła wzrokiem po zaznaczonym obszarze. Getto. Tyle zrozumiała. Sięgnęła po zeszyt z zapiskami ciotki Anieli, a gdy go otworzyła, za plecami usłyszała znajomy głos i gwałtownie się odwróciła w stronę włączonego telewizora.

Z ekranu patrzyły na nią oczy Dawida. Mądre i pewne siebie. Mówił powoli, pełen spokoju. Obok niego stała kobieta. Jej siwe włosy związane w kok i pocięta zmarszczkami twarz zdradzały dojrzały wiek. To, co urzekło Zoję, to gest, jaki wykonał Dawid. Gdy kobieta miała odpowiedzieć na pytanie, objął ją ramieniem, okazując jej wsparcie. Byli gdzieś na otwartym terenie, a wiatr poruszał gałęziami pojedynczych drzew.

W oczach starszej pani błysnęły łzy. Napis na pasku informował, że kobieta reprezentuje Fundację Diaspora.

– To niegodziwe – mówiła. – Niegodziwe, by próbować o tym zapomnieć. By śmierć ludzi próbować zamieść pod dywan. Dopóki żyję, nie pozwolę na taką profanację!

– W jaki sposób chcą państwo walczyć o to miejsce? – spytał redaktor.

– Zostały wystosowane już odpowiednie pisma w tej sprawie, do władz miasta i gminy wyznaniowej. W najbliższym czasie nasi przedstawiciele mają spotkać się z naczelnym rabinem i ustalić dalsze działania. Jeśli i to nie przyniesie oczekiwanych efektów, poczynimy kolejne kroki. Tym razem bardziej radykalne. Ich efekty na pewno odbiją się echem nawet poza granicami naszego kraju. – Dawid miał poważną minę.

– Nie pozwolę, by ich pamięć została zdeptana. Pieniądze koncernów przysłoniły oczy ludziom, którzy powinni stać po naszej stronie! – wtrąciła się kobieta. – Kolejny raz apeluję do nich, uszanujcie historię i ludzką krew! – powiedziała podniesionym głosem, a Dawid zaczął ją uspokajać.

Kamera raz jeszcze omiotła teren wokół nich. Na pierwszym planie nie było niczego poza pożółkłą wysoką trawą, dzikimi krzewami i drzewami. W tle rozpościerał się wysoki nasyp kolejowy. Redaktor rzucił kilka słów podsumowujących relację, ale Zoja już ich nie dosłyszała. Była zajęta wpisywaniem w wyszukiwarce telefonu nazwy Fundacji Diaspora. Zoja przebiegła po tekście i zdjęciach. Po chwili zastanowienia uznała, że znajomość z Dawidem może okazać się bardzo przydatna. Już miała odpisać na esemesa, gdy przeszkodził jej donośny dźwięk dzwonka do drzwi.

Podeszła do nich i otworzyła je, domyślając się, że to Kardas.

– Co tam? – powitała go.

– Mamy do pogadania. – Pchnął drzwi i wszedł do przedpokoju.

– Myślałam, że wczoraj wystarczająco sobie wszystko wyjaśniliśmy.

– Sama jesteś? – zapytał.

– A jak ci się wydaje?

– Nie wiem. Może podejmujesz akurat jakiegoś gościa – rzucił, zerkając wymownie w kierunku jej sypialni.

– Czego chcesz?

– O, jakie miłe pytanie.

– Ty też nie jesteś miły, dlaczego ja mam być?

– Byłem u twojej ochrony. W recepcji. – Wskazał na drzwi wejściowe. – Oglądałem zapisy z monitoringu.

– Chciałeś sobie dokładnie obejrzeć zajście w garażu? – zakpiła. – Czy zgrać film na pamiątkę dla dziewczyny?

– Nie musisz być złośliwa. – Kardas pokręcił głową. – Ale przyznaję, że skorzystałem z okazji i rzuciłem okiem na to zdarzenie. Po tym, co zobaczyłem, nie

dziwię się twojej reakcji, aczkolwiek biorąc pod uwagę fakt, iż jesteś wyszkoloną i doświadczoną funkcjonariuszką policji, twoje zachowanie pozostawia nieco do życzenia.

– Nie jestem już funkcjonariuszką policji – powiedziała.

– Dobra, nie w tym rzecz. Szukałem innego filmu. Chodzi o tych ludzi, którzy oglądali twoje mieszkanie. Ten facet, który przysłał ci później kwiaty. Kojarzysz?

– Jasne. Co z nimi? – zapytała obojętnie.

– Nie przysłała ich agencja.

– O matko, ale odkrycie. Pewnie, że nie.

– Wiedziałaś o tym? – spytał zaskoczony.

– Kurczę, Kardas, wiem, że masz mnie za półgłówka, ale potrafię o siebie zadbać. – Przewróciła oczami. – Ten gość odpowiedział na ogłoszenie, które wrzuciłam, zanim przyjechałam do Polski. Od razu napisał, że chcą z partnerką zobaczyć apartament.

– Czyli wiedziałaś. – Wycelował w nią palcem. – To dobrze, uspokoiłaś mnie. Sprawdzam, bo akurat ci ludzie bardzo mi nie pasowali.

– Spokojnie, mnie też nie. Nie sprzedam im mieszkania, to pewne. – Wzruszyła ramionami.

– A w ogóle je sprzedasz? – Nie patrzył na nią. Zerknął na porozkładane papiery.

– Nie wiem. Na razie nie mam komu, bo zawiesiłam ofertę. Zresztą na wasze życzenie. Pamiętasz?

– I bardzo ci jestem wdzięczny, że posłuchałaś. – Przytaknął – Co robisz? – Wskazał na salon. Zoja podążyła za jego wzrokiem.

– Ta ciotka, u której byłam ostatnio, zmarła wczoraj. Ojciec przysłał mi dziś rzeczy, które po niej zostały i które znalazł u dziadków. Przeglądam je. – Usiadła na dywanie i zaczęła zbierać stare zdjęcia i papiery. – Wincent się odzywał?

– Właśnie. – Kardas pstryknął w palce. – Wincent jest w drodze. Zadzwonił do mnie godzinę temu, że chce nas widzieć. Mam go odebrać z dworca. Nie wiem…

Chyba przyjedziemy tutaj, co? No chyba że masz jakieś inne plany… – Przygryzł dolną wargę.

– Bawi cię to? – Gwałtownie wstała i wyszła z pokoju.

Zaraz potem rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi na taras. Chłodne powietrze wpadło do środka. Kardas poszedł za Zoją. Stojąc w progu, przez dłuższą chwilę obserwował, jak pełna złości stoi przy balustradzie i skubie paznokcie.

– Zoja… – Kardas wyszedł na taras i oparł się o poręcz.

Zoja nie zareagowała. Milczeli tak dłuższą chwilę.

W końcu Kardas przerwał ciszę:

– Chciałem cię przeprosić – powiedział niepewnie.

Zoja zdumiona, zwróciła na niego oczy. Jego wbite były w białą posadzkę ze sztucznego marmuru.

– Co ty powiedziałeś?

– Dobrze słyszałaś.

– Kardas… Ja cię, do cholery, nie poznaję. – Złapała go za rękę. – Co się dzieje? Nigdy w życiu nie widziałam u ciebie cienia skruchy, a ostatnio…

– Dobra, dajmy spokój. – Zacisnął usta.

– Nie, nie dajmy! – odparła, mocniej ściskając jego rękę. – Masz mi powiedzieć, o co chodzi.

– O ciebie. – Wyrzucił szybko. – O moje popieprzone życie i kilka innych rzeczy. – Nabrał powietrza. – Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Gdy wyjechałaś… – Zapatrzył się w dachy sąsiednich kamienic. – Boję się o ciebie. Tak po prostu. Przeraża mnie to ryzyko …

– Mariusz, ta praca to niekończące się ryzyko. – Uśmiechnęła się głupio.

– Wiem, ale świadomość, że jesteś celem… – Pokręcił głową. – Nie mogę się przez to skupić i trzeźwo myśleć. Prawie nie sypiam, bo zastanawiam się, czy jesteś bezpieczna. Czuję, że powinienem być przy tobie non stop, z odbezpieczoną klamką. – Potarł czoło. Odwrócił się i popatrzył w oczy Zoi. – Przerasta mnie to. Do tego ten atak ze strony Anki… Kompletnie zbił mnie z tropu. Zdałem sobie

sprawę, że nawet ja jestem dla ciebie zagrożeniem, bo tamta sytuacja była pokłosiem mojego zachowania. Dlatego cię przepraszam. – Zaczerpnął powietrza. – Za każdy moment, w którym przeze mnie cierpiałaś…

– Kardas, nie wiem co powiedzieć. – Zoja nie odrywała od niego wzroku. Myślę, że nie możesz się za wszystko obwiniać. Owszem, akcja z dodge'em była popieprzona i nie zmieniam zdania, kto ponosi za nią odpowiedzialność, ale chcę, żebyś wiedział, że wciąż pamiętam te wszystkie dobre chwile i piękne momenty, które się nam przydarzyły. Bo przecież nie zawsze było źle. Nie bez powodu byłeś i jesteś mi bliski. Zawsze będziesz.

– Cieszę się, że to mówisz.

– Hmmm… – Może powinieneś jakoś odpocząć, oderwać się na chwilę od wszystkiego… Wyluzować i pozwolić sprawie, by sama się toczyła. A przede wszystkim trochę mi zaufać. – Objęła go. – Naprawdę potrafię o siebie zadbać. – Poklepała go po przyjacielsku.

– Teoretycznie to wiem. – Westchnął z uśmiechem.

– Więc praktycznie wyluzuj.

– Marzy mi się, by porządnie się wyspać. Ale najpierw zapalić.

Zoja odsunęła się, gdy jego dłoń powędrowała do kieszeni kurtki.

– Ej! – Klasnęła w ręce. – Mam pomysł. Jak przywieziesz Wincenta, zamówimy coś do jedzenia. Na pewno nam zejdzie, bo skoro Wi osobiście postanowił tłuc się pociągiem, to musi być coś ważnego. Potem zostań u mnie. Druga sypialnia jest twoja. Wyśpisz się, odpoczniesz. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Mam jakiś browar, pewnie wino też się znajdzie. A jeśli to nie zadziała, to…

– Nie zjaram się z tobą. – Zaśmiał się.

– Ja tylko przedstawiam menu tego domu. – Rozłożyła ręce z uśmiechem.

– Zaiste kusząca propozycja. A co z twoimi planami?

– *Držise starog vina i starog prijatelja* – powiedziała, a wnioskując po minie Kardasa, powtórzyła to samo po polsku: – Trzymaj się starego wina i starego

przyjaciela.

– Chciałbym poznać tego nowego – odparł zaczepnie Kardas, zapalając papierosa.

Zoja nie odpowiedziała. Potarła ramiona, dając tym samym do zrozumienia, że zmarzła, i weszła do mieszkania. Pierwsze, co zrobiła, to rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu. Sięgnęła po niego z myślą, by na wszelki wypadek trzymać go z dala od Kardasa.

Gdy wsuwała iPhone'a do kieszeni, poczuła wibrowanie. Spojrzała na wyświetlacz i na Mariusza, który w tym samym momencie zamykał za sobą drzwi tarasu. Natychmiast odrzuciła połączenie i z uśmiechem pomyślała, że Dawid jest inteligentnym i przystojnym gościem, i co do tego nie ma wątpliwości.

Tylko to jego tragiczne wyczucie czasu.

*

Sięgnęła po chusteczkę, czując, że znów kręci ją w nosie. Z miernym skutkiem próbowała powstrzymać kichnięcie. Jego odgłos był słyszalny w całej kancelarii. Dawid wyjrzał ze swojego gabinetu i z troską spojrzał na sekretarkę.

– Przepraszam – powiedziała, ocierając łzy spod okularów. – Alergia. – Wskazała na zabytkowy kredens pod przeciwną ścianą. Stał na nim wazon z trzema liliami. – Nic nie poradzę.

– To przestaw to do holu. Na stolik dla gości. – Dawid wskazał przeszklone drzwi. – I poproś Mateusza, niech otworzy na chwilę okno.

– Wyszedł do sądu – odpowiedziała.

Wstała zza biurka i podeszła do okna.

Dawid, niewiele myśląc, sięgnął po wazon i wyniósł go. Gdy wracał do gabinetu, zadzwonił domofon, a po chwili drzwi kancelarii się otworzyły.

Do środka weszło dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie podobne płaszcze i prawie niczym się nie różnili. Minęli korytarz i podeszli do biurka sekretarki,

która z trudem zniosła mieszankę zapachów, jaką ze sobą przynieśli. Dawid stał obok niej i z uwagą śledził ruchy mężczyzn. Jeden z nich zrobił krok w jego stronę.

– My, zdaje się, do pana, panie Woźniak – powiedział oficjalnym tonem.

– W takim razie zapraszam. – Dawid wskazał drzwi gabinetu.

Puścił przodem swoich gości, po czym poprosił, by usiedli. Zaproponował kawę. Jak słusznie założył, panowie zgodnie odmówili. Oznaczało to, że nie zamierzają zająć mu dużo czasu.

– Czym mogę służyć? – zapytał zaraz po tym, jak usiadł w fotelu naprzeciw nich.

– Panie mecenasie, reprezentujemy firmę Renard Compagnie. Zapewne nie muszę przedstawiać… – powiedział i uśmiechnął się półgębkiem jeden z nich.

– Naturalnie. – Dawid skinął głową.

– Tak… – zająknął się. – Zarząd firmy jest głęboko zaniepokojony działaniami pańskiego klienta, a właściwie klientów, bo to grupa osób, Stowarzyszenie Zdrowa Dzielnica. Pan, zdaje się, osobiście wspiera ich poczynania.

– Owszem. Ale wygląda to nieco inaczej, niż pan sugeruje. Nie tyle wspieram, co dbam o kwestie prawne. Nie przewodzę temu stowarzyszeniu, nie jestem jego członkiem. Jestem adwokatem. – Rozłożył ręce. – Więc nie wiem, czy moje kompetencje są dla panów wystarczające. Nie jestem nawet uprawniony do udzielania jakichkolwiek informacji na temat działalności Zdrowej Dzielnicy.

– Dobra, dobra, cwaniaczku – wtrącił się drugi. – Starczy tych oficjalnych regułek z podręcznika telemarketera. Teraz konkrety. Masz dwadzieścia cztery godziny, by wycofać się ze współpracy z tą bandą nierobów. Inaczej zadbamy o to, by nikt więcej nie chciał skorzystać z usług tej kancelarii. – Rozejrzał się po gabinecie.

– To jest groźba karalna… – Dawid patrzył mu prosto w oczy.

– A czy ja powiedziałem, że nie jest? – Uśmiechnął się sztucznie. – Jeszcze dziś załatwisz temat i zerwiesz umowę z tym cholernym towarzystwem, który dodatkowo podkręca ta stara baba z gniazdem na czubku. – Zamachał ręką nad

głową. – Widziałem, że chętnie się z nią pokazujesz w telewizji, ale to był wasz ostatni występ!

– Rozważę pańską sugestię, ale nie mogę nic obiecać. – Dawid przechylił na bok głowę. – Tyle mogę zrobić dla panów.

Zapadła cisza.

Adwokat podszedł do drzwi i otworzył je. Kiedy mężczyźni opuszczali jego gabinet, pierwszy z nich przystanął i popatrzył zimno na Dawida.

– Jeśli nie ty, to ona. Ale ktoś na pewno zrezygnuje. Mogę to obiecać.

– Mateuszu… – Dawid zwrócił się do aplikanta, którego dostrzegł rozmawiającego z sekretarką. – Odprowadź, proszę, panów do wyjścia.

Gdy wyszli, aplikant chciał zapytać o rozmowę, której najważniejsze fragmenty podsłuchał, ale przerwał mu dźwięk komórki adwokata. Słysząc powitanie, uznał, że należy się wycofać i zająć własną pracą. Choć bardzo ciekawiła go osoba, której telefon wprawił Dawida Woźniaka w euforię.

Po chwili adwokat wypadł z gabinetu i zażądał kalendarza z planem dnia. Gdy po paru minutach oddał go sekretarce, nazwisko klientki umówionej nazajutrz rano było przekreślone. Pojawiło się jakieś inne. Na tyle niewyraźne, że sekretarka, nie zdołałaby go odcyfrować.

Mateusz nie musiał długo się namyślać. Wystarczyły pierwsze dwie litery, by skojarzyć, o kogóż to chodzi. Jedyne, co zrobił, to szczerze się uśmiechnął.

*

Litzmannstadt, getto, wrzesień 1942 roku

Plac Strażacki wypełniało morze ludzkich głów. W ostatnich dniach krążyło tyle plotek, że każdy chciał usłyszeć obwieszczenie przewodniczącego Judenratu na własne uszy. Grupka strażaków jak zwykle w takich momentach przygotowała podest dla Rumkowskiego i od wczesnych godzin ustawiała sprzęt nagłaśniający. Teraz jego głos rozchodził się echem nie tylko na, ale i wokół placu. Jakub przedzierał się pomiędzy ludźmi, przystając co jakiś czas

i wyciągając wyżej głowę. Ludzie dokoła, koszmarnie chudzi i bladzi, z przerażeniem w oczach szeptali między sobą, opowiadając o tym, co spotkało ich najbliższych i sąsiadów.

Jakub zerknął na kobietę, która tuląc do siebie głowę kilkuletniego dziecka, ze łzami w oczach wspominała zmarłego z głodu ojca, który przestał jeść na rzecz reszty rodziny. Ktoś inny przeklinał niemieckiego żołnierza za konserwę z końskiej padliny, którą tak ochoczo oddał w zamian za złoty pierścionek. Ktoś płakał, ktoś inny jęczał z bólu. W tej kakofonii ludzkiego cierpienia do Jakuba doszły słowa, które wypowiadał właśnie Rumkowski. Słowa, w które Jakub nie mógł i nie chciał uwierzyć. Zacisnął pięści i z całych sił starał się skupić tylko na głosie, który z każdym słowem zdawał się coraz bardziej odrażający.

– Żądają od nas, abyśmy zrezygnowali z tego, co mamy najlepszego: naszych dzieci i starszych – mówił niezachwianie Rumkowski. – Muszę rozłożyć ręce i błagać: Bracia i siostry! Oddajcie mi je! Ojcowie i matki: dajcie mi swoje dzieci!

Wśród ludzi zawrzało. Kobieta stojąca obok Jakuba zaczęła się trząść, a zaraz potem zaniosła się przerażającym płaczem. Nie chciał tego słuchać. Przepchnął się znów, bliżej podestu. Teraz widział dobrze jasny kapelusz Rumkowskiego. Widział, jak poprawia okulary i nieprzerwanie mówi o tym, co ma nastąpić w najbliższych dniach:

– Muszę przygotować tę trudną i krwawą operację, muszę odciąć gałęzie, aby ocalić pień. Muszę zabrać dzieci, ponieważ jeżeli tego nie zrobię, inni mogą być także zabrani... Jeszcze wczoraj dostarczyłem listę dzieci... – Jakub poczuł, że odpływa mu z czoła krew. Stał jak porażony pośród okrzyków niezadowolenia i buntu. Tymczasem prezes mówił nieprzerwanie. – Ocaleją dzieci powyżej dziesiątego roku życia. Niech to będzie pocieszeniem...

Jakub nie chciał dłużej słuchać. Zerwał się i z niepojętą wręcz siłą zaczął odpychać stojących obok ludzi, tak by jak najszybciej wydostać się z tłumu. Oddychał szybko, z nerwów i strachu, który podsycały dalsze słowa przemówienia, chwilami kompletnie zagłuszanego przez lament i krzyki kobiet.

– Rozumiem was, matki, widzę wasze łzy. Część, która może być ocalona, jest o wiele większa niż ta, która musi być oddana! – wykrzyczał na koniec Rumkowski.

Jakuba nie było już wtedy na placu. Biegł z całych sił do Fabryki Glazera, należącej do resortu krawieckiego, gdzie pracowali razem z Sarą. Wpadł tam zdyszany i nieprzytomnymi oczami szukał swojej żony. Siedziała zgarbiona przy maszynie wśród setek jej podobnych. Gdy jednym tchem wyrzucił z siebie treść zarządzenia, musiał ją przytrzymać, by nie zemdlała. Po śmierci siostry i Natanka płakała niemal codziennie. Była słaba i wychudzona. Jakub miał wrażenie, że przez ostatnie miesiące postarzała się o kilkanaście lat. Jedyne, co trzymało ją przy życiu, to dziecko. Córeczka, którą teraz zarządzeniem okupanta mają oddać na pastwę hitlerowców, na pewną śmierć. Nie przeżyją tego. Ani on, ani tym bardziej Sara. Jakub czuł, że musi się spieszyć.

Zanim pierwsze oddziały policji wyruszyły na ulice getta, by odebrać dzieci rodzicom, Jakub zdążył dobiec do domu, gdzie dziewczynka pozostawała pod opieką sąsiadki, zabrać ją oraz kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wrócić do fabryki. Tuląc dziecko do swojego ciała, przemykał ulicami. Strach, jaki mu towarzyszył, podsuwał wyobraźni najdrastyczniejsze sceny. Były one jednak niczym w porównaniu z tym, co rzeczywiście nastąpiło kilka godzin później. Ludzie za wszelką cenę starali się ukrywać swoje dzieci w najrozmaitszych zakamarkach. Policja przestała sobie radzić z buntującymi się rodzicami. Dochodziło do rękoczynów, a zaraz po nich do natychmiastowych egzekucji. Policję żydowską musiały wesprzeć oddziały hitlerowców.

Przetrząsali domy, mieszkania, suteryny. Zaglądali do kanałów i piwnic. Gdy napotkali tam ukrywające się dziecko, zabierali je do transportu. Niemcy wykazywali się okrucieństwem i bezlitośnie wykonywali rozkaz, podobnie jak policjanci żydowscy, którym w zamian za skrupulatnie przeprowadzoną akcję obiecano zwolnienie z nakazu i pozostawienie ich dzieci w spokoju. Jakub zaniósł córkę do fabryki. Razem z Sarą zamknęli ją w piwnicy pomieszczenia, gdzie składowano bele tkanin na bieliznę. Nie tylko oni. Dwie inne kobiety pracujące w fabryce jako szwaczki również ukrywały tam swoje dzieci. Sara zrobiła im kojec z rozwiniętego materiału i razem z Jakubem wrócili do fabrycznej hali i usiedli do maszyn. Pracowali jak gdyby nic się nie działo.

Mimo że Niemcy nakazali zostać wszystkim w domu, oni, by nie przerwać produkcji, musieli pracować według przypadającej im zmiany. Getto przepełnił jeden wielki krzyk rozpaczy. Dzieci wyszarpywano rodzicom, zabierano je z domów, wyciągając siłą przez

okna, z komórek, strychów, a nawet z wychodków. Strzelano do stawiających opór matek i walczących ojców. Niemowlęta roztrzaskiwane były o mury budynków. Kobiety popełniały samobójstwa, nie mogąc sobie poradzić z utratą dziecka. Inne biegły za wypełnioną dziećmi ciężarówką, z której ich synowie lub córki wyciągały małe rączki w błagalnym geście rozpaczy. Podobne sceny odbywały się w szpitalach, gdzie po prostu pozbywano się chorych, wyrzucając ich na zewnątrz. Jakub był mokry ze strachu. Skupił się na drzwiach magazynku tkanin. Podobnie jak Sary i matek ukrywających tam dzieci. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że są tam bezpieczne do chwili, gdy ich rodzic pozostaje w pracy. A za kilka godzin kończyła się zmiana. Jakub wiedział, że do tego czasu musi coś wymyślić. Zimny pot oblewał jego ciało za każdym razem, gdy spoglądał na zegar. Po fabryce wciąż krążyły szwaczki, które przekazywały sobie coraz to nowsze i coraz bardziej przerażające historie z getta. Gdy jedna z nich wspomniała o tym, co dzieje się w szpitalu dziecięcym na Łagiewnickiej, gdzie niemowlęta wyrzucane są przez okna, a starsze dzieci upychane w salach dla chorych wołają wniebogłosy swoich rodziców, Jakub nie wytrzymał. Wstał od maszyny i poszedł do łazienki. Obmył twarz wodą i przejrzał się w potłuczonym, brudnym lustrze. Zobaczył w nich przerażone oczy kogoś zupełnie obcego. Kogoś, nad kim przejął kontrolę paraliżujący strach, odbierający siłę do walki. Znów zanurzył dłonie w wodzie i znieruchomiał. Przyszedł mu do głowy pomysł. Zgubny być może i niebywale ryzykowny. Ale jedyny, jaki mógł ich uratować.

Pod koniec zmiany zauważył, że Sara zniknęła, a na jej miejscu szyła już inna osoba. Ukradkiem prześlizgnął się do magazynku i zszedł do piwnicy. Sara siedziała skulona w kącie i nie wypuszczała córki z objęć. Bujała się, mamrocząc coś cicho do jej ucha. Dwójka innych dzieci spała pod zawilgoconą ścianą, przykryta starą kapotą. Jakub podszedł do Sary i opowiedział jej o swoim planie. Sam nie wiedział, czy żona w ogóle zarejestrowała jego obecność. Wiedział, że odchodzi od zmysłów. Musiał więc działać sam. Zacisnął usta i wymknął się z fabryki. Mimo późnej pory na ulicach wciąż było słychać płacz i pojedyncze wystrzały. Wsunął ręce w kieszenie i szedł prosto na niemiecki posterunek. Kwadrans później wpatrywał się w zaciętą twarz niemieckiego oficera, który był częstym gościem w mieszkaniu Estery, a po jej śmierci Jakub dwa razy widział go przy jej grobie. Niemiec

chodził w tę i powrotem, słuchając propozycji Jakuba. W końcu usiadł za biurkiem i się zamyślił.

– To zaskakujące, o co prosisz – odezwał się. – Obóz? Przecież będąc tu w getcie, robisz to, co robiłeś przed wojną. – Rozłożył ręce. – Sam Himmler pochwalił pracę żydowskich krawców. Wasze stroje noszą kobiety w Rzeszy, a nawet w zachodniej Europie. – Zamachał dłonią.

– Chodzi o dziecko. Chcą nam odebrać córkę.

– Ach, ja... Allgemeine Gehsperre[9]*. – Pokiwał głową. – Ile lat ma wasze dziecko?*

– Trzy – odpowiedział Jakub.

– Czyli nie może dłużej zostać w getcie – sprecyzował oficer. – Chorzy i dzieci nie mogą pracować. Są obciążeniem. Łatwo to policzyć. – Dotknął palcem swojej skroni.

– Dlatego chcemy wyjechać. Nadal pracować dla waszej Rzeszy, ale nie tu. Chcemy być z dzieckiem. Nawet jeśli wiąże się to z ciężką pracą.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, o czym mówisz – przerwał mu Niemiec. – Zwykle wysyłamy tam ludzi za karę, często na siłę, z łapanek. I oni wcale tego nie chcą. A ty przychodzisz i sam o to prosisz?

– Tak. Proszę o zatrudnienie mnie do pracy poza granicami getta. Mnie i mojej żony Sary. Dziecko zabierzemy ze sobą.

– Nie wiem, czy to się uda – westchnął oficer.

– Estera bardzo kochała Eli... – Jakub zacisnął dłonie. Wiedział, że posuwa się za daleko i może za to zapłacić natychmiast. Niemiec popatrzył na niego groźnym wzrokiem.

– Zobaczę, co się da zrobić. – Przyjrzał się mu i raz jeszcze kazał się zastanowić.

Jakub nie chciał się zastanawiać. Nie miał na to czasu. Rankiem następnego dnia otrzymał odpowiedni papier nakazujący im wywóz na roboty. Ich córkę mieli jakoś ukryć w manelach, które w niewielkiej ilości pozwolono im zabrać. Gdy na stacji Radegast wsiadali do wagonu do przewozu bydła, Jakub nie wypuszczał z rąk wiklinowego kosza, w którym zawinięta w kożuch, odurzona lekami spała jego mała córeczka. Ich wyjazd nadzorował ten sam człowiek, którego podpis widniał na papierze kierującym ich do obozu

na Olechowie. Jakub nie miał pojęcia, co ich czeka. Wiedział tylko, że zdołał uratować życie swojej rodzinie. Przynajmniej na jakiś czas.

*

Wincent był cały w emocjach. Zoja wyczuła to od progu. Podobnie jak pizze, które przyniósł Kardas. Dwa placki z cienkiego ciasta. Jeden z dużą ilością rukoli, mieszanką serów i dodatkiem gruszki, dla niej i Wincenta. Drugi, standardowy wybór Kardasa, salami, ostre papryczki i ser. Pachniały obłędnie i tak samo smakowały.

Wincent, nie tracąc czasu, przeszedł od razu do meritum. Przesunął pudełko z kawałkami pizzy na bok i położył na blacie niskiego stolika dwie koszulki na dokumenty, w których były wydruki z rycinami i gwiazdą Dawida.

– Nie ma najmniejszych wątpliwości, że wszystkie te obrazki, wysłane zarówno do Zoi, jak i do ofiary, wydrukowano na tym samym sprzęcie. – Uniósł rycinę. – Można przyjąć, że w obu wypadkach nadawcą jest ten sam człowiek. Sprawę ułatwia nieco pewien drobiazg, jaki zostawiła na wydruku drukarka.

– Mikroślady – wtrącił Kardas.

– Dokładnie. Mnóstwo żółtych kropeczek, niewidocznych gołym okiem – wyjaśnił Wincent.

– Alleluja! Mamy skurwiela! – zawołał Kardas.

– Nie napalałbym się tak. To drogi sprzęt i co istotniejsze dla nas, pokaźnych rozmiarów. – Wincent odłożył kartkę i sięgnął po otwartą butelkę piwa. – Takich rzeczy raczej nie trzyma się w bloku.

– Mikroślady zawierają informację identyfikujące nie tylko drukarkę, ale i komputer. Można sprawdzić i namierzyć ten sprzęt. – Kardas nie dawał za wygraną.

– Tak! I człowiek, który pracował przy wydrukach, ustalił, co to takiego. Pytanie brzmi: czy jest ktoś w Łodzi, kto nam wskaże, gdzie tego szukać? – zapytał Wincent.

– Brzeźny – odparli Zoja i Mariusz jednocześnie.

Pod tym pseudonimem krył się absolutnie szalony informatyk policyjny.

Kardas zawsze miał wrażenie, że Brzeźny siedzi w policji tylko dlatego, że pod osłoną firmowej bandery może robić w sieci rzeczy, za które normalnie by beknął. Zadzwonił do niego i w kilku krótkich zdaniach wyjaśnił mu problem, po czym przełączył komórkę na tryb głośnomówiący. Wszyscy skupili się na zachrypniętym głosie informatyka:

– To, o czym mówisz, wskazuje, że to profesjonalny, wielofunkcyjny sprzęt. Używany głównie w biurach, firmach. Większość takich kopiarek i drukarek jest podłączona do sieci. Podejrzewam, że jest tak w wypadku sprzętu, który chcesz sprawdzić. Jego twardy dysk stoi dla mnie otworem. Mogę się podłączyć przez FTP i zobaczyć, co dokładnie i kiedy było skanowane lub drukowane. Podaj mi tylko numer seryjny i nazwę sprzętu.

– A mamy coś takiego? – zapytał Kardas bardziej Wincenta niż Brzeźnego.

Wincent przytaknął, po czym wyjął z kieszeni komórkę. Chwilę trwało, zanim odszukał potrzebną notatkę.

– No co ty, stary – rzucił Brzeźny do Kardasa. – Czy ja wyglądam na wróżkę? Takich drukarek jest z milion w mieście. Skąd mam wiedzieć, którą namierzyć?

– Moment! – krzyknął Kardas. – Zaraz ci podam. – Popatrzył wyczekująco na Wincenta, który wreszcie podsunął mu ekran swojej komórki. Kardas przeliterował informatykowi numer i nazwę urządzenia i popatrzył na Wincenta.

– Widzisz, znajdziemy go. Znajdziemy i udupimy. – Przechylił butelkę i dopił piwo.

*

Za oknem zrobiło się ciemno, mimo że zegar na kominku nie wskazywał nawet dwudziestej. Zdarzało się, że o tej godzinie latem siedziała jeszcze w altanie. Jesień nie była łaskawa. Słońce pojawiło się raptem na kilka dni. Potem zastąpiła je szaruga.

Owinięta w koc, wtuliła się w poduszkę i włączyła serial. Przed snem chciała jeszcze przejrzeć dokumenty, ale jakoś miała na to coraz mniejszą ochotę. Przymknęła powieki, mimo że serialowy bohater próbował uwieść piękną nieznajomą, i pozwoliła sobie na chwilę drzemki.

Obudziło ją szczekanie psa sąsiadów i brzdęk rozbijanej szyby. Zerwała się na równe nogi. Chociaż drżała z przestraszenia, chwyciła w rękę pogrzebacz i ruszyła w stronę głównego korytarza. Zapaliła górne światło i zerknęła na drzwi wejściowe. Były zamknięte na dwa zamki. Nie oznaczało to jednak, że jest w domu sama. Poczuła zimny powiew dochodzący z kuchni. Tam na podłodze zobaczyła cegłówkę zawiniętą w papier. Rozbita szyba tłumaczyła wszystko.

Z walącym jak młot sercem zbliżyła się do okna i wyjrzała. Nikogo w ogrodzie nie dostrzegła, choć pies sąsiadów nie przestawał ujadać. Trzęsącymi się rękoma sięgnęła po telefon i szybko wybrała numer, najpierw alarmowy, a zaraz potem do swojego wnuka.

Przyjechał równo z policją. Z przerażeniem wpadł do domu babki. Zastał ją siedzącą na krześle, w ciemnej, cichej kuchni. Patrzyła na poruszaną wiatrem firankę, a w jej dłoni tlił się cienki, damski papieros. Na stole, tuż przy popielniczce, leżała kartka. Była pozaginana, z wyraźnymi pomarańczowymi śladami cegły. Widniał na niej napis: „Jeśli nie chcesz do nich dołączyć, zostaw nasyp w spokoju!”.

*

Cała trójka zgromadziła się przy stole. Wincent przeglądał materiał i analizował od nowa sprawę. Zoja oparta na łokciach wpatrywała się w Kardasa. Relacjonował Wincentowi ostatnią rozmowę z Burianem. Widać było, że dochodzenie pochłania go bez reszty.

Nagle stał się tym Kardasem, z którym Zoja miała przyjemność pracować przed kilkoma laty. Przyjemność, bo czuła jego wyjątkowość, zaangażowanie, pasję. Była

w tym ciekawość i chęć działania. To budowało jego osobowość. I w tym się zadurzyła.

Po raz pierwszy, odkąd wróciła do Polski, zobaczyła to znów. Kardas mówił nieprzerwanie, z opanowaniem, ale też iskrą emocji, z przebłyskiem zdrowego podniecenia. Bez śladu napięcia, które ostatnio było wręcz nieznośne.

Sięgnęła po tlącego się w popielniczce papierosa Wincenta i zaciągnęła się.

– Skoro jesteśmy przy tajemniczym znajomym ofiary, który przyszedł do niej z materiałem dziennikarskim i starym tabletem… – Wypuściła dym. – Burian utrzymywał, że Wioletta zrezygnowała z niewygodnego tematu. A jak wynika z przekazu rycin, nie dotrzymała jakiejś obietnicy. Dla mnie kluczowa jest sprawa, jaką miała nagłośnić Fabiś. Oraz człowiek, któremu na tym zależało. – Znów wyciągnęła rękę po papierosa. – I jestem coraz bardziej pewna, że zabójca to ktoś z jej bliskiego otoczenia.

– Do czego dążysz, Zoi? – Wincent obserwował dymiącego w jej palcach papierosa, po czym zapalił nowego.

– Chcę powiedzieć, że zabójca i Fabiś musieli się znać bądź poznać chwilę przed tym, jak podał jej GHB.

– Skąd wiesz, co jej dał?? – zapytał Kardas.

– Od Olgi. Na razie nieoficjalnie. Dziś do mnie dzwoniła, a jutro, pojutrze policja dostane papier z wynikami toksykologii.

– Miałaś zamiar o tym wspomnieć? – warknął Kardas.

– Przecież mówię! – Rozłożyła ręce.

– Widzimy się od kilku dobrych godzin…

– …i gadaliśmy o innych sprawach. Pamiętasz?

– Dobra. – Wincent postanowił im przerwać. – Moje zdanie jest takie: Kardas, jutro odwiedzisz redakcję, w której pracowała ofiara. Załatwię papier na zabezpieczenie sprzętu, jeśli będzie taka konieczność.

– Okej. – Policjant przytaknął. – Zastanawiam się, czy nie przydałby mi się Brzeźny… Przejrzałby od ręki twardy dysk kompa, na którym Fabiś pracowała.

Ale dobra, to się zobaczy.

– Rób, jak uważasz – odpowiedział Wincent. – Zojka, dotrzesz do gościa, któremu chciała oddać temat. Wiem, że to nie będzie łatwe. Musieli o tym gadać, więc to może być jakiś punkt zaczepienia.

– Okej. – Pokiwała głową.

– Jeśli do tego ten wasz kolega sprawdzi się z tą drukarką, to przy dobrych wiatrach jeszcze w tym tygodniu namierzymy sukinsyna. – Wincent zapatrzył się w rycinę z demonem i głęboko zaciągnął papierosem. – Dobra, zamówicie mi teraz taryfę. Wracam do stolicy.

– O tej porze? – Zoja spojrzała na zegarek. – Jest noc. Nie ma mowy! Zostajesz tutaj. Rano cię odwiozę. – Złapała ostatniego macha i zgasiła papierosa.

– Nie marudź – upomniał ją Wincent i zaczął się zbierać do wyjścia. – Za kwadrans odjeżdża ostatni pociąg. Zdążę. – Przeszedł przez salon. – Mam jeszcze robotę. Podobnie jak wy.

Gdy Wincent siedział w wagonie pociągu do Warszawy, Zoja kończyła sprzątać salon. Słyszała dochodzący z łazienki szum wody, co oznaczało, że Kardas postanowił skorzystać z jej namowy i czuć się swobodnie. Przeszła do kuchni i wstawiła naczynia do zmywarki. Kiedy się odwróciła, spostrzegła leżące na blacie kuchennym czarne etui z odznaką policyjną i broń służbową Kardasa. Ostrożnie sięgnęła po znajomy przedmiot. Przesunęła placami po wypracowanej skórze okładki i otworzyła ją. Z policyjnej legitymacji patrzył na nią jej przyjaciel. Pod spodem była odznaka. Zimna, gruba „gwiazda policyjna” z wytłoczonym numerem indentyfikacyjnym.

Zoja bez zająknięcia szeptem wyrecytowała swój. Sześć cyfr, które były jej PESEL-em w policji.

A potem odłożyła etui i zgasiła światło.

*

Poderwał głowę z poduszki i wpatrując się w ciemność, zdał sobie sprawę, że nie jest w swoim mieszkaniu, a to, w czym przed chwilą brał udział, było tylko snem. Bardzo złym snem.

– Zoja – wyszeptał, wciąż jeszcze balansując między rzeczywistością a koszmarem.

Położył się na boku, wsłuchując się w swój oddech, który był jedynym dźwiękiem w obcym mieszkaniu. Targany niepokojem, nagle zdał sobie sprawę, że zanim się położył, popełnił karygodny błąd.

Zerwał się i wymknął z pokoju. Przestrzeń salonu oświetlała stojąca w kącie lampa. Ciepły blask rozlewał się na korytarz prowadzący do sypialni Zoi. Kardas przeszedł przez salon i zerknął w stronę kuchni. Przy ekspresie do kawy dostrzegł swoją broń i z ulgą westchnął. Chwycił walthera i sprawdził zawartość magazynka. Skarcił się w myślach za kompletny brak rozwagi.

W mieszkaniu panował spokój. Zegar w salonie pokazywał trzecią dwadzieścia. Kardas postanowił wrócić do łóżka z nadzieją, że jeszcze uda mu się zasnąć. Zabrał broń i podszedł do drzwi pokoju, który zajmował. Powróciło nieprzyjemne wspomnienie snu. Widział w nim Zoję przykutą do łóżka. Siedziała na niej ciemna postać, w jej ręku błyszczał ogromny skalpel. Kardas potarł czoło i choć miał świadomość, że to nieracjonalne, postanowił sprawdzić, czy z Zoją wszystko w porządku. Ostrożnie podszedł do drzwi sypialni i zaczął nasłuchiwać. Nic go nie zaniepokoiło, mimo to nacisnął na klamkę i zajrzał do środka. Zoja leżała w ogromnym łóżku. Jej drobne ciało, schowane pod jasną pościelą, zajmowało niewielką część materaca. Na skraju łóżka znajdował się otwarty laptop. Jego ekran był wygaszony, Kardas odruchowo podszedł i go zamknął.

– Co tu robisz? – usłyszał, gdy odkładał komputer na miękki dywan. Sypialnię rozjaśniło światło małej lampki stojącej na nocnym stoliku.

Zoja siedziała na łóżku i wpatrywała się w niego podejrzliwie. Na jasnym tle pościeli odznaczał się kształt broni, którą trzymała w ręku.

– Przepraszam. Nie chciałem cię obudzić – powiedział Kardas.

– Nie pytam, czego chciałeś. Pytałam, co tu robisz. – Jej głos był lekko zachrypnięty, ale stanowczy.

– Chciałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie porządku.

– I dlatego stoisz nade mną z klamką w ręku? – zapytała i nie było w tym sarkazmu.

Kardas dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak ta sytuacja wygląda z perspektywy Zoi.

– Zwariowałaś?! – Położył broń na dywanie. – Cholera, przepraszam. – Podszedł bliżej i przysiadł na łóżku.

Zoja zmierzyła go czujnym wzrokiem.

– Tłumacz się i to szybko, zanim wykopię cię za drzwi – powiedziała i Kardas wiedział, że dziewczyna nie żartuje.

Jeśli nie będzie z nią szczery, spędzi resztę nocy na klatce schodowej w samych bokserkach. Nabrał powietrza i się uśmiechnął.

– Nie będziesz się śmiała?

– Nie mam nastroju do żartów.

– Obudziłem się i skapnąłem, że zostawiłem klamkę w kuchni. Przestraszyłem się, że jakby coś się działo, to… – Przełknął ślinę. – Poszedłem po nią i pomyślałem, że jak już jestem blisko, to sprawdzę, czy jesteś bezpieczna. Więc zajrzałem i ten laptop… – Machnął ręką. – Niewiele brakowało, spadłby z łóżka.

– Czemu miałabym się z tego śmiać? – zapytała.

– Możesz odłożyć broń. Ja swoją… – Wskazał ręką na dywan.

– Czemu miałabym się śmiać? – powtórzyła.

– Bo przestraszył mnie zły sen – odparł niepewnie.

– Co w tym śmiesznego?

– No bo dorosły facet, a miał zły sen…

– Szukałeś dragów?

– Nie! – Kardas wstał oburzony. – Przysięgam, że jest tak, jak mówię! Przepraszam cię. Już sobie idę. W ogóle nie powinienem się na to godzić, by spać

u ciebie…

– Opowiedz mi o tym – wyszeptała.

– O czym?

– O śnie.

– Poważnie?

– Proszę, opowiedz.

Kardas zebrał się w sobie. Ostrożnie przysiadł na brzegu łóżka.

– Byłem w obcym domu – zaczął. – Starym, drewnianym, z trzeszczącą podłogą i zbutwiałym dachem – szeptał.

Początkowo obawiał się, że Zoja go podpuszcza, że za chwilę wybuchnie głośnym śmiechem. Po chwili rozluźnił się i mówił dalej:

– Szukałem cię. Chodziłem, otwierałem różne drzwi i nigdzie nie mogłem cię znaleźć. Wołałem, ale ciebie tam nie było. Czułem za to, że ktoś mnie obserwuje. Że nie jestem tam sam. To nie był człowiek, to było coś złego. Odrażająco złego.

– Bałeś się?

Kardas się zawahał.

– Tak. Najbardziej, gdy zrozumiałem, że nie dam sobie z tym rady. Potem usłyszałem twój głos, a właściwie jęk. Dochodził z twojej sypialni.

– Tej tutaj?

– Tak. Jakbym nagle zmienił mieszkanie, dom, nie wiem. – Otworzyłem te drzwi… – wskazał ręką przed siebie – …i zobaczyłem, jak… jak leżysz, przywiązana do łóżka, naga i przerażona. Usta miałaś zakneblowane szalikiem, który należał do Fabiś. On, a właściwie to coś… – oblizał wargi – …siedziało na tobie. Ale nie był to żaden akt seksualny. On miał w ręku skalpel, taki, jakie są u Olgi. Nachylał się nad twoim ciałem i…

– Ciął – dopowiedziała, a Kardas skinął głową. – Jak wyglądał?

– Miał na głowie kaptur i długi jakby płaszcz. Łachman, który okrywał go całego…

– Taki jak na rycinie?

– Tak. – Kardas przechylił głowę i popatrzył w jej błyszczące oczy. – Masz rację. Taki jak demon na rycinie.

– Ze strachu nie trać honoru – wyszeptała.

– Chcesz przez to powiedzieć, że przyznając się do strachu, straciłem honor? – Zmarszczył brwi.

– Nie – powiedziała ciepło. – Żeby mówić o snach, potrzeba bardzo dużo odwagi.

– A ty masz jej na tyle, by komuś o nich powiedzieć? – zapytał.

– Ja rzadko śnię. Tak jest lepiej. – Wsunęła broń pod poduszkę i położyła się na boku, przodem do Kardasa.

– Magda. To przez nią, tak?… – zapytał.

Zoja przełknęła ślinę. W jej oczach zabłysnęły łzy.

– Nie myśl już o tym. – Kardas pogłaskał jej włosy. – Postaraj się zasnąć. Jeśli chcesz, to zostanę z tobą jeszcze chwilę, a potem sobie pójdę.

– Dziękuję… – wyszeptała i zamknęła oczy.

Kardas położył dłoń na jej dłoni i trwał tak do momentu aż jej oddech stał się miarowy i spokojny. Przyszło mu na myśl, że wiele nocy spędził w ten sposób przy Alicji. Uśmiechnął się do siebie. Człowiek to zabawne stworzenie, niezależnie od wieku i charakteru, pragnie tego samego. Bliskości drugiej osoby. A Kardas pragnął tylko tej jednej, którą miał na wyciągnięcie ręki.

*

Obudził go natrętny dźwięk. Nie otwierając oczu, namacał telefon na szafce nocnej i odebrał.

– Słucham – odezwał się zaspanym głosem.

– Dawid, przepraszam za tak wczesną godzinę. Mateusz z tej strony. Dzwonię z innego numeru. Z domu mojej babci, bo późnym wieczorem miał tu miejsce pewien incydent. Powinienem był zadzwonić do ciebie od razu, kiedy to się stało, ale…

– Stało się co?! – zapytał Dawid półprzytomnie, lecz szorstko.

– Chodzi o moją babcię. Ktoś ją wieczorem napadł. To znaczy jej dom.

– Konkretniej! – krzyknął Dawid.

Natychmiast oprzytomniał. Usiadł i otworzył szeroko oczy. Czuł, jakby miał w nich piasek. Efekt wpatrywania się w ekran do późna w nocy. Potarł je i skupił wzrok na obrazie wiszącym na ścianie. *Sztuka latania* Goi.

– Wybito szybę w kuchni. Ktoś rzucił cegłą. Była do niej dołączona kartka z pogróżką.

– Masz ją?

– Nie. Policja zabrała wszystko jako dowód, ale zdążyłem zrobić zdjęcie – odpowiedział jakby zadowolony.

– Dobrze. Przyślij mi natychmiast. – Dawid odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. – Co z Eleonorą? Nic się jej nie stało? Jak ona się czuje?

– Teraz już dobrze – usłyszał. – Przyjechałem do niej prędko i zostałem z nią na noc. Była roztrzęsiona i wściekła, ale jest już lepiej.

– To dobrze. – Dawid powlókł się do łazienki. – Jeśli trzeba, to przyjadę…

– Właściwie… – odchrząknął. – …dzwonię z dwóch powodów. Po pierwsze, by cię zawiadomić, po drugie, babcia mówi, że jesteście umówieni na spotkanie dziś rano.

– Tak. Za trzy godziny.

– A dałbyś radę po nią przyjechać? Ja chciałbym załatwić szklarza, żeby to szybko naprawił, i w ogóle ogarnąć bałagan.

– Oczywiście. To jest najważniejsze. Przyjadę po nią. – Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i się rozłączył. Odłożył telefon i zacisnął wściekle pięści.

– Sukinsyny! – zaklął i uderzył w umywalkę.

Odkręcił kran i wsunął obolałą dłoń pod wodę.

*

Okolice Łodzi (stacja Olechów/ wieś Jędrzejów), 1942 rok

Myśleli, że w getcie widzieli bezmiar okrucieństwa. Gdy znaleźli się w obozowym, drewnianym baraku wypełnionym wychudzonymi, zniszczonymi i chorymi ludźmi, zrozumieli, że tkwili w błędzie. Getto stanowiło namiastkę piekła i dopiero tutaj otworzyło przed nimi swoje wrota. Jakuba niemal od razu zabrali do pracy. Sara z przerażenia nie czuła głodu, choć od wczorajszego dnia nie miała nic w ustach. Skulona w rogu baraku, przyglądała się śpiącej córeczce i sama nie wiedziała, czy nie pragnęłaby, by mała już się nie obudziła, by nigdy nie musiała oglądać okrutnego świata.

– Masz coś do jedzenia? – zapytała ją bezzębna kobieta. Sara przyjrzała się z obrzydzeniem jej zaropiałym ranom na twarzy.

– Nie. Przywieźli nas z getta – odpowiedziała, drżąc. – Nic nie mam.

– A to? – Wskazała na dziecko zawinięte w kożuch i nie czekając na odpowiedź, zaczęła je odkrywać, szarpiąc i potrząsając. Sara chwyciła ją za ręce i silnym ruchem odepchnęła. Kobieta zacisnęła kościste pięści i odgrażając się, odeszła w głąb baraku. Sara przysunęła do siebie dziecko i zakryła je miękkim kożuchem.

– Za tydzień przywykniesz – usłyszała za sobą głos. Odwróciła się gwałtownie. Tuż za nią siedziała dziewczyna w owiniętej na głowie chustce. Miała przyjazne spojrzenie, mimo że jej twarz była brudna, poszarzała, a policzki zapadnięte. – Będziesz taka jak my, zobaczysz. – Uśmiechnęła się. – Wiem, że się boisz. Też się bałam. – Wyciągnęła chudą rękę. – Mam na imię Ruth – przedstawiła się. Sara odwzajemniła gest.

– Jak tu trafiłaś? – zapytała dziewczynę.

– Złapali mnie na ulicy. Mnie i mojego brata. Matkę zastrzeli, a ojca zabrali nie mam pojęcia dokąd. Przywieźli nas z Poznania.

– Gdzie jest teraz twój brat? – zapytała ostrożnie Sara.

– Pracuje na nasypie. Codziennie tam jest.

– Na nasypie? – Sara ściągnęła brwi. – Proszę, powiedz mi cokolwiek o tym miejscu. Nic nie wiem. Myślałam, że przywiozą nas do jakiegoś getta. – Spojrzała na budzącą się córkę. – Chcieli nam odebrać dziecko, ale udało nam się je zatrzymać...

– To nie jest miejsce dla dziecka, uwierz mi – powiedziała Ruth. – Jest tu kilkoro, ale... – Pokręciła na boki głową.

– A co mam zrobić? – zapytała Sara. – Nie mogłam pozwolić, by mi ją zabrali i zabili. Oboje z mężem nie mogliśmy.

– Który to twój mąż? – Ruth rozejrzała się po twarzach mężczyzn.

– Nie ma go tu. Zabrali go gdzieś przed chwilą... – Oczy Sary zaszły łzami.

– Pewnie na nasyp. Młody jest?

– Dwa lata starszy ode mnie.

– Do pracy się nadaje. Dlatego go zabrali. Wróci tu, gdy skończy się zmiana. O ile Tyrolczyk będzie miał dobry humor. – Zastanowiła się. – Dziś nie pada. To jeśli będzie dobrze pracował, to wróci.

Sara popatrzyła na nią, niedowierzając w jej słowa.

– Jak możesz tak mówić?

– Normalnie. Tak tu jest. Żyjesz, dopóki nie stwarzasz problemu, nie chorujesz i masz siłę do pracy. I trochę szczęścia. Widzę, że muszę ci wszystko wyjaśnić, bo nie masz pojęcia o obozie. – Pokiwała głową.

Sara nie odpowiedziała. Patrzyła w twarz dziewczyny i sama nie wiedziała, czy powinna wierzyć w jej słowa. Jednak nie pozostawało jej nic innego. Wzięła na kolana rozbudzoną córkę i mocno przytuliła. Ruth usiadła obok nich.

– Tu, gdzie teraz jesteśmy, to teren obozu. Tu są tylko baraki, takie jak ten. – Wskazała na ścianę zbitą z desek. – Dwanaście dla Żydów, jeden gospodarczy i jeden dla strażników. Wszystko otoczone jest drutem. Przez cały czas obozu pilnują Niemcy. Straż kolejowa i esesmani. Mają psy. Groźne bestie, wyszkolone tak, że na komendę są w stanie rozszarpać na strzępy każdego, kto spróbuje stąd uciec. Nie dalej jak wczoraj zagryzły chłopaka z drugiego baraku. Jego ciało zaciągnęły aż pod lasek. Leży tam pewnie do tej pory – mówiła tak, jakby opowiadała o pogodzie. – Stąd się nie opłaca uciekać. Jeśli już próbować, to tylko z nasypu i to tylko na skraj wsi. Kilku młodych wymyka się tam po jedzenie. Inaczej mało komu się to udaje. Na początek musicie zadowolić się zupą. Gotują ją na obierkach i dolewają jakiegoś dziwnego tłuszczu, który śmierdzi metalem, ale to może dlatego, że przywożą go tu w metalowych beczkach? Żeby przedostać się do wsi, musisz mieć rozeznanie i być sprawna. Inaczej cię powieszą w lasku. Codziennie kogoś tam wieszają. Wczoraj

siedmiu. Też próbowali uciec. Najwięcej uciekło stąd Ruskich. Ale oni są w innych barakach, w innym obozie. I ich mniej pilnują. – Mówiąc to, obserwowała gnieżdżących się wokół ludzi.

– A co tu trzeba robić...? – Sara poczuła, że zaschło jej w ustach.

– Pracować. Przy budowie nasypu. To kawałek drogi stąd. – Wskazała ręką gdzieś przed siebie. – Niemcy budują linię kolejową. I stacje. Teraz buduje się Olechów, a ludzie mówią, że te tory mają się ciągnąć aż do Chojen. Wiesz, gdzie to?

– Tak. Jestem z Łodzi.

– Z Litzmannstadt – poprawiła ją dziewczyna.

– Dla mnie to Łódź. – Sara zawiesiła wzrok w przestrzeni.

– Codziennie zabierają z obozu grupę Żydów i jak przyjedzie pociąg z piachem, żwirem albo co gorsza gliną, trzeba go rozładować. A te pociągi przyjeżdżają co chwilę, więc nie można się obijać. Trzeba się spieszyć, bo inaczej Tyrolczyk... – zamilkła na chwilę, gdy bezzębna kobieta znów przeszła obok nich.

– Kto to jest? – spytała Sara.

– Kto? Ona? – Ruth wskazała na kobietę. – Wariatka. Niedługo na pewno pójdzie do ziemi. – Machnęła ręką. – Zresztą dla niej to chyba lepiej. Coś jej się z głową zrobiło po tym, jak Tyrolczyk na jej oczach zatłukł nogą od krzesła jej męża. Wcześniej, zanim tu trafiła, Niemcy zastrzeli dwójkę jej dzieci, gdy bawiły się w przydomowym ogrodzie. Tak przynajmniej mówiła. – Wzruszyła ramionami.

– Co zrobił jej mąż, że go zabito?

– Tak jak ci mówiłam, tu niedaleko jest wieś, Jędrzejów się nazywa, i tam nieraz uda się coś do jedzenia dostać. Ale nie mogą cię zauważyć, bo inaczej... śmierć. Tak właśnie było z jej mężem. Na chwilę się oddalił z nasypu. W czasie przerwy na zupę. Tyrolczyk go dopadł. – Wykrzywiła usta. – Ona też oberwała. Wszystkie zęby straciła, bo krzyczeć zaczęła w obronie męża... Tam na nasypie nie można przerwać pracy nawet na chwilę. – Pokręciła głową. – Trzeba się starać i pokazać, że dobrze pracujesz, bo inaczej nie wrócisz już tutaj. – Wskazała pryczę. – Wiele osób nie wraca. Codziennie Tyrolczyk wykańcza ludzi. Zależy, jaki ma dzień, od pogody też zależy. Jak pada, to trzeba się pilnować bardzo. I nocą. Nocne

zmiany są najbardziej niebezpieczne, bo jest mniej ludzi z firm niemieckich. Pracują w nich głównie Polacy. Maszyniści, kolejarze. Oni przywożą kruszec. Ale oni też się boją Tyrolczyka. Nie pozwala im z nami rozmawiać, tylko robić, co swoje.

– Kim jest ten Tyrolczyk? Gdzie on jest? – Sara drżała, coraz bardziej przerażona losem Jakuba.

– To Niemiec. Podobno z Tyrolu. Nikt nie wie, jak on się naprawdę nazywa. Jest nadzorcą. Pilnuje ludzi, by dobrze pracowali. – Objęła się za ramiona. – Wstrętny grubas, z wąsikiem – wyszeptała. – Chodzi w kapeluszu z piórkiem i szortach ze skóry. Na pewno go poznasz. – Pokiwała głową. – Z reguły jest przy nasypie. Uważaj na niego, bo to diabeł wcielony. – Wyprostowała się. – Tak samo jak taki młody z Poznania. Też Niemiec. On też jest groźny. – Ściągnęła usta.

Sara starała się zapamiętać wszystkie te informacje. Zwłaszcza to, jak wygląda praca przy realizacji marzeń nazistowskich inżynierów. Przyjmowała rady Ruth o tym, w jaki sposób pracować przy wagonach z piachem. Miała zapamiętać, by trzymać się z daleka od wagonu, jeśli resztki piachu lub, co gorsza, gliny przylgną do powierzchni podłogi. Ostrzegała, by w takich chwilach nigdy nie nachylać się i nie wchodzić do wnętrza wagonu. Na koniec powiedziała coś, co sprawiło Sarze niewyobrażalnym ból. By szybko pozbyła się dziecka. Że jest na to pewien bardzo ryzykowny i niebezpieczny sposób.

Kilka dni później Sara już wiedziała, że Ruth nie kłamała w żadnym calu. Obozowa codzienność była nie do zniesienia. Jakuba Niemcy zabierali do pracy niemal każdego dnia. Raz zdarzyło się, że wrócił do baraku pobity. Na szczęście na tyle niegroźnie, że następnego ranka znów mógł chwycić za szpadel i rozładowywać wagony. Ona sama też miała okazję przekonać się, na czym polega ta praca i jak bardzo jest ciężka. Długie godziny spędzili z Jakubem na nasypie. Szybko dotarło do nich, że muszą znaleźć sposób, by z tego niszczycielskiego piekła wydostać chociaż małą Eli. Sara całymi dniami zamartwiała się o dziewczynkę, która pozostawała w obozie pod opieką przypadkowych kobiet w czasie, gdy ona i Jakub, padając ze zmęczenia, pracowali przy rozładunku. Ich decyzję przyspieszyła i przypieczętowała scena, którą rozegrała się na ich oczach. Tyrolczyk bez zawahania jednym ruchem zabił trzydzieści osób, miażdżąc ich w opróżnianym wagonie. Widzieli, jak na jego polecenie ciała robotników zniknęły w nasypie pod hałdą piachu. Sara patrzyła na

zmasakrowane twarze, które pochłaniała ziemia, i rozpoznała wśród nich jedną z kobiet, której dziecko widywała w obozie. Zrozumiała, że bez matki chłopiec nie dożyje do końca tygodnia. Przerażała ją ta świadomość. Świadomość, że wszyscy oni zostaną tam na zawsze, bezimienni i obdarci z godności. I za każdym razem, gdy Tyrolczyk zabijał kolejnych ludzi, była coraz bardziej pewna tego, że któregoś dnia i ona trafi pod nasyp. I znów do głosu dochodziła przerażająca myśl. Jaka przyszłość czeka wtedy jej dziecko? Dlatego coraz częściej zerkała w kierunku pobliskiej wsi.

Pewnej nocy podjęli z Jakubem najtrudniejszą i najbardziej bolesną decyzję w życiu. Postanowili wynieść córkę poza teren obozu. Ruth, która stała się Sarze bliska, miała im w tym pomóc. Przygotowywali się do tego przez kilka dni. W końcu szesnastoletni brat Ruth, któremu regularnie udawało się przedostawać na skraj wsi i zdobywać jedzenie, przyszedł do nich i późną nocą zabrał dziewczynkę. Zarówno Jakub, jak i Sara czuli, jakby ktoś wyrywał im z piersi serce. Sarze brakowało już łez, a on nigdy nie czuł tak potwornego bólu, gdy po raz ostatni trzymał za rękę swoje dziecko. Na polecenie Ruth przywiązali dziewczynkę do ciała jej brata i ukryli pod ubraniem. Ich córeczka była tak chuda i mała, że zniknęła pod luźną koszulą chłopaka. W kieszeni podartego wdzianka miała kartkę ze swoimi danymi i danymi rodziców. Sara dołączyła do tego błagalny list z prośbą, by zająć się dziewczynką do czasu, gdy skończy się wojna, i złoty pierścionek z rubinem, który przez cały czas nosiła wszyty w stanik.

Noc, gdy chłopak odszedł z jej córeczką, spędziła skulona pod barakiem, wsłuchując się w dźwięki głuchej nocy. Z każdym szczeknięciem psa zrywała się, z przerażeniem wpatrując w czarny mrok. Chłopak tymczasem wykonał swoje zadanie. Szczęśliwie niezauważony przez nikogo, dostał się do wsi. Problem pojawił się w momencie, gdy wkładał dziecko do specjalnie wykopanego dołu, w którym zazwyczaj mieszkańcy wsi podrzucali nocą jedzenie dla wygłodniałych więźniów obozu. Dziewczynka nie chciała puścić jego ręki. Pojękiwała cicho, wpatrując się w niego zrozpaczonym wzrokiem. Nie miał wyjścia. Wyszarpnął rękę i warknął na dziecko. Wreszcie uwolnił się od niej i z bijącym sercem biegł jak szalony przez zarośnięty sad. W jego uszach wciąż dźwięczał szloch dziewczynki. Nie miał pojęcia, czy były to omamy, czy rzeczywiście córka Sary tak bardzo płakała, ale miał wrażenie, że słyszał ją jeszcze długo. Dwa dni później na stację wjechał nowy transport piachu.

Maszynista, który go przywiózł, ukradkiem zagadnął jednego z pracujących Żydów i dał mu pomiętą kartkę papieru. Widniało na niej imię Sary i Jakuba. Gdy przyszła pora przerwy obiadowej, kartka znalazła się w rękach Jakuba. Jego serce wypełniła taka radość, że nie mógł się doczekać spotkania z żoną. Widział Sarę, jak obolała i zmęczona wracała do baraków, ale nie mógł do niej pobiec. Dopiero wieczorem pokazał jej krótki list. „Znaleźliśmy wasz skarb. Niech to będzie pociecha dla waszego serca". Sara płakała ze szczęścia, choć ból tęsknoty był nie do wytrzymania. Od tego dnia odzyskała jednak chęci do życia, a pewnego słonecznego dnia zyskało ono na sile. Prace przesunęły się i z miejsca, gdzie Sara rozgarniała żwir pod torowisko, było widać kilka domów pobliskiej wsi. Na jednym z podwórek bawiła się grupka dzieci, pokrzykując wesoło. Sara stęskniona za piskiem dziecięcego głosiku, zaczęła wpatrywać się w stronę gospodarstwa. Było zbyt daleko, by dostrzec dokładnie twarze dzieci, ale w jednej sekundzie uświadomiła sobie, że najmniejsze z nich to jej Eli. Na jej twarzy pojawiły się łzy szczęścia. Odruchowo uniosła rękę, by pomachać córeczce. Podobne chwile zdarzały się coraz częściej. Dlatego Sara, mimo że nieraz słaniała się na nogach, nie mogła doczekać się pracy na nasypie. Te kilka chwil, gdy patrzyła na swoje dziecko, było dla niej bezcenne. Przestała zauważać sterty ludzkich ciał, na których powstawały kolejne odcinki torowiska. Nie przeszkadzały niegojące się rany na rękach i wszechobecny smród rozkładających się zwłok. Najważniejsze było zobaczyć zdrową, roześmianą Eli. Nawet Jakubowi udało się raz dostrzec córkę. Jednak zachowanie Sary nie umknęło uwadze Tyrolczyka. Uderzył ją, gdy zamiast grabić żwir, zapatrzyła się na moment. Zaczął ją obserwować. Kiedy zorientował się, że kobieta podczas pracy nie odrywa wzroku od gospodarstw w dole, poinformował o tym esesmanów. Następnego dnia Sara nie zobaczyła dziecka. Nie zobaczyła go już nigdy więcej, choć wypatrywała córki z coraz większą determinacją. Wybłagała u Ruth, by jej brat zakradł się do wsi i spróbował dowiedzieć się czegoś o dziewczynce. Oddała mu za to swój dzienny przydział żywności. Chłopak nie miał możliwości z niego skorzystać. Zginął od strzału w głowę, po tym, jak wracając z nocnej wyprawy, natknął się na patrol straży kolejowej. Strażnicy zawlekli go najpierw na nasyp, pobili i oddali śmiertelny strzał. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że poza kawałkiem bułki w kieszeni kurtki chłopca znajdował się krótki list do Sary i Jakuba. Kilka słów wyjaśnienia. Pochłonął je nasyp. Piach, krew i kości zamordowanych

więźniów. Wspólna mogiła tysięcy ludzkich istnień, wśród których niebawem znaleźli się również rodzice małej Eli, dziewczynki, którą przygarnęła polska rodzina.

*

Dochodziła dziesiąta rano. Zoja pojawiła się w kawiarni nieco przed czasem. Dawid uprzedził ją, że mogą się chwilę spóźnić. On i towarzysząca mu starsza kobieta, którą Zoja widziała dzień wcześniej w telewizji. Dziewczyna nie bardzo wiedziała, czego spodziewać się po tym spotkaniu. Ale po tym, co przeczytała na temat Eleonory w internecie, zdała sobie sprawę, że być może ta rozmowa przyczyni się do zrozumienia historii ciotki Anieli. Może przypadkiem wpadną na to, o co chodzi z tymi tajemniczymi Żydami, o których wspomniała Aniela, i ich związku z rodziną? Ta kwestia nie dawała Zoi spokoju. Z drugiej strony dziewczyna zdawała sobie sprawę, że Dawid zrobi wszystko, by zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie pozostawiła jego luźno rzucona poprzedniego dnia sugestia.

Z ciekawością patrzyła na zmierzającą w jej kierunku parę. Wstała, gdy kobieta posłała jej promienny uśmiech.

– Dzień dobry – powiedziała Zoja i zerknęła na Dawida. Przecisnął się między fotelami i nachylił, by się przywitać.

– Hej, piękna – szepnął, całując ją w policzek, po czym stanął obok kobiety. – Zoju, przedstawiam ci Eleonorę, prezeskę stowarzyszenia i założycielkę fundacji, które mam przyjemność wspierać, i co ważniejsze, prywatnie moją przyjaciółkę.

– Już daj spokój z tymi tytułami – skarciła go żartobliwie kobieta. – Ritter. Eleonora Ritter-Stelmach. – Uścisnęła obie dłonie Zoi.

Mimo że od starszej pani biło ciepło i serdeczność, Zoja poczuła się nieswojo.

– Myślę, że przede wszystkim muszę wyjaśnić powód naszego spotkania – powiedziała Zoja, gdy już usiedli przy stoliku. – Jestem bardzo wdzięczna, że znaleźliście dla mnie czas. Zwłaszcza pani.

– I tak musieliśmy się zobaczyć, a z kancelarii to kilka kroków – wtrąciła Eleonora, zerkając na Dawida.

– Postaram się streszczać – powiedziała Zoja. – Otóż – zwróciła się do Eleonory. – Jestem w posiadaniu starych dokumentów i planów Łodzi z okresu okupacji. Należały do mojej niedawno zmarłej ciotki. Porządkuję po niej te pamiątki i próbuję zrozumieć…

– Historię swojego pochodzenia? – dokończyła Eleonora.

– Można tak powiedzieć – wtrąciła Zoja. – Miałam sama zająć się tą sprawą, ale zobaczyłam panią wczoraj w telewizji. Sprawdziłam w internecie, czym zajmuje się Fundacja Diaspora, i uznałam, że skoro Dawid zna panią osobiście, może mogłabym zapytać i poprosić o wyjaśnienie kilku kwestii historycznych. Przyznam się, że mam pewne braki z tego zakresu.

– Z chęcią – odparła Eleonora. – Przynajmniej wypiję kawę w przyjemnym towarzystwie i zapomnę na chwilę o tym niesympatycznym incydencie.

– Incydencie? – Zoja zmarszczyła brwi.

– Tak. Późnym wieczorem ktoś rzucił cegłą w okno Eleonory – wyjaśnił Dawid. – Została wezwana policja, także mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni – powiedział bardziej do przyjaciółki niż do Zoi.

– Też tak myślę – odpowiedziała kobieta, poklepując Dawida po ręku. – Ale w czym ja ci, dziecko, jestem potrzebna? – Przyjrzała się uważnie swojej rozmówczyni.

– Wśród pamiątek są dokumenty – powiedziała Zoja. – Jest plan miasta z zaznaczonymi obszarami, punktami, nie wiem, trasą… Intryguje mnie to. Bo skoro ciotka trzymała to wszystko, musi to być ważne.

– Przywiozłam ze sobą ksero tej mapy… – Zoja wyjęła z torby złożoną kartkę.

– Ja też zawsze wszystko kopiuję, a oryginały chowam, by ich nie zniszczyć – zauważył Dawid.

Eleonora sięgnęła do torby po okulary, a gdy je zakładała, promień słońca padł na jej pierścionek z rubinem. Zoja rozłożyła wydruk. Wysunęła się z niego stara fotografia kobiety z dzieckiem. Zoja chwyciła ją i chciała schować, ale zatrzymały ją palce Eleonory.

– Wiesz, kim jest ta kobieta? – zapytała, wskazując na dziewczynę z kucykiem.

– Nie jestem pewna, ale to chyba jest ta moja zmarła ciocia Aniela.

– Hmm. – Eleonora przyjrzała się zdjęciu, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Ładna – rzekła, oddając zdjęcie. – Ale popatrzmy na mapę. – Skupiła wzrok na wydruku.

Po chwili milczenia znów zerknęła znad okularów na Zoję.

– Widziałam już kiedyś… podobną.

Przesunęła palcem po papierze, zataczając koło na planie. Pokrywało się to z nierówną linią, którą ktoś zostawił na oryginale.

– Domyślam się, że ten drugi zaznaczony obszar to teren getta. – Zoja zastukała w środkową część mapy.

– Zgadza się. – Eleonora przytaknęła.

– Przyznam się, zawsze myślałam, że trochę inaczej to wyglądało. – Zoja uśmiechnęła się niepewnie. – Mam na myśli granice getta. Sądziłam, że było bliżej Śródmieścia. A z tego wynika, że to same Bałuty. Drewnowska, Smugowa, Bracka, Inflancka, Zgierska. – Przesuwała palcem po nazwach ulic stanowiących granice getta.

– Tak. Ten, kto nałożył te linie, wiedział, co robi. Powiem zaraz, jak ja to widzę. – Eleonora upiła łyk kawy i poprawiła okulary. – To rzeczywiście getto, natomiast to… – przesunęła po nierównej linii – …to droga, którą pokonywali więźniowie, by dotrzeć na teren dzisiejszego Olechowa. Tam w czasie wojny był obóz. Wyniszczający i niewolniczy.

– Naprawdę? – Zoja ściągnęła brwi. – Nigdy o nim nie słyszałam.

– Hm. No właśnie. Nie ty pierwsza i nie ostatnia, niestety. – Kobieta zdjęła na chwilę okulary i przyjrzała się Zoi. – Naprawdę, nikt ci nie wspominał o tym miejscu?

– Zoja jest po części Chorwatką. – Dawid próbował usprawiedliwić dziewczynę. – Dużo czasu spędziła za granicą…

– Ale chyba kojarzysz rejon Olechowa, Jędrzejowa? – Eleonora przechyliła głowę. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. – Znasz te nazwy, prawda?

– Tak, oczywiście. I wielokrotnie przejeżdżam tamtędy, górą idzie autostrada…

– Co wiesz o swoich dziadkach? – Kobieta przygryzła końcówkę oprawek okularów.

– Nie żyją od siedmiu lat. Mieli wypadek samochodowy. Razem z nimi zginął ich starszy syn, mój wujek.

– Och… – Kobieta ocknęła się z zamyślenia. – To przykre. Ale ja miałam na myśli… twoich pradziadków.

– Nie żyją od wielu lat. Nie poznałam ich.

– A reszta rodziny? Ich kuzynki? Nikt nic nigdy nie wspominał o przeszłości? O twoich korzeniach? – drążyła, co od razu zaczęło irytować Zojkę.

– Przepraszam, ale nie bardzo wiem, do czego zmierza ta rozmowa. – Zoja skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie, nie. To ja przepraszam. – Kobieta się zmieszała. – Chciałam po prostu zorientować się w sytuacji. Rozeznać, czy mamy jakiś punkt zaczepienia.

– Sprawa jest prosta. – Zoja się poruszyła. – Dwa dni temu dostałam informację, że zmarła moja ciotka, Aniela Sterlak. Siostra dziadka. Widziałam ją może ze trzy razy w życiu. Została po niej sterta papierów, z których między innymi wynika, że moi pradziadkowie wyrzekli się ojczyzny, przyjmując niemieckie nazwisko. Nie miałam o tym pojęcia – oświadczyła szczerze i pomyślała, że informacja o folksliście zrobi na Eleonorze wrażenie.

Staruszka tylko pokiwała głową.

– To smutne – szepnęła.

– Raczej powiedziałabym: niechlubne, chociaż nie uważam się za jakąś wielką patriotkę. – Wzruszyła ramionami. – Nie miałam wpływu na to, co robili moi przodkowie. Poza tym minęło tyle lat, że nie sądzę, by to miało teraz jakieś znaczenie.

– Oj, mylisz się, kochanie. – Kobieta zmieniła wyraz twarzy. – Żyjesz. I to ma właśnie znaczenie! Gdyby oni podjęli inną decyzję, nie przyszłabyś na świat! Nie wolno ci… nam oceniać ich decyzji. Wybrali takie rozwiązanie, bo być może do wyboru mieli tylko śmierć. I to wszystkich z rodziny. Czy ty, stojąc przed taką perspektywą, wahałabyś się? Mając dzieci? Nie tylko swoje, ale i siostry, brata? Podejrzewam, że pragnęłabyś chronić wszystkich. Możliwe, że postąpiłabyś tak samo jak oni. Wierz mi, hitlerowcy nie negocjowali.

– Czyli uważa pani, że to był bohaterski gest? – zakpiła i natychmiast tego pożałowała.

– Nie. To był sposób na przeżycie. Ważniejsza jest inna kwestia. Co na tym zyskali? Ile dzięki temu zrobili dla innych? Gdyby się okazało, że ten, jak powiedziałaś, niechlubny dokument uratował życie trzem innym rodzinom z ich miejscowości? Gdyby się okazało, że ukrywali Żydów albo uciekinierów, a dzięki temu mogli to robić na większą skalę? Też uznałabyś ich za zdrajców?

– Nie. Za wyrachowanych strategów. – Zoja się uśmiechnęła. – Wielu bohaterów wojennych miało wątpliwe papiery.

– Nie wolno nam ich sądzić. – Eleonora pokręciła głową. – I mówi ci to ktoś, kto przeżył wojnę. A ze względu na pochodzenie nie miał nawet takiego wyboru. Miał tylko odrobinę szczęścia. – Znów poprawiła włosy i założyła okulary. – Wracając do mapy, jest na niej zaznaczony rejon obozu. Obok płynie rzeka Olechówka…

– Zaraz… – przerwała jej Zoja. – A czy – zwróciła się do Dawida – to nie jest przypadkiem miejsce, o które walczy to wasze stowarzyszenie?

– Na to wygląda – przytaknęli oboje z Eleonorą.

Zoja się zamyśliła.

– Czyli mam rozumieć, że ciotka Aniela miała coś wspólnego z obozem? Z budową, jak zrozumiałam, nasypu kolejowego? To poniekąd wyjaśniałoby jej zachowanie. Wszystkich wyzywała od nazistów.

– Nie wiem, jak była historia twojej ciotki, ale, jeśli chodzi o historię nasypu, masz przed sobą najbardziej zorientowaną osobę na planecie. – Dawid uśmiechnął się, wskazując Eleonorę. – A plany i mapy są w kancelarii. W każdej chwili możesz je zobaczyć.

– Opowie mi pani coś więcej o tym miejscu? O nasypie… – Zoja przygryzła wargę. – Dla mnie istotną kwestią są mieszkańcy pochodzenia żydowskiego.

– Żydzi… – Eleonora uśmiechnęła się ciepło. – Dlaczego?

– Mam pewien prywatny powód. Bardzo dla mnie istotny.

– A więc Żydzi. – Kobieta westchnęła. – Każdego dnia hitlerowcy zwozili ich pociągami z całej Polski. Najwięcej z łódzkiego getta. Tysiące ludzi. Ale nie tylko Żydów. Na Olechowie było kilka obozów. Dla Polaków, Żydów, Rosjan, Romów i dla aliantów. Tych ostatnich traktowano inaczej. Lepiej…

– No dobrze – przerwała jej Zoja. – Są jakieś dane, nazwiska tych ludzi? Chodzi mi o to, że… – Przygryzła usta. – Z jakiegoś powodu mam podejrzenia, że wśród mojej rodziny były osoby pochodzenia żydowskiego. Chciałam zapytać, czy można sprawdzić, czy moje nazwisko figuruje gdzieś w jakichś aktach czy spisie tego obozu?

– Moja droga – odezwała się spokojnie Eleonora. – Podejrzewa się, że w obozie, o którym rozmawiamy, życie straciły dziesiątki tysięcy osób. Choć wiem, że to nie do uwierzenia, ale nie pozostał po nich żaden, absolutnie żaden dokument. W ogóle nic nie zostało z obozu. Poza nasypem.

– Hm. – Zoja popatrzyła na Dawida. – A co właściwie walczy ta fundacja? Ja rozumiem, względy pamięci i tym podobne rzeczy, ale czemu nagle zrobiła się z tego taka afera?

Eleonora sięgnęła po filiżankę i popatrzyła na Dawida.

Zrozumiał jej wyczekujący gest i zaczął mówić:

– To nie jest tak, że nagle się coś komuś przypomniało. Chodzi o bunt, manifestowanie niezgody na działanie ludzi, na których barkach spoczywa odpowiedzialność za pamięć o tym miejscu. Dali się oni kupić zachodnim

koncernom. Wyprzedali ten teren, kawałek po kawałku, dając tym samym do zrozumienia, że to, co działo się tam ponad siedemdziesiąt lat temu, nie jest warte naszej pamięci. Dlaczego się bijemy… – Zrobił w powietrzu cudzysłów. – To jest cmentarz. Ci ludzie, którzy tam pracowali, zostali w tamtym miejscu na zawsze. Ich ciała każdego dnia grzebano w nasypie. Dziesiątki ciał dziennie. Zmarłych z wycieńczenia, głodu, morderczej pracy lub bestialsko zamordowanych przez oprawców.

– I nie my pierwsi podnosimy głos – odezwała się Eleonora. – Inne stowarzyszenia też blokowały budowę autostrady. Zebrali dowody. Głównie zeznania świadków ze śledztwa prowadzonego w latach siedemdziesiątych. Świadectwa ludzi, którzy na własne oczy widzieli, co się działo w obozie i na nasypie. Mimo to sprawę umorzono. Za powód podano brak możliwości wskazania lokalizacji szczątków. Jedynym gestem pamięci i dobrej woli wykazał się Józef Niewiadomski. – Zamyśliła się. – Był prezydentem Łodzi. Znaliśmy się. On wychował się w tych rejonach i Niemcy złapali go jako małego chłopca, gdy podrzucał Żydom jedzenie. Do dołu wykopanego na skraju wsi. Cud wielki, że przeżył. Poznaliśmy się, gdy na wniosek jego i jego wnuczki umieszczono tablicę pamiątkową na ulicy Zakładowej. Kopiec kamieni.

– Miły gest – szepnęła Zoja.

– Widzisz, nie jest problemem rozwój przemysłu, infrastruktury i biznesu. Ale całe połacie ziemi tam kryją w sobie ludzkie kości – kontynuowała Eleonora. – A oni tam są. Anonimowi, cisi i niechciani. Zapomniani – dodała. – Pragnę tylko szacunku dla ich cierpienia.

– Czemu tak jest? – Zoja oparła głowę na ręku. – Przecież Auschwitz i inne podobne miejsca zamieniono w obiekty muzealne. Czemu nikt nie zadbał o tych tutaj, w Łodzi?

– Pozwól, że odpowiem ci pytaniem – powiedziała kobieta. – Od ilu lat mówi się oficjalnie o łódzkim getcie? Ile łodzianie wiedzą o tym, co się tam działo? Jak wyglądała jego organizacja, struktura społeczna? Czym była Wielka Szpera? – Zdjęła okulary i położyła je na stoliku. – Takich pytań mogę zadawać setki. Wiesz

mi, dziecko, większość pozostanie bez odpowiedzi. A być może niektórym ludziom stąd, z Łodzi, było nie na rękę, by mówić głośno, kto i co tu robił.

– Przecież wiadomo, że to wina Niemców…

– Oczywiście. Bezapelacyjnie – przytaknęła Eleonora. – Ale czy tylko? Zastanów się… Czy ktoś obcy, kto wchodzi do twojego domu, od razu orientuje się we wszystkim? Zna jego zakamarki, tajemnice, układy towarzyskie i stosunki wśród mieszkańców? Nie. Jest tylko jeden sposób, by zdobyć taką wiedzę. Trzeba tam zamieszkać. A Niemcy nie mieli na to czasu. Weszli do Polski, do Łodzi, i zrobili, co swoje. Przejęli kontrolę, zorganizowali getta i ciągnęli z nich zyski. Jak to zrobili? Byli geniuszami?

– Nie – odpowiedziała Zoja. – Musieli otrzymać pomoc. Tych, którzy tu byli, przewodników.

– Otóż to. Ja nie oceniam, nie uogólniam. Nie mówię, że jedna nacja była dobra, druga zła. To byli ludzie i obowiązkiem żyjących jest pamiętać o przelanej krwi niewinnych. Wymagać, zwłaszcza od władz, by dołożyły wszelkich starań, by ta pamięć nigdy nie zagasła. By miejsca zbrodni, pochówku, cierpienia były miejscami szanowanymi. Na zawsze chronionymi przed zapomnieniem. By żaden z bogatych śmiertelników nie ważył się bezcześcić kości umarłych, by zbić na tym majątek. A niestety jesteśmy właśnie świadkami realizacji umów zawartych między miastem a inwestorami na wykorzystanie tych nieużytków. – Ostatnie słowo zaakcentowała.

Zoja domyśliła się, że starsza pani wielokrotnie spotkała się z takim określeniem terenu wokół nasypu.

– Hale, które tam stoją, fabryki, centra logistyczne… Droga szybkiego ruchu. Teoretycznie inwestycje sprzyjające łodzianom, w praktyce misterny plan dla każdego koncernu. Ułatwienie transportu, bezpośrednie połączenie fabryk z magazynami. Kasa.

– A historycy? – Zoja była wzburzona. – Nie wiem… no nie wiem, kto tam jest jeszcze… Przecież oni muszą wiedzieć o tym obozie. O tym cmentarzu. Pozwolą

na takie działania? Przecież żeby coś tam postawić czy zrobić, trzeba mieć pozwolenie. Masę pozwoleń. Mój ojciec jest deweloperem, wiem, jak wyglądają batalie o przetargi, ile trzeba spełnić wymagań, zanim postawi się…

– Mamona otwiera wszystkie drzwi i rozwiązuje problemy. – Eleonora uśmiechnęła się gorzko. – Mydli oczy nawet tym, którzy są potomkami tych biedaków. – Wskazała na mapę.

– No właśnie. – Zoja poruszyła się i spytała: – A gmina żydowska? Przecież oni w pierwszej kolejności powinni się tym zająć. To prochy ich przodków! Rodziny ich rodzin! Rozmawialiście z nimi?

– Uwierz mi, że orientują się w sytuacji – odrzekła kobieta. – I oni mają swój interes, by udawać, że nie ma problemu.

– Czyli jeden trzyma stronę drugiego. Ciekawe, w jaki sposób z tego skorzystają? – Zoja zakpiła.

– Mają marzenie o hotelu i synagodze. I obietnicę, że to marzenie się im ziści.

– Czyli najlepiej zamknąć usta krzykaczom, poczekać, aż żyjący świadkowie wydarzeń odejdą, i opłacić tych, którzy mogliby zaszkodzić – skwitowała Zoja.

– Oczywiście – odpowiedziała Eleonora. – Pocieszające jest to, że fundacji udało się jednak trochę zrobić. Poza masą dokumentów, jaką dysponujemy, czerpiemy z doświadczeń poprzednich stowarzyszeń. Za chwilę dostaniemy zdjęcia lotnicze z archiwum wojskowego Niemiec. Okazuje się, że Niemcy wszystkie swoje działania skrupulatnie dokumentowali. Więc da się niezbicie ustalić miejsca ukrycia ciał. Dowody na istnienie cmentarza w nasypie. Jeśli zdołamy odpowiednio nagłośnić ten niewygodny temat, to…

– Niewygodny temat. – Zoja uśmiechnęła się lekko i zaraz spoważniała. Dotarło do niej znaczenie słów, jakie właśnie padły. – Pani Eleonoro… – Przełknęła ślinę. – Czy w tym nasypie został pogrzebany ktoś z pani bliskich?

– To długa historia. Ale chętnie ci ją opowiem, jeśli cię to interesuje. Ale nie dziś. Wybacz mi, proszę, ale jestem wykończona. Prawie w ogóle nie zmrużyłam

oka. – Spojrzała wymownie na swój zegarek i na Dawida. Prawnik przytaknął i poprosił o rachunek.

– Myślę, że dobrze by było, gdybyśmy się spotkały raz jeszcze – mówiła dalej Eleonora. – Chciałabym, żebyś coś zobaczyła. Dasz się zaprosić na herbatę do mojego domu? – spytała z tym samym ciepłym spojrzeniem, z jakim przyszła do kawiarni.

– Naturalnie – odpowiedziała szczerze Zoja.

Dawid tylko się uśmiechnął. Wstał i podsunął ramię przyjaciółce, by się na nim wsparła. Zanim się pożegnali, Eleonora popatrzyła na Zoję. – Przyjaźniłam się z kobietą o imieniu Aniela. – Uśmiechnęła się. – Była dla mnie jak siostra.

*

Stęskniona za charakterystycznym brzmieniem silnika, Zoja z radością odebrała wiadomość, że jej bestyjka jest naprawiona. Pojechała od razu. Wracając z serwisu, zdała sobie sprawę, że znajduje się w niedużej odległości od trasy łączącej Chojny z Olechowem. Postanowiła więc ruszyć w kierunku Jędrzejowa, by na własne oczy zobaczyć nasyp. Mijała setki niemal identycznych domków, które stały po obu stronach drogi. Dopiero po jakimś czasie widok za oknem zaczął się zmieniać, a teren pustoszeć. Kolorowe fasady stawały się coraz rzadsze i zastępowały je krzewy, drzewa i nieuprawiane pola. Po chwili wyrosły na nich olbrzymie hale przeładunkowe, jedna obok drugiej. Niektóre z nich miały bocznice połączone z torami ciągnącymi się wzdłuż drogi. Na innych zalegały setki kontenerów. Po przeciwnej stronie ciągnął się nasyp. Zoja dojechała do niedużego parkingu, na którym kończył się świeżo wybudowany fragment drogi. Zostawiła samochód i poszła się przejść. Za drzewami kryły się koparki, czekające na kolejny pracowity dzień. Zoja podeszła do podnóża wysokiego nasypu. Położyła dłoń na jasnych kamieniach.

– Nie miałam pojęcia, że tu jesteście – szepnęła.

Wzięła do ręki kamyk w momencie, gdy w górze przemknął pociąg. Zoja popatrzyła za nim, wsłuchując się w charakterystyczny stukot. Na piaszczystym trakcie nieopodal dostrzegła kilka spacerujących osób. Odczekała chwilę, by się zbliżyli, włożyła kamyk do kieszeni i zagadnęła ich o historię nasypu.

Kobieta w wieku zbliżonym do jej wieku matki popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Wie pani, że pierwsze słyszę. – Zrobiła wielkie oczy i spojrzała bezradnie na towarzyszących jej dwóch mężczyzn.

Jeden z nich przecząco pokręcił głową. Drugi chwilę się zastanawiał.

– Ja coś słyszałem. Moja babka mieszkała niedaleko. O, tam. Jak to nowe rondo jest. – Wskazał. – Mówiła, że Żydzi do niej przychodzili po obierki po ziemniakach. Wypychali sobie nimi kieszenie albo od razu jedli. Ale babka nie żyje już z dwadzieścia lat. To nie wiem, jak to dokładnie było.

Zoja wsiadła do samochodu i zawróciła. Dojechała do ronda i rozejrzała się. Była w samym środku centrum logistycznego. Kolorowe logotypy krzyczały z szarych ścian hal. Pośród nich stała samotna, stara wieża ciśnień. Zoja popatrzyła na jej poczerniałe cegły, po czym wybrała numer Dawida.

– Hej – rzuciła, gdy odebrał. – Nie zgadniesz, dokąd mnie przywiało.

– Mogę tylko zgadywać – odpowiedział. – Podejrzewam, że włóczysz się w okolicy nasypu.

– Nie mogłam odmówić sobie odwiedzenia tego miejsca. Po opowieści Eleonory normalnie mam ciary.

– Dobrze cię rozumiem. Ze mną było tak samo. Najpierw sceptycznie podszedłem do propozycji współpracy, ale zmieniłem zdanie po tym, jak poznałem Eli i usłyszałem to wszystko, a później zobaczyłem.

– Słuchaj. – Oblizała usta. Przepuściła tira i skręciła w Tomaszowską. – Czy bardzo bym napsociła, gdybym podjechała jeszcze na chwilę do kancelarii?

– Która jest? – zapytał, a szelest świadczył, że sprawdza godzinę na zegarku na ręku. – Siedemnasta czterdzieści – odpowiedział sam sobie. – Za dosłownie chwilę

ma się pojawić klientka po odbiór odpisu. To nie powinno zająć dużo czasu. Potem jestem dla ciebie.

– Nie chcę ci zabierać czasu. Chciałam tylko zobaczyć te plany, o których wspomniałeś. I tak mam wrażenie, że przesadzam.

– Wiesz, że cieszy mnie twoja obecność.

– Dzięki. W takim razie jestem za kwadrans. Do zobaczenia. – Zoja zakończyła połączenie.

Włączyła aplikację z muzyką. Po kilku taktach przerwał ją telefon od Kardasa.

– Gdzie jesteś?

– A ty? – odpowiedziała jak echo.

– Wyszedłem z redakcji „Rekordu”. Spędziłem tam dwie godziny, szukając czegoś, o czym nie mam pojęcia. Żadna z pracujących tu osób nie słyszała, by Fabiś zajmowała się innym tematem niż rozgrywki i tabele. Obejrzałem pobieżnie jej kompa. Przejął go już inny pracownik i zawalił mnie masą materiału. Ale i tak na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego nie znaleźliśmy.

– Znaleźliśmy? Byłeś z Brzeźnym?

– Nie. Przysłał jakiegoś łebskiego chłopaka od siebie. Młody szura po łączach. Nie wiem nawet, co on do mnie w ogóle mówił – skarżył się Kardas. – Normalnie bełkot.

– Starzejesz się.

– Łbem kiwałem jak jamnik na tyłach syrenki, że niby wiem, co on do mnie mówi. Kosmos. Dokąd to zmierza, co? – Pociągnął nosem. – Odebrałaś kociaka?

– Ehe. Właśnie jadę – skłamała gładko. – Muszę sobie nieco odbić, więc jeśli myślałeś, żeby mnie odwiedzić, to nie za szybko będę w domu.

– Nie. Mam jeszcze Brzeźnego po drodze. A potem do firmy na chwilę.

– To dobrze się składa. Aha, żebyś nie był zaskoczony… Wysłałam małą informację do twojej… nieudanej.

– Jaką?

– Fakturkę za serwis auta – rzuciła. – Dla twojej informacji poszło z ubezpieczenia, ale niech się Anka pomartwi. Może jak policzy zera, to następnym razem ruszy najpierw głową.

– Raz jeszcze cię za nią przepraszam – powiedział szczerze.

– Pomóż mi lepiej dopaść drania. – Zwolniła przed wjazdem do bramy. – Kardas, jeśli Brzeźny coś wyhaczy, to dzwoń albo pisz. – Zaparkowała obok niebieskiego nissana i zerknęła w lusterko.

– Możesz być spokojna.

– Aha, i jeszcze jedno… – Nabrała powietrza. – Jakbyś chciał i miał ochotę… – zawahała się.

– To co?

– Zadzwonię do ciebie jeszcze – powiedziała i się rozłączyła.

Przejrzała się w lusterku, poprawiła włosy, a z kieszeni wyjęła kamyk. Położyła go na obudowie zamkniętego schowka między siedzeniami. Zwykle trzymała tam broń. Również i dziś. Uznała jednak, że mały kimber nie będzie jej teraz potrzebny. Chwyciła torebkę i wysiadła z samochodu.

*

Zaprowadził ją do swojego gabinetu, pokazując po drodze stanowiska nieobecnych o tej porze pracowników. Byli sami. Dawid zaproponował kawę i nie czekając na jej odpowiedź, uruchomił ekspres. Wybrał opcję „cappuccino”.

Zoja popatrzyła na wiszące na ścianach reprodukcje rycin Goi. Odruchowo szukała wzrokiem tej z postacią demona, który zakłócił sen Kardasa. Dotarło do niej, że przez cały dzień nachodziły ją różne myśli na temat tego, co się wydarzyło w nocy. Kardas naprawdę ją przestraszył, gdy pojawi się w jej pokoju z bronią w ręku, ale później sprawił, że się uspokoiła. Poczuła się bezpieczna. Tak jakby obecność Kardasa odegnała jej demona. A może to tylko jej wyobraźnia?

Zerknęła na Dawida, który właśnie stawiał na stoliku filiżanki z kawą.

– Podziwiasz mojego Goyę?

– Widać, że naprawdę go lubisz. – Odwróciła się.

Dawid stanął za jej plecami i patrzył na swoją kolekcję.

– To zaledwie połowa serii zatytułowanej *Szaleństwa*. Do każdej grafiki, a właściwie akwaforty, przypisane jest przysłowie, sentencja – powiedział cicho.

– Na przykład? – zagadnęła.

– Na przykład: „Waży więcej niż martwy osioł. Szaleństwo kobiece”.

– Muszę zgłębić wiedzę z zakresu jego twórczości. Na pewno znajdę coś odpowiedniego, żeby się odgryźć. – Uśmiechnęła się przekornie. – Masz te plany obozu? – zapytała, rozglądając się po gabinecie. – Okropnie jestem ciekawa, jak to wyglądało…

Dawid wyjął z regału jeden z segregatorów i otworzył go na biurku. Przerzucił kilka stron. Każdy dokument był opatrzony stemplami i parafkami podpisów. Na każdym widniała sygnatura.

– Poczekaj. – Złapała go za nadgarstek i zaraz cofnęła rękę. – Przepraszam. Ale chyba wiem, co to za dokument. Widziałam już podobne. – Popatrzyła w oczy Dawida.

Przytrzymał jej wzrok, po czym wyjął papier z nagłówkiem „Postanowienie o umorzeniu śledztwa” i podał Zoi.

– Dwudziesty ósmy listopada sześćdziesiątego szóstego… – czytała cicho – … w sprawie zbrodni hitlerowskich popełnionych w latach czterdzieści jeden–czterdzieści cztery na więźniach ludności polskiej i żydowskiej, zatrudnionych przy budowie węzła kolejowego Łódź Olechów. – Przełknęła ślinę. – Umorzenie wobec niewykrycia sprawców popełnionych zabójstw. – Podniosła oczy znad tekstu. – To znaczy, że żaden z oprawców nie został osądzony?

– Żaden. – Dawid pokręcił głową. – Ani jeden nie został zidentyfikowany. Nikt nie znał ich nazwisk. Przez setki akt przewijają się te same postaci, ale określane są przezwiskami, pseudonimami. Największym przestępcą i zbrodniarzem był niejaki „Tyrolczyk”. Zabił prawie połowę przybyłych do obozu więźniów i wykazywał się

niebywałym okrucieństwem, a jednak nikt nie wiedział i nikt nie wie do dziś, kim był.

– Straszne to.

Dawid schował dokument i przerzucał dalej segregator.

– Jest – odezwał się nagle. Wysunął z foliowej koszulki złożony pożółkły plan i delikatnie rozłożył na biurku. – Tak to wyglądało kiedyś.

Odsunął się i sięgnął po swoją kawę. Obserwował dziewczynę, jak pochylona odgaduje po kolei miejsca i porównuje jej z tym, co widziała kilkadziesiąt minut temu. Pomógł jej, gdy kilka razy nie mogła zlokalizować jakiegoś obiektu. Wieża ciśnień była jej punktem odniesienia. W końcu, gdy zaspokoiła ciekawość, opadła na fotel i wzięła do ręki filiżankę.

– Myślisz, że skłonności do zabijania zależą od genów?

– A istnieje coś takiego jak skłonność do zabijania?

– Wiesz, chodzi mi o łatwość w podjęciu takiej decyzji. Druga sprawa to samo działanie.

– Nie wiem. Nie słyszałem o takiej zależności. Myślę, że to sytuacja, w jakiej człowiek się znajduje, wymusza na nim pewne zachowania. Każdy jest zdolny zabić. Nawet dziecko. Pytanie, na ile jest to świadome działanie.

– Wiesz już, że mam za sobą poważny proces? – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak – odparł. – Nie znam szczegółów, ale kojarzę, że chodziło o przekroczenie uprawnień…

– Dwie ofiary śmiertelne – szepnęła.

– Ale zostałaś oczyszczona z zarzutów.

– Czytałeś. – Zacisnęła palce dłoni i się zamyśliła. – Z moją ciotką, tą, która zmarła, nie widywałyśmy się prawie wcale. Praktycznie jej nie pamiętałam. Ale tak się złożyło, że odwiedziłam ją dosłownie dzień przed tym, jak odeszła. Nazwała mnie wtedy faszystką. Tak jak połowę mojej rodziny. Dlatego tak się wczułam w to

grzebanie w historii. Przyszło mi do głowy, że może jakiś mój przodek faktycznie był esesmanem i przekazał swój gen dalej i dalej… aż dostałam go ja.

– Zostałaś oczyszczona z zarzutów – powtórzył Dawid.

– Wiem i nie twierdzę, że było inaczej! – Dostrzegła strach malujący się na twarzy Dawida. – Ej, byłam śledczą. Babrałam się w zabójstwach dzień i noc. I właśnie to miałam na myśli. Że mnie to nie przerażało.

– Uważam, że to kwestia predyspozycji, talentu i na pewno charakteru. Indywidualnej odporności na niektóre zdarzenia. Może trochę wychowania? Ale nie łączyłbym z tym dziedziczenia genów. Podejrzewam, że nikt z twoich przodków nie służył w armii niemieckiej ani w SS.

– Sama nie wiem, co myśleć. Mam tyle pytań i żadnych odpowiedzi. I nie sadzę, bym uporała się tą rodzinną historią zbyt szybko.

– A ja sądzę, że Eleonora ci pomoże. Zafascynowałaś ją. – Przysiadł na brzegu biurka. – Tak jak mnie. Totalnie odleciałem. – Chwycił za boki fotela i przyciągnął go blisko siebie. Wsunął dłoń we włosy Zoi, przychylił się i ją pocałował.

Zoja zgłupiała, lecz o dziwo po chwili poczuła przyjemne mrowienie w środku. Tymczasem Dawid pieścił jej szyję, ramiona i schodził coraz niżej. Jego dłonie zatrzymały się na chwilę na jej piersiach. Opinał je materiał koszulki, a mimo to czuła ciepło jego dotyku. Niespodziewanie chciała więcej. Oboje chcieli. Jego niecierpliwe palce zacisnęły się na jej pośladkach. Jednym ruchem posadził ją na biurku. Zoja oplotła go udami i zaczęła rozpinać jego jasną koszulę. Strąciła stojący na biurku organizer. Jego zawartość rozsypała się na miękkiej wykładzinie.

– Sorki – szepnęła i chwyciła za materiał koszuli, odsłaniając klatkę piersiową z widoczną linią mięśni i wyrzeźbionymi muskułami ramion. Z zachwytem przesunęła dłonią po pokrywającym gładką skórę tatuażu. Dawid się uśmiechnął i odwrócił ramię, by mogła je dokładnie zobaczyć. Nagle w holu cichej kancelarii rozległ się zgrzyt zamka.

Zoja spojrzała z zaskoczeniem na Dawida, który od razu ją odsunął. Pospiesznie zaczął zapinać koszulę.

– Poczekaj tu – nakazał jej.

Wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Zoja westchnęła. Po chwili zeskoczyła z biurka, poprawiła włosy i odruchowo zaczęła zbierać spinacze i rozsypane na podłodze kartki. Powoli wracała do rzeczywistości.

Tymczasem w jej palcach znalazło się kilka pustych kopert. Kremowych kopert, które rozpoznała od razu. Przełknęła ślinę.

Jej wzrok automatycznie powędrował na ścianę z kolekcją rycin, a w głowie zaczęła się gonitwa myśli. Obrazy miejsc i przedmiotów jak w przyspieszonym filmie przewijały się jej przed oczami. Podobnie jak towarzyszące im słowa: „Mam nadzieję, że nie jesteś uczulona na kwiaty, tak jak moja sekretarka", „Ja wszystko kseruję, skanuję, a później pracuję na kopiach", „Kiedy rozum śpi…", „Czy twoje mieszkanie oglądała para starszych ludzi?", „Każdy jest zdolny zabić. Nawet dziecko". Zerwała się z podłogi i dopadła do torebki. Chwyciła telefon, napisała esemesa do Kardasa, po czym wybrała jego numer.

Odebrał po dwóch najdłuższych sygnałach na świecie.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić, bo Brzeźny…

– Kardas, zamknij się i słuchaj uważnie. Mam bardzo, ale to bardzo wielką nadzieję, że się mylę. Ale wiele wskazuje na to, że jestem u zabójcy Fabiś – szeptała. – Wysłałam ci adres.

– Co? Jak? Gdzie?

– Nie czas na opowieści. To jest kancelaria adwokacka.

– Kancelaria?! Musisz stamtąd natychmiast wyjść! Brzeźny ustalił, że kopiarka, której numer podał Wincent, została zakupiona na kancelarię adwokacką! Pokrywa się to z zawartością dysku, czyli z tym, co zazwyczaj jest tam drukowane. Akta, dokumenty i tym podobne rzeczy. Znalazł też twoje obrazki.

– Jesteś pewien? – Zacisnęła powieki. – To niemożliwe…

– Czy Brzeźny się kiedyś pomylił?

– Źle to wyszło – powiedziała do siebie. – Kurewsko fatalnie…

Rzuciła się do biurka i zaczęła przeszukiwać szuflady. Wśród papierów leżała fiolka z białymi tabletkami.

– Słuchaj, Zojka, nie wiem, co tam robisz, ale masz natychmiast uciekać!

– Łatwo ci powiedzieć.

Wzięła do ręki pojemnik podniosła pod światło i potrząsnęła. GHB. Z przerażeniem zerknęła na swoją kawę. Schowała fiolkę do kieszeni i zaczęła przeglądać dolną szufladę.

– Co ty tam robisz?

– Szperam w jego rzeczach. – Podniosła teczkę i ściągnęła usta.

– Zabieraj się stamtąd!

– Nie mogę – powiedziała głośniej, niż powinna.

Chwyciła w dłonie wieczko pudełka z napisem „Colt”.

– Gość ma klamkę w szufladzie biurka. Kolcika. I to z pełnym magazynkiem. Super, bo pukawkę zostawiłam w aucie.

– Zojka! Do kurwy nędzy! Spieprzaj! – grzmiał Kardas.

– Nie! Właśnie postanowiłam, że muszę z nim pogadać. – Włożyła broń za pasek spodni i zamknęła szufladę.

– Pogadać?! To on tam jest?!

– No tak. Za drzwiami gabinetu, rozmawia z kimś.

– Nic z tego nie rozumiem, ale wiem jedno! Masz się stamtąd natychmiast wynosić! Zanim cię zobaczy!

– Już widział. – Zaśmiała się. – Spokojnie, sądząc po jego nastawieniu… – pociągnęła nosem – …jest bardzo pozytywnie nastawiony. W każdym razie przyjedź teraz. – Jak zwykle rozłączyła się, zanim Kardas skończył mówić, i schowała komórkę.

Usiadła w fotelu akurat, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Dawid.

Zoja spojrzała na jego twarz.

Nie uśmiechał się już.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Zoju… – Podniósł rękę i pokazał niedużą kamerkę w rogu gabinetu.

Zoja poczuła, że robi się jej gorąco.

*

Kardas zacisnął palce na służbowej broni. Nabrał powietrza i z impetem kopnął drewniane drzwi. Włożył w to całą swoją siłę, co przyniosło oczekiwany skutek. Kancelaria adwokacka Dawida Woźniaka stała przed policjantem i jego kolegami otworem. Kardas wpadł do środka jako pierwszy i wykrzykując imię Zoi, przemierzał poszczególne pomieszczenia. Towarzyszyli mu Brzeźny i jeden ze śledczych pracujący przy sprawie zabójstwa Fabiś. Obaj policjanci trzymali się nieco z tyłu, ubezpieczając kolegę. Zaglądali w miejsca, które Kardas tylko omiótł wzrokiem.

Na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na to, że nie zastali w kancelarii nikogo, chociaż samochód Zoi wciąż stał na podwórku. Kardas podszedł pod drzwi ostatniego pomieszczenia i spojrzał na kolegów. Dał im znak, by znów go ubezpieczali. Policzył do pięciu, nacisnął na klamkę, popychając skrzydło drzwi, i schował się za futrynę. I wtedy dobiegł ich niewyraźny jęk. Kardas wsunął głowę i rozejrzał się, po czym ostrożnie wszedł do środka.

– Ranny! – krzyknął i zbliżył się do półprzytomnego mężczyzny, który leżał w kałuży krwi. – Rana postrzałowa – wrzasnął do Brzeźnego, który stał w progu.

Kardas przykucnął przy krwawiącym mężczyźnie.

– Wytrzymaj jeszcze – powiedział, przyglądając się jego ranie. Źródło krwotoku znajdowało się na barku. – Pomożemy ci. Oddychaj i staraj się nie ruszać. Jak się nazywasz?

– Dawid Woźniak, jestem… – Próbował łapać powietrze.

– W porządku, spokojnie. Wzywamy pogotowie.

Mężczyzna przytaknął skinieniem głowy.

– Zoja… – wyszeptał i zaczął kaszleć.

Kardas wbił w niego rozbiegany wzrok

– Co z nią?! Gdzie ona jest? Co tu się stało? – Bez sensu szarpnął rannym, a mężczyzna jęknął przeciągle.

– Myślałem, że… – wysapał. – Ale wrócił… strzelił do mnie. Chciałem ją…

– Kto? Gdzie?! Do cholery?! – wrzasnął Kardas i poczuł, że coś ciągnie go w tył. Odwrócił głowę i popatrzył z zaskoczeniem na policjanta dochodzeniówki.

– Mariusz, opanuj się. On nam zaraz zejdzie! – powiedział twardo. – Przesuń się, ja się nim zajmę. – Brzeźny usiadł na podłodze.

Kardas wstał, rozejrzał się po gabinecie i na widok kolekcji rycin znieruchomiał. Na biurku leżała otwarta fiolka, kilka białych tabletek, na stoliku dwie filiżanki z niedopitą kawą i torebka Zoi. Kardas chwycił ją i wytrząsnął na blat jej zawartość. Z zadowoleniem stwierdził, że nie ma w niej samsunga, którego dał jej Wincent, co oznaczało, że przy odrobinie szczęścia Zoja ma go przy sobie. Był natomiast pilot od auta i iPhone. Migające światełko dawało do zrozumienia, że odebrano wiadomość. Wśród innych drobiazgów leżała nieduża papierośnica. Kardas otworzył ją i zobaczył równo ułożone skręty. Nie brakowało żadnego. Zgarnął rzeczy z powrotem do torebki, po czym dopadł do szuflad, o których mówiła mu dziewczyna. Jedna z nich była otwarta, wystawało z niej puste pudełko po broni. Cisnął nim o podłogę, klnąc głośno.

– Tam… Kamera… – wycharczał ranny i zrobił ruch ręką w górę.

Kardas powiódł za nią wzrokiem i dostrzegł zwisający fragment plastiku, który był kiedyś obudową kamery. Wypadł z gabinetu, wołając Brzeźnego. Zastał go za biurkiem sekretarki. Policjant gmerał w swoim laptopie, podpiętym pod komputer kancelarii.

– Tam była kamera. Została zniszczona, ale może jest zapis! – krzyknął Kardas.

– Nie tylko tam, przy wejściu też. Już nad tym pracuję – odpowiedział Brzeźny, klikając szybko. – No, pokaż, co tam widziałaś, malutka – mruczał pod nosem.

Kardas dopadł do stolika, na którym stal bukiet lilii. Dotknął środka kwiatowego kielicha i roztarł na palcach żółty pyłek. Za oknem błysnęły światła

karetki.

– No, chodź tu! – zawołał go Brzeźny, po czym uruchomił film.

Kardas przychylił się i skupił wzrok na ekranie. Zacisnął pięści, gdy zobaczył Zojkę całującą się z adwokatem na biurku.

– Wygląda na to, że znała tego rannego gościa – rzucił Brzeźny, ale zamilkł, widząc złość na twarzy kolegi.

Kardas faktycznie był zły jak osa. Brzeźny przyspieszył film. Zatrzymał na fragmencie, gdy dziewczyna przeszukuje biurko i rozmawia przez telefon. Dokładnie zwrócił uwagę na moment, gdy Zoja chowa aparat do tylnej kieszeni spodni, i klasnął w ręce.

– Brzeźny, namierz mi jej numer! – Rzucił koledze aparat. Nie odrywał wzroku od ekranu. W kadrze znów pojawił się adwokat. Podszedł blisko Zoi, a po jej minie można było wywnioskować, że o coś się sprzeczają. Trwało to chwilę, po czym Zoja z wściekłością cisnęła czymś, co wyjęła z kieszeni, o biurko. Drobne, białe kropeczki rozsypały się po ciemnym blacie.

– Fiolka – skojarzył Kardas. Zamarł, gdy Zoja wyjęła broń. – Ty mu to zrobiłaś? – Zmrużył oczy.

Czujnie patrzył na każdy jej ruch. Nagle dziewczyna odłożyła broń na biurko i wróciła do rozmowy. Wtedy wydarzyło się coś, co totalnie zaskoczyło nie tylko Kardasa, ale przede wszystkim obecnych w gabinecie: Zojkę i adwokata. Do pokoju z impetem wtargnął jakiś chłopak. Był w płaszczu, a Zoja na jego widok zakryła ręką usta. Musiał coś krzyczeć, a adwokat z zaciśniętą pięścią ruszył w jego kierunku. Tamten był jednak szybszy. Dopadł do biurka, chwycił za broń i strzelił. Trafił adwokata. Mężczyzna upadł w miejscu, w którym go znaleźli, a Zoja bez namysłu ruszyła w kierunku napastnika. Doszło między nimi do szamotaniny i znów padły strzały. Kardas zacisnął powieki. Zoja się zachwiała, a chłopak, oswobodziwszy się z jej uścisku, uderzył dziewczynę rękojeścią pistoletu w głowę. Następnie podniósł broń w górę i celując w kamerę, oddał strzał. Ekran zalał się czernią.

– Dawaj z drugiej kamery! – wrzasnął Kardas do Brzeźnego.

Drugi film okazał się rejestracją wejść i wyjść. Jak nietrudno było zgadnąć, po tym, jak pojawiła się Zoja, upłynęło nieco ponad kwadrans i w progu kancelarii stanął młody mężczyzna w płaszczu. Kardas kazał zatrzymać kadr i przysunął twarz do ekranu. Kojarzył te twarz. Widział ją już. Gdzie? Zacisnął powieki. Myśl! Twarz. Oczy. Jego umysł zareagował, przywołując mu wspomnienie… Biały marmur, schody… klatka schodowa w apartamentowcu Zoi. Nagle policjant uderzył ręką w blat biurka.

– Kurwa! To ten łach, co przysłał Zojce kwiaty. – Zacisnął pięści. – Brzeźny, weź mi to zdjęcie prześlij na telefon. Szybko! I dawaj ten film dalej – rozkazał. Kilkanaście sekund później, na bezdechu, przyglądał się poczynaniom chłopaka na filmie. Tamten otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. Kilka minut później odprowadził go do wyjścia adwokat, któremu chłopak z czegoś się tłumaczył, o czym świadczył przepraszający gest. Pożegnali się i prawnik wrócił do biura.

Licznik u dołu ekranu wskazywał mijające minuty. Dokładnie czterech potrzebował napastnik, by wrócić do kancelarii. Ośmiu, by z niej wyjść, wynosząc nieprzytomną dziewczynę.

*

Ocknęła się, przykuta do jakiegoś siedziska. Pierwsze, co poczuła, to specyficzny zapach. Było ciemno i zimno, ale najbardziej dokuczał jej ból głowy i stopy. Niedawno szyta rana nad skronią musiała znów się otworzyć, bo sączyła się z niej krew. Było jasne, że Zoja oberwała w to samo miejsce. Większy problem stanowiła jednak stopa, pulsująca potwornym bólem.

Zoja spróbowała się poruszyć, ale trytytki wrzynały się w jej nadgarstki i kostki. Skupiła się na tym, by pozbierać myśli. Przywołać w pamięci obrazy. Wtedy pojawiło się światło. Mocny, jasny strumień, wymierzony prosto w nią. Zmrużyła oczy, by spróbować dojrzeć, co znajduje się za nim.

– Widzę, że już jesteś z powrotem. – Sylwetka młodego, wysokiego mężczyzny wynurzyła się z ciemności. – Trochę to trwało. Widać przesadziłem, wybacz – rzucił. – W sumie to dobrze, bo dałaś mi więcej czasu na sprawy techniczne, które wymagają zaangażowania, zwłaszcza jeśli się chce, by wszystko wypadło idealnie. A ja chcę bardzo – zapewnił. – Zanim zaczniemy, kilka ważnych informacji. Nie polecam ci krzyczeć i próbować się oswobodzić. Stracisz tylko bezsensownie energię, której zapewniam, bardzo potrzebujesz. Jesteśmy na zupełnym odludziu. Nikt cię tu nie usłyszy, tak samo jak nie słyszał Wioletty i tej puszczalskiej idiotki, której imienia nawet nie pamiętam, ale do nich wrócimy później. – Machnął ręką. – Miejsce, w którym jesteśmy, to wagon kolejowy. Stoi tu, na nieczynnej bocznicy, od wielu lat, zapomniany przez wszystkich.

Zoja nie widziała jego twarzy, ale miała wrażenie, że się uśmiechnął. Jej umysł pracował na pełnych obrotach, analizując kluczowe informacje na mapie ich dochodzenia.

– Ta aranżacja to mój pomysł. Zależało mi na oddaniu atmosfery. – Zrobił kilka kroków. – Mam tu trochę sprzętu, kamerę, oświetlenie, mikrofony. To będzie nagranie. Jak już zaczniemy, skup się na płynnych odpowiedziach. Możliwe, że martwi cię ta krew na policzku, ale w twoim wypadku nie ma to znaczenia. Poza tym bardziej przejmowałbym się przestrzeloną stopą. Zresztą sama jesteś sobie winna. – Pogroził je palcem. – Rzuciłaś się na mnie, przez co strzelałem na oślep.

Zoja nie spuszczała z niego wzroku. Jedynie raz zerknęła na swoją nogę i zaraz przekonała się, że nie był to dobry pomysł. Zadziałały zmysły i ból stał się nie do wytrzymania. Żołądek się zacisnął i zrobiło się jej słabo. Nabrała głęboko powietrza i przymknęła oczy. Wytrzyma. Miała nadzieję, że Kardas znajdzie wiadomość na iPhonie z jej lokalizacją, którą wysłał G-Shock wciąż oplatający jej przedramię. Nawet teraz próbowała wcisnąć małym palcem ten cholerny przycisk, ale nie miała żadnej pewności, czy to się uda.

– Masz jakieś pytania? – zagadnął, biorąc w rękę statyw z kamerą. – Wiesz, takie poza anteną. Nie? W porządku. – Zatarł w ręce. – W taki razie… Poszło! – obwieścił.

– Przedstaw się, proszę – powiedział.

Zoja zmierzyła go tylko ponurym wzrokiem i milczała.

– Stop! – zatrzymał nagrywanie.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i szybko podszedł do dziewczyny. Wbił w jej bok lufę pistoletu.

– Masz odpowiadać na pytania, rozumiesz? Jeśli nie będziesz posłuszna, to zabiję cię od razu. I nigdy nie dowiesz się, dlaczego tu jesteś. Jasne?

Zoja zmierzyła go złowrogim spojrzeniem.

– A do czego mi ta wiedza jest potrzebna? – rzuciła. – W dupie mam twoje pytania. – Pokiwała głową, krzywiąc się z bólu.

– Na twoim miejscu nie byłbym taki hardy.

– Oczywiście, że nie. Frajerzy nie są hardzi.

– Zamknij się! – Wymierzył jej policzek.

Wrócił, uruchomił sprzęt i przysiadł na wysokim stołku.

– Tak więc raz jeszcze. Jak się nazywasz? Mów! – krzyknął i sięgnął po leżącą z boku starą gazrurkę. Zbliżył jej koniec do zakrwawionej stopy dziewczyny. Zoja przełknęła ślinę.

– Zoja Sterlak – powiedziała cicho.

– Świetnie. Wielu z was… – zwrócił się do kamery – …zastanawia się, czy to tylko zbieżność nazwisk, czy to jest ta sprytna policjantka, która dwa lata temu uszczupliła zasoby policyjnych szeregów, strzelając do swej partnerki. I co ważniejsze, czy ten dziany gość od deweloperki, znajomy polityków i pseudobiznesmenów to jej ojciec? Otóż tak. To właśnie jego córeczka.

– Nie waż się wspominać Magdy! – wycedziła wściekle.

– Bolesny temat, co? Pieniążki tatusia nie dały rady wymazać z pamięci złych wspomnień. Szkoda.

– Czego chcesz, pojebie?! – syknęła.

– Twojej śmierci. Spektakularnego show z tobą w roli głównej. – Zbliżył się. – Miałaś coś dla mnie zrobić i nie dotrzymałaś słowa. Tak samo jak twój stary i ta

głupia suka, Wioletta, elokwentna dziennikarka z masą znajomości. – Pokiwał głową. – Nawet nie spróbowała. Ale jej śmierć zrobiła nieco zamieszania. Jeśli chcesz wiedzieć, pracowałem w miejscu, gdzie teraz siedzisz. – Wskazał palcem. – Dwie pieprzone godziny kucałem nad martwą Wiolką i walczyłem z tymi literami. Cały w krwi i jej szczynach. Miałem nadzieję, że ktoś doceni mój wysiłek i dojdzie do przecieku w policji. Że ktoś sprzeda temat. Ale nie. Mojej pracy nie pokazał ani jeden portal, ani jedna gazeta nie pokusiła się choćby o wzmiankę na temat napisu na plecach Fabiś. – Westchnął ciężko. – To tylko świadczy o tym, jak jesteś dla nich cenna. Dla ojca i tego gościa z ABW. – Pokiwał głową. – Przyglądałem się twoim poczynaniom. I byłem rozczarowany. Co ci przyszło do głowy z tym Widzewem?! – zapytał. – Myślałem, że mam do czynienia z profesjonalistką, a ty jesteś głupia. Po prostu głupia. Policja zresztą też. Złapali pierwszego lepszego frajera, z którym Fabiś się puszczała, i myśleli, że sprawa załatwiona.

– Wiesz co? – odezwała się niespodziewanie Zoja. – Pierdolisz od dziesięciu minut, a ja wciąż nie mam pojęcia, o co ci w ogóle chodzi. Podejrzewam, że połowa tych zboków, którym planujesz to pokazać, też tego nie ogarnie. Więc powiem ci jedno. To ty jesteś do dupy. Jarasz się tym, że udusiłeś laskę, która cię olała i którą najpierw musiałeś naćpać, a potem pociąłeś ją w wagonie na jakimś odludziu. Do tego udajesz jakiegoś pojebanego artystę i wodzireja. Na co liczysz? Na karierę w *Mam talent*?

Na jej twarz spadł kolejny siarczysty policzek.

– Milcz, suko! – warknął.

Niespiesznym krokiem wrócił na swoje krzesło. Ustawił coś w kamerze i nabrał powietrza.

– Pytasz, na co liczę. Otóż… na rozgłos. Potrzebujemy go, by stowarzyszenie zostało wreszcie wysłuchane!

– Stowarzyszenie? – zapytała Zoja. – A co ty masz z nimi wspólnego?

– Eleonora Ritter to moja babcia – odpowiedział.

– Nic nie rozumiem… – powiedziała szczerze.

Nie mogła znaleźć logicznego wyjaśnienia sytuacji, w której istniała jakaś zależność między nią a staruszką z fundacji. Nią a oprawcą. Nią a Fabiś.

– Nie wiem, czy wiesz, ale chcę być politykiem. Dostać się na szczyt. Potrzebuję jedynie trampoliny. A jak to zrobić w krótkim czasie? – zapytał. – Skandal! To jest to słowo. Skandal, czyli wyciągnięcie na światło dzienne największych brudów przeciwnika! Mam dowody na takie machloje w mieście, że głowa pęka… – Zaśmiał się chytrze. – Ale musiałem zacząć od czegoś, co będzie społecznie uznane za dobre i potrzebne. Stowarzyszenie i walka o zdrowie ludzi były dobre, choć mało nośne. Namówiłem więc babcię, by wsparła działalność stowarzyszenia swoją fundacją. W końcu ratujemy pamięć o Żydach, a droga, przed którą bronią się mieszkańcy i członkowie Zdrowej Dzielnicy, przechodziłaby przez nasyp. Diaspora walczy o pamięć tych więźniów do upadłego, a ja mogłem się pod to podłączyć i namieszać na tyle, by moje nazwisko było rozpoznawalne. By było kojarzone z fundacją. Wtedy pomyślałem, że najlepsi w robieniu hałasu są dziennikarze. Nie znam ich wielu. Ale akurat Wiolettę Fabiś tak. Nieduże nazwisko, ale na początek mogło być. Zaczepiłem ją więc któregoś dnia i zapytałem, czy nie chciałaby zająć się tematem nasypu i budową mającą zbezcześcić pamięć zgładzonych więźniów. Na początku się zgodziła, ale po dwóch tygodniach postanowiła się wycofać. Okazało się, że tym tematem narobiłaby sobie wrogów w urzędzie miasta. Przy wstępnym rozpoznaniu sprawy dotarła do informacji, że jeden z poważnych kandydatów na stanowisko prezydenta ma jakiś udział w spółce, która częściowo finansuje budowę nowej synagogi w mieście. Gmina żydowska jako lojalny beneficjent nie ma zamiaru wytykać fundatorom, czyli miastu, sprawy nasypu. Nie chcą rozmawiać z Diasporą, nie chcą rozmawiać ze Zdrową Dzielnicą. Miasto zamknęło im usta obietnicami o synagodze i koszernym hotelu, a oni zamknęli oczy na szczątki swoich przodków na Olechowie, na terenie, który sprzedaje się pod inwestycje. A jednak Wioletcie ten temat się nie spodobał. Uznała, że nie chce się w to mieszać. Zachowała się tak samo jak te sprzedawczyki. Odpuściłem więc i zacząłem aplikację. Zająłem się pracą w kancelarii. Miłe miejsce, ciekawi ludzie. – Wzruszył ramionami. – Może

z wyjątkiem tego dziwkarza Dawida. Ale to osobny temat. To, co wkurzało mnie najbardziej, to stagnacja. Czułem, że się duszę. Że jestem zdolny, że wystarczy iskra, żebym wystrzelił! A temat tego nasypu mógł być świetną sprężyną. Ale wymagał rozgłosu. Któregoś dnia zorganizowałem dużą pikietę. Naprawdę spore zamieszanie. Byłem pewien, że chwyci, bo pojawiło się na niej trochę ludzi z mediów. Efekt? Niewielka wzmianka pod koniec newsów lokalnych. Nawet mnie nie pokazali. Ważniejszym tematem był proces policjantki zamieszanej w podejrzaną strzelaninę. Trzeba przyznać, miałaś swoje pięć minut. Wtedy niespodziewanie moja babcia powiedziała mi, że was kojarzy. Że pamięta waszą rodzinę z czasów wojny i nie tylko. Że twój ojciec ładnie się wybił za komuny i zawdzięcza to swoim układom w agenturze. Że ma kasę, więc twoje kłopoty są chwilowe. I wtedy doznała olśnienia. Twój ojciec! Ze swoimi znajomościami był tym, którego potrzebowała. – Klasnął w dłonie. – Poprosiła o pomoc Dawida, a ten odkrył, że firma twojego starego chce przystąpić do przetargu na zakup ziemi w okolicach Olechowa. Babcia uznała tę informację za znak. Postanowiła nawiązać kontakt z twoim ojcem, by nakłonić go do zrezygnowania z inwestycji i co ważniejsze, namówić go do wsparcia działań Zdrowej Dzielnicy i ewentualnie Diaspory. Oboje z Dawidem zdawali sobie sprawę, że dotrzeć do twojego starego to jedno, ale wpłynąć na jego decyzję to już wyższy *level*. Dawid wymyślił więc, że wykorzysta do tego ciebie.

– Co? – Skrzywiła się.

– Zabolało, co? Takie *love*, a tu taki cios. No niestety, to nie była prawdziwa miłość. – Rozłożył ręce. – Chodziło tylko o to, by spróbować zaciekawić cię tematem przeszłości nasypu, historią waszej rodziny. Mówiąc krótko, by przygotować grunt pod spotkanie z twoim ojcem. Twoja osoba miała zmiękczyć pana biznesmena. Bo kto jak nie córka? – prychnął kpiąco. – I nie przeczę, że babcia dobrze to wykombinowała, ale popełniła wielki błąd. Nie wzięła pod uwagę mnie. Wszystko przerzuciła na Dawida. Zaufała mu bezgranicznie. Tak jakbym nie istniał. Olała mnie i wybrała jego. – Zapatrzył się gdzieś w górę. – Nie wiem, może nawet planowała jemu przekazać fundację? A ja nienawidzę Dawida i nie pozwolę,

by zajął moje miejsce. Postanowiłem, że go ubiegnę i udowodnię babci, że jestem w stanie zrobić więcej niż on, i to dużo szybciej. Wyszperałem w necie wszystko, co było na twój temat. Każdą wzmiankę, zdjęcie, każde zdanie. Wiem o tobie więcej niż ty sama.

– Gówno tam wiesz! – warknęła.

– Och, wiem na przykład, kim był jeden z biegłych sądowych. Czy może z racji bliskiej znajomości z twoim ojcem i tym gościem z ABW, mówisz do niego wujku, czy może po prostu Waldek?

Zoja zagryzła zęby.

– Sama widzisz, że nie blefuję. – Wzruszył ramionami. – Mogę zniszczyć wielu ludzi. Uznałem, że jeśli chcę rozgłosu, to potrzebuję kogoś znanego. Kogoś medialnego. W tamtym czasie media żyły tobą. Niestety ty zdążyłaś już dać nogę za granicę. Czekałem, czekałem. Czas płynął, a ja czułem, że muszę działać. I wtedy wpadłem na inny plan. Znów skontaktowałem się z Wiolettą i po raz kolejny zaproponowałem jej temat. Przygotowałem nawet prezentację, dałem sprzęt. Odmówiła. Spodziewałem się tego i liczyłem na to. Dała mi pretekst i zielone światło, by zabawić się z nią na ostro. Początkowo grałem w tę jej głupią grę w wysyłanie zdjęć, ale nie bardzo łapałem te kretynizmy. No i byłem niecierpliwy. Miałem już pomysł na wycinankę.

– Tylko po co? – zapytała Zoja. Czuła, że słabnie. Poruszyła stopą i poczuła, że krew zachlupotała w jej bucie.

– Powody są trzy… Pierwszy to oczywiście kara. Olała mnie. Drugi to media. Zależało mi na zamieszaniu, które skieruje uwagę na twoją osobę. Wtedy ja miałem pojawić się u ciebie z ofertą pomocy w rozwiązaniu zagadki pod tytułem: co łączy Zoję Sterlak ze śmiercią znanej dziennikarki. Miałem w planie dotrzeć do ciebie na tyle blisko, by kontrolować, co robisz, i podsuwać odpowiednie dane i tobie, i mediom. Podkręcać temperaturę, by wrzawa nie ucichła. – Wycelował palcem w Zoję. – Przypominam, że mieliśmy już wtedy prawie kontakt ze sobą.

Odpowiedziałem na twoje ogłoszenie o sprzedaży mieszkania i zaczęliśmy do siebie pisać.

– Nie pochlebiaj sobie – szepnęła. – Odpisałam ci tylko, że zlecam sprzedaż agencji nieruchomości. Wtedy zacząłeś zalewać mnie mailami z błaganiem, żeby dać ci możliwość zobaczenia mieszkania w pierwszej kolejności. Opowiedziałeś jakąś bajeczkę o narzeczonej – prychnęła. – Zrobiłam błąd, że się zgodziłam. Żałowałam tego od chwili, kiedy was zobaczyłam – powiedziała Zoja i zacisnęła z bólu zęby.

– Tak. To nie był trafiony wybór. Dziewczynę, która ze mną przyszła, poznałem w necie. Miała odegrać swoją rolę i spadać. – Pokręcił głową. – Marna aktorka, przez którą straciłem szansę na kontakt z tobą. Miałem nadzieję, że będziesz chciała mnie jeszcze zobaczyć, rozmawiać o sprzedaży. Wysłałem kwiaty. Nie zadziałało. Nie zostawiłaś mi wyboru. Do tego prowadziłaś to swoje śledztwo, jakbyś robiła to po raz pierwszy. Ale dostałaś drugą szansę, której nie wykorzystałaś, bo bardziej zajęło cię romansowanie z Dawidem. „Od złych nałogów do cudzołóstwa tylko krok” to jedno z przysłów Goi. Artysta zainspirował nie tylko Dawida. Jestem pilnym uczniem – dodał z dumą. – I jak widzisz, idę po trupach do celu. Mam zamiar uczynić z twojej śmierci wydarzenie, które zwróci uwagę mediów na nasyp. A gdy ludzie dowiedzą się wreszcie, co kryją hałdy ziemi i żwiru, wejdę do gry. Z ramienia Diaspory pomogę w udupieniu koncernu, który truje mieszkańców i członków Zdrowej Dzielnicy. Potem zabiorę się za radnych i polityków.

– Nie chcę psuć ci zabawy, ale nie sądzę, by moja osoba coś tu zmieniła. Nikt się nie zainteresuje moją śmiercią do tego stopnia, by zmienić plany inwestycyjne w Łodzi. Przeceniasz mnie. I musisz być dobrze jebnięty, że wierzysz w sukces swojego planu. Zachodzę w głowę, jak to się stało, że skończyłeś prawo.

– Zobaczymy, kto i co może załatwić. Twój ojciec esbek miał już swoją szansę, by cię uratować, ale ją olał. A wystarczyło zainteresować się tematem nasypu i naszej organizacji. Przecież ma kontakty z politykami. Prosiłem go w mailu, by

umówił mnie z jednym ze swoich znajomych. Jestem pewien, że gdyby jakiś ważny polityk mnie poznał, bez mrugnięcia okiem zaprosiłby mnie do współpracy.

– Nie wiem, czy się słyszysz, ale to, co mówisz, jest totalnie niedorzeczne.

– Milcz! Dopnę swego! – krzyknął. – Zmieniłem swój plan. Jest wstrząsający, ale dzięki temu twój ojciec poruszy niebo i ziemię, by wyjaśnić, dlaczego zginęła jego córeczka. A ja wszystko tak zaaranżuję, żeby mógł pociągnąć do odpowiedzialności ludzi związanych z inwestycjami. Ludzi z urzędu. Ja pojawię się w odpowiednim momencie, by zająć ich miejsce.

– Eleonora o tym wie? Chwaliłeś się jej, co robisz? – spytała Zoja. – Wie, że jej wnuk to popieprzony zwyrol, którego jara zabijanie kobiet?! Nie udawaj, że zależy ci na jakiejkolwiek słusznej sprawie! Jesteś zwykłym mordercą. Takim samym jak ci wszyscy zwyrodnialcy, którzy byli tu przed tobą. Faszyści i oprawcy, którzy posłali tych ludzi do piachu. Widziałam już takich śmieci…

Zoja straciła przytomność, gdy w jej krwawiącą stopę uderzył trzonek gazrurki.

*

Musiał zwolnić, by nie stracić panowania nad kierownicą. Przez kilka pierwszych skrzyżowań uczył się, jak poskromić silnik challengera. Dopiero na trzypasmowej Piłsudskiego poczuł komfort z jazdy piekielnym kotem. Pokaźny ekran wyświetlał plan miasta i punkt, do którego prowadził go GPS. A to dzięki aplikacji, którą Zoja miała zainstalowaną w komórce, i zegarkowi, który Kardas oglądał w domu Zoi. Piękny, męski G-Shock. Teraz rozumiał, dlaczego go nosiła. Gnał więc na złamanie karku.

Nie tylko on. Wincent wspierał go zdalnie. Poinformowany o sytuacji, uruchomił swoje kontakty. Jednym z nich był komendant policji, główny przełożony Kardasa, a kiedyś i Zojki, nadinspektor Piotrowski. Monitorował poczynania dwójki śledczych w pracy nad zabójstwem Fabiś. Układ z Wincentem był prosty. Szef policji zgodził się dać wolną rękę Kardasowi i Zojce i nie wchodzić im w drogę, a w razie niebezpieczeństwa lub zagrożenia wspomóc ich

odpowiednią interwencją. Zdawał sobie sprawę bowiem z tego, że ograniczenia związane z przepisami spowolnią działania śledcze, które dodatkowo utrudniane były przez wścibskie media. A mając do czynienia z zabójcą o tak wyrafinowanej potrzebie eksponowania swoich dokonań, musieli działać szybko. Oficjalnie więc komendant powołał grupę śledczych, na której czele początkowo stanął Kardas. Gdy Wincent do gry wprowadził Zojkę, Kardas miał zostać odsunięty od sprawy, by skupić się na pracy z byłą partnerką. Komendant początkowo głowił się, jakiego argumentu użyć, by zawiesić podwładnego, nie wzbudzając w nim podejrzeń. Awantura na stadionie, jaką wywołała Zojka, przyszła jak zbawienie. Zatrzymanie Buriana było zaplanowanym i niezbędnym posunięciem, które dało pożywkę mediom i nie pozwoliło, by dowiedziały się o nieoficjalnie prowadzonych czynnościach. I nad tym wszystkim czuwał Wincent, a komendant niecierpliwie zerkał na kalendarz i liczył uciekające dni.

Gdy odebrał telefon od Wincenta, wysłał prewencję i grupę specjalną w okolice dworca na Olechowie. Kardas nie miał o tym pojęcia. Ani o układzie, ani o wsparciu, jakie właśnie dostał. W komórce wyświetliło się imię kolegi. Odebrał od razu. Wśród hałasu panującego blisko rozmówcy wywnioskował, że Wincent jest w samochodzie.

– Kardas, masz za sobą dużą grupę prewencji. Otoczą teren tak, żeby nie dać draniowi możliwości ucieczki. Zajmą się jego zatrzymaniem. Ciebie interesuje tylko Zojka. Nie wiemy, gdzie dokładnie jest. Opieramy się na danych współrzędnych GPS. – Jakiś trzask na chwilę go zagłuszył. – Kardas, jesteś tam?

– Tak. Prewencja? Skąd oni nagle?

– Pozostań ze mną w kontakcie, będę ci pomagał. – Wincent ani myślał wdawać się teraz w tłumaczenia. – Zdjęcia satelitarne wskazują, że Zojka powinna znajdować się w opuszczonej części dworca.

– Wiadomo, kim jest ten człowiek?!

– Już tak. Próbujemy właśnie nawiązać kontakt z jego rodziną.

– Chcecie negocjować? A jeśli zrobił coś Zojce, to…

– Spokój, Kardas – przerwał mu Wincent. – Kiedy ostatni raz wysłała do ciebie sygnał?

– Kwadrans temu – odpowiedział i ruszył tak dynamiczne, że przód samochodu uniósł się w powietrzu. – Zabiję dupka! – zerknął na ekran. Czerwony punkt na mapie wskazywał, że jest niedaleko.

„Do celu pozostały dwa kilometry”, odezwała się nawigacja.

Nie zawahał się docisnąć gazu.

Zmierzch zmienił się w ciemny, ponury wieczór, choć wyświetlacz zegara w aucie nie wskazywał jeszcze dziewiętnastej.

*

Parzyła herbatę w dzbanku, gdy ktoś zapukał do drzwi. Poprawiła zarzuconą na plecy chustę i poszła do korytarza. Zapaliła światło na ganku, wyjrzała przez szybę i dopiero wtedy uchyliła drzwi.

– Pani Eleonora Ritter-Stelmach? – zapytał otyły facet w rozpiętej kurtce. Miał przed sobą odznakę, którą przysunął bliżej szpary w drzwiach, by kobieta mogła dokładnie się jej przyjrzeć.

– Tak – odpowiedziała i szerzej otworzyła drzwi. Dopiero teraz zobaczyła, że jest ich trzech. – Panowie w sprawie napadu na mój dom? – zapytała przestraszona.

– Obawiam się, że mamy poważniejszy problem – odpowiedział policjant. – Proszę się ciepło ubrać. Jest nam pani potrzebna!

*

– Wstawaj! – Mężczyzna silnie ją szturchnął.

Ocknęła się, skołowana i nieobecna. Kręciło się jej w głowie, ale kilka kolejnych sekund wystarczyło, by wróciła jej świadomość.

Przez cały czas znajdowali się w wagonie, z tą różnicą, że światło było przygaszone, a nogi Zoi wolne. Krzesło, na którym przedtem siedziała, leżało pod ścianą.

Zastanawiała się, ile była nieprzytomna.

– Powiedziałem: wstawaj! – warknął i kopnął ją w łydkę.

Poczuła ból, ale zdecydowanie mniejszy niż ten, który rozsadzał jej stopę. Spojrzała na nią, ale było zbyt ciemno, by dostrzec coś więcej niż rozległą czarną plamę. Znów poczuła mdłości i zaczerpnęła głęboko powietrza. Zebrała się w sobie i powoli, pomagając sobie skrępowanymi rękoma, zdołała usiąść. W niedalekiej odległości dostrzegła podłużny przedmiot. Gazrurka. Pomyślała, że jej oprawca musiał zostawić ją po tym, jak uderzył nią w jej stopę.

– Czas na spacer.

Rozsunął do połowy ciężkie drzwi, wychylił się i zerknął w mrok. Było ciemno, cicho i zimno.

Zoja poczuła, że się trzęsie. Podkoszulka, którą miała na sobie, była wilgotna od potu i krwi.

Mężczyzna chwycił za ramię dziewczyny i silnie pociągnął. Zoja wrzasnęła z bólu, ale jakimś cudem udało się jej stanąć. Zdołała również niepostrzeżenie chwycić w palce rurkę. By nie upaść, cały ciężar skupiła na zdrowej nodze.

– Nie wiem, jak to wymyśliłeś, ale nie dam rady stąd wysiąść.

– Mam już jeden patent. Sprawdzony. – Uśmiechnął się złowieszczo.

Zoja domyśliła się, że chłopak chce po prostu wypchnąć ją na zewnątrz. Postanowiła, że za wszelką cenę wykrzesze z siebie siłę, by się bronić. Zerknęła na colta w jego ręku i oceniła odległość. Zacisnęła zęby, by wytrzymać mający za chwilę nastąpić ból, po czym gwałtownie uniosła w górę związane dłonie i zamachnęła się tak, że żeliwna rurka uderzyła w metal pistoletu, wytracając go z rąk oprawcy. Broń spadła na torowisko. Chłopak odwrócił głowę i posłał jej wściekłe spojrzenie. Zrobił krok w jej stronę, ale ona zamachnęła się po raz drugi. Tym razem trafiła go w twarz. Upadł oszołomiony, przewracając się na statyw lampy.

Zapadła ciemność. Zoja zdawała sobie sprawę, że uderzenie nie było zbyt mocne. Jeśli udało się jej go ogłuszyć, to na chwilę. Rozległ się hałas, a potem

zapadła cisza. Usiadła w wejściu do wagonu, opuściła nogi i zsunęła się w czarną przestrzeń. Była przygotowana na bolesny upadek i przechyliła się, by spaść na bark. Wyszło gorzej, niż planowała. Jej biodro zamiast na zarośnięty trawą żwir trafiło w zimny metal. Leżąc na boku, skuliła się niczym embrion, by przetrwać falę przeszywającego bólu. Do oczu napłynęły jej łzy, starała się oddychać głęboko. Przewróciła się na kolana i nerwowo rozejrzała się za pistoletem. Odpuściła jednak, jego znalezienie graniczyło z cudem, a czas nie był jej sprzymierzeńcem. Z mozołem zdołała przedostać się na kolanach do szczytu wagonu i ukryć pod nim. Wtedy usłyszała hałas, a zaraz potem chrzęst kroków na żwirze.

– I tak cię znajdę! – zabrzmiało w ciemności. – Nie masz szans!

Mężczyzna kręcił się przed otwartymi drzwiami wagonu.

Zoja wiedziała, że jej oprawca szuka colta. Rozejrzała się na boki, a potem spojrzała w górę. Na ścianie wagonu była drabinka prowadząca na dach. Stara, zardzewiała stal. Zoja popatrzyła na swoje skrępowane ręce i zarzuciła je w górę. To był moment, w którym miała się przekonać, ile dają mordercze treningi na basenie. Napięła mięśnie i podciągnęła swoje ciało. Zdrową nogą namacała wąski szczebel drabinki i na chwilę się na nim wsparła.

– Aha. Znalazłem cię – usłyszała i zamarła.

– Teraz pora na ciebie, panno Zoju! – Mężczyzna przeładował broń.

Zoja zerknęła w górę i znów się podciągnęła.

Słyszała ciężkie kroki. Znieruchomiała, gdy zobaczyła zarys jego sylwetki tam, gdzie jeszcze przed chwilą wiła się z bólu. Mężczyzna przykucnął i zajrzał pod wagon, po czym sięgnął do kieszeni. Pojawił się strumień światła. Zoja zdała sobie sprawę, że ma ostatnią szansę i jeśli teraz nie wykrzesze z siebie siły, to zginie. Spięła obolałe mięśnie i wstrzymała oddech. Jednym ruchem wciągnęła się na dach wagonu. Leżała na wznak i bezgłośnie płakała z bólu. Wpatrywała się w niebo, trzęsła się z zimna i modliła o cud.

Światło tańczyło chaotycznie wokół sąsiednich wagonów. Słychać było kroki.

Zoja zamknęła oczy, tak jak robiła w dzieciństwie podczas zabawy w chowanego, gdy nie była pewna swojej kryjówki. Wtedy usłyszała znajomy głos wołający jej imię. Był dalej, ale rozpoznała go natychmiast i zdała sobie sprawę, że jeśli ona go nie ostrzeże, za chwilę zabójca zacznie do niego strzelać.

Nie mogła pozwolić na takie ryzyko. Jak w migawce powróciły obrazy z nieudanej akcji, w której zginęła Magda. Zoja znów zobaczyła pełne przerażenia oczy dziewczyny, gdy okazało się, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kardasowi się to nie mogło przytrafić. Nie jemu!

Zerwała się na kolana i nie zważając na przeszywający ból, zaczęła krzyczeć, by jej partner się zatrzymał, by uciekał.

Wtedy padły strzały. Jeden, drugi. A po chwili rozległy się krzyki komend. Niespodziewanie oślepił ją strumień światła na tyle mocny, że nie dojrzała twarzy kogoś, kto wchodził właśnie na dach wagonu. Zakryła rękoma twarz i głowę. Czekała, skulona i bezradna.

*

Woda była czysta, błękitna i spokojna.

Wpatrywała się w toń ze starego pomostu, po czym skoczyła. Tysiące bąbelków powietrza zatańczyło przed jej oczami, a w uszach zagrały znajome dzwonki. Płynęła między skałami, stada małych ryb umykały przed nią, rozpraszając się. Wypłynęła, by zaczerpnąć powietrza i ogrzać się w cieple słońca. Nagle poczuła dotyk. Dotyk dłoni. Próbowała podnieść powieki, ale słońce było na tyle silne, że przenikało przez linię ciemnych rzęs i drażniło oczy. Złagodniało dopiero po chwili.

Pojawiły się też dźwięki, które nie pasowały do odgłosów zatoki. Sen odchodził, a wraz z nim spokój i ciepło. Poruszyła się, a czyjś szept nakazał jej leżeć. Przytomność wracała powoli, a razem z nią pragnienie, by otworzyć oczy. Zamrugała i dostrzegła nachylającą się nad nią twarz. Mózg ładował i przetwarzał informacje. Wreszcie się obudziła.

– Mariusz… – Radość mieszała się z ulgą. – Dzięki Bogu, jesteś. – Zoja wyciągnęła palce, by dotknąć jego twarzy.

– Leż spokojnie – nakazał cicho. Uśmiechnął się ciepło, gdy poczuł, jak opuszki jej palców suną po jego podbródku.

– Nic ci nie jest? Nie oberwałeś? Boże, ten koleś przecież strzelał… – Odruchowo ściągnęła brwi i zasyczała z bólu. Dotknęła dłonią opatrunku nad okiem. – Co tam się w ogóle działo?

– Spokojnie. Wszystkiego się dowiesz. Po kolei. Najważniejsze, że ty wyszłaś z tego względnie cało.

Zoja poruszyła się, by usiąść, i natychmiast odpuściła. – Sądząc po bólu, coś mi chyba jednak zostało z wyposażenia podstawowego – powiedziała.

Spróbowała odrzucić prześcieradło, by spojrzeć na nogę.

– Ej, przestań się wiercić. Powoli – ostrzegł Kardas. – Pomogę ci.

– Muszę zobaczyć! – odpowiedziała, patrząc, jak obchodzi łóżko z drugiej strony.

Kardas chwycił za róg materiału i zatrzymał nagle rękę. Zerknął na Zoję, jak wyciąga szyję, i odezwał się z powagą:

– Zoja… Powinienem był ci powiedzieć od razu, ale… Nie wiedziałem, jak to przyjmiesz. Lekarze musieli zoperować ci stopę. Nie mieli na stanie zapasowej, więc przyszyli ci płetwę. Ale spokojnie, markowa. Będzie ci się lepiej pływało.

– Dureń! – krzyknęła na niego i się roześmiała.

Kardas odrzucił prześcieradło i oczom Zoi ukazała się zawinięta w bandaże i opatrunki stopa.

– Kardas, złapałeś go, nie? Powiedz, że ci nie uciekł – szepnęła.

– Nie uciekł. – Policjant pokręcił głową.

– Żyje? – Popatrzyła na niego badawczo.

– Tak. Jest w areszcie. Prokurator go magluje. Jak do tej pory chłopak jest chętny współpracować. Przyznał, że liczy na łagodny wyrok.

– Powinni go zbadać na poczytalność – rzuciła.

– Zbadają, nie martw się. Dziś rano byłem przy rozmowie z nim. Ewidentnie ma problem z psychą. Mówił o jakimś planie na karierę polityczną. Stwierdził, że robił, co mógł, żeby ktoś dostrzegł jego i działania jakiejś żydowskiej fundacji. Za godzinę chłopcy przetrząsną mu mieszkanie.

– Sądzę, że znajdą tam masę dowodów obciążających tego dupka. Nawet nie wiesz, jak się cieszyłam, że się tam pojawiłeś. Nie miałam już siły dłużej… – Przełknęła ślinę.

– Byłaś cholernie dzielna.

– Gówno tam… – mruknęła. – Miałam pełne gacie. Chyba tylko adrenalina mnie trzymała przy życiu. I myśl, że jak się poddam, to on wam się wywinie. Nie byłam tylko pewna, czy połapiesz się w tej aplikacji G-Shocka. Mariusz… Ten świr to nagrywał, wiesz? – Przełknęła ślinę. – Poza Fabiś…

– …zabił jeszcze tę dziewczynę, z którą przyszedł do twojego mieszkania – dokończył Kardas. – Tak, wiem. Technicy znaleźli jej ciało w wagonie obok. Daruję ci na razie szczegóły. – Westchnął. – Fajnie, że jesteś cała. – Pogłaskał jej policzek.

– Też się cieszę. – Uśmiechnęła się ciepło.

Zastanawiała się, czy zapytać go o Dawida, i już miała to zrobić, ale przygryzła wargi.

– Adwokat żyje. – Kardas domyślił się pytania, jakie musiało przecież paść. – Twój znajomy oberwał, dość niebezpiecznie, ale jego stan jest stabilny – mówił, skubiąc pościel. – Miał trochę szczęścia, kula przeszła blisko aorty. Będzie jednak musiał naprawić sobie tatuaż, bo chyba mu się rozszedł tu i ówdzie. Za kilka tygodni będziecie mogli znów… – Przerwał, gdy ścisnęła jego dłoń.

– Ani słowa więcej, proszę – szepnęła.

Kardas patrzył gdzieś w bok.

– Zoja, przemyślałem to wszystko. I zrozumiałem, że nie mogę mieć do ciebie żalu o to, że próbujesz układać sobie życie. Nie mam do tego prawa. Miałem swoją szansę i ją zmarnowałem.

– Nie ty, tylko my – poprawiła go.

– Na jedno wychodzi. – Wzruszył ramionami. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że… zamilkł, bo rozległo się pukanie i w drzwiach pokoju pojawił się Wincent. Zoja odruchowo cofnęła dłoń. Nie umknęło to jednak uwadze przyjaciela.

– Mogę zaczekać. – Z uśmiechem wskazał korytarz.

– Nie…. – Kardas wstał. – Ja już wychodzę… – skłamał, zerkając na Zoję.

– Jak się czuje nasza gwiazda? – zapytał Wincent, zdejmując kaszkiet. – Mam nadzieję, że na tyle dobrze, byśmy mogli uciąć sobie pogawędkę. – Podsunął krzesło i usiadł wygodnie.

– Dobrze cię widzieć, Wi… – Zoja wyciągnęła do niego rękę, a gdy ją ujął, mocno ścisnęła palce.

Uśmiechnął się serdecznie, po czym momentalnie spoważniał.

– Mamy do pogadania – oświadczył. – Prokurator najpóźniej jutro pofatyguje się do szpitala, by przesłuchać Dawida Woźniaka i ciebie oczywiście.

– Jasne – przytaknęła. – Jaki długa jest lista zarzutów?

– Jestem tu, by z tobą o tym porozmawiać. Wyjaśnię ci twoje położenie. Są bowiem rzeczy, o których nie wiedziałaś. Ani ty, ani Kardas. – Sięgnął do kieszeni marynarki po okulary i wyjął plik kartek. – Zanim zaczniemy sprawy formalne, omówimy najpierw inną kwestię. – Spojrzał na nią z góry. – Interesują mnie twoje wyniki badań krwi na obecność substancji psychoaktywnych…

– To ja idę zapalić – powiedział z uśmiechem Kardas i ruszył w stronę wyjścia.

Przystanął za plecami Wincenta i wyjął papierośnicę, którą znalazł w torebce Zoi. Zamachał nią i ostentacyjnie i schował do kieszeni. Posłał dziewczynie buziaka i zniknął w korytarzu.

*

Leżał w osobnej sali, do której weszła prokurator w towarzystwie dwóch policjantów. Po chwili dołączył do nich jeszcze jeden mundurowy. Dawid poznał go od razu. Prokurator przedstawiła mu go jako komisarza prowadzącego

dochodzenie w sprawie zabójstw popełnionych przez Mateusza Stelmacha. Mariusz Kardas. Poniekąd zawdzięczał mu życie.

Rozpoczęli od przedstawienia praw, jakie przysługiwały Dawidowi. Znał to wszystko na pamięć. Odmówił przysługującego mu adwokata. Pani prokurator, kobieta w średnim wieku, w szarym żakiecie, siedziała blisko i notowała zeznania.

Dawid szczerze wyznał, że nie miał pojęcia o poczynaniach swojego aplikanta. Definitywnie się od nich odcinał. Właściwie to od przesłuchującej go kobiety dowiedział się, że Mateusz był częstym gościem w kancelarii poza godzinami pracy. Że wielokrotnie korzystał z drukarki i sprzętu komputerowego oraz wszystkiego, czym dysponowała kancelaria. To, co najbardziej zaniepokoiło Dawida, to fakt, że jego łebski aplikant zdalnie mógł kontrolować wszystkie dane w systemie, na serwerze. Właściciela kancelarii zaskoczyło, że to Mateusz stał za atakiem na dom Eleonory. Kompletnie nie rozumiał jego działania. Drukując kartkę z pogróżką, Stelmach posłużył się tą samą drukarką, co podczas korespondencji z Zoją i Wiolettą Fabiś.

Przesłuchanie trwało ponad godzinę. Dawid mówił spokojnie, w sposób przemyślany i skupiał się na konkretach. Przyznał, że Eleonora wynajęła go, by nawiązał kontakt z Zoją, co miało ułatwić dotarcie do jej ojca. Bo to jego osoba była ich celem. Niełatwo jest bowiem przeniknąć do jego najbliższego otoczenia. Dawid oświadczył, że początkowo nie zamierzał wdawać się z dziewczyną w romans, ale taki układ niewątpliwie ułatwiał mu zadanie. Zdawał sobie sprawę, że drażliwym tematem będzie włączona kamera w jego gabinecie, podczas gdy była tam Zoja.

Pamiętał, że początkowo chciał ją o tym uprzedzić. Jednak atmosfera, która się między nimi wytworzyła, sprawiła, że adwokat postanowił po prostu usunąć zapis.

Kardas na dźwięk jego słów miał ochotę złapać go za gardło i porządnie mu przyłożyć. Skończyło się jednak na tym, że posłał adwokatowi miażdżące spojrzenie z obietnicą nieprzyjemnego spotkania na gruncie prywatnym. Na koniec pozostała kwestia fiolki leżącej na biurku. Jak się okazało, był to metanabol, do

którego przyjmowania Dawid przyznał się natychmiast. Na broń w szufladzie miał pozwolenie i stosowne dokumenty.

Prokurator zakończyła czynności w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się pielęgniarka. Po zdawkowej wymianie spostrzeżeń w kwestii zbieżności zeznań świadków pani prokurator pożegnała wszystkich i podobnie jak funkcjonariusze policji ruszyła w kierunku wyjścia.

Pod drzwiami pokoju pozostał jedynie Kardas. Długo rozważał osobistą rozmowę z Dawidem na temat Zoi. Ostatecznie uznał, że zostawi sprawę własnemu biegowi. Zoja ma prawo być, z kim chce. Żałował jedynie, że to nie może być on.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Zoja siedziała na wyścielanym krześle, a kule, na których wspierała się przy chodzeniu, stały oparte o biblioteczkę. Na stole, poza ażurowym obrusem, dzbankiem herbaty i talerzem makowca, leżał otwarty album ze zdjęciami. Dziewczyna miała wrażenie, że cały ten dom jest jak pamiątka.

Na starym kredensie stało wszystko, co dotyczyło rodziny Ritterów. Eleonora włożyła wiele wysiłku, czasu i pieniędzy, by zdobyć zaginione podczas wojny przedmioty. Na jednym z wielu czarno-białych zdjęć, oprawionych w srebrne ramki, uśmiechał się niepewnie dziesięcioletni chłopiec. Stał prosto obok zdezelowanego wózka i trzymał za rękę siedzącą w nim dziewczynkę.

– To pani? – zapytała Zoja, wskazując na zdjęcie.

– Tak. To z łódzkiego getta. Ten chłopiec obok mnie to mój wujek. Niewiele starszy. Zdjęcie zrobił nam Oskar Singer, znany dziennikarz – odpowiedziała. – Natanek, bo tak miał na imię, zginął kilka dni po tym, jak sfotografował nas pan Oskar. Zastrzelili go Niemcy.

Zoja zamilkła zmieszana.

Eleonora otworzyła szafkę w kredensie i wyjęła kryształową karafkę z nalewką. Postawiła ją na stole i popatrzyła pytająco na swoich gości. Kardas odmówił od razu. Siedział na kanapie, obok której zajmowała miejsce stara maszyna do szycia, zachowana w niemal idealnym stanie. Singer, ostatni model wyprodukowany przed wybuchem drugiej wojny światowej. Wisiał nad nią fragment szyldu zakładu krawieckiego Ritterów. Zoja nie mogła oderwać wzroku od młodego małżeństwa

na fotografii wiszącej tuż przy szyldzie. Młodzi uśmiechali się pełni życia i radości. W ich oczach widać było wiarę we wspólne szczęście.

– To moi rodzice. W dniu, gdy otwierali zakład – odezwała się Eleonora.

Zoja miała wrażenie, że od ostatniego spotkania kobieta postarzała się o dziesięć lat. Fakt, że jej ukochany wnuk okazał się psychopatycznym przestępcą, wywołał w niej tak duże emocje, że zabrano ją na oddział kardiologii. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Potrzebowała czasu, by wytłumaczyć sobie to, co zaszło. Ale mimo emocji i traumy nie mogła doczekać się Zoi. Modliła się o jej zdrowie i siłę. Modliła się, by dane im było usiąść razem przy jednym stole.

Kobieta nalała wszystkim herbaty i zbliżyła się do Zoi. Ujęła jej dłonie w swoje szczupłe palce i przymknęła na chwile powieki.

– Zoju Sterlak, nazywam się Eleonora Ritter i jestem córką polskich Żydów. Znałam twoich pradziadków oraz ich dzieci. Znałam całą wasza rodzinę. Dzięki nim żyję. Wzięli mnie do siebie po tym, jak moi rodzice zmuszeni byli oddać mnie, by ratować moje życie. Ten pierścionek należał do mojej matki Sary. – Wskazała na rubin błyszczący na palcu. – Cały mój majątek i dowód pochodzenia, jaki dała mi w dniu, gdy się rozstałyśmy. Reszty dowiedziałam się dużo później. – Eleonora patrzyła na Zoję i po chwili zaczęła opowiadać: – Zostałam wyniesiona z obozu na Olechowie i ukryta w dole na żywność. Znalazła mnie siedemnastoletnia wtedy Anielka. Twoja ciotka. Nie mówiłam o tym, gdy pokazałaś mi jej zdjęcie, bo nie wiedziałam, jak zareagujesz. Chcieliśmy z Dawidem zrobić to powoli. Przygotować cię. Nie noś do nas urazy. Do niego.

– Potrzebuję czasu, by sobie to poukładać. Sprawę Dawida odłóżmy jednak na bok. Chce poznać twoją historię.

– Oczywiście – przytaknęła. – A więc Anielka przyszła o świcie, by wsypać do dołu trochę zerwanych w sadzie jabłek. Przestraszyła się na mój widok i choć groziła za to śmierć, podała mi rękę. Zabrała do domu, gdzie zostałam nakarmiona, umyta i ubrana. Tęskniłam za matką i ojcem, ale Aniela nie pozwalała mi na łzy. Każdego wieczora opowiadała mi bajki. Barwne opowieści, w których moi rodzice

byli na przemian książętami w pałacach, zaklętymi ptakami lub podróżnikami przemierzającymi Afrykę. Tuliła mnie i koiła mój płacz. Była przy mnie dzień i noc. Twoi pradziadkowie, Janina i Władysław, dali mi wszystko, czego potrzebowałam, by rosnąć i żyć, ale ona dała mi miłość. Całe pokłady miłości. Byłam mała i nie rozumiałam wielu rzeczy, ale posłusznie robiłam, co mi kazali. Zwłaszcza gdy prosiła o to Anielka. W mojej pamięci zapisały się pojedyncze kadry. Pamiętam na przykład, jak Anielka wkładała mi czerwony sweter, brała mnie do sadu i kazała machać ręką gdzieś przed siebie. Wtedy nie miałam pojęcia, po co to robimy, ale dziś wiem, że w ten sposób dawałyśmy znak mojej matce, która pracowała na nasypie. By mama wiedziała, że jestem cała i zdrowa. Niestety Anielka za swoje dobre serce zapłaciła bardzo wysoką cenę. Hitlerowcy od czasu do czasu przeszukiwali wieś. Domy i stodoły. Wiedzieli, że Polacy pomagają Żydom, choćby w zdobywaniu jedzenia. Anielka w czasie jednej z takich akcji ukryła mnie w pniu starej wierzby niedaleko rzeki. – Starsza pani posmutniała. – Przemykała przez pole, gdy dostrzegło ją dwóch strażników niemieckich. Nie potrafiła im wyjaśnić, dokąd idzie i po co. Zapytali ją więc, czy przypadkiem nie ukrywa gdzieś żydowskiego uciekiniera. Zaprzeczyła, ale oni jej nie odpuszczali. W końcu przystawili jej do skroni broń i ją zgwałcili. Nie zdradziła mnie jednak. – W oczach Eleonory pojawiły się łzy. – Twój pradziadek wywiózł ją i mnie do ich kuzynostwa trzy wsie dalej. Przez wiele lat zastanawiałam się, dlaczego wtedy nas wywieźli. Nikt mi nie wyjaśnił, co się stało. Dopiero długo, długo potem o tej tragedii opowiedziała mi sama Anielka. – Eleonora zamilkła w zadumie. – Tak samo jak o tym, że Niemcy kazali podpisać twoim pradziadkom folkslisty. Zresztą nie tylko im. Tych, którzy tego nie zrobili, zabierali do lasku, tam, gdzie wieszali więźniów obozowych, i zabijali. Twoi podpisali dokument. – Nabrała powietrza. – Wróciłam do nich, gdy Niemcy zlikwidowali obóz. Miałam nadzieję, że przyjdzie po mnie moja mama, ale dni mijały, zamieniały się w tygodnie, a jej nie było. Przestałam czekać, tęsknić, pytać. Stałam się jedną z was. Jako młoda dziewczyna wyjechałam do szkoły z internatem. Wiedziałam dobrze, jakie mam korzenie, i szukałam ludzi takich jak ja. Poznałam męża, urodziłam dziecko. Wyjechaliśmy

z Polski. Anielka została tu. Kontakt miałyśmy tylko listowny, lecz nie za częsty. W pewnym momencie moje listy zaczęły wracać. Przestałam więc je pisać. Wróciłam do Polski po śmierci męża. Szukałam domu i waszej rodziny, ale on przestał istnieć. Ziemia miała nowego właściciela. Odnalazłam Anielkę trzy lata temu przypadkiem w domu seniora, gdy moja fundacja organizowała wieczór muzyki żydowskiej. Płakałam ze wzruszenia. Tak bardzo się ucieszyłam, że ją odzyskałam.

– To jest to samo zdjęcie, jakie pani pokazałam. – Zoja zerknęła na album.

Seria fotografii zrobionych w jakimś ogrodzie przedstawiała smutną młodą kobietę z ciemnowłosą dziewczynką.

– Tak. I ja. A to Henio, twój dziadek. – Wskazała zdjęcie poniżej.

– To prawda, że Aniela przestała mówić?

– Milczała równe dwa lata. Wiedziałam, że potrafi mówić, tylko nie chce. Bała się. Nuciła jedynie piosenki.

– Uważasz, że postradała zmysły?

– Nie. Po prostu tych dwóch Niemców, wtedy, tam nieopodal wierzby, zabiło jakąś jej część na zawsze. Od tamtej pory przestała się uśmiechać. – Westchnęła. – Odwiedzałam ją regularnie w domu seniora. Przez ostatnie półtora roku nie poznawała już nikogo. Nawet mnie.

Zoja opuściła głowę.

– Gdybym wiedziała… Też bym ją odwiedzała. – Otarła wilgotne oczy.

– Ale nie wiedziałaś. – Pogłaskała jej ramiona. – Zoju, zadałaś mi w kawiarni pytanie, czy ktoś z moich bliskich spoczywa w tym nasypie. – Pokiwała głową. – Tak. Moi rodzicie, Sara i Jakub Ritterowie. – Po raz kolejny wskazała zdjęcie uśmiechniętej pary. – A mój wnuk, krew z krwi, którą ocalili twoi przodkowie, chciał pozbawić cię życia. I to właśnie tam. – Rozpłakała się. – Na nasypie.

– Przecież to nie pani wina. – Zoja położyła dłoń na jej ramieniu.

– Właśnie że moja. I dlatego prosiłam cię o spotkanie. Jedyne, co mi zostało, to błagać cię o wybaczenie. Bóg mi świadkiem, nie takie miałam intencje.

– Intencje? – Zoja ściągnęła brwi i spojrzała na Kardasa.

– Gdy zobaczyłam Mateusza trzymanego przez policjantów, gdy dotarło do mnie, co zrobił… – Otarła oczy wierzchem dłoni. – Zrozumiałam, że to ja ponoszę odpowiedzialność za jego czyn. Ja. To ja wlewałam w jego serce jad nienawiści, to ja od najmłodszych lat opowiadałam mu o niesprawiedliwości, jaka nas dotknęła, o śmierci niewinnych ludzi, o ich cierpieniu. Już jako dziecko dobrze znał historię Holokaustu. – Łkała. – Historię mojej rodziny. Wciągnęłam go w poszukiwania pamiątek po rodzicach, w końcu do Diaspory, i ciągle opowiadałam mu o ludziach z getta. O głodzie, strachu, nieszczęściach. Ale tłumaczyłam mu też, jak ważna jest pamięć o tych, którzy zginęli. Jak żyjący szybko o nich zapomnieli. Był ze mną w IPN-ie. Pomagał mi szukać dokumentów dotyczących obozu na Olechowie. Czytaliśmy razem zeznania świadków tej zbrodni. O moich rodzicach nie było nawet wzmianki. A takich ludzi jak oni było tysiące. Dlatego czułam i czuję się w obowiązku pielęgnować płomień pamięci o nich, czuwać, by nie zgasł. I byłam pewna, że angażując Mateusza w moją działalność, przekazałam tę powinność młodszemu pokoleniu. Że zaszczepiłam w moim wnuku szacunek i świadomość, wręcz misję do tego, by pielęgnować to miejsce, pamięć o tych nieszczęśnikach. – Znów się rozpłakała. – A on… A on to zrozumiał zupełnie opacznie. Dlatego błagam cię o wybaczenie. On podniósł na ciebie rękę, ale to moje słowa go do tego nakłoniły. Wybacz jemu i wybacz mnie.

Zoja nie wytrzymała. Przysunęła się do kobiety i mocno ją objęła.

*

Wyłączył silnik i się odwrócił. Zoja otworzyła schowek i wyjęła z niego kwadratowe pudełko obwiązane kokardą.

– To dla ciebie – powiedziała. Podała Kardasowi prezent i pocałowała go w policzek. – Wiem, że ci się spodoba.

– Dla mnie? – zapytał zaskoczony.

Zerwał wstążkę i otworzył wieczko. W środku był taki sam zegarek, jaki nosiła Zoja. Kardas uśmiechnął się szczerze. Był zachwycony i nie ukrywał tego.

– Zoi… G-Shock rangeman? Naprawdę? – Popatrzył na dziewczynę i objął ją ramieniem.

– Widziałam, jak go oglądałeś u mnie w sypialni. Twoja mina zdradzała wszystko.

– Czyli widziałaś też…

– Jak zawijasz mi trawę? Owszem.

Kardas się roześmiał. Włożył zegarek na nadgarstek i zaczął przełączać jego funkcje.

– Dziękuję, jest naprawdę świetny.

– Żeby mieć z niego frajdę, proponuję zainstalować sobie apkę.

– Poproszę Alicję… – mrugnął okiem do Zoi.

– Skoro o niej wspomniałeś… Jak sytuacja domowa? – zapytała poważnie.

– Udało się nam dojść z Anką do względnego porozumienia. Przyjęła do wiadomości fakt o rozstaniu. Postawiła pewne warunki, a ja na część z nich się zgodziłem.

– *Wow*. Progres.

– Raczej pieniądze. Ale dzięki nim Anka nie utrudnia mi kontaktu z małą. Zapowiedziała wprawdzie, że nie życzy sobie, aby Ala widywała się z moimi nowymi partnerkami. – Zrobił palcami cudzysłów.

– Weź… – prychnęła Zoja. – Zabrzmiało, jakby czekało ich na ciebie całe stado. Tygrysie. – Zaśmiała się.

– Taaa… – Rozejrzał się na boki. – A co z tobą? – zapytał.

– Ja wysiadam. – oświadczyła.

Odwróciła się.

– Pomożesz mi?

– Jasne. Sorry, zagapiłem się.

Wyszedł z samochodu, obiegł go i otworzył jej drzwi. Przytrzymał Zoję, by nie upadła.

– Iść z tobą? – zapytał, podając jej kulę.

– Żartujesz? – prychnęła. – Poradzę sobie. Wygarnę mu, co myślę o tych ich gierkach! – rzuciła bojowo.

– Nie powinno palić się, hm, mostów. Może kiedyś zmienisz decyzję i będziesz chciała wrócić? – powiedział Kardas.

Nie skomentowała tego.

Wsunęła na nos lustrzanki i pokuśtykała do budynku komendy.

Po ponad kwadransie wróciła do samochodu. Wgramoliła się na fotel pasażera i spojrzała na Kardasa.

– Zwolnili Buriana – oświadczyła.

– To było do przewidzenia. – Kardas nie patrzył na nią. – Tak jak mówiłaś od początku, jest niewinny. I to nawet w sprawie swojego pracownika.

– Tak?

– Yhy. Do roboty przyznał się jego przyjaciel. Ten, z którym był na stadionie. Podobno Witkowski poza donosicielstwem przekręcił tego gościa na kasę. Nie znam szczegółów, bo nie ja się tym zajmuję.

– No tak.

– Mam cię teraz odwieźć do domu? Chciałaś się spakować – powiedział smutno.

Zoja wyjęła z kieszeni służbową odznakę i położyła ją na kolanie przyjaciela.

Kardas aż krzyknął z radości:

– Przecież mówiłaś, że nigdy nie wrócisz!

– „Szaleństwo kobiece” – odpowiedziała.

Praca nad książką *Bez wyboru* okazała się pasjonującą podróżą w przeszłość mojego miasta. Zagłębiając się w koleje losów ludzi, którzy doświadczyli wojny, życia w łódzkim getcie, niewoli i strachu, czułam, że zaczynam podążać za ich głosami. Zaprowadziły mnie one na Bałuty, do Śródmieścia, ale przede wszystkim na stację kolejową Olechów. To tu w czasie wojny stały obozowe baraki, a ludzi zmuszano do morderczej pracy przy budowie nasypu.

Będąc świadoma tragicznej historii tych terenów, wciąż nie rozumiem wielu kwestii. Zastanawiająca pozostaje dla mnie obojętność ludzi i organizacji, którym pamięć pomordowanych powinna leżeć na sercu. Swój żal i sprzeciw wyrażam słowami Eleonory Ritter. Teoretycznie jest to postać fikcyjna, jednak inspiracją do jej stworzenia była Ewa Matusiak. To Ona zwróciła moją uwagę na „problem nasypu". Ta silna kobieta urzekła mnie swoją walecznością, nieustępliwością i klasą. Jej aktywne działania na rzecz ochrony przyrody, szacunku dla zdrowia i życia człowieka zmusiły zachodni koncern mający w Łodzi swoje fabryki do zastosowania zmian ograniczających emisję toksyn i przestrzegania zasad ekologii. Ja zawdzięczam jej inspirującą rozmowę o olechowskim nasypie i dostęp do materiałów IPN-u, które są niezbitym dowodem na wstrząsającą historię tego miejsca, a przede wszystkim na istnienie zbiorowej mogiły zamordowanych tam więźniów, głównie pochodzenia żydowskiego. Tak więc większa część wątków retrospektywnych powstała na podstawie archiwalnych zeznań świadków, którzy przeżyli obóz na Olechowie i świadczyli o tym przed sądem, w sprawach toczących się przeciw oprawcom hitlerowskim.

Ewo, jeszcze raz dziękuję za pomoc i porządną lekcję historii. Życzę Ci, byś osiągnęła to, w co wierzysz, i to, o co walczysz. Raz jeszcze dziękuję.

Chciałabym jednak mocno podkreślić, że – mimo tła historycznego – *Bez wyboru* jest przede wszystkim kryminałem miejskim. I to wątek śledztwa w sprawie zabójstwa stanowi jego najważniejszy, przewodni motyw. Ogromnie

dziękuję redaktorowi Filipowi Modrzejewskiemu za pracę nad tekstem, za cierpliwość i dobre rady. I „złego policjanta”, którym był przez cały czas naszej współpracy. W dowód wdzięczności postać genialnego Wincenta dedykuję Tobie, Fi. Z przymrużeniem oka, w kaszkiecie i obowiązkowo z papierosem. ;)

Bardzo serdecznie dziękuję Magdalenie Hildebrand za podanie mi ręki w najtrudniejszym czasie mojej kariery literackiej. Zaufanie, zainteresowanie i wsparcie, jakie otrzymałam, sprawiły, że nie zarzuciłam pisania. Z całą pewnością mogę dziś stwierdzić, że nasze „spotkanie” było zwrotnym momentem w mojej pracy twórczej. Budującym i mobilizującym do pracy. Iskrę, którą inni próbowali zgasić, Pani rozpaliła, i to do porządnego płomienia.

Opiekę nad tekstem przejęła Sylwia Ciuła, której zawdzięczam nowy rozdział w karierze. Sylwio, bardzo Ci dziękuję, że zadbałaś o mnie i wprowadziłaś do rodziny autorów Wydawnictwa Znak. Mimo zawirowań nie wypuściłaś mnie z rąk, za co jestem Ci dozgonnie wdzięczna.

Ogromne podziękowania należą się redaktorowi Adrianowi Tomczykowi. Za profesjonalizm, zrozumienie i doskonały szlif tekstu. Ale przede wszystkim za pracę nad poskromieniem głównego bohatera. Wiem, że doprowadzał Cię do szału, a Twoje niewybredne uwagi na jego temat dostarczyły mi wiele zabawy. Niemniej bardzo sobie cenię współpracę z Tobą i mam nadzieję na ciąg dalszy.

Dziękuje pięknie także Agacie Ługowskiej – za jej zaangażowanie w pracę nad moim tekstem i dobre słowo. Idzie Świerkockiej za ostatnie poprawki i sugestie.

W książce pojawia się motyw mentalizmu. Temat przekazu podprogowego, siły sugestii, sposobu komunikacji i całej masy ciekawostek z zakresu sztuczek psychologicznych. Za tą materią stoi absolutna ekspertka w tej dziedzinie – Sylwia Kaźmierczak. Składam jej ogromne podziękowania za to, że zechciała podzielić się ze mną swoją wiedzą i pomóc w stworzeniu wspomnianego wątku. Przyznam, że pomimo wielu godzin spędzonych na poznawaniu zagadnień przekazów podprogowych wciąż mam problem z jasną oceną tego, co – pod widoczną na pierwszy rzut oka formą – kryją zdjęcia artystów fotografii. Jednak świadomość samego istnienia takiego zjawiska budzi mój szacunek i bardzo mnie ciekawi.

Dlatego raz jeszcze… Sylwia, wielkie dzięki!!! A białe conversy Daga zawdzięcza tylko Tobie!

Główna bohaterka nie byłaby tak wyrazista, gdyby nie cały arsenał niezwykłych i kosztownych gadżetów z pięknym dodge’em challengerem hellcatem na czele. Żeby jednak móc pisać o rzeczach w sposób realny, trzeba mieć z nimi do czynienia. Zoja nie mogłaby więc przemierzać łódzkich ulic pięknym dodge’em, gdyby nie pewna para totalnie fantastycznych ludzi! Bardzo serdecznie dziękuję Tomaszowi i Katalinie Gustom. To Oni pozwolili mi doświadczyć jazdy tym piekielnie cudownym samochodem i odkryć przy tym wszystkie jego detale. Ponadto wybór broni, jaką dysponuje główna bohaterka, był inspirowany ich pasją. W związku z tym scenę, w której Zoja wraz ze strojem zmienia glocka na niedużego kimbera w kobiecych kolorach, dedykuję Kasi!

Nie mogę nie wspomnieć o moim mężu Jarku, który jest dla mnie wielkim wsparciem, moim mistrzem logistyki i świetnym przyjacielem. Dziękuję, że towarzyszysz mi w wyprawach do miejsc, w których sama nie czułabym się bezpiecznie. Że przekraczasz granice swojego komfortu dla dobra tekstu i moich bohaterów. Za całą masę rzeczy, bez których nie mogłabym być tu, gdzie dziś jestem. No i za to, że nie przestaję się przy Tobie śmiać. Moim córkom dziękuję za samodzielność, dojrzałość i dbałość o moje menu. Zdarza się bowiem, że będąc w „ciągu” pisania, żyję tylko kawą.

Serdecznie dziękuję również podkomisarzowi Marcinowi Brzezińskiemu, któremu ukradłam tożsamość, spryt i smykałkę do elektroniki i netu, by stworzyć „Brzeźnego”.

Dziękuję moim chorwackim przyjaciołom, dzięki którym Zoja z łatwością włada językiem chorwackim. Hvala Vam, moja draga Ankica i Darko Jurić!

Na koniec dziękuję Wam, kochani Czytelnicy. To dzięki Wam mogę się spełniać w roli autorki – kryminalistki. Kłaniam się z uśmiechem. Miłej lektury!

PRZYPISY

1 *Tko rano rani, dvije srece grabi* (chorw.) – Kto rano wstaje, ma podwójne szczęście.
2 *Ostaviti kći* (chorw.) – Zostaw córce!
3 *Čovječe, kog vrag radiš* (chorw.) – Człowieku, co ty, do diabła, robisz?!
4 *Ne kuni se* (chorw.) – Nie przeklinaj!
5 *Vrana vrani oći ne skopa* (chorw.) – Wrona wronie oka nie wykole.
6 *Por temor no pierdas honor* (hiszp.) – Nie trać honoru przez strach.
7 *Volim te* (chorw.) – Kocham cię!
8 *Volim te* (chorw.) – Kocham cię.
9 *Ja… Allgemeine Gehsperre* (niem.) – Tak… Wielka Szpera.

W SERII ZNAK CRIME UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS:

1. *Półmistrz*, Mariusz Czubaj
2. *Oszustka*, Aleksandra Śmigielska
3. *W snach to ja trzymam nóż*, Ashley Winstead
4. *Bez wyboru*, Agnieszka Płoszaj

NADCHODZĄCE PREMIERY:

© Copyright by Agnieszka Płoszaj, MMXXIII
© Copyright for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z o.o., MMXXIII

Wydanie I
Kraków MMXXIII

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz
Fotografia na okładce: dmitryzubarev | iStock
Fotografia autorki na skrzydełku: Marta Machej
Wydawca serii: Adrian Tomczyk
Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska
Konsultacja literacka: Filip Modrzejewski
Redakcja: Ida Świerkocka
Korekta: Katarzyna Smardzewska, Magdalena Siemiginowska | panbook.pl

ISBN 978-83-240-6636-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik przygotował Woblink
woblink
woblink.com